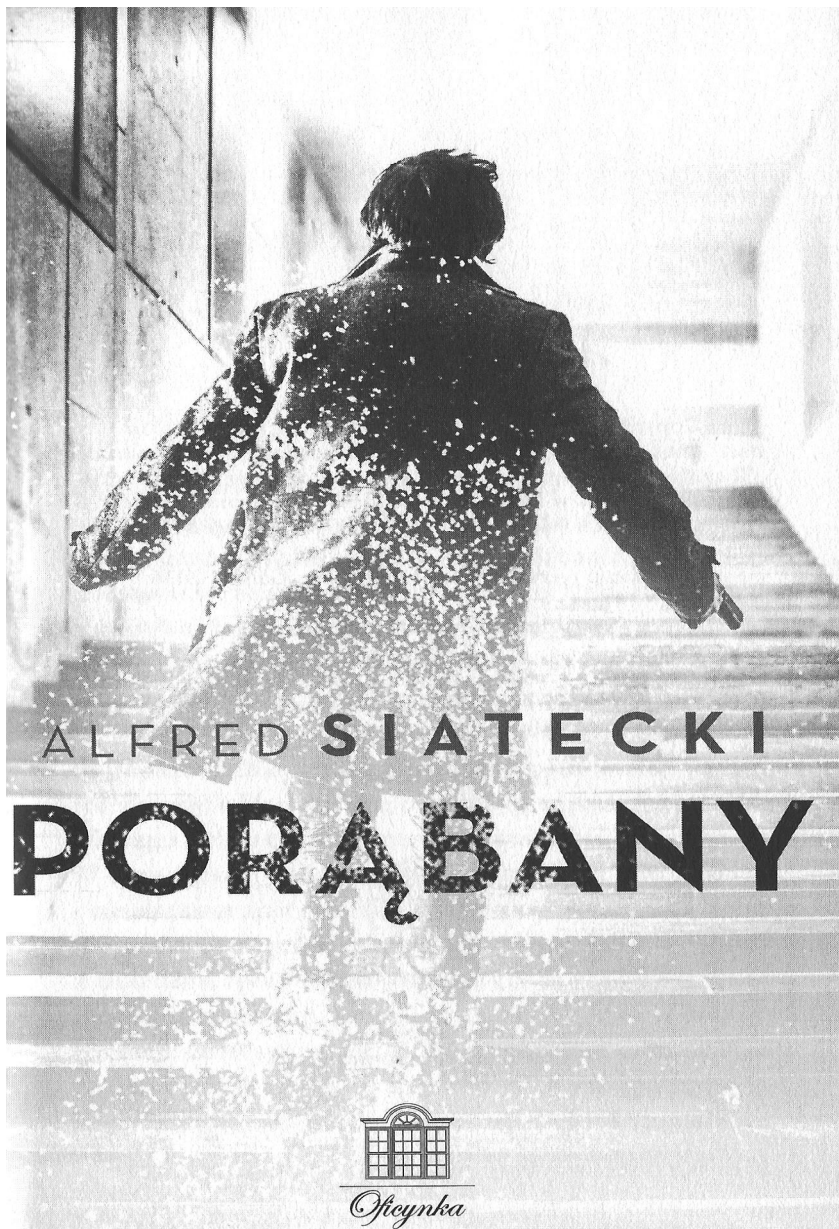


ABC

ALFRED
SIATECKI

PORABANY

Oficyńska



ALFRED SIATECKI
PORĄBANY



Oleynka

Copyright © Oficynka & Alfred Siatecki, Gdańsk 2015

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2016

Redakcja:
Justyna Nosal-Bartniczuk

Korekta:
zespół

Skład:
Bartosz Kusibab

Projekt okładki:
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce
© Carlos Caetano | Dreamstime.com

Skan i opracowanie wersji elektronicznej:
lesiojot

ISBN 978-83-64307-84-3



Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Prolog

Żużel jest najważniejszy! Naj-waż-niej-szyyy! Jaka tam dyscyplina niszowa! Bojanew pieprzy, że w Zielonejgórze najważniejsza jest koszykówka, bo co dwa tygodnie sześć tysięcy gardeł rozdziera się w Arenie Bachusa. Gdybyś interesował się żużlem, redaktorze z bożej łaski, to wiedziałbyś, że każdej niedzieli trzy razy więcej ludzi przychodzi na stadion przy Szosie Wrocławskiej. Miejscowi. Są też z Głogowa, z Zar czy z Nowej Soli. Przyjeżdżają z Berlina i z Drezna. A gdy zawyją motory, gdy spod kół wystrzelą pióropusze żużlu i chmury czarnego pyłu uniosą się nad torem, gdy kibice poczują odurzający zapach karbinolu... Dla tego pyłu i zapachu musowo trzeba być na stadionie. W tym mieście, redaktorze, nie koszykarze, nie piłkarze i nie siatkarze, nie tenisści, nawet nie pływacy i pięciobości, chociaż niemal z każdych mistrzostw Europy wracali z medalami, lecz żużlowcy byli, są i będą naj-waż-niej-siiii!

Od czterech dni, zawsze rano, przychodził w pobliże redakcji, żeby sprawdzić, o której godzinie dziennikarze pojawiają się w budynku. Najpierw tylko stał i patrzył z daleka. Przedwczoraj rano obawiał się, że ktoś go zauważy i zapamięta, mimo to wszedł aż na werandę, opierając się o poręcz, jakby brakowało mu sił. Zlustrował podwórze z trzech stron okolone niewysokim płotem. Na odlanej z żeliwa bramie wychodzącej wprost na Bankową wisiała zardzewiała kłódka, a znajdująca się obok niej furtka była otwarta na oścież. Ucieszył się, bo gdyby coś nie wyszło tak, jak to sobie zaplanował, albo gdyby ktoś go nakrył, miał drogę ucieczki. Nie mógł dać się schwytać.

Wczoraj w samo południe musiał mocno napiąć mięśnie, żeby otworzyć pierwsze masywne drzwi do przedsionka. Za nimi były jeszcze jedne, z wyglądu lżejsze, bez klamki, za to z tabliczką pełną cyfr i

znaków na futrynie. Zamknięte. Pytającym wzrokiem omiół narożniki przy suficie i kąty przy podłodze. Gdyby któraś spośród osób wychodzących z budynku redakcji zagadnęła go, udałby zagubionego albo odpowiedział, że teściowa zmarła, więc on chce zamieścić klepsydrę w gazecie, lecz nie wie, którędy dojść do biura ogłoszeń. Budynek nie jest monitorowany, zanotował w myślach. Na ścianach nie ma lusterek ani czujników przy suficie. Są za to zamknięte przeszklone drzwi, które otwierają się automatycznie dopiero wtedy, gdy bubek w chabrowej koszuli i czarnym krawacie tkwiący za kontuarem wciśnie guzik na konsoli. Najpewniej były glina. Za młody, żeby zbijać bąki na wcześniejszej emeryturze, dlatego dorabia jako stróż. Gdyby ktoś nazwał go stróżem, zaraz by się postawił, że jest licencjonowanym pracownikiem ochrony fizycznej, który odpowiada za bezpieczeństwo i porządek w firmie. Ciekawe czy przy konsoli leży pistolet gazowy albo paralizator, rozmyślał. Broni palnej raczej nie wolno mu mieć. Komu zechce, temu otworzy. To i muszę zachowywać się tak, żeby uznał mnie za niegroźnego dupka, co to był na policji, w prokuraturze, u pośła, nawet w kurii biskupiej, ale nikt mu nie chciał albo nie umiał pomóc, dlatego ostatnią deską ratunku jest redakcja „Gazety Zielonogórskiej”, postanowił. Nie mogę udawać menela czy biedaczyny wyciągającego rękę po forszę na chleb i mleko dla głodnych bachorów. Takiego ważniak przepędzi i jeszcze postraszy policją albo każe iść do opieki społecznej czy na plebanię.

Sprawdził, czy wasy są tam, gdzie je przykleił i poprawił wsuwki przytrzymujące perukę wystającą spod lnianego kapelusika, który kupił na ruskim ryneczku. Tak zielonogórzanie nazywają najtańszy bazar przy Zamkowej. Prawą rękę wetknął do kieszeni dżinsów, lewą podniósł, żeby popchnąć nią drzwi, gdy ważniak oderwie wzrok od telewizora i go zauważy. Czuł się dość pewnie.

- No, czego dusza potrzebuje? - zapytał ochroniarz przez domofon niemal natychmiast.

- Ja do pana redaktora Bojanewa - odpowiedział tak spokojnie, że aż sam się zdziwił.

Najpierw coś zapiszczało w zamku, potem zgasła czerwona dioda między znakami na tabliczce, a w jej miejsce zapaliła się zielona lampka. Dopiero wtedy niewidzialna dla ludzkiego oka dźwignia zaczęła otwierać przeszkłone drzwi. Poczul aromat kawy i jeszcze czegoś, co mogło być zapachem chleba ze smalcem albo zimnej pizzy.

- Jakiś dokumencik ze zdjęciem się ma? Najlepiej dowodzik osobisty. Prawko może być. Legitymacyjka emeryta i rencisty wykluczona. - Był na to przygotowany. - Piętro trzecie, pokój trzydzieści pięć - rzucił ochroniarz, oddając mu legitymację Fanów Gremplera, z której przepisał imię i nazwisko do książki wejść i wyjść.

Tylko żeby nie kazał się podpisać, struchlał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, jak się nazywa ten, którego legitymację pokazał. Starał się nie odzywać, żeby ochroniarz nie zapamiętał tonu jego nosowego głosu.

Nawet na mnie nie zerknął, ucieszył się zadowolony. I takiemu jeszcze płacą. Za co?

Powoli wspinał się po drewnianych schodach. Każdy kolejny stopień skrzypiał żałośnie. Najlepsze miejsce do wyrabiania mięśni nóg, ocenił. Dwadzieścia minut naprzemiennego wchodzenia na trzecie piętro i zbiegania po tych schodach zdziała więcej niż godzina treningu w siłowni. Z pierwszych stron starych numerów gazety zdobiących ściany klatki schodowej uśmiechali się do niego bohaterowie dawnych czasów, w większości politycy i artyści. Wśród nich wypatrzył Andrzeja Huszcę i młodzieńców w kaskach, których nazwisk już nie pamiętał. W tym mieście setkom młodych mężczyzn śniły się nie tylko nagie dziewczyny, lecz i sukcesy na torach żużlowych oraz wielkie pieniądze. Po każdym wygranym meczu na osiedlowych uliczkach i placykach brzmiało dziecięce brum-brum-bruumm. Ja też uważałem swój rowerek marki Bobo za wyścigową jawę, przyznał w duchu. Gdy Zbigniew Marcinkowski zdobył mistrzostwo Polski, był Marcinkowskim, a po zwycięstwie Macieja Jaworka zostawał Jaworkiem. Najdłużej uważał się za bożyszcze stadionów, jakim przez ćwierć wieku był Andrzej Huszcza. Przyglądając się teraz starym zdjęciom, ogarnęła go prawdziwa nostalgia:

czyż nie mogłem jeździć jak Andrzej albo jeszcze lepiej? Jak on być na ustach kibiców i dziennikarzy? Wygrywać plebiscyty? Odbierać nagrody i medale, a po zakończeniu kariery uczyć chłopców sztuki pokonywania rywali? I czy nie mogłem jak on uśmiechać się do czytelników z pierwszych stron gazet?

To, jak pracują dziennikarze, wiedział tylko z telewizji. Był przekonany, że również w redakcji „Gazety Zielonogórskiej” panuje harmider nie do zniesienia, że redaktorzy wrzeszczą do słuchawek, przeklinają i ganiają z komórkami przy uszach. Zaskoczyła go więc wszechogarniająca cisza. Jak wieczorem na cmentarzu, pomyślał i wyostrzył! myśli. Na pierwszym piętrze nikogo nie spotkał. Pusto było i na drugiej kondygnacji. Na trzeciej stał automat do kawy i kosz pełen tekturowych kubków. Stąd rozchodził się zapach po całym budynku. Może Bojanewa nie ma w pokoju? Może przychodzi dopiero po południu? Ochroniarz by nie wiedział? Ogarnęły go wątpliwości.

Po prawej miał drzwi z tabliczką „Kierownik działu sportowego”. Odchrząknął, przełknął ślinę i jeszcze raz sprawdził, czy peruka i wąsy są na swoim miejscu. Z lewej kieszeni dżinsów wyjął pudrowane rękawiczki z lateksu i szybko naciągnął je na dłonie. Już miał wejść, gdy w pokoju obok obudził się telefon. Ktoś odezwał się po angielsku. Zamarł, lecz po chwili namysłu delikatnie nacisnął klamkę. Mimo że drzwi były wielkie i ciężkie, nawet nie zaskrzypiały. Zarejestrował zapaloną lampę w narożniku, lecz zatrzymał wzrok na środku pokoju, gdzie tkwił okrągły stół, na którym leżały kubki po kawie, identyczne jak te w koszu, i porozrzucone gazety. Do stołu ktoś dosunął dwa krzesła z wyświechtanymi oparciami.

- Jeśli teraz nie zapiszę, to krótka pitka, bo mi myśl ucieknie. Proszę klapnąć i cierpliwie poczekać. To nie potrwa dłużej niż dwie, trzy minuty - usłyszał wyraźny głos. W kąciку tyłem do drzwi za biurkiem siedział mężczyzna w zielonym T-shircie ze złotym nadrukiem „Team Grempler”. Pochylając się nad laptopem, palcami wskazującymi obu rąk uderzał w klawiaturę, nie patrząc na ekran.

Gość twarz Bojanewa widział jedynie na zdjęciu w gazecie. Kilka razy

rozmawiał z nim przez telefon. Wydawało mu się, że Bojanew jest tęszy i dużo starszy od tego człowieka przy laptopie. Ma dłuższe włosy, a głos też jakby bardziej ochrypli. Ale ta „krótka piłka”... Zrobił cztery kroki w stronę mężczyzny w zielonym T-shircie.

- Ostatnie zda... - Dziennikarz nie dokończył, padając twarzą na blat biurka.

Nie był pewny, czy kręgi szyjne redaktora się złamały. Trzasnęły. Mimo to zadał jeszcze jeden cios wyżej, tym razem lewą ręką. Z prawej kieszeni dzinsów wyjął przezroczysty woreczek z żużlem. Podniósł głowę dziennikarza, szarpiąc za jego włosy, i odchylił ją tak, żeby otworzyły się usta.

- Zryyyj, Bojanew. Kurwać - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Żeby wszyscy wiedzieli, dlaczego musiałeś tak skończyć.

Na klawiaturze laptopa położył kopertę, w niej była złożona kartka z komputerowym wydrukiem „Zawsze uważałem, że sport młodzieżowy jest szansą naszego regionu”. Na dole dopisano czerwonym flamastrem „Trzeba było słuchać”.

Część I

Zielonagóra, ul. Przycmentarna, czwartek, przedpołudnie

Nigdy nie przegrałem, to i teraz musi wyjść na moje, pomyślał Neimann. A jeśli się nie uda?

Wyświetlacz komórki menedżera klubu motorowego Grempler rozjaśniło błękitne światełko. Motorola zaczęła podrygiwać na biurku. Sekundę później rozległa się melodyjka z dwudziestego trzeciego filmu o Jamesie Bondzie *Skyfall*, który Neimann uważał za jeszcze głupszy od poprzednich. Podobała mu się jedynie muzyka, dlatego poprosił syna, żeby ściągnął mu na komórkę piosenkę tytułową i ustawił ją jako sygnał wywoławczy. Kiedy usłyszał kontrakt Adele, spojrzął na wyświetlacz: rząddek cyfr zamiast imienia lub nazwiska. Nieznani rozmówcy z zasady nie interesowali Neimanna. Odsunął telefon, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to musi być ktoś, kogo nie powinien ignorować, bo przecież byle komu nie daje wizytówki z nowym numerem kontaktowym. Wyraźnie dłuższym paznokciem palca wskazującego dotknął zielonego przycisku i odezwał się nosowym tonem, starając się nadać głosowi nonszalanckie brzmienie:

- Taa.

- Zadanie wykonane, szefie.

-Jakie zadanie? Kto mówi?

- Ja. Co miałem... Więc jak? Mój Łukaszek będzie w pierwszym zespole?

Neimann poczuł gęsią skórę na plecach. Natychmiast przerwał rozmowę i wymazał ją z rejestru połączeń.

- Gdyby pan Grempler chciał ze mną rozmawiać, to powiedz, że normalnie musiałem pilnie wyjść do urzędu miejskiego! - zawołał do sekretarki, niczego nie wyjaśniając.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, południe

-Ja miałem być ofiarą, krótka piłka. Jezu! Jaa... Za to, że... O-je-je-jej!... Zamiast złopać piwsko w klubie, łązić do lasu na grzyby, w niedzielę walić na mszę albo byczyć się przed telewizorem... zasuwałem na mecze. Krótka piłka, po co mi to? Jak dali ci, Bojanew, dyplom magistra historii, to trzeba było uczyć dzieciaki o władcach i bitwach na Środkowym Nadodrze! Od sportu z daleka! Wara!

- Nie biczuj się, Bojan. - Redaktorka naczelna, która wyszła na korytarz ze swoją zastępczynią, próbowała go uspokoić. Było tam już co najmniej dziesięć osób rozmawiających o tym, co się stało. - Jeśli ktoś jest winny, to przede wszystkim ten skurwiel ochroniarz, bo pozwolił mordercy wejść do naszego budynku.

- Nie on, szefowo! Nie on! Ja, krótka piłka... Ja jestem winny... Ja... To ja ubłagałem Michała, żeby usiadł na moim miejscu. Przed południem nikt nie będzie odrywał cię od pisania, zapewniłem go. Może odezwać się telefon, co zdarza się rzadziej niż szóstka w totku. Każdy kibic wie, że we wszystkich redakcjach na całym świecie działają sportowe pracują po południu... do północy. Powiedziałem mu, że dzisiejsze kolegium zacznie się godzinę później, to i godzinę później się skończy, a ja spodziewam się decyzji Warszawy w sprawie wyjazdu na olimpiadę. Michał kręcił głową, bo notatki już rozłożył na swoim biurku. Dlaczego on się zgodził? Michał, dlaczego?!

- Też czuję się winna. Przecież gdybym wiedziała, nie przesunęłabym godziny rozpoczęcia kolegium. - Szpalta wyjęła z torebki paczkę zielonych marlborów i nie zważając na dopiero co powieszoną przy schodach tabliczkę z zakazem palenia tytoniu w całym budynku, wetknęła papierosa do ust. - Jaką masz pewność, Bojan, że ten, który tu się dostał, akurat na ciebie polował? Może celem był właśnie Michał? Gdzieś dowiedział się, nad czym on pracuje, a ten zbir miał za zadanie nie dopuścić do tego, żeby tekst ukazał się w sobotnio-niedzielnej

gazecie. Kto wyniósł informację z redakcji? To pytanie do wszystkich członków kolegium. Siebie zdecydowanie wykluczam.

Cisza.

Nowa zastępczyni naczelnej kątem oka zerknęła na kierownika działu sportowego, jakby jego przede wszystkim podejrzewała o zdradę. Zona Bojanewa była asystentką w biurze poselskim. Czy istnieje chociaż jedno małżeństwo, które w domu nie rozmawia o tym, co dzieje się w miejscach ich pracy? Skąd Michał wiedział o najeździe kontrolerów do firmy męża opozycyjnej posłanki, jeśli nie od Bojanewa, a ten najpewniej od swojej żony? W jaki sposób zdobył kopie protokołów, w których aż roi się od dowodów na oszukiwanie urzędu podatkowego? Gdyby artykuł ukazał się w sobotnio-niedzielnej gazecie, kryminał grozi nie tylko jej, ale i mężowi posłanki. Koniec jej kariery politycznej był przesądzony, a ona przyzwyczaiała się do powitań zaraz po biskupie, podawania ręki do całowania, życzeń i gratulacji, paczek przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą i wakacjami, pochwał, próśb, obietnic.

- W tym momencie spytam w ten sposób: czy ktoś może mi powiedzieć, z jakiego źródła korzystał Michał, tak? - odezwała się dotąd milcząca wicenaczelną, nie spuszczając oczu z Bojanewa. Dziennikarzy sportowych traktowała z szacunkiem, lekceważąc publicystów ekonomicznych i komentatorów politycznych, a sprawozdawców sądowych mając za nic. Twierdziła, że sztuka jest takie przedstawienie tego, co dzieło się na boisku, żeby czytelnicy dyskutowali o tekście jak o wypadku na drodze, którego byli świadkami. - Generalnie rzecz biorąc, jeśli się tego dowiemy, to policja szybciej trafi na ślad mordercy.

- Na pewno nie ode mnie, chociaż pewne informacje na ten temat nie były mi obce - odezwała się kierowniczką działu politycznego, przekonana, że gdy Szpalta zwolni gabinet naczelnej, ona go zajmie. Pracę w „Gazecie Zielonogórskiej” zaczęła mniej więcej razem z Danielem Jungiem, to znaczy wtedy Sateckiem. Bez większych sukcesów zaliczyła wszystkie szczeble redakcyjnego awansu. Ubierała się jak stażystka i zawsze odzywała się pouczająco, toteż mówiono o niej dzidzia-piernik.

- Od pani nie. Od szefowej nie. Ode mnie nie, tak. W tym momencie krąg podejrzanych zawęża się, można generalnie tak powiedzieć - analizowała wice.

- Kuzyn Michała, a mój kolega ze studiów jest naczelnikiem referatu w urzędzie kontroli skarbowej - pochwaliła się kierowniczką działu politycznego. - Kilka razy widziałam go w naszym klubie. Rozmawiał z Michałem.

Chwyciwszy się oburącz za uszy, Bojan Bojanew stanął w rozkroku i przywarł czołem do ściany, jakby miał zamiar walić w nią głową. Potem zacisnął dłonie i zawył z taką siłą, że wszyscy stojący na korytarzu się przerazili.

- Zaprowadź go do mojego gabinetu. Niech Magda da mu tabletkę na uspokojenie. Albo lepiej nalej mu szklanek koniaku. W takim stanie jeszcze zrobi sobie krzywdę - powiedziała Szpalta do swojej zastępczyni. - Poszukaj redaktora Junga. Niech... Czołówkę jutrzejszego wydania w całości poświęcimy tej sprawie.

- Generalnie rzecz biorąc, nie wydaje mi się, żeby ta sprawa zasługiwała akurat na takie miejsce. - Rozmówczyni próbowała wyrazić sprzeciw. - Bo kogo interesuje zabójstwo jakiegoś pismaka, tak?

- Ależ Michał nie był „jakimś pismakiem”. To nasz kolega - zaprotestowała Regina, którą kobieca część zespołu uważała za dziwaczkę próbującą matkować początkującym autorom. - Młody stażem i doświadczeniem, ale pióro już miał wyostrzone.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, wczesne popołudnie

Prokurator Ostrouchy zrobił to, co zawsze, gdy ginie człowiek. Dwaj fotografowie także. Szef techników policyjnych spakował do przezroczystych woreczków wszystko, co mogło mieć znaczenie w trakcie śledztwa, nawet kubki po kawie. A ponieważ staż po studiach odbywał w pracowni badań biologicznych, zaciekały go dwa syntetyczne włosy. Pianista, jak powiedział Daniel Jung, czyli specjalista

od daktyloskopii, zdjęć odciski palców z poręczy wzdłuż schodów, z klamek, klawiatury laptopa, ze stołu i starych gazet, chociaż nie spodziewał się, by ta droga miała doprowadzić komisarz Mrozińską wprost do mordercy. Jedyne, co powinno mieć znaczenie podczas śledztwa, czyli żużel, znajdowało się w jamie ustnej ofiary. Zresztą dopiero po sekcji zwłok patolog oficjalnie poda przyczynę śmierci. Doświadczenie podpowiadało technikowi, że dziennikarz zmarł nie z powodu uduszenia się żużlem, jak wstępnie orzekł medyk sądowy, lecz na skutek złamania podstawy czaszki lub zerwania rdzenia kręgowego.

Ważnym dowodem mógł być pozostawiony liścik, tyle że komisarz nie spodziewała się, żeby zostały na nim odciski linii papilarnych. Na zwyczajnej kartce białego papieru drukarką laserową wydrukowano słowa „Zawsze uważałem, że sport młodzieżowy jest szansą naszego regionu” i dopisano czerwonym flamastrem „Trzeba było słuchać”.

- Pewnie ostrzegął, ostrzegął, aż... Kto, kiedy i w jakiej formie ostrzegął redaktora? Szukaj wiatru w polu! - powiedział aspirant Araszkiwicz do szefa techników. Dawniej grafolog mógł wziąć pod lupę charakter pisma, kolor atramentu, rodzaj papieru. Dziś wszyscy piszą na komputerach. A to drugie zdanie, dodane koślawymi literami, jest za krótkie do analizy i napisane tak, że nawet profesor grafologii rozłoży ręce. - Pokazał na kartkę. - Mimo to spróbujcie ustalić markę drukarki, na której wydrukowano ten tekst.

- Możemy popробować, tylko po co... Przecież ludzie nie będą chodzili od sklepu do sklepu ze sprzętem elektronicznym i pytali, kto kupił drukarkę określonej marki - powiedział szef techników głosem doświadczonego policjanta. - Drukarki dwóch, trzech najpopularniejszych marek są w każdym domu i biurze. To żaden ślad.

- Trzeba popробować, żeby nam niczego nie zarzucili.

- No co ty! Będziemy chodzić po domach i pytać w sklepach?! Oprócz stacjonarnych są wysyłkowe punkty sprzedaży. W Polsce i na całym świecie. Tadeusz, zanosi się na szukanie igły w stogu siana! Naprawdę szkoda czasu.

- Może zapach?

- Woń proszku do toneru jest tak mocna, że zabija wszystkie inne zapachy.

- Mamy dwa syntetyczne włosy, dokładnie takie, jakie występują w tanich perukach. Prawdopodobnie do nikogo nas nie doprowadzą, ale trzeba je obejrzeć.

- Trzeba - potwierdzi! Araszkiwicz.

Na razie grupa komisarz Mrozińskiej poruszała się po omacku. Gdyby udało jej się poznać powód, jakim kierował się morderca, prowadzenie śledztwa byłoby łatwiejsze i sprawniejsze. Najtrudniej jest rozwiązać zagadkę kryminalną, gdy nie udaje się wpaść na motyw lub, o co podejrzewała komisarz, zabójcę Michała Kostrzyńskiego, gdy zbrodni dopuścił się psychopata.

Tak było na przykład wczesną jesienią zeszłego roku, gdy grzybiarz spod Gliwic na leśnej ścieżce koło Gubina znalazł ciało dziewczyny uduszonej biustonozem. Jak udało się ustalić, została zgwałcona. Cóż z tego, że laboranci przebadali nasienie, technicy wzięli odciski butów i kół samochodu, a nawet wygrzebali z liści ustnik papierosa, skoro nie udało się wskazać mordercy. Przy denatce nie znaleziono dowodu osobistego ani paszportu, a wszystko, co miała na sobie, wyprodukowano w Chinach albo w Bangladeszu. Prawdopodobnie była ukraińską cichodajką widywaną przez policjantów z drogówki na parkingu przy Szosie Wrocławskiej. Ponieważ na razie nie udało się czegokolwiek w tej sprawie potwierdzić, prokurator zezwolił na przerwanie śledztwa.

Jednego Ilona Mrozińska była pewna: teraz gdy laboratoria policji niewiele różnią się od pracowni instytutów naukowych, nie ma zbrodni doskonałej i nie istnieje żelazne alibi. Dlatego też nigdy nie pisała wniosku o umorzenie śledztwa. Najwyżej odkładała akta na półkę. Była przekonana, że za pół roku czy za dwa lata, a nawet później każda zagadka kryminalna zostanie rozwiązana. W myślach dodawała: pod warunkiem że politycy partii rządzącej będą trzymali się od niej z daleka.

- W czym specjalizował się Michał Kostrzyński? - spytała redaktorę

naczelną, usiłując sobie przypomnieć chociaż jeden artykuł podpisany jego imieniem i nazwiskiem. W redakcji nie przyznała się, że czyta wyłącznie to, co napisał Daniel Jung. Czasem jej wzrok zatrzymują notki o wypadkach drogowych z dala od Zielonejgóry, w których były ofiary śmiertelne. Interesują ją również często zmieniające się przepisy wytyczne dotyczące spraw społecznych. Dawniej lubiła sprawdzić, czy przepisy kulinarne drukowane w gazecie naprawdę są łatwe i czy nie będzie się wstydziła tego, co poda na stół. Doszła do wniosku, że pieczenia takich jabłeczników, jakimi częstowała swoich gości imienninowych, mogliby uczyć się od niej cukiernicy. Gdyby Ilona nie poszła na studia psychologiczne, a dalej na prośbę swego ojca adwokata na prawo i za namową pierwszego narzeczonego nie skończyłaby szkoły policyjnej, pewnie byłaby właścicielką wytwornej restauracji i hotelu w centrum miasta. Nic straconego, pomyślała. Jesienią, gdy minie piętnaście lat pracy w policji, nabędzie prawa do wcześniejszej emerytury, zrzuci granatowy mundur i będzie robiła to, co naprawdę lubi. Do tego czasu Syskiemu skończy się zwolnienie lekarskie, wróci do wydziału i znowu będzie gwiazdą w zielonogórskiej policji kryminalnej. Formalnie jest to wydział kryminalny, w rzeczywistości przydzieleni do niego policjanci szukają morderców, czyli powinien nazywać się wydziałem do spraw zabójstw albo krócej: wydziałem zabójstw. Ale to nie jej zmartwienie. Gdy zostanie emerytką, otworzy bufet z prostymi i tanimi przekąskami na wynos, może nawet w pobliżu komendy, i tak go rozkręci, że właściciele Resto Illuminati, Edo Sushi, Phuong Dong czy Corner Burger zaczną ją naśladować. Ale wtedy ona już będzie na drodze do własnej restauracji z polską kuchnią. Jeszcze nie zdecydowała, czy nazwie ją Gospodą u Ilony czy Karczmą Zielonogórską. Gdy zdradziła swój plan Syskiemu, ten powiedział, że powinna to być Gospoda pod Pałkami. Kobieta rozmyślała o tym, że kiedyś zbierze wszystkie swoje przepisy i odważy się napisać książkę kucharską, do czego tyle razy namawiał ją Daniel Jung, obiecując swoją pomoc przy korekcie tekstu, żeby nikt nie przyczepił się do jej polszczyzny.

- W czym specjalizował się Michał Kostrzyński? - spytała redaktorke

naczelną, usiłując sobie przypomnieć chociaż jeden artykuł podpisany jego imieniem i nazwiskiem.

- Pani nadkomisarz...

- Już nie jestem nadkomisarzem - przerwała Szpalcie. - W marcu zostałam spuszczonej o szarżę niżej za... Mniejsza z tym. Dopóki władzę polityczną w województwie będą mieli ci, którzy ją mają, wyżej nie podskoczę. Mogę być nawet posterunkową, byle mi pozwalali wykonywać obowiązki i płacili jak nadkomisarzowi.

- A nie płacą?

Mrozińska nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła, a potem dała znak oczami, że czeka na odpowiedź w sprawie zainteresowań Michała Kostrzyńskiego.

- Jako magistra ekonomii z dyplomem frankfurckiej Viadriny, zajmowały go przede wszystkim sprawy gospodarcze. Był dociekliwym i, co się coraz rzadziej zdarza w tym zawodzie, wręcz pedantycznym dziennikarzem. Czasem aż zbyt drobiazgowym, więc niektóre jego artykuły mogły interesować niewielką grupę specjalistów. Jesteśmy dziennikiem regionalnym, kierującym teksty do szerokiego gremium, do odbiorcy po gimnazjum i zawodowce oraz do magistra i profesora uniwersyteckiego.

- Czy również interesował się sportem?

- Większość dziennikarzy ma auta, starsi lepszych matek, młodszy nieco przechodzone, ale Michał przyjeżdżał rowerem do redakcji. Koledzy stroili sobie z niego żarty, ho zakładał kask, na łokciach i kolanach miał ochraniacze, nogawki dżinsów spinał klamerkami do zawieszania prania. Rower zawsze stawiał przy płocie na redakcyjnym parkingu i zakładał jakieś zabezpieczenia przed złodziejami, a mimo to niedawno ktoś przeciął kłódkę.

- Miałam na myśli zainteresowania kibicowskie. O ile wiem, to pani nadzoruje dział sportowy w redakcji. - Mrozińska zwróciła się do zastępczyni naczelnej. - Przypuszczam, że redaktora Bojanewa nie interesuje każda jedna dyscyplina, ale jako kierownik działu musi trzymać rękę na pulsie wszystkich wydarzeń sportowych, przede

wszystkim tych odbywających się w naszym regionie.

- Dokładnie tak - zapewniła ją zastępczyni, z wykształcenia wuefistka, która wiele lat temu zaczynała pracę w redakcyjnym biurze ogłoszeń. Dziennikarze podejrzewali, że znała jakiś sekret poprzedniego redaktora naczelnego, który pomógł jej napisać rozprawę doktorską na temat początków sportu żużlowego w ZielonejGórze. Może nawet zrobił to za nią. Jego brat zajmował gabinet kierownika uniwersyteckiej katedry historii kultury fizycznej, dlatego zgodził się być promotorem rozprawy podpisanej przez Monikę Chudą. Dokładny termin obrony pracy był na stronie internetowej uczelni, ale temat rozprawy nikogo nie zainteresował, dlatego oprócz niej, promotora i recenzentów do salki nikt nie przyszedł i nie zadawano pytań. Po uzyskaniu stopnia naukowego doktor Chuda przeniosła się na uczelnię i nawet kandydowała na posłankę z komitetu wyborczego Porozumienia Demokratycznych Obywateli. Gdy się okazało, że minął czas wyznaczony na przystąpienie do kolokwium habilitacyjnego, a ona nie miała nawet części rozprawy, wróciła do redakcji. - Generalnie rzecz biorąc, morderca zaatakował kolegę Michała od tyłu, tak. W tym momencie wyspał mu do ust żużel, co może sugerować, prawda... no... trudna sprawa... Można powiedzieć, że chciałaby pani komisarz wiedzieć, tak, czy Kostrzyński chodził na mecze na przykład ekstraklasy żużlowej. A jeśli chodził, to czy relacjonował w naszej gazecie to, co działo się na stadionie, tak. A jeśli coś relacjonował, czy był miarodajny w przekazywaniu informacji. Czy pisał stroniczne komentarze? Może to, co pisał, było w jakiś sposób tendencyjne? Od kogoś zależne, tak? Generalnie rzecz biorąc, odpowiedź na każde pytanie jest taka sama: zdecydowanie nie, droga pani komisarz. Proszę panią, Kostrzyński nie tylko nie znał się na sporcie, tak, ale i w przeciwieństwie do wielu naszych dziennikarzy, można powiedzieć, nawet nie próbował udawać mądralińskiego.

- Tym gorzej - wyrwało się Mrozińskiej. - To znaczy tym trudniej będzie ustalić motywy, jakimi kierował się morderca. A czy redaktor kogoś się bał?

- W jakim sensie? - spytała Szpalta.

- Czy mówił, że ktoś mu grozi? Może odbierał niepokojące telefony? Dostawał maile albo tradycyjne listy z ostrzeżeniami? Czy przychodzili do niego jacyś obcy? Podejrzani? Może coś w jego zachowaniu zwróciło państwa uwagę?

Nikt się nie odezwał.

- Drodzy państwo, naprawdę nikt... nigdy... niczego...? - Ciszę przerwała Szpalta, ale i na jej pytania żaden kolega z pokoju Michała nie odpowiedział. - Słyszała pani.

- Wygląda mi to na jeszcze jedną sprawę odłożoną *ad acta*. Sądzę, że nie na długo. Przycisnę ten temat, bo ani jutro, ani za miesiąc nie odchodzę na emeryturę. Będziemy się spotykali.

- W pani wieku na emeryturę? - spytała zdumiona Szpalta. - A kto będzie tyrał na świadczeniobiorców?

Komisarz się uśmiechnęła. Ostatnio w prasie pokazywało się mniej wypowiedzi dotyczących wieku emerytalnego służb mundurowych, dlatego nie chciała wywoływać dyskusji. Zgadzała się z tymi, którzy uważali pracę w policji za niebezpieczną, ale przecież zawodów szkodliwych dla zdrowia jest dużo więcej, choćby elektromonter, dekarz, drwal, czyściciel szyb w wieżowcach. Przedstawiciele ich związków domagają się specjalnych przywilejów, ale zdają sobie sprawę z tego, że niczego nie wywalczą.

-Jeszcze jedno pytanie. Czy ktoś spośród państwa nosi perukę? - spytała komisarz, omiatając wzrokiem głowy dziennikarzy.

- Mam coś takiego w domu - przyznała się kierowniczka działu politycznego. - Ostatnio nakładałam ją chyba ze dwa lata temu. Byliśmy z mężem na balu maskowym lekarzy.

- Powinnam to pytanie skonkretyzować. Chodzi o mężczyzn. Ściślej mówiąc, chodzi o blondynów. Nie będę ukrywała, że nasz technik znalazł sztuczne włosy, które mogły spaść właśnie z peruki.

- Nie pamiętam, żeby którykolwiek kolega nosił coś takiego na głowie. Wyraźnie przeredzonych jest kilku... - Szpalta najpierw spojrzała na sekretarza redakcji, potem na Bojanewa - ale żaden nie udaje, że ma

czuprynę. I przede wszystkim wśród nas nie ma blondynów.

- Za to jest jeden rudy - wyrwało się zastępczyni naczelnej.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, popołudnie

Ochroniarz lewą ręką zgasił westa w kubku, z którego zrobił sobie popielniczkę i zaraz prawą sięgnął po następnego papierosa. Nie wierzył, żeby po tym, co się stało na trzecim piętrze, szef firmy Kunicki Ochrona przedłużył z nim umowę na kolejny kwartał. Będzie musiał poszukać sobie nowego pracodawcy. Tylko czy ktoś przyjmie pechowego faceta? I czy jest drugie takie miejsce, gdzie były gliniarz na wcześniejszej emeryturze może siedzieć sobie w ciepélku, pić kawusię, gapić się na ekran telewizora, a zwłaszcza czuć się co najmniej jak naczelnik sztabu policji w komendzie miejskiej? Zechce to wciśnie guzik na pulpicie, wpuści czytelnika do budynku redakcji i dla zgrywy go wypowiedza z tego, do kogo, w jakim celu przyszedł, gdzie mieszka czy pracuje, co ma w torbie. Każę wszystko wyjąć z kieszeni. Nie spodobała mu się facjata albo delikwent był namolny czy przyszedł bez wyraźnego powodu, nie nadusił guzika automatycznie odmykającego drzwi. Awanturował się ktoś albo chciał rozmawiać tylko z redaktorką naczelną, to pogroził mu pałką, którą wziął z magazynu komendy na pamiątkę, gdy zęgnął się z policją. Jeśli i to było bezskuteczne, odchrząkiwat, nabierał powietrza do płuc i z sykiem je wypuszczał, powoli podnosił się z fotela, poprawiał krawat, zakładał beret tak, aby przykrywał prawe ucho, i wychodził z pałką w prawej ręce, palcami lewej pukając w blat kontuaru. Jeszcze nie znalazł się nikt tak odważny, żeby wtedy stawiać się do niego lub straszyć policją. A czy kobieciny szukające pomocy nie brały go za redaktora, nie pytały, komu poskarżyć na burmistrza czy wójta albo do kogo napisać podanie o dodatek kombatancki do renty po mężu i ile to może kosztować, bo skoro siedzi w recepcji najważniejszej gazety w regionie, to musi dużo wiedzieć? Były takie, co to podsuwały mu ptasie mleczko, śliwki w czekoladzie, pomarańcze, banany, jedna przyniosła

pół łubianki jajek. Gdyby powiedział, że w pierwszej połowie miesiąca wyczerpał się limit darmowych porad redakcyjnej prawniczki, dlatego od dziś najtańsza, czyli pięciominutowa konsultacja kosztuje jedno euro bez podatku, to ludziska by płacili.

- Pracownik ochrony Marian Janiak - bardziej stwierdziła niż spytała komisarz Mrozińska, starając się wypaść służbowo i konkretnie. Stała przed dyżurką ochrony i przybrawszy oficjalną minę, mierzyła wzrokiem rozmówcę.

- Jak to ma być przesłuchanie, to ja chcę z adwokatem. A propos takie jest prawo, co nie?

- Jeśli pana stać na adwokata, to proszę bardzo - powiedziała z powagą, chociaż miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Naoglądała się amerykańskich filmów i myśli, że u nas jest tak samo jak za oceanem. - Na razie mam zamiar z panem porozmawiać.

- Aaa... To co innego.

- Niech pan opowie, jak on wyglądał.

- Znaczący... kto?

- Zabójca. Ten, który zamordował redaktora.

- A bo ja... No po prostu co rusz ktoś przychodzi do redakcji, że, kurka wodna, trudno tak...

- Przecież pan ma doświadczenie policyjne. - O tym komisarz dowiedziała się od redaktorki naczelnej, gdy wypytywała ją o system ochrony budynku.

- W prewencji się służyło - odpowiedział Janiak dość szybko i pomyślał, że może nie będzie tak źle, jak to sobie wyobrażał. Jeszcze nigdy policjant nie dał zginąć policjantowi. Byłemu policjantowi. - Teraz jest inaczej. Dawniej było tak, że po piętnastu latach służby można było pozostać w oddziale albo przejść na zasłużoną emeryturę. Gówniane pieniądze, tyle że za nic. I jaki spokój.

- Wybrał pan to drugie rozwiązanie. Służba w prewencji nie odpowiadała panu? Była zbyt ciężka czy za mało płacili i często posyłali w teren? Może kiepsko karmili? Za dużo wymagali? Trzeba było biegać, skakać i strzelać? Sprawdziany panu dokuczały? Za dużo musztry? -

pytała, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że szydzi z ochroniarza. Mrozińska nie ceniła tych z prewencji, a krawężnikami i patrolowcami ze świadectwem dawnej szkółki Gwardii na Strzeleckiej wręcz gardziła. Ale przecież i ona, gdy tylko kadrowiec potwierdzi, że nabyła prawo do emerytury policyjnej, odejdzie z komendy. Tych pieniędzy, które na początku każdego miesiąca będą wpływały na jej konto w banku, ledwie wystarczy na kosmetyczkę, fryzjerkę i krem.

Janiak już miał odparować, że są gorsze zawody, na przykład za żadne pieniądze nie chciałby być grabarzem czy przez osiem godzin stać przy taśmie w sortowni śmieci, gdy komisarz zadała kolejne pytanie, jakby poprzednie były nieistotne.

- A w ogóle jak to było, że dostał się pan do policji? Ma pan niepełne średnie wykształcenie. Z takimi kwalifikacjami przyjęli pana do prewencji, gdzie wymagana jest, owszem, sprawność, lecz i wiedza ogólna? - spytała. Zanim zaczęła tę rozmowę, kazała aspirantowi Araszkiwiczowi dowiedzieć się wszystkiego o ochroniarzu.

Janiak nie przyznał się, że w dziale kadr komendy wojewódzkiej pracowała ciotka jego ówczesnej narzeczonej. Ona doradziła, żeby w rubryce wykształcenie nie wpisywał przykładowej szkoły zawodowej, tylko średnie niepełne w trakcie uzupełniania. Nie skłamał, bo przecież zawodówka to więcej niż podstawówka. Kadrowa zastrzegła, że natychmiast musi się zapisać na kurs dokształcający w zakresie szkoły średniej. Dodała, że kuzyn jej męża prowadzi liceum na Dworcowej, i zapewniła go, że za pół roku będzie miał ten papierek. Niedługo po tym ciotka narzeczonej zwolniła się z policji, a ponieważ Janiak nigdy nie podpadł, to i nikt nie zaglądał do teczek z jego dokumentami.

- Jak nastąpiła ta nowa, demokratyczna Polska, można tak powiedzieć, miałem robotę w budowlance jako kierowca gruszki do cementu. Firma była państwowa, to jak wszystko co państwowe za Balcerowicza zdechło po prostu. Narzeczona rządziła w sklepie warzywnym, miała mi coś załatwić u kumpeli po sąsiedzku, ale nie wyszło, kurka wodna. Zapiszę się na kuroniówkę, myślałem sobie, i dopóki robota za porządną forszę nie trafi się, co nie, z głodu nie kipnę. Poszłem do urzędu pracy, żeby

wszystko było po demokratycznemu. Patrząc, kumpel z woja. Chcesz, załatwię ci robotę w policji. Przez miesiąc szkółka na Strzeleckiej, płatna, potem służba w prewencji, od czasu do czasu jakaś akcja. Zwykle zabezpieczanie meczu. Jak będzie jaka manifestacja w Warszawie, wsadzą cię do wozu i zawiozą na miejsce. Jeść dadzą. Piętnaście lat to nie wyrok. Swoje odbębnisz, a potem laba. Miesiąc w miesiąc listonosz będzie ci przynosił emeryturkę. Zechcesz, pomożesz babie w sklepie. Nie zechcesz, będziesz se leżał pod gruszą do góry maćkiem albo jeździł na rybki i grzybki. Nie dla mnie taka Kanada. Jak państwo człowieka czegoś nauczyło, pani komisarz, trzeba to odpracować. Jest tak czy nie, kurka wodna?

Zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, Ilona Mrozińska spytała:

- Zapamiętał pan, jak ten gość wyglądał?

- Ten, co...? - Policjantka kiwnęła głową. - Trudno, kurka wodna, tak od razu. Co rusz ktoś wchodzi, a ty każdego słuchaj, każdemu doradz, sprawdź, czy redaktor akurat jest w swoim pokoju, a jak go nie ma, szukaj po całym budynku, dzwoń na komórkę. Czasem tyle ludzi przychodzi, że po prostu nie ma kiedy wyjść za swoją potrzebą. Żeby chociaż płacili, a to tyle, co kot...

- Pytałam o konkretną osobę.

Jak on wyglądał? Panie Boże, dopomóż. Przecież nie przyznam się, że nie patrzyłem na niego, bo akurat leciał serial w telewizji, pomyślał Janiak.

- No, konus nie był, co to to nie. Łapy miał... po prostu, każda o taka.

- Złączone dłonie położył na stole. - Ze sto kilo żywej wagi. I do tego wysoki jak... jak...

- Jak był ubrany?

- Jak? Normalnie. Koszulka bez kołnierzyka, krótkie rękawki. Spodnie jakieś takie jakby zielone, nie, bardziej jasne, bo lato.

- Tatuż na przedramieniu? Na dłoni? Na szyi? Może jakaś kropka czy mgiełka w okolicy oka?

-Nie.

- Broda, wąsy, bo ja wiem, zajęcza wargą? Brodawka na nosie?

Pieprzyk pod okiem? Zez? Okulary? Łysy? Utykał? Jako pracownik ochrony pewnie zwraca pan uwagę na wygląd ludzi wchodzących do budynku. Z samego sposobu poruszania się można się domyślić, czy są to osoby impulsywne. A jako były policjant przewidywanie powinien pan mieć we krwi.

- Tak jest, pani komisarz. Za moich czasów służba w prewencji to nie to co dziś. Chlapa, piżdzi, jeny, że kurka wodna... *A propos*, tego po prostu do śmierci człowiek nie zapomni. - Nie będzie tak źle, ucieszył się Janiak w duchu. - Tamtego sprawcę, znaczy się podejrzanego, nie potrafię zaliczyć do konkretnej grupy. Jak się odezwał, to jakby był po prostu porąbany dosłownie. - Przyszło mu do głowy, więc natychmiast zaczął dalej fantazjować. Nawet zdziwił się, że na zawołanie potrafił wymyślić takie określenie.

- Jąkał się albo seplenił? Miał głos nosowy? Był zagubiony? Agresywny? Od razu powiedział, z kim chce rozmawiać?

- Z Bojanem.

- Z redaktorem Bojanewem?

- Też mnie to zastanowiło, kurka wodna, bo w południe u sportowców zawsze jak na pustyni. Oni przychodzą pod wieczór. Każdy prawdziwy kibic o tym wie.

- Zaraz, zaraz. Chciał rozmawiać z redaktorem Bojanewem, a nie z redaktorem Kostrzyńskim?

- Pytał o Bojana.

Komisarz wstała, podeszła do okna i długo wpatrywała się w tunel ocienionej lipami alei Niepodległości, jakby tam miała znaleźć wyjaśnienie sprawy. Była przekonana, że mordercy chodziło o Michała Kostrzyńskiego, a nie o kierownika działu sportowego.

- Może pan go po prostu spytał, o czym chce rozmawiać z redaktorem Bojanewem?

- Każdego pytam. - Ochroniarz zmrużył oczy. Boże, pomóż. O co mogłem go spytać? Powiem, że interesował się siatkówką, ona nie uwierzy. Już lepiej piłką nożną. Na wszystkich osiedlach chłopcy grają w nogę. Przypomniał sobie list czytelnika na temat przebudowy stadionu

żuźlowego w Gorzowie, gdzie za rok mają się odbyć drużynowe mistrzostwa świata. - Chciał porozmawiać z Bojanem o tym, żeby ten napisał o naszym stadionie. Po prostu. Za mały jak na ekstraklasę. Tyle kibiców przyjeżdża, że stadion na Szosie Wrocławskiej powinien być dwa razy większy. Najlepiej taki, jaki jest w Toruniu.

W kolorowym tygodniku o szybkim gotowaniu Mrozińska przeczytała o badaniach ludzkiej pamięci przeprowadzonych przez uczonych z Uniwersytetu McMaster w kanadyjskim Hamilton. Podobno mężczyźni trudniej zapamiętują twarze niż kobiety w tym samym wieku.

U mężczyzn pierwszy *scanning* obejmuje oczy, nos i usta, gdy obszar obserwacji kobiecej rozciąga się od brwi, przez kości policzkowe do brody. Co ciekawe, kobiety dłużej wpatrują się w nowe twarze, ale w przeciwieństwie do mężczyzn nie zwracają uwagi na włosy.

- Czy wpuszcza pan każdą osobę do budynku i każdą pyta o cel odwiedzin?

- Tak jest w regulaminie.

- I co dalej?

- *A propos* żądam okazania dowodziku osobistego albo innego dokumenciku tożsamości ze zdjęciem. Do książki wejść i wyjść obowiązkowo wpisuję imię i nazwisko, a jak jest adres domowy, to i adres, potem nazwisko dziennikarza, o którego pyta gość, i godzinę wejścia.

- W dowodzie osobistym zawsze jest adres zamieszkania.

- No, można tak powiedzieć.

- Z jakiego dokumentu spisał pan dane tej konkretnej osoby?

Janiak chciał odpowiedzieć, że z legitymacji, ale się powstrzymał. A jeśli komisarz zapyta, przez kogo wydanej albo jakiego koloru była okładka? Gorączkowo analizował scenariusz dalszej rozmowy.

- Po prostu, z dowodziku - powiedział i żeby nie wyglądało to na kłamstwo, dodał: - Z plastikowego. To znaczy nowego wzoru, bo kiedyś były dowodziki książeczkowe, a jeszcze wcześniej w twardych okładkach.

- Czy sprawdził pan, kto wydał ten dowód? Chodzi mi o to, czy

wydawcą jest prezydent, burmistrz czy wójt i jakiej gminy czy miasta.

- W książce wejść i wyjść nie ma takiej rubryki. Imię i nazwisko. Jak jest adres, to jeszcze adres - powtórzył to, co powiedział wcześniej. - Od kiedy wymyślili ustawę o ochronie danych osobowych, mogą robić jedynie to, i tylko to, zaznaczam, pani komisarz, na co zezwalają przepisy.

- Ciekawość byłego policjanta...

- Mnie płacą za robotę, a nie za ciekawość, można powiedzieć, kurka wodna. - Ochroniarz się postawił.

- Nie wierzę, mój były kolego ze służby, by spisał pan dane tej osoby z dowodu osobistego.

-Jak Bożę szczerze kocham! Żeby...

Komisarz zaczęła tracić cierpliwość.

-I może pochwalił się, że idzie zamordować redaktora Bojanewa?

- Co to, to nie.

- A czy pan, gdyby był na jego miejscu, podałyby swój dowód osobisty? I jeszcze powiedział: proszę dokładnie spisać moje dane osobowe, żeby policja miała mniej roboty, gdy zacznie szukać mordercy?

- O, kobito. Jak Bożę szczerze kocham. Uwierz mi. - Janiak uderzył pięścią w piersi aż zadudniło.

Komisarz zrobiła kilka kroków w jego stronę. Splótłszy dłonie na szyi, oparła się o ścianę, westchnęła i powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

-Janiak, wali pan ściemę.

Ochroniarza mało szlag nie trafił, ale przypomniał sobie, że kto kręci lub nie odpowiada na pytania ludzi z wydziału kryminalnego, źle na tym wychodzi. Pracujące tam kobiety były ładne i, przed czym ostrzegali kolejni dowódcy oddziału prewencji, wyjątkowo przebiegłe. Wszystkie jak nie po prawie, to po psychologii albo pedagogice i często po kursach specjalistycznych. W przeciwieństwie do tych z drogówki nie dawały się oszukać, a sprawę tak długo i drobiazgowo wyjaśniały, aż miały to, o co im chodziło. Janiak już się pogodził z faktem, że nigdy więcej nie usiądzie za kontuarem w budynku redakcji, gdy nagłe sobie przypomniał:

- O, to może być ważne, pani komisarz. Podejrzany, czyli morderca,

nie zdjął rękawic, gdy podawał legitymacyjkę.

- Mówił pan o dowodzie osobistym. Zresztą nie liczyłam na odciski palców, ale dziękuję za to spostrzeżenie. A co panu nos podpowiada? Czy to był mieszkaniec Zielonejgóry, czy przyjezdny?

- Miejscowy. Na mur-beton. Przyjezdnych to ja normalnie z daleka rozpoznaję, po prostu. O, już pamiętam.

- Co takiego?

- Na głowie miał czapkę z dużym daszkiem. Taką samą, jakie teraz noszą policjanci, bo za moich czasów były połówki, znaczy rogatywki.

- Dżokejkę?

- Bejsbolówkę.

- Jakiego koloru?

- Eee... no zieloną. Nie, bardziej granatową, można *a propos* powiedzieć.

- Były na niej jakieś napisy, znaczki?

- Coś było. Zdaje się flaga.

- Biało-czerwona?

- Nie. Bardziej czerwona.

- Pan, Janiak, kłamie.

- Ja? - Walnął kułakiem w piersi.

- Tylko na razie nie wiem, w którym momencie.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, późne popołudnie

Podkomisarz Karolinie de Murville chciało się pić, jeść, a przede wszystkim sikać. Wiedziała, że dopóki ostatni dziennikarz nie podpisze protokołu przesłuchania świadka, nie może wyjść z salki zebrania kolegiantów oddanej do jej dyspozycji. W wydziale kryminalnym pracowała od niedawna, więc nie miała kiedy zdobyć doświadczenia w rozmawianiu ze świadkami, dlatego nie wykraczała poza pytania z szablonowego formularza: nazwisko i imię/ imiona świadka, imiona rodziców, data i miejsce urodzenia, numer dowodu osobistego, zawód

wyuczony, zawód wykonywany, miejsce zamieszkania, adres do korespondencji, miejsce pracy i zajmowane stanowisko, stosunek do ofiary i kilka zdań świadka w przedmiotowej sprawie. Kierownicy działów odpowiadali, że ten dzień niczym nie różnił się od poprzednich czwartków, ponieważ od lat o dziesiątej w połowie tygodnia Magda - bardziej asystentka redaktorki naczelnej niż sekretarka - na polecenie szefowej zwołuje kolegium. Szeregowi dziennikarze zbierali materiał do tekstów, które ukazą się jutro, pojutrze, w poniedziałek albo nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Gdy najpierw regionalne radio publiczne, a kilka minut po nim stacje komercyjne przerwały nadawanie programu i poinformowały o morderstwie w redakcji „Gazety Zielonogórskiej”, większość reporterów natychmiast wróciło na aleję Niepodległości i próbowało dostać się do budynku redakcji, lecz stojący w drzwiach starszy posterunkowy kazał im cierpliwie czekać. Długo? Tego nikt nie powiedział policjantowi. Utykająca na lewą nogę reporterka z działu miejskiego nawet go postraszyła złożeniem skargi w prokuraturze, bo uniemożliwiono jej wejście na teren zakładu pracy, gdzie zostawiła jakiś medykament, który na co dzień przechowuje w szufladzie redakcyjnego biurka.

- Pani będzie uprzejma powtórzyć prośbę prokuratorowi - poradził starszy posterunkowy. - Niedługo zakończy swoje czynności i z pewnością opuści budynek.

- W tej chwili muszę wziąć lek.

- Jeśli redaktorka zasłabnie, pan będzie odpowiadał! - Stażysta Kamil stanął po jej stronie. Był niezmiernie ciekawy, co się dzieje w środku. - Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Nic na to nie poradzę. - Policjant bezradnie rozłożył ręce. - Wykonuję polecenie przełożonych.

Słońce było jeszcze dość wysoko na niebie, choć już skryło się za dębami ocieniającymi plac Bohaterów, gdy technicy kryminalni w przepoconych koszulkach wyszli na schody, a za nimi lekarz i pracownicy zakładu medycyny sądowej wynoszący denata do samochodu oznaczonego plakietką uniwersyteckiej katedry

patomorfologu. Dopiero wtedy prokurator pozwolił dziennikarzom wejść do budynku. Kilka minut później podkomisarz Karolina de Murville rozpoczęła przesłuchiwanie pracowników redakcji, a ponieważ wiedzieli jeszcze mniej niż ona, traktowała ich niemal pobłażliwie. Na wszelki wypadek zapisywała numery komórek telefonów i adresy elektroniczne, chociaż takiej rubryki nie było w szablonowym formularzu. Jedyną osobą, która powinna zajrzeć do protokołów, jest prokurator nadzorujący śledztwo. Prawdę mówiąc jeszcze się nie zdarzyło, żeby prokurator przeczytał to, co podkomisarz de Murville zapisała. Pełniącej obowiązki naczelniczki wydziału, czyli komisarz Ilonie Mrozińskiej wystarczała informacja, że żaden dziennikarz nie widział obcego kręcącego się po budynku redakcji i niczego nie słyszał. Krótko mówiąc, trzygodzinne przesłuchania kierowników działów, szeregowych reporterów, publicystów, stażystów i praktykantów oraz asystentki redaktorki naczelnej nic nie dało, ale trzeba było je przeprowadzić, żeby żaden brzuchaty skurwiol z wydziału kontroli nie zarzucił komisarz Mrozińskiej braku profesjonalnego podejścia do śledztwa. Jakiś teoretyk w komendzie głównej spisał procedury, wedle których policjant musi postępować i one są teraz ważniejsze od rozumu osoby prowadzącej śledztwo.

- Właśnie za to nam płacą - lubił powtarzać komisarz Syski, z czym niemal wszyscy w wydziale kryminalnym zgadzali się i z czego sobie kpili.

Zielonagóra, ul. Wąska, czwartek, późne popołudnie

- Nas interesuje jedno... Jak się nazywa ten, który zamordował Michała Kostrzyńskiego - powiedziała komisarz Mrozińska do aspiranta Araszkiwicza, gdy wrócili do komendy. - Ale tego nie dowiemy się, póki nie znajdziemy odpowiedzi na inne pytanie.

- Inne? Jakie?

- Dlaczego ten ktoś go zamordował, prawda?

- Czyli mamy dwa pytania.
 - Właściwie cztery, bo w tym drugim są kolejne. Zamordował go z premedytacją czy przypadkowo?
 - I czy nie było to zabójstwo na zlecenie?
 - W takim razie...
 - W takim razie musimy coś wymyślić.
 - Więc co ci przyszło do głowy?
 - Gdyby Syski był na twoim miejscu, to zebrałby ludzi i kazał sformułować tyle hipotez, ile się tylko da, a potem kolejno je sprawdzać i odrzucać. W końcu któraś okaże się tą jedyną.
 - Słusznie, Tadeusz - wycedziła przez zęby komisarz. Nie lubiła, gdy ktokolwiek przypominał, jak pracował jej poprzednik. - Jako kobieta, jako starsza stopniem i stażem, a przede wszystkim jako przełożona, polecam ci sformułowanie tych hipotez. Daję ci na to pełną godzinę.
 - Ktoś powinien nam pomóc.
 - Tu, w komendzie, my jesteśmy grupą do wyjaśniania takich spraw. Każdy, do kogo zwrócisz się z prośbą, pouczy cię, że od ustalenia i przyrównania sprawy jest policja. Nawet prokurator tak ci powie.
 - Mam!
 - Co masz?
 - Daniel Jung mógłby nam pomóc. Zna ludzi w redakcji. Był w policji, to i...
 - Co Kostrzyński zrobił nie tak, że ktoś dopuścił się takiej zbrodni? - spytała komisarz Mrozińska bardziej siebie niż Araszkiewicza, przerywając mu.
- Aspirant tylko podniósł na nią oczy. Nawet nie przyszło mu na myśl, że Kostrzyński mógł coś zrobić nie tak. Wielka sztuka najpierw zadzwonić do rzecznika prasowego, a potem to napisać. Co innego na przykład dyrektor firmy budowlanej czy prezes kolei państwowych albo kapitan samolotu. Nie, kapitan siedzi sobie w kabinie i od czasu do czasu zerka, czy automatyczny pilot kieruje tak, jakby za sterami siedział człowiek. Araszkiewicz chciałby być pilotem. Jeszcze chętniej zostałby prezesem banku, marszałkiem, posłem. Nic to, odsłuży swoje w policji i

rozejrzy się za czymś lepiej płatnym.

- A może Kostrzyński komuś zaszkodził swoim pisaniem? Albo komuś nie spodobało się to, o czym napisał i dlatego go zamordował? Może ktoś słyszał, nad czym pracuje i nie chciał pozwolić, żeby to ukazało się w gazecie? Jest i taka możliwość. Kostrzyński wiedział o czymś, o czym nie powinien wiedzieć. I o czym miał zamiar napisać - odparł.

Zielonagóra, ul. Artura Grottgera, czwartek, późne popołudnie

Komisarz Mrozińska poleciła aspirantowi Araszkiewiczowi, żeby przeanalizował rejestr z książki wejść z czwartku od rana i wynotował z niej nazwiska i imiona tych, którzy tego dnia przekroczyli próg redakcji. Dominowali zielonogórzanie, o czym świadczyły adresy i informacje w rubryce: nazwa organu wydającego dokument. Tylko przy czterech nazwiskach brakowało oznaczenia miejscowości, przy trzech były imiona żeńskie, więc ich nie wzięła pod uwagę, chociaż nie miała pewności, że słusznie postępuje, gdy przypomniła sobie córkę koleżanki ze studiów, która zaczęła pływać w przedszkolu, a przed ostatnimi igrzyskami olimpijskimi całe dni spędzała jak nie na basenie, to w siłowni. Wprawdzie nie zdobyła medalu, ba, nawet nie była mistrzynią kraju, ale gdy szła z koleżankami do dyskoteki, wszyscy jej ustępowali.

- Uprzedź, Tadeusz, kogoś w urzędzie miejskim, że na gwałt będziemy potrzebowali ich pomocy - powiedziała do Araszkiewicza, gdy złożył jej raport z tego, co przepisał do swego notesu. - Za dziesięć minut gryzpiórki zamkną komputery, a do ewidencji ludności, nawet na skrzydłach w tak krótkim czasie taki orzeł jak ty nie zdąży dofrunąć.

Pięć minut trwało, zanim odezwała się telefonistka w centrali zielonogórskiego Urzędu Miasta i połączyła go z wydziałem spraw obywatelskich. Sekretarka powiedziała, że naczelnik jest u zastępcy prezydenta i nie wiadomo, czy dziś wróci do swojego gabinetu. Jeśli policjant potrzebuje pomocy pań z ewidencji ludności, niech zadzwoni jutro.

- Proszę je zatrzymać - polecił.

- Czy policja zapłaci za nadgodziny? - spytała, lecz Araszkiewicz nie odpowiedział.

Zaparkował przed budynkiem wydziału spraw obywatelskich w chwili, gdy odezwał się zegar na wieży ratusza i przez drzwi wysypywali się urzędnicy. Nie zatrzymując się, by ich przepuścić, wbiegł po schodach na drugie piętro.

- Moglibyście zamontować windę - wysapał. - Choćby z funduszu dla osób niepełnosprawnych.

Urzędniczka codziennie po kilka razy słyszała tę uwagę, więc przyzwyczała się do niej i dlatego nie odpowiadała na zaczepki.

- O kogo panu chodzi? - spytała, zerkając na zegar nad biurkiem.

- Dominik Gardocki - powiedział, ciężko opierając się o barierkę.

- Gardocki czy Gardodzki?

Zajrzał do notesu.

- Przez ce. Gar-doc-ki.

- Dobrze, że pan uprzedził sekretariat. Już miałam wyłączyć komputer, gdy zadzwoniła asystentka wiceprezydenta. Dawniej otworzyłabym książkę meldunkową i odszukanie nazwiska zajęłoby mi najwyżej kilka minut. Teraz trzeba włączyć komputer, poczekać, aż się rozgrzeje, zalogować się, znowu czekać. A czasem nie uda się za pierwszym razem. Mnie, proszę pana, te nowe techniki nie przekonują. Młodzi... Na szczęście nie wyłączyłam komputera. - Uśmiechnęła się sama do siebie.

Aspirant zlekceważył jej uwagę. Mógł powiedzieć, że nowych technologii będzie coraz więcej. Już bez pytania wdzierają się do każdej sfery ludzkiego życia i pracy, nawet na urlopie, w sanatorium, za granicą. Kto nie potrafi sobie z nimi poradzić, powiększy armię analfabetów. Usłyszawszy to, obraziłaby się, bo przecież skończyła wieczorowe studia administracyjne. Wtedy Araszkiewicz dodałby, że miał na myśli nie analfabetów w ogóle, a nieuków informatycznych.

- Jest jeden Dominik Gardocki. Syn Wilhelma i Alicji. Dolina Luizy. Mieszka tam od czterech lat.

Zielonagóra, ul. Dolina Luizy, czwartek, późne popołudnie

Ilona Mrozińska weszła za Araszkiwiczem. On już w drzwiach przedstawił się i spod T-shirta wyciągnął odznakę policyjną zawieszoną na służbowej smyczy. Dominika Gardockiego nie zastali w domu. Jego żona, tęga kobieta o twarzy wkurzonej nauczycielki, powiedziała, że jeszcze nie wrócił z pracy.

- Na złość mi robi. Najpóźniej za kwadrans musimy wyjechać do rodziców, to znaczy do mojego tatusia, bo dziś Piotra i Pawła.

Gdy Ilona to usłyszała, omal nie wykrzyknęła, że na śmierć zapomniała o imieninach swego ojca. Co roku z samego rana dzwoni do kancelarii ojca i upewnia się, czy spotkanie imieninowe odbędzie się w niedzielę. Mama rokrocznie przygotowuje specjalny obiad, a ojciec czeka na opinie obu zięciów o winie z przydomowej plantacji i choćby dorównywało trunkom mozelskim, tłumaczy, dlaczego nie udało mu się osiągnąć tego, co sobie założył. Ilona jest przekonana, że talent do prowadzenia domu, a szczególnie do gotowania i podejmowania gości, odziedziczyła po rodzicach, zwłaszcza po ojcu, który nie lubi przeciętniactwa.

- Gdzie pani mąż pracuje? - spytał Araszkiwicz, chwilę wcześniej dostrzegając zakłopotanie w oczach Ilony Mrozińskiej.

- Mój mąż, proszę pana, jest dyrektorem w urzędzie marszałkowskim - powiedziała to takim głosem, jakby Gardocki był co najmniej wicemarszałkiem.

- O ile wiem, to od wtorku do piątku urzędnicy w marszałkowskim kończą pracę o piętnastej trzydzieści. Zatem od godziny, no, powiedzmy że od pół godziny powinien być w domu - zwrócił uwagę aspirant.

- Musiało coś mu wypaść. Mój mąż, proszę pana, nadzoruje stowarzyszenia sportowe, a one często nagle, bez uprzedzenia, że tak powiem, zwołują swoje zebrania. W ogóle brak poszanowania czasu. - Ledwie skończyła to mówić, zazgrzytała brama otwierana przez fotokomórkę i na podwórko wjechał Volkswagen passat. Gardocka

podeszła do okna, przez które wyglądał Araszkiwicz, jakby chciała się upewnić, że na pewno jej mąż wrócił. - No, nareszcie jest. Zdażymy na osiemnastą - ucieszyła się. - A jaka to ważna sprawa, że o tej porze państwo się fatygowaliście? - zwróciła się do Ilony Mrozińskiej, co policjantkę zaskoczyło, bo zazwyczaj mężatki mają więcej zaufania do mężczyzny policjanta niż do kobiety.

Komisarz nie odpowiedziała, dając oczami znak aspirantowi, żeby przeszedł spod okna pod drzwi, jakby się spodziewała, że gdy Gardocki wejdzie do domu i Mrozińska powie, kim jest, on będzie próbował uciec.

Nie próbował. Strzelił śmiechem, widząc pytającą minę żony.

- Dominik Gardocki? - upewniła się komisarz. Gdy potwierdził, poprosiła o dowód osobisty.

- Jakiś nakazik?

- Nakazik?

-Jakaś decyzja sądu...

- Policja ma prawo wylegitymować każdego bez wyjaśnień.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Gardocki wyjął portfel, z niego wyciągnął dowód i chciał podać policjantce, lecz komisarz wskazała głową aspiranta. Araszkiwicz długo wpatrywał się w informacje zapisane na stronie przedniej, potem na tylnej, ale nie zwrócił dowodu Gardockiemu. Trzymając dokument w palcach, kiwnął do Mrozińskiej, że nazwisko i imię oraz adres zamieszkania się zgadzają.

- Chcielibyśmy porozmawiać bez świadków - powiedziała komisarz do Gardockiej.

-Jestem ślubną żoną. Chyba mam prawo wiedzieć!

- Nie zaprzeczam, że jest pani żoną. Jednak nie ma pani prawa przysłuchiwać się pytaniom zadawanym przez śledczych - postawiła się policjantka i kazała jej wyjść z pokoju.

- Czy mój mąż jest aresztowany? Za co niby? - dopytywała Gardocka.

Trafiła kosa na kamień, pomyślał aspirant.

- Na razie mamy ochotę porozmawiać z pani mężem. Decyzja, czy zostanie zatrzymany na dłużej, należy do niezawisłego sądu, a wniosek

ewentualnie skieruje tam prokurator.

- Dominik, powiedz coś.

Gardocki spojrział na nią z przyganą.

- Zanetko, zrób to, o co państwo proszą.

Araszkiewicz spodziewał się, że Gardocka nie ustąpi, póki nie dowie się, co interesuje policję. Znał ten typ kobiet, które wobec mężów zachowywały się tak, jakby były ich matkami. Bezdzienna siostra jego matki identycznie postępowała z wujkiem. Bolek, ile razy mam ci mówić, abys w niedzielę zakładał białe kalesonki? Skarpety czarne. Półbuty. Wyprasowałam błękitną koszulę, a którą wzięłeś? Do kościoła bez krawatu? I może jeszcze w tym samym ubraniu co do miasta? Gdy wujek był młodszy, stawiał się, jednak ostatnio w milczeniu robił to, co mu ciotka nakazała.

Gardocki wyglądał jakby wrócił od fryzjera. Miał przystrzyżone wąsy i niewielką wypielęgnowaną brodę, a jasnobrązowe włosy niemal przykrywały uszy. Nie był zbyt wysoki, ale wyglądał na silnego mężczyznę.

- Co pan robił dziś przed południem? - Niemal każdą rozmowę z zatrzymanym komisarz zaczynała od tego pytania.

- Byłem w pracy. W swoim pokoju na drugim piętrze gmachu urzędu marszałkowskiego przy Podgórnej. Analizowałem materiały przygotowane na konferencję dotyczącą rozwoju sportu młodzieżowego w naszym regionie.

- Czy wychodził pan z budynku?

-A nie można?

- Zostało to odnotowane w książce wyjść?

Gardocki się zaczerwienił.

- Wskoczyłem do Złotego Domu najwyżej na pół godziny po prezent dla teścia. Dziś są jego imieniny. Krótkich wyjść w sprawach osobistych w zasadzie nie odnotowujemy.

- Kto pana widział w Złotym Domu?

- Kto mnie widział? Kto mnie wi...? - zaczął powtarzać. Po chwili odpowiedział: - Normalnie kasjerka w księgni.

- Rozumiem, że coś pan tam kupił. Czy zachował pan paragon albo jakiś inny dokument, na przykład metkę?

W tej chwili policzki Gardockiego nabrały koloru zachodzącego słońca. Na czole pojawiły się krople potu.

- Przyznam się, tylko proszę nie mówić żonie. Miałem taki zamiar, ale jak zobaczyłem ceny, to niczego nie kupiłem. Przypomniałem sobie, że w biurze mam album z widokami historycznych świątyń w naszym regionie. Jesienią dostałem go od konserwatora zabytków. U mnie leży bezużytecznie, a teściowi może się spodobać - wyszeptał zawstydzony i umknął wzrokiem na dywan.

Mrozińska pomyślała, ile ona bezużytecznych prezentów dostała. Niektóre wciąż jeszcze leżą w szafie. Nigdy nie wpadła na pomysł, aby obdarowywać nimi inne osoby. Zawsze pyta ojca, co sobie życzy na imieniny, co pod choinkę, co na zajączka. Tak samo zachowuje się wobec mamy. Męża nie pyta, tylko kupuje to, co uważa, że mu się przyda i z czego będzie zadowolony.

- Był pan w budynku redakcji „Gazety Zielonogórskiej”?

- Bywałem wiele razy - odparł bez namysłu. - Najczęściej u redaktora Bojanewa. Łączą nas wspólne zainteresowania. Mam na myśli sport.

- Czy dziś pan też tam był?

- Już powiedziałem, że byłem w Żłotym Domu.

- Po co pan był w Żłotym Domu? - spytała, jakby chciała sprawdzić, czy powtórzy to, co powiedział przed chwilą.

- Mówiłem, że po prezent dla teścia.

- Przecież prezent dla teścia dostał pan od konserwatora zabytków.

- O tym pomyślałem w trakcie oglądania albumów. Po co mam wydawać pieniądze, jeśli taki sam mam w biurze?

- I nie był pan w redakcji?

- Nie powiedziałem, że nigdy nie byłem. Nie byłem tam dziś.

- W takim razie, jak pan wytłumaczy, że pod dzisiejszą datą w książce wyjść i wejść do budynku „Gazety Zielonogórskiej” widnieje pana nazwisko i imię? Wprawdzie brakuje innych danych, na przykład adresu i nazwy dokumentu tożsamości, ale to pewnie dlatego, że jest pan

częstym gościem redakcji.

- Przysięgam - Gardocki podniósł prawą dłoń - że dziś nie byłem w redakcji. Wierzy mi pani?

- Musimy to sprawdzić.

- Dziękuję - ucieszył się, spoglądając na zegarek. - Wpół do szóstej. Zdążymy do teścia.

- Nie sądzę - rzuciła komisarz. - Jest pan zatrzymany. Resztę doby spędzi pan u nas, na komendzie.

- Nie macie prawa! Przecież nikogo nie zabiłem.

- Właśnie tego musimy być pewni.

- Sami targamy pana na dołek czy wzywamy wsparcie? - spytał Araszkiwicz.

Gdy Gardocka zobaczyła kajdanki na rękach męża wychodzącego z domu, narobiła wrzasku. Głos miała przeraźliwie piszczący, więc nawet mieszkańcy bloków przy Dolinie Zielonej ją słyszeli. Nie chodziło jej o to, że tę noc Gardocki spędzi na niewygodnej pryczy w celi, lecz wyłącznie o to, co sobie pomyśli ojciec, gdy ona za chwilę do niego zatelefonuje i będzie starała się wytłumaczyć, dlaczego nie może przyjechać i osobiście złożyć mu życzeń.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, wczesny wieczór

Regionalne radio niemal od południa z półgodzinnymi przerwami trąbiło o zabójstwie w pokoju działu sportowego „Gazety Zielonogórskiej”. Ponieważ policjant stojący przed drzwiami budynku nikogo nie wpuszczał do środka i nie odpowiadał na pytania, a dwaj młodzi reporterzy z radia internetowego musieli relacjonować to, co się działo przed redakcją, zatrzymywali przechodniów na ulicy i domagali się wypowiedzi na żywo do radiowego mikrofonu, sugerując najwyższy wymiar kary dla mordercy. Za nimi krok w krok chodził chłopak z mikrofonem oznaczonym znakiem firmowym korporacji Kunicki Holding. Tak samo zachowywała się dziennikarka telewizyjnej,

ciągnąc za sobą operatora z kamerą na ramieniu. Inni strzygli uszami i oczami, gotowi natychmiast rzucić się tam, gdzie padnie choćby ćwierć informacji na temat tego, co się dzieje w budynku. Dopiero teraz niezorientowani zielonogórzanie mieli okazję przekonać się, ile redakcji radiowych i telewizyjnych jest w ich mieście. Zwabieni wyjątkową wiadomością do stolicy regionu przyjechali przedstawiciele telewizji niepublicznych i powiatowych tygodników. Nie było jedynie nikogo z miejscowej redakcji konkurencyjnego dziennika. Wysłany przez nią fotoreporter zrobił kilka zdjęć policjanta trzymającego straż przy drzwiach, sportretował gapiów na chodniku, a gdy ktoś z tłumu powiedział, że Michał Kostrzyński był dziwakiem, bo przyjeżdżał do pracy na rowerze, sfotografował wszystkie pojazdy na parkingu za budynkiem, chociaż nie wierzył, żeby znanego redaktora nie było stać na samochód.

Rzeczniczka prasowa komendanta miejskiego na razie niewiele miała do powiedzenia, dlatego nie zwoływała konferencji. Na pytania niecierpliwych dziennikarzy najpierw odpowiadała dość wykrętnie, a potem wyłączyła komórkę.

Warujący na ulicy reporterzy liczyli, że wychodząc z budynku, Szpalta coś powie, ale ona również milczała. Radiowiec z rozgłośni miejskiej przy wyłączonym mikrofonie zarzucił jej, że jest niekoleżeńska.

- Przecież też kiedyś byłaś młodą reporterką! - darła się dziewczyna z włosami obciętymi na pazia, wymachując mikrofonem.

Daniel Jung, który wyszedł zaraz za szefową, stwierdził z niesmakiem, że młodzież dziennikarska mało wie o swojej branży. Szpalta, to znaczy Mirosława Krupa, od razu została naczelną gazety, mimo że nie odróżniała łamu od szpalty, każdą stronę nazywała paginą i w przeciwieństwie do starszych dziennikarzy na czcionki mówiła font, na dodatek wszystko chciała natychmiast zmienić. Ale czy to dziwne, skoro wcześniej nie miała do czynienia nawet z gazetką parafialną? Przed wprowadzeniem się do gabinetu naczelnej była asystentką na uniwersytecie, a ponieważ nie obroniła pracy doktorskiej w wyznaczonym terminie, a rektorowi z jakiegoś powodu na niej zależało,

udało mu się przekonać Bożejke, żeby oddał redakcję gazety w jej ręce. Niedawno Szpalta zgodziła się, aby Monika Chuda została jej zastępczynią. Zdaniem Junga redaktorka naczelna nie miała nic do powiedzenia, bo tak zdecydował właściciel wydawnictwa. Prezes też nie chciał się sprzeciwić, ponieważ Monika była kochanką czy żyła na kocią łapę z Neimannem, prawą ręką Gremplera, właściciela klubu żużlowego i dziesiątek bardzo ważnych firm. Uważał on, że skoro na stadion przy Szosie Wrocławskiej przyjeżdżają tysiące kibiców z zachodu Polski i ze wschodu Niemiec, dziennikarze z największych gazet i krajowych stacji radiowych, a telewizja relacjonuje zawody na żywo i powtarza transmisję w środku tygodnia, to ma prawo robić, co mu się podoba.

Prokurator Ostrouchy próbował wymknąć się z budynku niepostrzeżenie. Pewnie by mu się to udało, gdyby starszy posterunkowy stojący na schodach przed drzwiami nie uznał go za osobę niepożądaną. Mało tego, niedawno został przeniesiony do pododdziału zabezpieczenia i nie znał wszystkich, więc domagał się od prokuratora dowodu tożsamości.

- Przestań się wygłupiać, kolego - syknął jego zwierzchnik. - Pan prokurator chce wyjść na świeże powietrze.

Młodzi dziennikarze natychmiast rzucili się w stronę Ostrouchego.

- Proszę coś powiedzieć o tym, co się stało. Nasi słuchacze chcą wiedzieć. Muszą znać prawdę. Płacą podatki, panie prokuratorze! Należy im się - nalegała dziewczyna z włosami obciętymi na pazia, podsuwając mikrofon prokuratorowi pod brodę.

- W odpowiednim czasie państwo wszystkiego się dowiedzą.

- Prosimy teraz!

- Błagamy!

- Nie ustąpimy, jeśli nie dowiemy się, dlaczego policja nie pozwala nam wejść do budynku redakcji. Z pewnością stało się coś dramatycznego i dlatego jesteśmy tu, żeby przekazać telewidzom i słuchaczom najświeższe informacje. - W imieniu słuchaczy Radia Winnica domagam się kategorycznie ujawnienia szczegółów tego makabrycznego, żeby nie powiedzieć apokaliptycznego zdarzenia, o

jakim nie słyszeli nawet najstarsi mieszkańcy naszego regionu! - Nacierają ta z włosami obciętymi na pazia.

- Ile prawdy jest w tym, że morderca działał na zlecenie kogoś ze środowiska biznesowego?

- Czy chodzi o właściciela klubu żużlowego Joachima Gremplera?

- W odpowiednim czasie...

- Społeczeństwo ma konstytucyjne prawo poznać prawdę! - krzyknął chłopak z mikrofonem oznaczonym znakiem korporacji Kunicki Holding. - Kogo prokuratura tym razem chroni? Może pani Carewicz znowu zabroniła panu wybiegać przed szereg?

Umorzenie śledztwa w sprawie morderstwa Kunickiego, najpotężniejszego właściciela firm wywodzących się z tego regionu, i filantropa, było plamą na honorze policji i prokuratury. Ten, który uznał je za samobójstwo, czyli Andrzej Carewicz, notabene wykładowca uniwersytecki i mąż szefowej zarządu regionalnego partii rządzącej, nie przyznał się do zaniedbania. Wezwany przed komisję dyscyplinarną, nazwał to dopuszczalną pomyłką, chociaż po przeczytaniu reportażu Daniela Junga w „Gazecie Zielonogórskiej” jej członkowie wiedzieli, jak mogło być. Jak mogło, a nie jak było, bo podczas ekshumacji okazało się, że nawet najlepszy patomorfolog nie jest w stanie podać przyczyny śmierci Kunickiego, ponieważ w grobie znajdowała się niewielka urna z jego spopielonymi szczątkami. Sprawdzający wyniki śledztwa wysłannik prokuratora apelacyjnego nie udowodnił Carewiczowi zaniedbania, ale i nie oskarżył redaktora Junga o sianie niepokoju, czego domagał się dyrektor biura posłanki Anitty Carewicz. Od tamtego czasu wszyscy prokuratorzy woleli milczeć niż odpowiadać na pytania dziennikarzy. Zresztą szef prokuratury okręgowej podszeptą im, żeby chowali się za tarczą rzeczniczki prasowej, która w każdy poniedziałek zwoływała konferencje i gdy padały niewygodne pytania, zasłaniała się tajemnicą śledztwa. O wiele łatwiej pracowałyby się w prokuraturze, gdyby nie było aż tylu dociekliwych dziennikarzy. A jeśli muszą być, to powinni zajmować się czymś innym. Czym, nad tym prokurator się nie zastanawiał. Gazety mogłyby przedrukowywać komunikaty kryminalne

pisane przez rzeczników prasowych językiem prawniczym. Czy naprawdę kierowcy, sklepikarze pielęgniarce, nauczycielki, murarze, leśnicy czy aptekarze, chcą wiedzieć, co się dzieje w okolicy? Niech każdy robi to, za co dostaje pieniądze, uważał prokurator.

- Dlaczego policja zatrzymała zastępcę dyrektora z urzędu marszałkowskiego? Jaki związek ma jego zatrzymanie z morderstwem redaktora Kostrzyńskiego? - spytała reporterka telewizji publicznej, dotąd zachowująca się rozsądnie. - O co konkretnie jest podejrzany dyrektor Gardocki?

Daniel Jung zdrętwiał. Przed dziesięcioma minutami skończył pisanie informacji o tym, co się wydarzyło w redakcji, ale nawet jednym słowem nie wspomniał, kogo policja podejrzewa o morderstwo. Chuda kazała skupić się na ofierze, chociaż doświadczenie mu podpowiadało, że to nie najlepsza droga. Każdy czytelnik, który jutro kupi gazetę, będzie chciał się dowiedzieć, kto zamordował Michała Kostrzyńskiego, potem dlaczego, a na końcu dopiero kim była ofiara. Także z punktu widzenia śledczych redaktor Kostrzyński już się nie liczy. Teraz najważniejszy jest morderca.

- Skąd wiesz, kogo policja zatrzymała? — spytał Jung.

- Tak czy nie? - Reporterka telewizji publicznej zastąpiła drogę prokuratorowi. - Proszę o konkretną odpowiedź. Mam prawo wiedzieć! Czy to jakaś tajemnica?

- Z tym pytaniem niech się pani zwróci się do rzeczniczki policji - bronił się prokurator Ostrouchy.

Zaskoczona Szpalta kątem oka zerknęła na Daniela. Jung zrozumiał, że musi wrócić do redakcji i uzupełnić tekst. Czy napisze, kogo policja zatrzymała jako podejrzanego, jeszcze nie zdecydował. Zamiast nazwiska może wymienić stanowisko zajmowane w urzędzie marszałkowskim. Gdyby komisarz Syski prowadził śledztwo, już Daniel wiedziałby, co napisać, żeby się nie ośmieszyć. Zawsze przestrzegał zasady, że zanim coś obwieści, musi to sprawdzić i mieć sto procent pewności, że nie będzie musiał się z tego wycofywać.

- I niech pan nie zapomni o newsach na naszej stronie internetowej -

rzuciła za nim Chuda. - Trzeba updateować. Wystarczy kilka nowych zdań, tak.

Przypominanie o aktualizowaniu tekstów w sieci wicenaczelną uważała za swoją misję. Stało się to po tym, jak Szpalta wysłała ją na kurs dla redaktorów odpowiedzialnych za wydanie internetowe gazety. Na kurs miała pojechać kierowniczką działu politycznego, ale się rozchorowała, a ponieważ miejsce było opłacone, naczelna namówiła Chudą, żeby pojechała do Warszawy. Tydzień później wicenaczelną wróciła do redakcji i podczas kolegium wygłosiła mowę, jakiej nikt się nie spodziewał. Szpalta mówiła językiem informatyków, używając takich anglicyzmów, jak update, multiplayer, shaders, firewall, ale wymawiając je, jakby były polskimi określeniami. Natomiast wicenaczelną nikt nie zrozumiał. Pewnie tylko Kamil, który nieźle zna angielski i sprawnie posługuje się komputerem, domyśliłby się, co wicenaczelną ma na myśli, ale on nie jest członkiem kolegium. Daniel doszedł, że pisanie tekstów do wydań papierowych to jedno, a ciągłe aktualizowanie informacji na gazetazielonogorska.pl to zupełnie inna sprawa. Dopóki prezes wydawnictwa nie wyrzuci Chudej z gabinetu wicenaczelną, dopóty to drugie będzie najważniejsze.

Zielonagóra, ul. Wąska, czwartek, wieczór

Ilona Mrozińska uprzedziła męża, żeby nie czekał na nią z kolacją.

- Nie wiem, o której wrócę - powiedziała i gdy on przypomniał o zaplanowanym weekendzie nad jeziorem w Dąbiu, dodała: - Mam nadzieję, że do soboty uda mi się przekonać prokuratora, aby wystąpił do sądu o wydanie nakazu aresztowania.

Mąż spytał, czy w wydziale kryminalnym pracuje tylko jedna osoba, ale ona nie odpowiedziała. Nawet nie przypomniała mu, że zadaje to pytanie zawsze wtedy, gdy ona nie ma czasu na dłuższą rozmowę. Zamknęła komórkę i dała znak Araszkiewiczowi, żeby zadzwonił do dyżurnego izby zatrzymań i kazał przyprowadzić Gardockiego do

pokoju przesłuchań. Poprzedni komendant wprowadził zwyczaj informowania go o wszystkich sprawach związanych z biznesmenami i osobami na ważniejszych stanowiskach, co niezmiernie denerwowało naczelnika drogówki, gdyż kilka razy dziennie musiał dzwonić do zwierzchnika i tłumaczyć, komu i dlaczego jego podwładni wlepili mandat albo odebrali prawo jazdy. Nowego komendanta, do kwietnia zastępcę naczelnika mniej ważnego biura w komendzie wojewódzkiej, który podpadł swemu szefowi na bału charytatywnym, interesowały przede wszystkim wszelkie wskaźniki wykrywalności przestępstw analizowane przez zwierzchników. One decydowały o awansach i nagrodach niemal w takim samym stopniu jak to, z kim kto się zna, poluje, łowi lub popija.

- Gdzie pan był dziś przed południem? - Mrozińska powtórzyła pytanie, gdy Araszkiwicz nadusił guziczek na pulpicie sterującym kamerą, powiedział, która jest godzina, kto znajduje się w pokoju i kogo przesłuchuje.

- Przecież o to już mnie pani pytała - nastroszył się Gardocki.

Komisarz przypomniała mu, że w jego domu odbyła się wstępna rozmowa. Teraz rozpoczyna się przesłuchanie przygotowawcze. Wszystko, co powie, zostanie nagrane, przepisane i dołączone do akt sprawy. Im szybciej Gardocki zrozumie, że stawanie okoniem nie ma sensu, bo są to procedury obowiązujące w trakcie prowadzenia śledztwa, tym wcześniej wróci do izby zatrzymań.

- O zwolnieniu pana do domu na razie nie ma mowy - dodała, jakby się spodziewała, że Gardocki zapyta, czy po złożeniu wyjaśnień policyjny radiowóz natychmiast odwiezie go na Dolinę Luizy. - Gdzie zatem był pan dziś przed południem?

Gardocki powtórzył zdanie po zdaniu, zmieniając jedynie to, że albumu, który miał dać teściowi w prezencie imiennym, nie dostał od konserwatora zabytków jesienią, a trzymał go w swoim biurze dopiero od połowy czerwca. Ktoś z wydawnictwa zadzwonił do niego z sugestią, aby w torbie z upominkami, którą dostanie każdy uczestnik polsko-niemieckiej spartakiady młodzieżowej, był album z widokami

historycznych świątyni. Kazał więc kupić pięćset egzemplarzy. Jeden z nich wziął na prezent dla teścia. Był przekonany, że nikt nie będzie liczył, ile sztuk dostaną sportowcy.

- Czy muszę pani komisarz tłumaczyć, że nie jestem pierwszym szefem, który tak robi? A gdy odbywa się podsumowanie konkursu na najlepszego policjanta ruchu drogowego, to czy ktoś sprawdza, ile plasterków wędliny zjadł marszałek, a ile biskup? Czy prezydent miasta wypił dwa kieliszki wina, chociaż należał mu się jeden? Proszę pani, w moim barku w gabinecie zawsze musi być kilka butelek prawdziwego koniaku i mikstury udającej brandy. Przyjedzie ktoś z ministerstwa i jeśli go nie poczęstuję czymś mocniejszym, to województwo nie ma co liczyć na dodatkowe środki. Tych butelek nie kupiłem za własne pieniądze. Pochodzą z bankietów. Na takie uroczystości kupuje się więcej, ale na stole stawia się mniej. Przecież żaden dyrektor nie podejmuje gości na swój koszt. Tak samo minister, marszałek, wojewoda, prezydent. - Gardocki uśmiechnął się do Araszkiwicza tak, jakby w nim próbował znaleźć sprzymierzeńca. - Jeśli chodzi o ten nieszczęsny album... jeszcze nie dałem go teściowi, więc wróci tam, skąd go wziąłem. W ostateczności mogę zapłacić. Obiecuję, że nigdy więcej. Okej?

- Nie o album chodzi, chociaż ta sprawa powinna zainteresować przestępczość gospodarczą. Chodzi o coś znacznie poważniejszego, panie dyrektorze. - Gardocki zbladł. Komisarz pomyślała, że ma jeszcze coś na sumieniu, o czym ona nie wie. - Czy dziś był pan w budynku redakcji „Gazety Zielonogórskiej”?

- Normalnie jeszcze mnie stać na gazetę. Codziennie rano w kiosku na parterze urzędu kupuję „Wyborczą” i „Zielonogórską”.

- Proszę odpowiedzieć na zadane pytanie.

- Dziś nie byłem w żadnej redakcji. W sobotę mam wziąć udział w dyskusji organizowanej przez publiczne radio na temat sportu młodzieżowego.

- Pan nie potwierdza swojej obecności dziś przed południem w redakcji „Gazety Zielonogórskiej” - powiedziała wyraźnie i umilkła.

Wyglądało to tak, jakby się zastanawiała, dlaczego Gardocki coś ukrywa. Tę taktykę stosowała zawsze, gdy nie potrafiła zmusić podejrzanego do przyznania się podczas wstępnego przesłuchania. Tym razem sprawdzony sposób okazał się nieskuteczny, więc wyjęła z teczki kserokopie dwóch stron książki wejść i wyjść. - Proszę głośno przeczytać dzień, miesiąc i rok. - Pokazała czubkiem długopisu na podkreślonej dacie, a gdy Gardocki bez pytania zrobił to, o co poprosiła, odsłoniła następną kartkę i przesunęła długopis na linijkę, gdzie było jego imię i nazwisko.

- Nedorzeczność!

- Pan uważa, że ochroniarz ma bujną wyobraźnię, tak? Może odnotował pana obecność w budynku, żeby wykazać się pracowitością?

- Zaraz, zaraz. O co chodzi? - spytał z nutą ożywienia w głosie.

Dopiero teraz Mrozińska zdała sobie sprawę z tego, że ani po południu, ani wieczorem nie wyjaśniła mu, dlaczego jest zatrzymany. Z zachowania Gardockiego nie wynika, żeby wiedział, co się stało w redakcji przed południem. Pewnie nie słuchał radia.

Wśród osób, które dziś wchodziły do redakcji ochroniarz zapisał jego imię i nazwisko, wprawdzie bez podania nazwy dokumentu i adresu okaziciela, ale w Zielonejgórze mieszka tylko jeden Dominik Gardocki. Nie oznacza to, że po przesłuchaniu na pewno będzie oskarżony o morderstwo. Policjanci mają na oku również kilka innych osób.

Araszkiewicz przypomniał sobie, że kilka lat temu przesłuchiwał jakiegoś Gardockiego, ale tamten był starszy i nie nosił wypielegnowanej bródki ani wąsów, a „r” wymawiał niezbyt wyraźnie, właściwie charcząco i przesadnie głośno. Karolina de Murville wyjaśniła mu, że polskie „r” jest twarde, czyli przedniojęzykowe, natomiast w języku niemieckim litera ta powstaje w tylnej części podniebienia i dlatego brzmi nieco inaczej. Mimo że pięć lat studiowała na Viadrinie we Frankfurcie nad Odrą i po niemiecku pisze niemal tak samo jak po polsku, nie opanowała poprawnej wymowy tej głoski. Zęby artykułowac ją tylnojęzykowo, trzeba od dziecka posługiwać się językiem niemieckim.

- Czy pana ojciec jest profesorem germanistą? - spytał Araszkiwicz, co nie spodobało się Mrozińskiej.

- Można tak powiedzieć. W rzeczywistości ma tytuł profesora zwyczajnego filologii germańskiej. Najwięcej byłych studentów ojca jest wśród oficerów ABW i pracowników straży granicznej. Czy pan aspirant też słuchał wykładów ojca? - Nie czekając na potwierdzenie lub zaprzeczenie, Gardocki dodał: - Po śmierci mamy i przejściu na emeryturę ojciec kupił domek letniskowy nad jeziorem Lubię w Lubrzy i tam zima, lato mieszka. W zasadzie niezależnie od pory roku.

Czerwone światełko stojącego na stole telefonu zaczęło rytmicznie migać. Komisarz podniosła słuchawkę i nic nie mówiąc, wpatrywała się w dłoń Gardockiego. Opuszki palców jego prawej ręki były jeszcze brudne, co świadczyło o tym, że technik od daktyloskopii niesumienne zrobił to, co jest jego obowiązkiem. Tyle razy go prosiła, żeby zmywał resztki tuszu z palców osób zatrzymanych, gdy skończy pobieranie odcisków linii papilarnych.

- A jednak pan był dziś w dziale sportowym redakcji.

- Pani jest śmieszna - rzucił Gardocki zdecydowanie.

Mrozińska powinna sprowadzić ochroniarza z redakcji i postawić go za lustrem weneckim. Janiak może nie zapamiętać twarzy babiny, która pierwszy raz weszła do budynku, ale Gardockiego musi znać, zwłaszcza że jak sam potwierdził wiele razy, był u redaktora Bojanewa. Jutro zadzwoni do szefa firmy ochroniarskiej i poprosi, żeby pomógł Janiakowi dostać się do komendy. Chodzi o potwierdzenie tożsamości podejrzanego o zabójstwo w redakcji. Zresztą szef firmy Kunicki Ochrona dobrze wie, na czym polega praca w wydziale kryminalnym, bo zanim został dyrektorem firmy, był zastępcą naczelnika.

- Poza wpisem pana imienia i nazwiska do książki wejść znaleźliśmy inny dowód. Trudny, wręcz niemożliwy do podważenia. Wskazujący na pana.

- Na mnie? - spytał Gardocki z niedowierzaniem, przechylając głowę.

- Tak. Na pana.

- Ja, Dominik Gardocki oświadczam, że dziś nie rozmawiałem z

redaktorem Bojanewem ani nie byłem w żadnym dziale redakcji „Gazety Zielonogórskiej”. Nie byłem osobiście i nie dzwoniłem do żadnego dziennikarza. Wystarczy?

- Na stoliku w pokoju działu sportowego zachowały się dwa kubki plastikowe, w obu były resztki kawy z automatu, który stoi na trzecim piętrze. Na jednym z nich znajdowały się linie papilarne tylko jednej osoby. To są odciski pana palców. - Komisarz powtórzyła to, co przez telefon powiedział jej kierownik laboratorium.

- Moje? A skąd one się tam wzięły? Nie... to jest jakaś prowokacja! Zaraz, mówi pani, że na plastikowym kubku? - Gardocki zmrużył oczy, jakby sobie coś przypomniał i próbował zebrać to w logiczną całość. - Rzeczywiście, mogłem je tam pozostawić.

- Więc... - Gardocki nie pozwolił Mrozińskiej skończyć.

- Wczoraj spotkałem się z redaktorem Bojanewem. Jak zawsze poczęstował mnie kawą z automatu. Rozmawialiśmy przy stoliku stojącym na środku jego redakcyjnego pokoju.

- Pamięta pan, o czym rozmawialiście?

- O sporcie zawodowym. A szczególnie o interesach, jakie można robić, będąc właścicielem klubu sportowego. Omawialiśmy tę kwestię na przykładzie Joachima Gremplera.

- Grempler robi interesy na żużlu?

Gardocki kiwnął głową. Komisarz spojrzała na Araszkiwicza, pytając wzrokiem, czy daje wiarę wyjaśnieniu Gardockiego.

- Trzeba to będzie sprawdzić - powiedziała, mając na myśli rozmowę z Bojanewem, na którą umówiła się jutro w samo południe. Z teczki wyjęła czystą kartkę, przesunęła ją w stronę Gardockiego i podała mu długopis. - Proszę pisać - poleciła.

- Jeżeli chce pani jeszcze raz sprawdzić ślady linii papilarnych, to wyjaśniam, że technik już pobrał odciski - przypomniał, pokazując brudne palce.

Czuje się coraz pewniej, pomyślała. Albo nie ma nic wspólnego z zabójstwem Kostrzyńskiego, albo jest wyrafinowanym cynikiem. Była skłonna uznać to drugie wyjaśnienie, tym bardziej że, jak dowiedział się

Araszkiewicz, zanim Gardocki został zastępcą dyrektora departamentu, był nauczycielem wychowania fizycznego i trenerem najmłodszej grupy w szkółce tenisowej. Gdy nieoczekiwanie drużyna seniorów została wicemistrzem kraju, podczas uroczystego zebrania zarządu klubu z udziałem marszałka i posłów, Gardocki zarzucił trenerowi pierwszego zespołu skupianie się wyłącznie na doskonaleniu techniki rotacji odbijanej piłki, z czym nie zgadzał się prezes klubu. Dopiero gdy zwrócił głowę w stronę marszałka i powiedział, że najwyższy czas, żeby stanowisko trenera zajął ktoś miejscowy, kto nie tylko ma dyplom magisterski i odpowiednie papiery, lecz i rozumie znaczenie sportu w promocji regionu, prezes pojął sens jego wypowiedzi. Kilka dni po tym spotkaniu Gardocki zapisał się do Porozumienia Demokratycznych Obywateli, a cztery miesiące później został zastępcą dyrektora departamentu sportu.

- Niech pan pisze. - Nie patrząc na Gardockiego, komisarz dyktowała:
- Zawsze uważałem, że sport młodzieżowy jest szansą naszego regionu. Trzeba było słuchać.

- Nie mam najładniejszego charakteru pisma, ale pani pewnie to odczyta i powiesi sobie nad biurkiem. - Długopis położył na kartce i zwrócił ją Mrozińskiej.

Z teczki wyjęła kserokopię kartki, którą technicy znaleźli przy zamordowanym dziennikarzu i zaczęła ją porównywać z tym, co podyktowała Gardockiemu. Na pierwszy rzut oka litery w drugim zdaniu, a tylko o nie jej chodziło, były zbyt okrągłe. Nawet gdyby Gardocki starał się zmienić charakter pisma, mógł to zrobić w trakcie pisania pierwszego zdania. Zdanie drugie napisał tak, jak pisze listy czy sprawozdania, jeśli jeszcze pisze je ręcznie, a nie na komputerze. Komisarz poczeka do rana na grafologiczną ocenę pisma.

- Coś nie tak? - spytał Gardocki, splótłszy dłonie, mocniej opierając się plecami o poręcz krzesła, co Mrozińska uznała za oznakę pewności siebie. - Jakiej pomocy pani jeszcze się spodziewa? Postaram się spełnić wszystkie oczekiwania.

Mogła ujawnić, że jego litery wyraźnie różnią się od tych, które były

na kartce w kopercie leżącej na laptopie w pokoju działu sportowego. A może tamta koperta nie ma związku z mordercą? I nie Gardocki ją zostawił? Otworzyła kalendarz i zapisała pytanie, aby podczas jutrzejszej rozmowy zadać je Bojanewowi. W takim razie co oznacza żużel w ustach Michała Kostrzyńskiego? Zerknęła na Gardockiego. Nie wygląda na takiego, który morduje i bezczęści ofiarę.

- Pan interesuje się sportem żużlowym?

- Mam uprawnienia trenerskie. Zanim zostałem pracownikiem urzędu marszałkowskiego, najpierw krótko prowadziłem szkółkę speedrowerową, a potem dodatkowo szkółkę tenisową. Tę drugą za pieniądze. Mimo że koszykówka męska przyciąga coraz więcej kibiców, żużel uważam za sport numer jeden w Zielonej Górze. Jako członek Fanów Gremplera staram się normalnie nie opuszczać żadnego meczu, nawet jeśli nasza drużyna jeździ w Rzeszowie.

O stowarzyszeniu kibiców słyszała, lecz nie wiedziała, co się robi w szkółce speedrowerowej, a nie chciała prosić Gardockiego o wyjaśnienie. Araszkiewicz to zauważył, więc szybko chwycił długopis i napisał na kartce: „Speedrower - to samo co żużel, tyle że zawodnicy jeżdżą na rowerach”. Mrugnęła do aspiranta z podziękowaniem w oczach, a gdy on odwzajemnił uśmiech, podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Zatrzymanego proszę odprowadzić do celi.

-Jakim prawem?! - wykrzyknął Gardocki. Widząc, że komisarz i aspirant wstają, chwycił się oburącz za głowę.

Zielonagóra, os. Słoneczne, czwartek, wieczór

W czasie wakacji wyraźnie mniej osób kupuje prasę codzienną. Jeszcze niedawno redakcje wymyślały akcje czytelnicze z nagrodami albo dziennikarze szukali potworów w jeziorach czy zaginionych skarbów. Od pewnego czasu już nawet te naciągane sposoby walki o czytelnika są bezskuteczne, tym bardziej że uczniowie i studenci wolą wersję internetową gazety, a starszych, przywykłych do zapachu farby

drukarskiej ubywa, co cieszy firmy ubezpieczeniowe i wypłacające emerytury oraz zakłady pogrzebowe. Dlatego gminne gazety, nawet jeśli jeszcze mają wydania papierowe, to i tak równolegle publikują w wersji elektronicznej. Niektóre dzienniki angielskie i francuskie ukazują się wyłącznie w internecie. Już nie ma papierowych wersji amerykańskich magazynów „Life” i „Newsweek”. Z tradycyjnej formy druku zrezygnowała najstarsza gazeta świata „Post Och Inrikes Tidningar”. Medioznawcy prorokują, że w dwa tysiące trzydziestym roku przestaną wychodzić gazety na papierze, co będzie oznaczało mniej miejsc pracy dla dziennikarzy w pełnym tego słowa znaczeniu, dla drukarzy, introligatorów i kolporterów oraz dla papierników, chemików, hurtowników i sklepikarzy. Daniel przyjął to do wiadomości, ale nie przejął się, bo wtedy to on już będzie emerytem. Młodszym przypomina, że w drugiej połowie dwudziestego wieku, gdy telewizja zaczęła grać główną rolę w życiu rodzin, krytycy filmowi i radiowi ogłosili koniec tradycyjnego kina i radia. Troszkę się zmieniło, lecz nie aż tak, żeby ubyło reżyserów, aktorów i wytwórni filmowych. Radio także trzyma się nieźle, o czym świadczą powstające (i upadające) rozgłośnie oraz utrzymująca się na przyzwoitym poziomie sprzedaż radioodbiorników. Dlatego na razie Daniel stara się być lojalnym dziennikarzem, czyli robi to, co mu każe Szpalta i o co proszą czytelnicy. Polecenia Chudej również wykonuje, chociaż czasem mocno zaciska pięści i milczy, żeby nie wybuchnąć, bo w środku wszystko w nim kipi, gdy słyszy jej rozkazujący ton.

Jeszcze jako policjant Daniel musiał brać urlop w lipcu lub sierpniu, kiedy dzieci miały wakacje. Raz się zdarzyło, że naczelnik wydziału nie zatwierdził jego planu urlopów. Zawsze w drugiej połowie lipca całą rodziną jeździli do ośrodka wczasowo-szkoleniowego komendy wojewódzkiej w Międzyzdrojach i w słoneczne dni próbowali kąpać się w chłodnej wodzie Bałtyku. Tylko raz udało im się być nad Morzem Czarnym w Bułgarii, tylko dlatego, że szef Miśki złamał nogę i żeby skierowanie do Złotych Piasków nie przypadło, odstąpił je oficjalną drogą - prosząc o zgodę rektora i radę zakładową. Wtedy właśnie był

problem z urlopem w środku wakacji. Jako dziennikarz Daniel zmienił swoje przyzwyczajenia urlopowe. Stało się to z kilku powodów, wśród których najważniejszy był ten, że dorastające dzieci nie chciały jeździć tam, gdzie on wybierał się z Miską. Drugim powodem były lipcowe i sierpniowe upały w Grecji, Turcji, Chorwacji, Egipcie i Tunezji, do których jeździli średnio zamożni Polacy. Teraz Daniel brał urlop w pierwszej połowie września.

Gdy w zeszłym roku wybierał się z żoną na wycieczkę po Albanii, Szpalta pukała się w głowę. Zresztą Daniel też był przekonany, że to biedna i zacofana cząsteczka nieznannej Europy. Po powrocie z zachwytem opowiadał o tym, co zobaczył, lecz nikt w redakcji mu nie uwierzył. Nawet zdjęcia, na których domy wzdłuż ocienionych palmami ulic Vlory, Beraty czy Girokastry wyglądały jak pensjonaty na Riwierze Olimpijskiej w Grecji, koledzy uznali za nieprawdziwe. Nie wierzyli, że są tam takie miasta. A gdy powiedział, że spotykał ludzi przyjaznych, ubranych skromnie i czysto, szykownie lub byle jak, ale nie widział nawet jednego żebraka, Chuda kazała mu zakończyć tę lekcję propagandy.

- A na naszym deptaku znowu rój rumuńskich Cyganek. Opatulone szmatami niby staruchy trzęsące się nad grobami, siedzą z wyciągniętymi łapami. Człowiek patrzy i widzi młode ręce. Rzygać się chce. Dlaczego policja nic nie robi w tej sprawie? - spytała kierowniczką działu politycznego.

- Takie ich zasrane życie - spuentował Bojanew. - Wczoraj, jeszcze przed kolegium, wpadł do mnie dyrektor Gardocki z urzędu marszałkowskiego. Rozmawiamy sobie, a tu otwierają się drzwi i do pokoju ładuje się wszarz. Poratujcie, panowie. Na mleko i bułkę dla dzieciaka. Gdyby nie Gardocki...

- I kogoś takiego ochroniarz wpuścił? - zdziwiła się Szpalta.

- Oto jeszcze jeden dowód na to, jak ta ochrona pilnuje, tak. Koniecznie trzeba zmienić firmę.

- Nie miałem drobniazków, więc dałem mu papierek - kontynuował Bojanew. - Pół godziny później wyskoczyłem do sklepu po coś do

zjedzenia. Przed muzeum na ławce, tam gdzie stolik Klema, siedzi ten wszarz z dwoma replikami.

- Z jakimi replikami? - przerwała mu Szpalta.

- Z podobnymi do siebie. I żłopią coś z kartonika. Chłopie, przecież zbierałeś na mleko dla dziecka, ja tak do niego. Ha, ha, rechotali ci dwaj, co z nim byli. Mieli mnie za naiwniaka. Widząc te drwiące gęby, postanowiłem, że nikomu nie dam już nawet złamanego grosza. Ni-ko-mu.

- Generalnie mamy kolejny dowód na to, że żaden ochroniarz nie patrzy, kogo wpuszcza do budynku redakcji, tak - powiedziała Chuda do Szpalty. - Trzeba wynająć nową firmę ochroniarską. W razie czego mogę... - urwała. Za wcześnie, pomyślała. Wydałoby się, komu zależało na tym, żeby została wicenaczelną i kto jej pomógł dostać się do redakcji. Dopóki Anitta Carewicz będzie przewodniczącą partii rządzącej w Zielonejgórze, dopóty Chuda w przeciwieństwie do Szpalty niczego nie musi się obawiać. Nikomu nie pochwaliła się, że to jej siostra cioteczna. - Kolega Szmیت zna firmę z dobrymi referencjami.

- Grempler Security? - zaciekała się Szpalta, a gdy Chuda kiwnęła głową, nieznacznie się uśmiechnęła.

Przed wyborami powstanie Grempler Media, przypomniała sobie Szpalta. Powiedział jej o tym w wielkiej tajemnicy Daniel. Spółka zacznie od zmuszenia Macieja Libery do sprzedania jej więcej niż połowy udziałów w agencji reklamy. Zanim przejmie gazetę od spadkobierców Bożejki, wykupi radio i telewizję regionalną.

- Potem Grempler zrobi krok w stronę biurowca przy Podgórnej po to, żeby jego człowiek został prezydentem miasta. Albo nawet on - przepowiadał Jung. - Bez polskiego obywatelstwa Joachim Grempler nie może kandydować na posła czy senatora. Ale prawo nie zabrania obcokrajowcowi szefować miastu, jeśli zostanie zarejestrowany na kandydata na prezydenta i wybrany na ten urząd. Neimann ze Szmitem mu pomogą.

Ku zdziwieniu żony wstał przed szóstą. Gdy go spytała dlaczego, mruknął pod nosem, że jedzie po gazetę. Tym ją jeszcze bardziej zaskoczył. Przecież nigdy nie zaczynał dnia od czytania gazety. Dawniej prenumerował „Miesięcznik Karateki”, każdej środy posyłał któregoś z praktykantów do kiosku po „Tygodnik Żużłowy”, przeglądał też periodyki motoryzacyjne. Tego, co się działo w okolicy, dowiadywał się z radia, którego nikt nie wyłączał nawet na niedzielę. A dziś wstał wcześniej i sam poszedł do sklepiku. Spodziewał się, że w gazecie będzie obszerny tekst, może nawet apel redakcji o pomoc w ujęciu zabójcy i obietnica wysokiej nagrody. Na pierwszej stronie pod główką, wybita czarnymi literami tytuł wołał: „Nasz kolega nie żyje. Policja jest na tropie mordercy”.

- To ja mam być? - roześmiał się tak głośno, że przechodzący obok mężczyzna zwrócił mu uwagę na niestosowne zachowanie przed kościołem. Z rysunku zrobionego przez policyjnego plastyka patrzył na niego facet w dżokejce, z szerokim nosem i mięsistymi ustami wystającymi spod mistrzowsko przystrzyżonych wąsów. Na pewno nie był podobny do niego, mimo to przeląkł się, bo może jednak ochroniarz go zapamiętał, a portret pamięciowy w gazecie jest dla niepoznaki. Wykluczone, pomyślał. Dobrze pamiętał, że ochroniarz gapił się na ekran telewizora nawet podczas przepisywania nazwiska i imienia z legitymacji do zeszytu. Był pewien, że nikt go nie rozpozna, bo zanim wszedł do budynku redakcji, w szalecie obok galerii Ramzes przykleił sobie wąsy, na głowę założył kapelusik, a pod nim umieścił perukę kupioną na ruskim ryneczku.

Gdyby ochroniarz robił sumiennie to, za co bierze pieniądze, ten na rysunku w gazecie chociaż troszkę byłby do mnie podobny, myślał z kpiną. Wyjął z kieszeni legitymację Fanów Gremplera i spojrzął na zdjęcie jej właściciela. Nie posadzą cię, dyrektorze Gardocki. Potrzymają na dołku dwie doby, przemaglują, przegłódzą i dojdą do wniosku, że nie miałeś powodu skończyć z Bojanewem, mówił w myślach do faceta z

przystrzyżonymi wąsami i w dżokejce zasłaniającej czoło. Zajrzą w każdy kąt w twoim domu i biurze, znajdą jakieś lewe rachunki, może nawet adresy i telefony pośredników, dziwek, warsztatów. Spytają, czy interesujesz się żuźlem i jak często bywasz na stadionie, a ty uznasz to za obrazę, bo przecież jesteś wiernym kibicem najlepszej drużyny w Polsce. Wtedy też wyda się, że nie masz nigdzie legitymacji członka fanklubu. Będziesz jej szukał, ale nie domyślisz się, kiedy i kto ci ją podwędził. Jak się oddaje samochód do warsztatu, panie Gardocki, to nie wolno zostawiać w schowkach niczego cennego, a tym bardziej dokumentów. Naiwni płacą frycowe, powiedział w myślach i wrzucił legitymację do kosza na śmieci przed bramą kościelną. Za godzinę w tym miejscu zaczną się zbierać wygłodniaли bezdomni, żebracy, menele, pechowcy. Zanim otworzą się drzwi garkuchni Caritas, któryś zajrzy do kosza i między papierkami po lodach znajdzie tę legitymację.

Oparł się ramieniem o ścianę i zaczął czytać: „Wczoraj został zamordowany nasz kolega, redaktor Michał Kostrzyński”. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem to zdanie. Michał Kostrzyński?! „Zapewniwszy pracownika ochrony redakcji, że czeka na niego kierownik działu sportowego, morderca dostał się na trzecie piętro. W pokoju kierownika działu sportowego, w którym red. Kostrzyński pracował nad nowym artykułem dotyczącym oszustwa skarbowego, pozbawił naszego kolegę życia. Policja zatrzymała osobę, która może być sprawcą tego okrutnego morderstwa. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że zarzut zabójstwa prokuratura może postawić znanemu w środowisku żuźlowym Zielonejgóry działaczowi i współwłaścicielowi firmy mającej wyłączność na wydawanie programów sportowych. Jego nazwisko było wśród negatywnych bohaterów artykułu przygotowywanego przez red. Kostrzyńskiego”.

- O, kurwać... - zaklął i w myślach dodał: - Nie ten gościu.

Pomimo że słońce dopiero przebijało się przez chmury, zrobiło mu się gorąco. Wetknął gazetę do kieszeni i ruszył w stronę swego domu przy Urszuli. To nie był Bojanew? Skasowałem jakiegoś Kostrzyńskiego? Kiedy wszedłem do pokoju kierownika działu sportowego, przy oknie

tyłem do drzwi siedział pochylony nad laptopem facet w wypłowiałym T-shircie. Prawda, z Bojanewem nigdy nie rozmawiałem w cztery oczy, tylko przez telefon. Ten, który siedział przy laptopie, odezwał się głosem lekko chropawym, żebym poczekał, bo jak teraz nie zapisze, krótka piłka, to mu myśl ucieknie. Powiedział „krótka piłka”. Bojanew też wtrącał te słowa. Jak mechanika coś wkurzy w warsztacie, to jeden rzuci „kurwa”, drugi „kuźwa” albo „kurde mol” czy „kurtka na wacie”, ale żaden nie powie „krótka piłka”. Bojanew tak mówił i ten, który siedział przy laptopie, też tak się odezwał. A może nie wypada, żeby redaktor przeklinał jak jakiś łachmyta, dlatego gazeciarze mówią „krótka piłka”? Trudno, zdarza się, dopowiedział w myślach, wyraźnie się usprawiedliwiając, że giną ci, którzy nie powinni zginąć. Kostrzyński był niewłaściwym człowiekiem w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu.

- Nie udało się w środę, Bojanew, musi się udać w sobotę - niemal wykrzyknął i się wystraszył, że ktoś mógł go usłyszeć. - Twoje dni, redaktorku, są policzone.

Zielonagóra, ul. Wazów, piątek, południe

Sekretarka katedry patomorfologii zastanawiała się, czy najpierw zadzwonić do Daniela Junga, co robiła niemal zawsze i w tajemnicy przed szefową, czy do prokuratora, jak poleciła pani profesor i przekazać mu przedwstępne wyniki sekcji zwłok Michała Kostrzyńskiego. Pomimo że katedra była placówką uniwersytecką, przeprowadzano w niej również najpilniejsze badania na zamówienie prokuratury. Dzięki temu stawała się z czasem pracownią medycyny sądowej, zresztą obu instytucjom to się opłacało. Gdyby prokurator zlecił badanie obrażeń ciała zakładowi we Wrocławiu, z którym jego poprzednik podpisał umowę, wyniki dostałby za kilka dni, a jemu się spieszyło, zwłaszcza że w tym wypadku wszystko wydawało się jasne i oczywiste. Przepisy są jednak surowe, dlatego przyczynę śmierci, jeśli medyk sądowy

podejrzewa morderstwo czy samobójstwo, musi wyjaśnić patolog z tytułem naukowym. Na protokole, który leżał przed sekretarką, na razie widniał nieczytelny podpis adiunkta. Dopiero po południu profesor Kwiatkowska-Jung przyjedzie do katedry i wtedy podpisze protokół albo każe powtórzyć badanie, co zdarza się rzadko.

Wybrała numer komendy miejskiej i poprosiła telefonistkę o połączenie z naczelniczką wydziału kryminalnego. Nie miała w zwyczaju podawania swego imienia i nazwiska ani funkcji w katedrze, dlatego gdy usłyszała głos Ilony Mrozińskiej, od razu zaczęła streszczać to, co było na kartce.

- Obdukcja Kostrzyńskiego Michała przeprowadzona przez doktora Bronisława Trzcinkę w pracowni medycyny sądowej. Zdaniem doktora śmierć dziennikarza była nagła na skutek natychmiastowego złamania kręgów szyjnych i przerwania rdzenia kręgowego. To najważniejsze. Doktor Trzcinka napisał, że stało się to po zadaniu co najmniej dwóch ciosów czymś gładkim, najpewniej kantem dłoni. Doktor konsultował obrażenia z zespołem i wspólnie stwierdzili, że sprawca najpewniej uprawia karate lub podobną dyscyplinę sportu.

Gardocki nie wygląda na takiego, który interesuje się sportami walki, stwierdziła w myślach komisarz. A może w młodości chodził na zajęcia w sekcji zapaśniczej czy bokserskiej i dopiero teraz się wyżywa? Najpierw starała się przypomnieć sobie jego twarz, ale nie zapamiętała żadnych szram nad lukami brwiowymi i rozpląszonego nosa czy krzywej przegrody. Potem wróciła pamięcią do pokoju przesłuchań, gdy Gardocki zapisywał zdanie, które ona dyktowała. Palce jego dłoni były długie i kościste jak u pianisty.

- A co z żuźlem? - spytała.

- Z żuźlem? - zdziwiła się sekretarka. - Przepraszam, jest tu informacja, że w jamie ustnej i nosie denata znajdowała się niewielka ilość czegoś, co na pierwszy rzut oka przypomina szlakę węglową lub niedopalony koks z popiołem. Obecności tego materiału doktor Trzcinka nie łączy ze śmiercią.

- Proszę przekazać pani profesor, żeby dokładnie przebadano to, co

doktorowi przypomina szlakę lub niedopalony koks - poprosiła Mrozińska i podziękowała sekretarce za wiadomość.

- Aha, jest tu jeszcze coś z laboratorium toksykologicznego. „We krwi denata wykryto śladowe ilości alkoholu etylowego” - przeczytała i dodała od siebie, że to o niczym nie świadczy. - Pewnie wczoraj wieczorem wypił butelkę piwa albo szklanekę wina.

Zielonagóra, ul. Wąska, piątek, południe

Pół minuty później komisarz zadzwoniła do prokuratora.

- Zanim pani zwolni Gardockiego, proszę go jeszcze raz przesłuchać, właśnie pod kątem uprawiania karate i podobnych dyscyplin. Nie spodziewam się, że on...

Może jednak na coś nas naprowadzić. Przepraszam, nie powinienem pani, Ilonko, pouczać - dodał i odłożył słuchawkę, chociaż policjantka miała ochotę dłużej z nim porozmawiać.

Akurat ten prokurator zawsze zachowywał się nienormalnie. Jak pamiętała ze studiów i szkoleń, jego zadaniem jest wyznaczenie kierunku śledztwa i ułożenie planu, a policjanci są po to, żeby wykonywać polecenia i o wszystkim go informować. Działo się wprost przeciwnie, czego komisarz nie rozumiała, zresztą nie pierwszy raz, i nie miała ani z kim na ten temat porozmawiać, pomijając Araszkiewicza, ani komu się pożalić. Od dnia kiedy starego komendanta zastąpił nowy inspektor, jej bezpośredni zwierzchnik zwołuje odprawy, ale niewiele się odzywa, jakby czekał na coś, co się wydarzy i tylko on wie, co to będzie. Pewnie jednak czuje się rozczarowany, bo nie on, młodszy inspektor z tytułem doktora nauk prawnych, po przeszkoleniach w Oranienburgu, Brukseli i Warnsveldzie, nawet nieźle władający angielskim, został komendantem.

Zielonagóra, ul. Wąska, piątek, wczesne popołudnie

Komisarz Mrozińska nawet nie musiała przekonywać szefa firmy Kunicki Ochrona, żeby przyjechał z Janiakiem do komendy. Wiele razy pracownicy firmy pomagali policji w ustaleniu tożsamości ofiary czy sprawcy wykroczenia. Nigdy jednak nie zdarzyło się, żeby chodziło o wskazanie mordercy, a tym razem właśnie to było jedynym celem. Postanowiła, że kiedy ona jeszcze raz zacznie przesłuchiwać Gardockiego, ochroniarz stanie po drugiej stronie lustra weneckiego i będzie się mu przyglądał. Nie powiedziała, że kazała aspirantowi Araszkiwiczowi przypatrywać się twarzy Janiaka, a podkomisarz de Murville i obu praktykantkom obserwować, co robi z rękoma i na którą nogę oraz w którym momencie przesłuchania przenosi ciężar ciała. Jej zdaniem ochroniarz do czegoś bał się przyznać.

- Gdzie pan był wczoraj przed południem? - spytała Gardockiego, patrząc mu w oczy. Spodziewała się, że odpowie wrzaskiem i będzie walił pięściami w stół albo poderwie się z krzesła i wykrzyczy to, czym go zdenerwowała. Tak by się zachował każdy, kto trzeci raz słyszy to samo pytanie. Gardocki ku jej zaskoczeniu zaczął spokojnie powtarzać, gdzie był, po co, dlaczego nie kupił albumu. Tym razem komisarz nie wsłuchiwała się w treść monologu, a zwracała uwagę na mowę ciała. Nie zauważyła niczego szczególnego w zachowaniu Gardockiego, tak samo jak wczoraj wieczorem kładł dłonie na stole i je wycofywał, zostawiając mokre ślady na blacie. Twarz miał lekko zaróżowioną, ale to pewnie ze wstydu. Rzadko się zdarzało, żeby policjantka przesłuchiwała urzędnika marszałkowskiego. Ilonie nawet zrobiło się go żal, lecz nie miała innego wyjścia. Ochroniarz musiał potwierdzić lub zaprzeczyć, czy składający wyjaśnienia w pokoju przesłuchań to ten sam mężczyzna, którego nazwisko i imię zapisał w książce wejść do budynku redakcji. Gdy zaczęło migać czerwone światelko stojącego przed nią telefonu, podniosła słuchawkę.

-Janiak nie jest pewny. Jego zdaniem tamten mógł być młodszy. Wydaje mu się, że chyba nie miał brody, a jeśli miał, to wyraźnie

krótszą i gęściejszą, taką najwyżej trzydniową. Głos też jakby zmieniony, ale to może być zniekształcenie związane z mikrofonem - usłyszała półszepc Araszkiwicza.

- Tak przypuszczałam. Przecież nasz rysownik malował portret pamięciowy w trakcie rozmowy z Janiakiem. On go zaakceptował bez dodatkowych uwag - przypomniała, a widząc zainteresowanie w oczach Gardockiego, dodała: - Zatrzymaj ochroniarza. Jeszcze raz musimy z nim porozmawiać. I wezwij pomocnika dyżurnego z izby zatrzymań. Decyzję, co dalej w sprawie przedłużenia aresztu, to znaczy zatrzymania, podejmiemy po rozmowie z prokuratorem. Na razie pan Gardocki wróci na dołek.

Domyślała się, jaka będzie decyzja prokuratora, gdy mu powie, że na podstawie wyników dotychczasowego przebiegu śledztwa nie ma podstaw do przetrzymywania Gardockiego w komendzie. Ponieważ ustały przyczyny, dla których policja go zatrzymała, przypomni prokurator, zastosowany środek zapobiegawczy należy niezwłocznie uchylić.

Chyba że Tadeusz Araszkiwicz na coś trafi.

Zielonagóra, ul. Bohaterów Westerplatte, piątek, popołudnie

Przynajmniej raz w tygodniu aspirant Araszkiwicz zaglądał do miejskiego centrum monitoringu wizyjnego, ale nigdy na nic ciekawego nie trafił, bo albo obraz był zamazany, albo kamera się zepsuła i ten, który miał ją naprawić, akurat przebywał na urlopie czy nagle zachorował. Dziwne, że najczęściej psuła się kamera, która powinna zarejestrować to, co mogło pomóc policjantom w prowadzeniu śledztwa.

- Najlepiej gdyby centrum było u was na Wąskiej. - Od tego zdania dyżurny operator kamer zawsze zaczynał rozmowę z aspirantem. - U was są specjaliści i przede wszystkim to służy policji. Strażnikom monitoring pomaga tak jak umarłemu kadzidło. Ot, jeszcze jeden kwiatek do

kożucha. Panie Tadeuszu, jeśli w nocy zostanie okradziony sklep na deptaku, to kto szuka złodzieja? Albo jeśli kierowca po pijaku przyrżnie w latarnię, to kto odbiera mu prawo jazdy i wiezie do wytrzeźwiająki w Raculi? Strażnicy są potrzebni do budzenia bezdomnych na parkowych ławkach. Do wyłapywania bezpańskich psów. Do wlepiania mandatów za bajzel na podwórkach komunalnych domów, a tam nie było, nie ma i nigdy nie będzie kamer. Ten, kto kazał strażnikom dyżurować w centrum, nie ma bladego pojęcia, do czego służą kamery. Przecież tu z nudów można zdechnąć. Dobrze, że chociaż jest telewizor.

Araszkievicz zgadzał się z dyżurnym, ale jako lojalny policjant nie miał odwagi odkryć swoich myśli. Poprzedni komendant ustalił z prezydentem miasta, że centrala monitoringu będzie na Wąskiej. Jednak gdy murarze rozbili ściany w dwóch sąsiadujących pokojach, elektrycy wymienili przewody i założyli gniazdzka wtykowe, nowy komendant kazał urządzić tam swój gabinet.

- Interesuje mnie kamera przy biurze poselskim na Niepodległości - powiedział aspirant przekonany, że jak poprzednio, tak i dziś odejdzie z kwitkiem.

- Szesnastka - przypomniał sobie dyżurny. - Ma pan szczęście, bo ta cholera jeszcze nigdy nie nawaliła. Niemiecka produkcja. Nasze, chociaż też na zagranicznej licencji, co rusz wysiadają.

- Zapis z czwartku, godziny przedpołudniowe - przerwał mu Araszkievicz.

Strażnik szybko odnalazł rejestr i zanim aspirant się zorientował, na który monitor powinien patrzeć, narożny ekran zajęły dwie bramy - jedna do biura poselskiego, druga do redakcji. W pierwszą nikt nie wszedł, w drugiej bezustannie był ruch. Araszkievicz obliczył, że w ciągu dziesięciu minut z budynku wyszły cztery osoby, a sześć weszło do środka.

- Niech pan zatrzyma - powiedział, gdy na ekranie pojawił się niewysoki szczupły szatyn w dżinsach, koszuli w kratkę, z wąsami zasłaniającymi górną wargę. Zachowywał się niepewnie. - Niech pan wydrukuję ten kadr.

- Spróbuję - odpowiedział dyżurny, prosząc w myślach, żeby drukarka się włączyła. Wczoraj gdy chciał wydrukować sobie zdjęcia zrobione przez synową jego wnukom na spacerze, nawet nie zapaliła się dioda. - Chwała Bogu, udało się - sapnął.

Ten człowiek, którego podobiznę Araszkiwicz trzymał przed sobą, między kciukiem i palcem wskazującym miał kontury wytatuowanej myszy, podobnej do tej, która jest w znaku rozpoznawczym klubu żużlowego. Jeszcze jeden zwariowany kibol, pomyślał i zaraz pożałował, że tak rzadko chodzi na stadion przy Szosie Wrocławskiej. Dokładnie wpatrywał się w oczy, nos, wąsy i brodę, ale nie widział podobieństwa osoby na wydruku do Gardockiego, którego miał na zdjęciu zrobionym podczas przesłuchania. To na pewno nie on, stwierdził w myślach. Mimo to schował wydruk do kieszeni. Ilona nie będzie zadowolona.

Zielonagóra, al. Niepodległości, piątek, popołudnie

Poza niedługim tekstem o zamordowaniu Michała Kostrzyńskiego, który naczelna kazała wydrukować na pierwszej stronie i zilustrować portretem pamięciowym mordercy, Daniel Jung niczego nie napisał o okolicznościach morderstwa. Prawdę mówiąc to nie wiedział, czego się chwycić. Z rozmowy z Bojanewem wynikało tyle, że Michał wcale nie miał ochoty przenosić się do pokoju kierownika działu sportowego i odbierać telefonów.

Razem ze stażystą Daniel przejrzał „Zielonogórkę” z ostatnich miesięcy, szukając artykułów napisanych przez Michała. Były krótkie informacje i cztery dłuższe teksty, ale żaden nie dotyczył korupcji, łapówek, protekcji, unikania płacenia podatków czy czegoś podobnie nagannego. W jego tekstach nawet nie padały inicjały osób czy nazwy firm. Komu więc Michał nadepnął na odcisk? Kiedy? Kto uznał go za swego wroga? Ktoś przecież tego chciał.

- No to chuj bombki strzelił. Choinki nie będzie - rzucił stażysta.

- Co takiego? - Daniel nie zrozumiał.

- O kant dupy potłuc taką robotę. - Ponieważ Daniel znowu zrobił pytającą minę, stażysta dodał: - Zanosi się na szukanie igły w stogu siana. Szefowa spija śmietankę, a my musimy tańczyć po łacinie.

- Taka jest rola szefowej.

Prawdę mówiąc, to od dnia, kiedy Szpalta została naczelną, Danielowi nie podoba się redagowanie gazety. W dodatku Chuda robi wszystko, żeby z pomocą stażystów i adeptów zamienić ją w regionalną odmianę tabloidu. Jung chciałby pracować w redakcji takiego dziennika jak dawniej, gdy rano ustawiały się kolejki przed kioskami, na każdym biurku leżała gazeta, w pierwszej kolejności z niej ludzie czerpali wiadomości i opinie. Zdawał sobie sprawę z tego, że tamte lata nie wróca, bo zaczęła się era przekazu elektronicznego, ale nawet w internecie nie trzeba pisać wyłącznie językiem potocznym, a przede wszystkim trzeba to robić bez błędów ortograficznych, interpunkcyjnych, składniowych, faktograficznych.

- Gazeta również jest produktem. Jak bochenek chleba, jak para stringów, jak muzyka na płycie kompaktowej - tłumaczył Szpalcie i Chudej. - Każdy piekarz rozumie, że jeśli chleb z jego pieca będzie miał zakalec, to ludzie przestaną go kupować, a on pójdzie z torbami. Tego, żeby ich produkty były wysokiej jakości, nie trzeba tłumaczyć rolnikowi, szewcowi, rzeźnikowi, a to przecież nie są doktorzy, nawet nie magistrowie. Dlaczego ty i twoja zastępczyni, obie po doktoratach, tego nie rozumiecie?

- Pan jest śmieszny. My nie rozumiemy? To pan, redaktorze, nie rozumie, w jakich czasach żyje. A w ogóle, generalnie rzecz biorąc, nie pan, lecz ja, tak, doktor Chuda Monika, z koleżanką redaktor naczelną odpowiadam za gazetę. Może powiem w ten sposób: w tym momencie jej właściciela nie obchodzi, o czym i jak piszemy. Dlaczego? Odpowiem tak, że właściciela interesuje czysty zysk, można powiedzieć. On nas po to wynajął, abyśmy zapewniły mu maksymalny zarobek. Jeśli pan uważa inaczej, tak, droga wolna. Szefowa nie będzie pana zatrzymywała. Na pana miejsce czeka setka młodych, tak - rzuciła Chuda, spodziewając się pochwały z ust Szpalty.

- Wolnego, wolnego, koleżanko. Jeszcze ja, Mirosława Krupa, odpowiadam za to, co jest w tej gazecie, kto pisze i kto będzie pisać. Daniel ma dużo racji. Internet śledzą młodzi, dlatego dla nich redagujemy nasz portal. Gazetę papierową kupują starsi czytelnicy, więc o nich również musimy pamiętać. Póki po deptaku będzie dreptał choćby jeden starszy czytelnik, nikt spośród tej setki młodych, o których wspomniałaś, nie zastąpi Daniela, Moniko. - Szpalta dała do zrozumienia swojej zastępczyni, kto rządzi w redakcji. - Jak wiesz, Danielu, redaktor Chuda namiętnie czyta książki science fiction i dlatego czasem nie odróżnia rzeczywistości od fantastyki. Nie przejmuj się tym, co ona mówi. Rób swoje, bo to bardzo dobrze ci wychodzi. Monika jeszcze długo powinna się uczyć.

- Wypraszam sobie.

- I co z tego? - roześmiała się Szpalta. Pierwszy raz, odkąd Chuda jest jej zastępczynią, stanęła po stronie dziennikarza, w dodatku w jego obecności.

Poza potwierdzeniem, że policjanci zatrzymali pracownika urzędu marszałkowskiego i go przesłuchali, Ilona Mrozińska niczego nie powiedziała Jungowi. Nie wierzył ani temu ochroniarzowi, który dyżurował w nocy ze środy na czwartek, ani jego zmiennikowi. Niemal wszyscy ochroniarze to wojskowi renciści albo byli policjanci na wcześniejszej emeryturze. Niczego nie osiągnęli tam, gdzie pracowali, i tak samo zachowują się jako emeryci z licencją pracowników ochrony. Są leniwi, bez ambicji, za to wygadani i domagający się pochwał. Na każdą słuszną uwagę zwierzchnika mają przygotowane usprawiedliwienie, a słabszych od siebie traktują z wyższością. Daniel już dawno doszedł do wniosku, że Janiak i jego zmiennik zamiast uprawiać działkę albo nudzić się w domu przed telewizorem, gapią się na ekran samsunga w budynku redakcji i jeszcze Kunicki Ochrona im za to płaci. Przecież oni nikogo nie potrafią ochronić, a codziennie rano wydać klucze dziennikarzom i wieczorem je odbierać potrafi zwykły portier. Tak, ale w Polsce panuje moda na umundurowanych ochroniarzy, zresztą jak w całej Europie i pewnie w każdym zakątku

świata. Są ludzie tacy jak Neimann, którzy uważają to za najłatwiejszy sposób dorabiania się, dlatego przekonują tych, którzy mają pieniądze, że nic tak dobrze nie świadczy o randze firmy, jak mundur ochroniarza upstrzony naszywką Kunicki Ochrona.

Nawet poplecznicy prezydenta śmiali się, gdy w zeszłym roku do drzwi budynku tygodnika samorządowego, także strzeżonego przez ludzi Kunickiego Ochrony, nad ranem zapukało chuchro w koszuli zapaćkanej krwią, błagając o udostępnienie telefonu. Ledwie przerażony ochroniarz otworzył drzwi, chuchro najpierw psiknęło mu czymś w oczy, a potem związało go i rzuciło na podłogę. Najgorsze jednak było to, że zginęły wszystkie laptopy, kserokopiarka, telefony, telewizor, radio i czajniki elektryczne. Szef firmy ochroniarskiej nie przyznał się, że to, co wisiało nad kontuarem, było atrapą kamery. Zaraz po tym włamaniu dyrektor firmy Kunicki Ochrona kupił kilka zestawów monitorujących i kazał je zamontować nad drzwiami wszystkich budynków, które mieli pod opieką. Niedawno coś się zepsuło w systemie monitorującym w restauracji nieopodal redakcji. Prezes kazał konserwatorowi, żeby tam przeniósł kamerę i monitor z budynku „Gazety Zielonogórskiej”. Pewnie teraz pluje sobie w brodę, bo brak monitoringu będzie go słono kosztował.

- A przecież może się okazać, że to było morderstwo na zlecenie - wyszeptał stażysta, śmiesznie wykrzywiając usta.

Daniel Jung i to brał pod uwagę.

Zielonagóra, os. Słoneczne, piątek, późne popołudnie

- Jaki jest wynik obdukcji Michała Kostrzyńskiego? - spytał żonę przy obiedzie, który w zasadzie był już kolacją.

- Tyle razy cię prosiłam, Daniel, żebyśmy nie rozmawiali o sprawach zawodowych. Nieświadomie wykorzystasz to w swojej pracy, a ja znowu będę miała przeprawę z prokuratorem. Jak było przy Kunickim?

Prawda. Gdyby Miśka nie przyszła do domu z wątpliwościami

dotyczącymi przyczyny śmierci Kunickiego, Daniel napisałby kilka zdań w kronice kryminalnej i pewnie nie wracałby do sprawy. W redakcji nikogo nie interesowało, w jaki sposób zginął najbogatszy zielonogórzanin. Po rozmowie z żoną wbrew policjantowi i prokuratorowi zaczął prowadzić dziennikarskie śledztwo, które wprawdzie nie zakończyło się powodzeniem, za to kilku osobom z zielonogórskiego świecznika utarł nosa. Wtedy też Szpalta poczuła się pewniej i zaczęła go doceniać.

Miśka spojrzała na zamyślonego Daniela.

- Jestem gotowa wspierać cię wszędzie i zawsze, ale nawet mężowi nie mogę ujawniać tajemnic służbowych, tym bardziej że każdy się domyśli, skąd wiesz to czy tamto.

Słusznie, pomyślał.

- Zastanawia mnie, komu ten spokojny Michał zalał za skórę. W ostatnich jego artykułach nie pada żadne nazwisko, nazwa firmy, nawet adres. Gdybym był na miejscu Szpalty, nie pozwoliłbym, żeby te teksty ukazały się w gazecie, bo nie przyciągną czytelników. Chyba że między zdaniem ukrył coś, a ten, którego to dotyczy, boi się o swoją skórę. Ilona Mrozińska nabrała wody w usta, prokurator milczy jak głaz, a ja nie umiem znaleźć punktu zaczepienia - przyznał się. - Niechże Jacek Syski szybciej zdrowieje i wraca do komendy.

- Przerwanie rdzenia kręgowego. Zmarł natychmiast - odezwała się Miśka niespodziewanie. - Ten, kto pozbawił go życia, zrobił to z użyciem niespotykanej siły. Jedyne osoby zaznajomione ze sztuką walki są w stanie aż tak się skoncentrować. Adiunkt, który przeprowadził obdukcję ciała, sądzi, że może to być ktoś, kto bierze udział w płatnych pokazach. Jak Polska długa i szeroka takie popisy co rusz się odbywają. Okazją zwykle jest festyn towarzyszący dniom miasteczka, turniej tańca, dożynki, parafiada czy u nas festiwal nauki. Kilka razy widziałam w telewizji, jak niepozorna osoba ubrana w kimono kantem dłoni roztrzaskuje stos desek. Cegły też pękają pod wprawnym uderzeniem.

- Krąg podejrzanych nie powinien być szeroki.

- Jest bardzo wąski, jeśli skupisz się wyłącznie na miejscowych. Ten,

który uśmiercił Michała, mógł skądś przyjechać. - Daniel usiłował sobie przypomnieć, gdzie w Zielonejgórze widział szyld klubu karate. O stowarzyszeniach żużlowców, koszykarzy, szczypiornistów czy piłkarzy wiedział tyle, ile przeczytał w gazecie, nawet zapamiętał kilka nazwisk pływaków, tenisistów i pięcioboistów. O strzelcach Staszek opowiadał mu aż do znudzenia. Nigdy jednak nie czytał ani nie rozmawiał o miejscowych karatekach. Nie słyszał też o unihokeistach, dopóki nie prześledził relacji z mistrzostw kraju odbywających się w Arenie Bachusa. Domyślał się, że skoro karate jest modnym sportem w innych miastach, to i w Zielonejgórze powinien istnieć klub. A może zabójcą jest ktoś, komu Michał zalazł za skórę na studiach albo w innym miejscu? Będzie musiał sprawdzić, czy studiował z nim jakiś karateka i czy we Frankfurcie jest klub karate lub innych sztuk walki.

Zielonagóra, os. Leśne, piątek, wieczór

Już następnego dnia po tym, jak Karolina de Murville rozpoczęła pracę w komendzie, aspirant Araszkiewicz dał jej do zrozumienia, że mu się podoba. Bardzo podoba. Dostrzegł w niej coś, czego nie umie nazwać, co powoduje, że w jej obecności milknie, poci się i czuje dreszcze. Jeśli prowadził przesłuchanie, a Karolina stała za lustrem weneckim, starał się zadawać takie pytania, żeby w jej oczach nie wyjść na prostego gliniarza. Nigdy tak się nie zachowywał przy Ilonie Mrozińskiej, a to przecież nie tylko inteligentna, zgrabna, dbająca o siebie kobieta, ale i szefowa wydziału.

Tadeusz także spodobał się Karolinie. Ucieszyłaby się, gdyby teraz zadzwonił i zaproponował spędzenie jutrzejszego popołudnia nad jeziorem w Dąbiu. Słyszała, że o Dąbiu właśnie rozmawiał ze znajomym. Wczoraj gdy skończyła pisanie protokołów z przesłuchania dziennikarzy, weszła do Focusa i kupiła sobie strój kąpielowy, a ponieważ była ciekawa, jak w nim wygląda, wieczorem już dwa razy go przymierzała. Pewnie jednak ani jutro, ani w najbliższym czasie Tadeusz

nie zobaczy jej w kostiumie, bo jeśli akurat nie szuka mordercy razem z Mrozińską, to pewnie kogoś przesłuchuje albo odpowiada na pytania prokuratora lub idzie do sądu na rozprawę.

Karolinie coraz mniej podobało się to, co robiła w komendzie. Gdyby znalazła inne zajęcie, niekoniecznie lepiej płatne, ale z zaplanowanymi wolnymi dniami, zwolniłaby się z policji. To nie jest praca dla młodej kobiety, która chce ładnie wyglądać, kochać i być kochanką. Ona pragnęła być żoną i matką. Nie знаła swego ojca. Nigdy nawet nie widziała jego zdjęcia. Gdy wypytywała matkę, zawsze słyszała tę samą odpowiedź:

- Ja jestem twoim biologicznym rodzicem i to musi ci wystarczyć.

Podczas studiów odważyła się spytać, dlaczego matka nigdy nie wyszła za męża.

- Nie spotkałam odpowiedniego mężczyzny.

- A ten, który jest moim ojcem? Edward?

- Zmyślony. Trzeba było coś podać w urzędzie stanu cywilnego, więc podałam pierwsze imię, jakie mi przyszło na myśl.

- Dlaczego dałaś mi swoje nazwisko, a nie nazwisko mojego ojca?

- Tak wyszło.

- Jaki on był? Jestem podobna do niego czy bardziej do ciebie? - Matka uciekła wzrokiem za okno. Karolina powtórzyła pytanie i gdy znowu nie usłyszała odpowiedzi, rzuciła: - A ja nie zostanę starą panną. Moje dzieci będą wiedziały, kto jest ich ojcem.

Następnego dnia nad ranem matka wyskoczyła przez okno. Przed śmiercią napisała list, w którym prosiła Karolinę, żeby nie szukała ojca. „On był duchownym. Na własną prośbę został przeniesiony do odległej parafii. Nikt nie domyśla się, że ksiądz jest twoim ojcem, córeczko. I dla ciebie, i dla niego będzie lepiej, żeby tak zostało”.

Dopiero wtedy Karolina zaczęła wiązać w całość to, o czym powiedział jej dziadek Armand, ojciec matki, gdy po maturze pierwszy raz pojechała do Fosses-la-Ville.

- Charlotte. - Karolina otworzyła usta, żeby przypomnieć swoje imię, gdy dziadek wyjaśnił, że Caroline i Charlotte w języku francuskim

oznacza to samo. - Na początku lat osiemdziesiątych rządzący Polską ogłosili stan wojenny. Wtedy chyba każdy Belg co miesiąc wysyłał paczkę nieznanemu Polakowi. Adres brał z książki telefonicznej. Tak robiło również wielu Francuzów, Niemców, Szwedów, Holendrów... Stan wojenny formalnie trwał półtora roku. Po jego zniesieniu Belgowie nadal pomagali Polakom, ale za pośrednictwem organizacji dobroczynnych. Do magazynu diecezjalnej Caritas każdy przynosił to, czym chciał się podzielić z Polakami. Gdy paczek nzebierało się dość dużo, ładowano je na ciężarówkę.

Twoja mama, Charlotte, była w diecezji odpowiedzialna za organizowanie pomocy. Telefonowała do centrali Caritas w Brukseli, a ta kontaktowała się z biurem polskiego oddziału po to, żeby wskazała adres, pod który należy dostarczyć transport. Najczęściej były to adresy parafii katolickich wzdłuż granicy z Niemcami. Podczas jednego z ostatnich wyjazdów twoja matka zamieszkała na plebanii. Kogo tam poznała, nigdy się nie przyznała. On jest twoim ojcem. Dlaczego się z nią nie ożenił, nie wiem, chociaż pytałem. Powiedziała jedynie, że zostaje w Polsce, że będzie cię wychowywała sama. Dość szybko dostała pracę w szkole jako nauczycielka francuskiego. No, ale o tym już wiesz - dokończył dziadek.

Karolina stała przed lustrem w nowym stroju kąpielowym, przypominając sobie tę rozmowę.

Zielonagóra, ul. Urszuli, piątek, wieczór

Dopiero po obiedzie Bojan Bojanew przypomniał sobie, że nie zaprowadził samochodu do warsztatu przy Dworcowej. Tam i jego, i jego auto znali wszyscy mechanicy. Miał to zrobić przed południem, ale Szpalta zwołała kolegium. Potem Daniel prosił go, aby opowiedział, dlaczego Michał nie siedział przy laptopie w swoim pokoju, tylko w dziale sportowym, więc wypadł mu z głowy warsztat.

Następnego dnia Bojan wybierał się do Przemyśla na mecz Stelmetu z

Polonią. Wiedział, że musi wyjechać już wczesnym rankiem, bo miał do pokonania odległość ponad sześciuset kilometrów, co zajmie najmniej osiem godzin jazdy. Ku swojej radości od rogatek Legnicy do obwodnicy Rzeszowa pomknie autostradą. Lubił szybką jazdę, toteż na A4, gdzie tylko teoretycznie obowiązuje ograniczenie prędkości, da po garach i będzie czuł się jak Robert Kubica na Hungaroringu. Zeszłej soboty, kiedy w drodze powrotnej z Gdyni przemykał przez miasteczka i wioski Pomorza, coś go zaniepokoiło. Nawet na prostej drodze samochód nie pędził prosto, tylko zjeżdżał na pobocze, a na ruchy kierownicy reagował z opóźnieniem. W trakcie wchodzenia w zakręt Bojanew słyszał stukot przy przednim kole. Postanowił, że w poniedziałek pojedzie do tego warsztatu, w którym jesienią zmieniał opony letnie na zimowe, wiosną - zimowe na letnie i czasem zostawiał passata do przeglądu. Ale nie pojechał. Dopiero dzisiaj rano umówił się z kierownikiem zmiany, że przed południem przyjedzie na Dworcową, bo pewnie trzeba wyregulować geometrię kół, a może i coś wymieni. Do osiemnastej nie zdążył.

- Krótka piłka...

- Mam znajomego mechanika niedaleko mojego osiedla. Złota rączka, tak. Powiedz, że jesteś moim kolegą, to facet wszystko zostawi i weźmie się za twoją brykę. A jak się dowie, gdzie pracujesz... Tylko nie wdawaj się z nim w dyskusję o żuźlu, tak. Zapędzi cię w kozi róg - ostrzegła go zastępczyni naczelnej.

- Ja i żuźel - zachnął się Bojan. Nie przyznał się, że za najbardziej atrakcyjną dyscyplinę sportu uważa piłkę nożną. Gdyby Lechia dostała się do pierwszej ligi, miałyby w nim najwierniejszego kibica, ale na razie na to się nie zanosi, dlatego redaktor Bojanew kibicuje koszykarzom. Od kiedy Stelmet rywalizuje z zespołami w ramach ligi europejskiej, mecze w Arenie Bachusa uważa za połączenie atrakcyjnego widowiska teatralnego z baletem i akrobatyką włącznie. Zawody żużlowe nazywał zaś cyrkiem na kółkach, a tych, którzy połowę co drugiej niedzieli spędzają na stadionie przy Szosie Wrocławskiej, traktował z pobłażaniem. Zwykle mówił:

- Żużel to sport dla ubogich. Intelktualnie i duchowo. Identycznie jak motocross czy wyścigi na quadach. Albo akrobacja lotnicza czy motorowodniactwo. Dyscypliny, w których na wynik sportowy większy wpływ ma maszyna niż człowiek, mnie nie interesują.

W duchu pytał, co takiego jest w żużlu, że zawody oglądają profesorowie, lekarze, dyrektor biblioteki, a nawet utykający na lewą nogę poeta starszego pokolenia. Obecność marszałka czy prezydenta, posłów, senatorów i radnych uważał za próbę przypodobania się wyborcom. Pamiętał, że w trakcie kampanii przedwyborczej wielu kandydatów do samorządów chwaliło się czytaniem tych książek, które akurat były modne, chodzeniem na wernisaże prac uznanych artystów, do teatru na głośne spektakle czy bywaniem na konferencjach uniwersyteckich, ale wygrywali ci, którzy przypominali o swoim zainteresowaniu żużlem.

Chuda ani nie potakiwała Bojanewowi, ani nie przedstawiała argumentów przeciwko jego tezom. Ponieważ miała doktorat z kultury fizycznej, mimo że w wyznaczonym terminie nie napisała rozprawy habilitacyjnej, w redakcji czuła się ważniejsza niż inni. Nawet Szpalę próbowała traktować z wyższością, chociaż ona, zanim została naczelną gazety, również pracowała nad doktoratem, a nawet myślała o habilitacji. Wszystkim, którzy zgadzali się z Bojanewem, Chuda wmawiała, że żużel nie jest sportem dla ubogich. Poszukiwacze łatwego zarobku próbowali zaciekawic poznaniaków, warszawiaków i łódzian wyścigami na torach żużlowych. Nie udało się. Tam, podobnie jak w Krakowie czy na Śląsku i we wszystkich pozostałych metropoliach dyscypliną dominującą jest piłka nożna. Żużel króluje w miastach średniej wielkości na południu i zachodzie Polski.

- Przede wszystkim jest to sport widowiskowy o dużym ładunku spontaniczności, tak. - Chuda broniła tych, którzy jeżdżą na motorach i tych, którzy ich podziwiają. - Dlaczego? Formuła FI w mniejszej skali.

Bojanew od urodzenia mieszkał w Zielonejgórze, a nie wiedział, jak trafić na ulicę Urszuli. Mógł spytać Chudą o drogę do mechanika, ale wtedy by się okazało, że zastępczyni naczelnaj i w tej sprawie ma nad

nim przewagę. Dopiero za wiaduktem, gdy skręcił na Dolinę Zieloną, zatrzymał się i zapytał emeryta w słomkowym kapeluszu i przyciemnionych okularach prowadzącego biskoptowego labradora na spacer do pobliskiego lasu. Ten mu wytłumaczył, którędy dojedzie na Urszuli.

- Dawniej nazywała się Róży Luksemburg - powiedział przechodzień z cynicznym uśmiechem. Chciał jeszcze coś dodać, lecz Bojanew zasunął już szybę w passacie i odjechał.

Na zielonej tablicy widniały białe litery „Mechanika pojazdowa Kwiek Aleksander”. Wyblakła tabliczka wisząca na zamkniętej bramie głosiła: „Warsztat nieczynny”. Mimo to Bojanew nacisnął na guziczek dzwonka przy furtce. Z budy za werandą wybiegł rottweiler. Nie szczekał. Nad schodami kołysała się lampa. Druga wisiała na słupie w głębi niemiłosiernie zagraconego podwórza. Przy szafliku pełnym opon, plastikowych zderzaków i blach dostrzegł koksownik z nadpalonymi bryłkami. Bałagan świadczył o tym, że właściciel warsztatu jest flejtuchem albo jest tak zawałony robotą, że nie ma czasu na zrobienie porządku.

- Czego? - padło z okna na poddaszu.

- Pan Kwiek?

- We własnej osobie, a bo co?

-Jutro jadę do Przemyśla...

- I co z tego? - przerwał mu Kwiek. - Już zamknięte. Zakład jest czynny od poniedziałku do piątku. W sobotę mam czas dla siebie. A w ogóle to zaraz jadę na stadion, żeby zobaczyć, jak chłopcy trenują na żuźlu.

- Gdzie o tej porze...

- Trzeba było myśleć.

- Moja koleżanka, doktor Chuda... - Bojanew chwycił się ostatniej deski ratunku.

- A tyle razy prosiłem Monikę, żeby mi nie podsyłała nikogo! Do niej gadać, to jak... No i co ja mogę? Poczekaj pan. Zaraz zejdę. Ale ostrzegam, że jak coś poważnego, to do niedzieli nie da rady.

Bojanew nigdy nie zastanawiał się nad tym, co zrobi, jeśli passat zepsuje się na drodze. Nawet nie wiedział, jak wezwać pomoc. Przy samochodach niewiele umiał zrobić. Gdy zapalała się czerwona lampka na tablicy rozdzielczej, zatrzymywał się na pierwszej napotkanej stacji benzynowej, otwierał klapkę i wykręcał korek do wlewu paliwa. Wtykał końcówkę pistoletu dystrybutora do otworu i naciskał dźwignię. Gdy bak był pełny, Bojanew szedł do kasy, podawał kartę kredytową, wprowadzał pin i naciskał zielony guziczek. Najbardziej cieszył się pierwszym samochodem, mimo że był to wyeksploatowany golf. Jego następców traktował przede wszystkim jako narzędzia pracy. Ku zaskoczeniu Bojanewa właściciel warsztatu, który wyszedł z domu, był niewielkiego wzrostu. Drobny, wręcz chudy i żyłasty. Bardziej z przyzwyczajenia niż z szacunku podał mu rękę. Kwiek uściśnął ją z taką siłą, że Bojanew aż syknął.

- Ma się krzepę, nie - powiedział mechanik, oczekując pochwały albo zdziwienia. - Co sprowadza o tej porze?

Bojanew poskarżył się, że kiedy tydzień temu wracał z meczu koszykarzy Stelmetu z Gdyni, na prostej i równej drodze musiał mocno trzymać kierownicę, bo passat zjeżdżał na bok. Przy nabieraniu prędkości podrygiwał, a przy wchodzeniu w zakręt piszczwały ośki albo coś przy kole, co wcześniej się nie zdarzało.

- Musiałeś pan w coś przyfasolić. Najpewniej w wysoki krawężnik - powiedział Kwiek. - Trzeba wyregulować geometrię kół.

-Jak już pan będzie regulował, to proszę też sprawdzić stan klocków hamulcowych. Gdyby nie to, że jutro rano muszę jechać do Przemysła na mecz naszych koszykarzy, poczekałbym do poniedziałku, krótka piłka.

Krótką piłką? Mechanik nagle się odwrócił i udawał, że wpatruje się w koła samochodu. Kątem oka lustrował Bojanewa. Czyżby redaktor z gazety? Taki zwyczajny? Rozmawiał z nim kilka razy przez telefon, wtedy wydawało mu się, że to ważniak, a on takich nie lubił. Aha, przysła koza do woza.

Kwiek, Kwiek? Gdzieś to nazwisko obilo się Bojanewowi o uszy. Do

liceum chodził z bliźniakami Kwiecińskimi. Nie pamiętał wszystkich koleżanek ze studiów, ale niewiele brakowało, żeby Małgorzata Kwieciń została jego żoną. Może w Nowej Soli siedział jakiś Kwiek?

- Już wiem! - wykrzyknął uradowany. - Pan ścigał się na żużlu. Razem z Błażejczakiem, Molką, Zarzeckim? - rzucał nazwiskami. Kwiek przytaknął i uciekł wzrokiem w stronę złomowiska, jakby się wstydził. - Na koniec kariery w Vasterviku. W Szwecji za bardzo nie szło, co?

- U nich trochę inaczej trzeba jeździć.

- Zdaje się, że w rezerwach Gremplera też jest Kwiek. Może to młodszy brat?

-Syn.

- Nie ma talentu ojca, co, dlatego w rezerwach?

- Kluczyk - rzucił Kwiek przez zaciśnięte zęby i wyciągnął do Bojanewa prawą dłoń, tę z wytatuowaną myszką między kciukiem a palcem wskazującym. Na przedramieniu miał górę na tle wschodzącego słońca, a wyżej trupa czaszkę z piszczelami.

- Pokutowało się w Koronowie? - spytał dziennikarz, pokazując wzrokiem na tatuaże.

Zamiast odpowiedzieć, Kwiek powtórzył:

- Kluczyk.

-Jest w środku.

- Na którą ma być gotowy?

- Passat?

-A co innego?

- Zęby być w Przemyślu po południu, muszę wyjechać najpóźniej o siódmej. Szefie, da radę, krótka piłka?

- To do siódmej.

- Mogę zapłacić kartą czy koniecznie muszę mieć gotówkę?

Kwiek się zirytował, bo zdał sobie sprawę z tego, że nie może zostać najmniejszy ślad obecności Bojanewa w warsztacie. Obejrzał się, jakby sprawdzał, czy z okien sąsiednich domów ktoś go obserwuje.

- Kartą nie da rady, bo terminal z tydzień temu nawalił - skłamał. - Dałem do naprawy, ale im się nie spieszy.

Zielonagóra, os. Słoneczne, sobota, przedpołudnie

O wszystkim, bez czego nie można się obyć w kuchni, starała się pamiętać Miśka. Jedynym codziennym obowiązkiem Daniela było dbanie, żeby w domu nie brakowało świeżego chleba. Codziennie zajeżdżał więc do piekarni. W sobotę kupował chrupiące bułki i od ponad dwudziestu lat przygotowywał takie samo śniadanie: owsiankę, kanapkę dla żony, dwie dla siebie i dzbanek herbaty. Dopóki dzieci nie poszły na studia, owsiankę gotował w dużym garnku i robił więcej kanapek.

Od rana dopisywał mu humor. Cieszył się, że zaczęła się sobota, więc nie musi iść do redakcji, oraz że nareszcie pogoda wyglądała na taką, na jaką czeka każdy weekendowy lotniarz. Zalogował się na stronie aeroklubu i sprawdził najważniejsze parametry: ciśnienie, wilgotność, punkty rosy, prędkość, kierunek i odczucie wiatru. Potem - jak przed laty, kiedy nie było faksów, telefonów komórkowych i internetu - zadzwonił do dyżurnego na lotnisku, żeby sprawdzić, czy to, czego się dowiedział ze strony Aeroklubu Ziemi Lubuskiej, jest zgodne z prawdą. Niekiedy parametry zmieniały się tak szybko, że zanim wsiadł do „pięćsetki” i po kwadransie zatrzymał się na parkingu przy lotnisku w Przylepie, były nieaktualne. Od umiejętności i doświadczenia lotniarza bardzo dużo zależy, ale jeszcze więcej od stanu pogody. Daniel już dawno przekonał się, że gdy na płycie lotniska rękaw anemometru wskazuje lekki wiatr, nie oznacza to, że dwieście metrów nad ziemią jest tak samo. Ile razy wychodził z domu, tyle razy mówił Miśce, dokąd jedzie i zęgnął się z nią, jakby miał nie wrócić cały i zdrowy. Lotniarstwo jest przyjemnym i niebezpiecznym zajęciem, podobnie jak zjeżdżanie do jaskiń, czym zajmował się pod koniec studiów. Może gdyby jego najlepszy kolega nie zsunął się w Jaskini nad Kotłami i nie złamał kręgosłupa, teraz Jung byłby grotolazem.

Miśka śmiała się, że Daniel lubi bujać, o czym miało świadczyć również jego zainteresowanie filmami fantastycznymi. Jeszcze jako

policjant nie opuścił żadnego filmu z gatunku alternatywnych historii. Później polubił *Iow fantasy*, a *Władcę Pierścieni* oglądał więcej razy niż *Czas apokalipsy*. Filmy traktował jak pouczającą rozrywkę, jednak wolał książki fantastyczne, których akcja dzieje się w niedalekiej przeszłości.

Kiedyś stwierdził, że z oglądania filmów i czytania książek mógłby zrezygnować, ale z lotniarstwa nigdy. Jesienią kupił najnowszy model dwuosobowej motolotni. Wiele razy namawiał żonę, żeby się z nim wybrała do klubu i obejrzała to, co bociany czy jaskółki widzą na co dzień. Miasto widziane z góry nie ukrywa swoich tajemnic. Miśka jeszcze nigdy nie latała.

Odkąd mieszka na Słonecznym, jak każdej soboty o ósmej Daniel poszedł do osiedlowego sklepiku po chleb i bułki. Na ulicy spotkał Staszka. Od słowa do słowa, doszli do tematów związanych ze sportem. Dowiedział się od niego, że w Zielonejgórze jest kilka ośrodków, które za pieniądze uczą amatorów sztuki walki.

- Znam szefa tej najważniejszej szkoły. Chcesz, umówię cię z nim. - Staszek zaoferował swoją pomoc, nie dociekając, dlaczego Daniel interesuje się karatekami. Jako emerytowany policjant, były zawodnik i trener strzelców, pozorny brak zainteresowania wszystkim, co się działo w jego otoczeniu, miał we krwi. W rzeczywistości wiedział, kto u kogo bywa i o czym z nim rozmawia.

- Załatwisz? Zależy mi na czasie. Chciałbym jeszcze dziś z nim pogadać. Najlepiej po południu, gdy wrócę z lotniska. Odwdzięczę się!

W trakcie śniadania odezwała się komórka. Dzwonił Staszek z informacją, że szef tej najważniejszej szkoły sztuki walki będzie czekał od piątnastej.

-Jeśli dziś ci nie pasuje, jutro możesz z nim rozmawiać. W poniedziałki i wtorki szkoła jest nieczynna.

- A szef to ktoś, z kim da się... ?

- Spec od prawa medycznego na uniwersytecie. Doktor Pogonowski. Znam go od dziecka. Jego ojciec był naczelnikiem wydziału w komendzie i członkiem zarządu Gwardii.

Daniel pomyślał, że Miśka też powinna znać Pogonowskiego. Ile osób

w Zielonejgórze specjalizuje się w prawie medycznym? Dwie, trzy, na pewno nie więcej. A może taki prawnik ma gabinet w katedrze patomorfologii i jest kolegą z pracy Miśki albo jej podwładnym?

Komórka znowu przypomniała o swoim istnieniu. Nie patrząc na wyświetlacz, kto dzwoni, Daniel wdusił zielony guziczek.

- Bojan miał wypadek!

- Kto mówi?! - zawołał. Dopiero po chwili zorientował się, że to głos zastępczyni naczelnej.

- Z policji dzwoniли do szefowej. Ona mi powiedziała, tak, że Bojan miał wypadek. Od jego passata oderwało się koło czy coś. Gdzieś na obwodnicy za Raculą. W tym momencie nie znam szczegółów. Szefowa kazała... Pojedzie redaktor ze mną.

- Koło się oderwało?

- Dokładnie.

- To nie powinno się zdarzyć.

-Co?

- Odpadnięcie koła w trakcie jazdy.

- A... Generalnie rzecz biorąc, na temat konstrukcji samochodu wiem... Trzeba tam jechać, redaktorze, w tej chwili, tak - rzuciła Chuda głosem niecierpiącym sprzeciwu.

Daniel również miał mgliste pojęcie o szczegółowej budowie samochodu. Pamiętał, po której stronie jest kurek wlewu paliwa i co trzeba zrobić, żeby dostać się do zbiorniczka na płyn do spryskiwaczy. Chociaż prawo jazdy zdobył jeszcze na studiach, tej ostatniej czynności nauczył go pracownik stacji benzynowej dopiero zeszłej jesieni. Przeczytał instrukcję, gdzie szukać koła zapasowego, ale gdyby trzeba było je wymienić, pewnie nie umiałby tego zrobić.

- Zdarza się szczególnie na autostradach, że odpada koło bliźniacze od samochodu ciężarowego. Oczywiście to stanowi poważne zagrożenie dla pędzących aut. Zwykle ciężarówka ma więcej niż cztery koła, więc sobie radzi. Nie słyszałem, żeby urwało się koło od osobówki. Chyba że samochód zahaczy o słupek albo uderzy w barierkę. A co z Bojanewem?

-Żle.

Zielonagóra, obwodnica miasta, sobota, przedpołudnie

Dwaj policjanci z drogówki, którzy pierwsi byli na miejscu wypadku, również twierdzili, że koło od samochodu osobowego nie powinno się urwać.

- Nie powinno, ale się urwało, tak - powiedziała Chuda nie wiadomo do kogo. - Takie te samochody teraz robią. Skończy się gwarancja i trzeba kupować nowe auto. Generalnie rzecz biorąc, tak samo jest z lodówką, pralką, telewizorem. Dlaczego? Może odpowiem w ten sposób: rząd ma nas za nic. Jesteśmy mięsem wyborczym. Potrzebują nas raz na cztery lata, tak.

Ilona Mrozińska zmierzyła ją krytycznym wzrokiem. Boże, jaka ta baba jest pewna siebie, pomyślała. Takie jak Chuda najlepiej omijać z daleka.

- Tyle lat jestem na drodze, a nigdy czegoś podobnego nie widziałem - rzekł sierżant, którego Jung pamiętał jeszcze z czasów, gdy pracował w pionie kryminalnym komendy miejskiej. - Ciężarówom, owszem, zdarza się zgubić koło zewnętrzne. Najgorzej jest na autostradzie, gdy wystrzeli opona w tirze. - Co czuje nos pana sierżanta w tej konkretnej sprawie? - spytał Jung, pokazując ręką na rozharatanego passata leżącego do góry kołami w rowie. - Skutek nadmiernej prędkości czy wada techniczna? A może jeszcze coś innego?

Policjant pokręcił głową, dając Jungowi do zrozumienia, że gdyby byli sami, powiedziałby, co myśli. Chudej nie zna, więc woli się nie wypowiadać przy dziennikarzach, tym bardziej że prokurator również milczy.

- Poczekajmy na biegłego - odezwał się prokurator. - Już kazałem go wezwać.

Kiedy Chuda dojeżdżała do miejsca wypadku, kierowca mercedesa oznaczonego logiem zakładu pogrzebowego zatrząskiwiał drzwiami. Wcześniej w stronę miasta ruszył ambulans ratunkowy, który, tego Jung

się domyślał, okazał się zbyteczny, ponieważ znajdujący się w nim medyk potwierdził zgon. Na samochodzie straży pożarnej jeszcze migły niebieskie lampki, a dwaj ratownicy już pakowali sprzęt do bagażnika. Na poboczu leżały nożyce do rozcinania blachy.

- Nieszczęścia chodzą parami, tak. Trzy dni temu nieznaną zbrojca pozbawił życia redaktora Kostrzyńskiego - powiedziała Chuda. Po chwili namysłu dodała: - Generalnie rzecz biorąc, na naszej stronie koniecznie trzeba dać wzmiankę, tak. W tym momencie można większą informację przygotować do wydania papierowego na poniedziałek. Nie łączyłabym tego wypadku z zabójstwem Michała, tak, ale o tamtym także trzeba wspomnieć. Tekst do akceptacji, tak.

- Na razie, poza tym że na S3 w drodze na mecz koszykówki do Przemyśla zginął kierownik działu sportowego naszej redakcji, Bojan Bojanew, niewiele jest do akceptowania. Druga śmierć w tym tygodniu.

- Niech redaktor dowie się więcej. Od tego redaktor jest, tak.

- Generalnie rzecz biorąc, czego mam się dowiedzieć? W tym momencie, od kogo? Mnie się wydaje, że jeszcze jest za wcześnie, tak.

Chuda nie domyśliła się, że Jung ją przedrzeźnia.

- Odpowiem tak: przede wszystkim tego, jak doszło do wypadku.

- Sprawami kryminalnymi jako dziennikarz zajmuję się od jedenastu lat. Jeszcze nie było takiego przypadku, żeby kilkanaście minut po śmiertelnym zdarzeniu na drodze policja podała przyczynę wypadku. Zresztą w obecności pani redaktor spytałem sierżanta. Słyszała pani, co odpowiedział.

- Generalnie rzecz biorąc, redaktora sprawa, tak, jak to załatwi. Można powiedzieć, czytelnicy płacą za gazetę i muszą poznać prawdę. - Po krótkim namyśle dodała łagodniejszym głosem: - Przecież w policji musi być jakiś rzecznik. Na przykład może redaktor podejść do prokuratora. On jest funkcjonariuszem publicznym, a nasza gazeta służy społeczeństwu.

Daniel już miał na końcu języka, że gdyby Chuda przeszła taką samą drogę jak każdy dziennikarz, a nie po znajomości została zastępczynią redaktorki naczelnej, nie wydawałaby idiotycznego polecenia.

Największym nieszczęściem polskich gazet jest to, że funkcje kierownicze obejmują w nich amatorzy, którzy traktują dziennikarzy jak leniwych głuptaków. Jeszcze gorzej bywa w radiu i telewizji publicznej, gdzie konkursy na prezesów wygrywają ci, którzy mają legitymacje partyjne i są znajomymi szefów zarządów regionalnych.

- Już jest biegły. Docent Pastwa z zakładu budowy i eksploatacji pojazdów Uniwersytetu Zielonogórskiego - powiedział prokurator, wskazując głową na białą skodę zatrzymującą się na poboczu. - Za kilka minut wstępnie stwierdzi, co mogło być przyczyną wypadku. Na szczegółową opinię będziemy musieli cierpliwie poczekać. A swoją drogą - zwróć! się do Chudej - nikt tak dobrze nie zna zasad współpracy ze śledczymi, jak redaktor Jung. To naprawdę dużej klasy dziennikarz śledczy. Byłby jeszcze lepszy, gdyby na lamach gazety nie wyprzedza! prokuratury.

Biegły podał rękę tylko prokuratorowi i jakby wszystko wiedział, ruszył w stronę przewróconego passata. Obszedł go, przykucnął i zajrzał do środka. Podnosząc się z kolan, pokręcił głową z niedowierzaniem. Zrobił dwa kroki i znowu przykucnął, tym razem przy przedniej osi. To spoglądał na leżące na poboczu koło, to na półośkę, jakby sprawdzał, czego brakuje. Nic nie mówiąc, wkładał mały palec w otwory na śruby mocujące i kręcił głową. Potem wyjął z torby przykładnicę i zeszyt, coś zmierzył i zanotował. Na koniec obiektyw aparatu fotograficznego wycelował w kołnierz półośki i piastę. Zrobił serię zdjęć. Podniósł kołpak i ze wzrokiem wbitym w pobocze, jakby jeszcze czegoś szukał, szedł w stronę prokuratora.

- Oczywiście zgodnie z umową sporządzę ekspertyzę mechaniczną na piśmie i dołączę fotografie oraz szkice.

- Na gorąco, panie docencie, do jakiego wniosku doszedł pan po przeprowadzeniu wstępnych oględzin? - spytał Jung, nie licząc na to, że Pastwa w ogóle odpowie na to pytanie.

Chuda miałaaby okazję, by się przekonać, jak trudno jest zdobyć informacje.

- Wstępnie jestem skłonny przedstawić argumenty za tym, że przednie

prawe koło odpadło w wyniku wcześniejszego celowego nadcięcia kołnierza półosi. Dobrze zamaskowane przepiłowanie nie zawsze bez specjalistycznych oględzin od razu jest widoczne. Mogło też nastąpić fizyczne zmęczenie materiału, co spowodowało oderwanie się piasty od półosi. Koło odpadło pod wpływem wstrząsów na nierównej nawierzchni. Proszę spojrzeć - docent wskazał zagłębienie na skraju drogi i zrobił dwa zdjęcia - to przypuszczalny sprawca wypadku. Jest również trzecia ewentualność: ktoś poluzował lub usunął niektóre śruby mocujące tarczę koła na piaście. Ten, kto je poluzował lub usunął, zrobił to... z premedytacją. Chociaż...

- Tak? Jest coś jeszcze? Jeśli to nie tajemnica... - zacięła się Chuda.

- Kierowca sam zmieniał koło i nie dokręcił śrub. To ostatnia ewentualność. Motoryzacją zajmuję się od dziecka, a biegłym sędziwym z zakresu mechanoskopii jestem od blisko dwudziestu lat, ale z czymś podobnym się nie spotkałem. W tym modelu opla passata pięć śrub przytrzymuje felgę, proszę pani. Nawet niestaranne ich dokręcenie nie powinno spowodować oderwania koła. Od zewnątrz zabezpiecza je pokrywa maskująca, czyli pospolity kołpak. Jeśli ta część została wykonana z plastiku, ma prawo się wykruszyć i odlecieć, co niekiedy się zdarza. Akurat ten jest zrobiony z aluminium. - Wyjął z kieszeni worek foliowy i wcisnął do niego kołpak. - Przypuszczalnie poza odciskami moich palców technik znajdzie tam ślady pozostawione przez inne osoby.

- Czyżby celowo ktoś odkręcił śruby?

- Raczej poluzował i je zamaskował plastikowymi nakładkami, proszę pani. One ledwie siedziały w gniazdach. Jak wspomniałem, na każdej drodze, także na ekspresówce, są wyrzuszenia, szpary, szczeliny, dziury, większe i mniejsze pęknięcia. W czasie jazdy resory i amortyzatory tłumią podskoki, ale drgania niewyczuwalne przez kierowcę mogą powodować wysuwanie się śrub. Być może właśnie z czymś takim mamy do czynienia w wypadku tego passata.

Daniel już miał na końcu języka pytanie, czy w trakcie jazdy kierowca nie wyczuwa, że coś jest nie tak z kołami, lecz Chuda odezwała się

pierwsza:

-Jaki z tego wniosek, panie docencie?

- Nie wierzę, by kierowca nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji niedokręcenia śrub. I jeszcze coś. Jeśli wymienił opony zimowe na letnie, a dziś niewiele trzeba przekonywać o korzyściach, zrobił to najpóźniej na początku kwietnia. Zresztą nic nie wskazuje na to, żeby opony zostały niedawno wymienione. Są natomiast świeże ślady zdejmowania koła. Po co? - Biegły odwrócił się do prokuratora. - Jako dyletant w sprawach kryminalnych skierowałbym to pytanie do odpowiednich organów.

- Więc to nie był nieszczęśliwy wypadek?

- Tak sądzę - odpowiedział docent Pastwa.

Zielonagóra, al. Niepodległości, sobota, popołudnie

Monika Chuda nie odzywała się do Daniela Junga przez całą drogę do redakcji. On również milczał i zastanawiał się, komu Bojanew zalazł za skórę, bo przecież musiał komuś zaleźć, skoro wykręcono mu śruby mocujące koło. Komuś w redakcji? Chyba nie, zwłaszcza że nie miał ambicji kierowniczych i większość dziennikarzy traktowała go jak brata-łate. Był typem człowieka, który łatwo zmieniał swoją opinię, ale jak już wyrobił sobie o kimś zdanie, to bez względu na konsekwencje się go trzymał. W redakcji nikomu nie skakał do oczu, chociaż miał niewyparzony język. Często przyszywał łatki przeciętnym zawodnikom i ich opiekunom. Na początku zeszłego roku dyrektor Gremplera domagał się od redaktorki naczelnej odsunięcia Bojanewa od kierowania działem sportowym, bo, jak twierdził, niszczy żużel. Szpalta nigdy nie wspomniała o tym redaktorowi.

- Troszkę doświadczenie, ale przede wszystkim mój nos podpowiada, że Michał jest przypadkową ofiarą. W czwartek miał zginąć Bojanew. Niestety, dowodów nie ma, nawet poszlaki wyglądają na naciągane - powiedział Jung, gdy weszli do budynku redakcji.

- Generalnie rzecz biorąc, wskazanie zabójcy należy do zadań policji, tak. Każdy ma robić to, za co mu płacą - zgasła go Chuda. - Za dwie godziny niech redaktor gdzieś zadzwoni i dowie się, jaki jest wynik meczu.

- Jakiego meczu?

- W Przemysłu. Tego, na którym miał być Bojan, tak.

- A kto z kim? - Daniel interesował się koszykówką, więc dobrze wiedział, kto z kim gra, mimo to spytał wicenaczelną. Nie lubił niczego robić na rozkaz, dlatego odszedł z policji, chociaż akurat w pionie kryminalnym panowała większa swoboda niż w prewencji czy drogówce.

- Generalnie rzecz biorąc, gdyby redaktor uważniej przeglądał swoją gazetę, nie zadałby mi takiego pytania.

- Pingpongiści?

-Nie.

- Żuźłowcy?

- O ile pamiętam, to w Przemysłu nie ma klubu żuźłowego. Najbliższe są w Rzeszowie, Krośnie i Tarnowie oraz we Lwowie.

- W takim razie...

- W Przemysłu, redaktorze Jung, dziś grają nasi koszykarze.

-AZS?

- Akademicy to drużyna żeńska w drugiej lidze siatkówki, tak. W ekstraklidze występuje niegdysiejszy Zastał, teraz pod nazwą Stelmet.

- Ma pani numer telefonu osoby, do której mógłbym zadzwonić w sprawie wyniku meczu? - przypuszczał, że zezłości Chudą, mimo to spytał. Nie lubił i nie cenił karierowiczek.

- Jung, przestań mnie wkurwiać. I pamiętaj, żeby jeszcze dziś na naszej stronie w sieci był podany rezultat meczu. Jak będziesz dowiadywał się o wynik, trzeba wypytać o przebieg spotkania w poszczególnych kwartach, tak. W tym momencie kilka zdań wystarczy.

- Zrobiłbym to bez dyskusji, gdybym znał się na sporcie chociaż w połowie tak, jak się znam na dziennikarstwie śledczym. Nigdy nie byłem na meczu koszykówki. Powiedziała pani „kwarta”. A co to jest? To pani studiowała na AWF-ie i ma doktorat z kultury fizycznej...

- Rudy, kurwa mać, to jest polecenie służbowe - rzuciła Chuda, robiąc rozkazującą minę i wyciągając palec wskazujący przed siebie. - Jeśli masz chęć pracować w tej gazecie, nie zmuszaj mnie do podejmowania natychmiastowej decyzji, tak.

Gdybyś umiała pisać, napisałabyś rozprawę habilitacyjną i teraz nie kazałabyś mi dzwonić do Przemyśla, pomyślał Daniel i bez słowa poszedł do pokoju reporterów. Znowu przegrał, co dawniej rzadko się zdarzało.

Pod koniec marca w czasie pierwszego kolegium z udziałem prezesa wydawnictwa Szpalta spytała, czy potrzebny jest kierownik działu sportowego, skoro jej zastępczynią została doktor Chuda.

- Generalnie rzecz biorąc, doktor Chudy, koleżanko redaktor, tak - odezwała się Monika.

- Chuda, redaktorko - poprawiła ją Regina, która lubiła wszystkich pouczać. - W języku polskim identycznie jak w czeskim czy rosyjskim nazwiska kobiet wyraźnie przyjmują formę żeńską. Jako żona Mikołaja Zielińskiego jestem Zielińska.

- Generalnie rzecz biorąc, proszę panią, mi się wydaje, że moje nazwisko jest nieodmienne - postawiła się wicenaczelną.

- Gdyby pani studiowała polonistykę, a nie robiła fikołki w drugorzędnej szkółce wyższej, wiedziałaby, że w Rzeczypospolitej obowiązują zasady określone w *Ustawie o języku polskim*. Ostatnie zmiany były w dwa tysiące jedenastym roku - Regina nie ustępowała.

- W tym momencie niech pani przestanie mnie pouczać. Od tego ja tu jestem, tak - przypomniała zastępczyni.

- Monika, przecież jak kadrowiec sprawdzał zgodność ankiety personalnej z dowodem osobistym, to podałaś Chuda - przypomniała jej Szpalta.

- Dokładnie, ale nie życzę sobie, aby tak mnie nazywano.

- A jak mamy się do pani zwracać?

- Odpowiem tak: Chudy, proszę panią. Jestem Chudy Monika.

- Generalnie rzecz biorąc, mówi się „proszę pani”. Z dopełniaczem, a nie z biernikiem - powiedziała Regina, dając do zrozumienia, że nie

tylko poucza ją w sprawie gramatyki, ale i szydzi z „generalnie rzecz biorąc”. - Po wtóre w rozmowach nieurzędowych najpierw podaje się imię, potem nazwisko. Po trzecie prawo to nie to samo co widzimi się. Prawo oznacza porządek. Ustanowiono je po to, proszę pani doktorki, aby porządkować rzeczywistość i by było przestrzegane.

- Jestem doktorem nauk o kulturze fizycznej, tak - rzuciła wicenczelna tonem urzędniczki wściekłej na petenta.

- Jest pani kobietą, czyli doktorką i zastępczynią redaktorki naczelnej - nie ustępowała Regina. - Dziwne. Pani się wstydzi tego, że jest kobietą?

- A pani jest dosłownie fiśnięta.

Podczas ćwiczeń ze studentkami dziennikarstwa Daniel Jung również często je poprawiał. Większość nie miała nic przeciw temu, gdy kobietę uczącą angielskiego w podstawówce nazywał anglistką, kierującą szkołą - kierowniczką albo dyrektorką, wypisującą recepty - lekarką, podającą kawę gościom dyrektorki - asystentką czy sekretarką, pracującą w redakcji - dziennikarką. Pomiędzy nimi były i takie, które próbowały go przekonać, że męska forma podnosi znaczenie wykonywanego zawodu.

- Lekarka w gabinecie okulistycznym to okulistka, w pracowni stomatologicznej - dentystka - przyznała mu rację kierowniczka działu politycznego, gdy podczas kolegium dyskusja zeszła na sprawy języka. - A twoja żona kiedykolwiek powiedziała, że jej podwładną jest patomorfolożka? Czy gdy opowiadała o tym, co się dzieje na uniwersytecie, bo w domu na pewno rozmawiacie o pracy, mówiła o swoich koleżankach ginekolożkach, ortopedkach? Murarzowi nie przejdzie przez usta zwrócenie się do kobiety kierującej budową „inżynierko”. Dla niego ona jest panią inżynier. Identycznie nikt nie zwróci się do kobiety pełniącej funkcję prezydenta miasta „pani prezydentko”. Co powiesz na profesorkę zwyczajną doktorkę habilitowaną?

Daniel Jung upierał się, że skoro feministki wychodzą na ulice z hasłami domagającymi się równego traktowania obu płci, to nie powinny sprzeciwiać się takiej formie nazewnictwa. Zresztą za jakiś czas ludzie przyzwyczają się do profesorek zwyczajnych tak, jak przyzwyczaili się do lekarek. Czas jest cierpliwym nauczycielem.

- Końcówka wyrazu określającego wykonywany zawód przecież nikogo nie kompromituje, a może ułatwić życie - uzasadniał swoją tezę.

Gdy w sali zapadła cisza, uznał, że przekonał studentki, ale wtedy ta, która najodważniej broniła swoich racji, spytała, jak nazwie mężczyznę pracującego w zakładzie kosmetycznym. Już otworzył usta, żeby powiedzieć: skoro kobieta jest kosmetyczką, to mężczyzna powinien być kosmetykiem, gdy zdał sobie sprawę, że tak się określa produkt służący do pielęgnacji, oczyszczania, ochrony i upiększania ciała. Może kosmetolog? Ale przecież kosmetolog - podobnie jak kosmetolożka - to osoba wykonująca ten zawód po studiach. Co z mężczyznami zajmującymi się usługami kosmetycznymi po szkole policealnej? To trochę lekarze, trochę artyści. Przyznał, że nie wie, i już więcej nie dyskutował na ten temat.

- Generalnie, niech mnie pani nie wkurwia, tak - rzuciła oburzona wicenaczelną w stronę Reginy.

- Trafiała kosa na kamień, co, doktorko z bożej łaski? - nie dawała się dziennikarka. - A przy okazji, dlaczego tam, gdzie nie trzeba, wtrąca pani „tak”? Podobnie jak często powtarzane „w tym momencie”, „dokładnie”, „super” czy „generalnie”, jest to denerwujące i źle świadczy o obyciu mówiącego.

Mimo że Daniel rozmawiał z Reginą jedynie wtedy, gdy musiał, i nie wdając się w dyskusję, teraz stanął po jej stronie. Powiedział z przekąsem:

- Pani Moniko, nasza gazeta dociera zarówno do ludzi wykształconych, jak i niedouczonej. Wiele osób się na nas wzoruje, dlatego świętym obowiązkiem dziennikarzy jest posługiwanie się poprawną polszczyzną. Dotyczy to nie tylko nas, gazetowców, lecz również naszych kolegów w telewizji i radiu. To było po pierwsze - zaakcentował, zwracając głowę w kierunku Reginy. - Po drugie w tekstach, do których w każdej chwili można zajrzeć, musimy przestrzegać normy. Nie wszystkie są logiczne, ale stanowią prawo, a prawo...

- W tym momencie żyję w demokratycznym kraju, tak, i będę robiła

to, co mnie się podoba.

- Może policjantowi z drogówki, gdy zatrzyma panią za przekroczenie prędkości i zechce wlepić mandat, również pani powie, że jeździ szybko, bo tak się pani podoba?

- Na drodze co innego.

- Koleżanki i koledzy mają rację, koleżanko redaktorko - powiedział prezes wydawnictwa. - Zarówno na drodze, jak i w dziennikarskiej pośuszczynie bezwzględnie trzeba przestrzegać przepisów.

Pomimo że Szpalta podniosła się i skuwką długopisu uderzyła w brzeg filizanki, co oznaczało koniec dyskusji, Regina nie dawała za wygraną.

- Pani była Chuda jako nauczycielka akademicka i jest taka sama jako zastępczyni redaktorki naczelnej. Nawet zmiana nazwiska pani nie pomoże.

Miesiąc później Regina chodziła od redakcji do redakcji i prosiła o jakąkolwiek pracę. Zięć Kunickiego, który jest właścicielem agencji reklamowej, przyjął ją na próbę do działu telemarketerek tylko dlatego, że kiedyś też został wyrzucony z „Gazety Zielonogórskiej”.

Zielonagóra, ul. Wąska, sobota, późne popołudnie

Jeszcze wczoraj komisarz Mrozińska powinna była zwolnić Gardockiego. Ten, którego podobizna była na wydruku z monitoringu miejskiego, w niczym nie przypominał zatrzymanego, ale przecież to jeszcze niczego nie przesądzało. Mógł ominąć kamerę. Którędy, tego nie miała ochoty badać. Ochroniarz nie potwierdził, że osobą, która w czwartek przed południem weszła do budynku redakcji i pytała o Bojanewa, był zastępca dyrektora jednego z departamentów w urzędzie marszałkowskim. Nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył zdecydowanie. Dlatego wczoraj nie wypuściła podejrzanego. Dziś rano zastanawiała się, czy zrobiła wszystko, żeby wydusić z Gardockiego przyznanie się do zamordowania Michała Kostrzyńskiego.

- Jak mam panią przekonać, że jestem niewinny?! - wrzasnął Gardocki,

chwytając się oburącz za głowę, gdy wczoraj po południu jeszcze raz go przesłuchiwała.

Coś jej nie pasowało w jego wyglądzie. Była przekonana, że przed chwilą wyraźnie widziała małżowinę jego prawego ucha, a teraz zasłaniały ją włosy. Peruka?

- Czy pana włosy są naturalne?

Gardocki jakby się zawstydził. Najpierw pokręcił głową, a potem bąknął:

-Nie.

- Pan nosi perukę?

-Nie.

- Nie?

- Noszę tupecik.

Laborantka z pracowni badań biologicznych nie potwierdziła związku sztucznych włosów znalezionych w pokoju kierownika działu sportowego gazety z naturalnymi, z których był zrobiony tupecik Gardockiego.

Chwilę po telefonie prokuratora z informacją, że w wypadku drogowym na obwodnicy miasta zginął redaktor Bojanew, komisarz zeszła do izby zatrzymań.

- Jest pan wolny - powiedziała do Gardockiego, spodziewając się werbalnego ataku. Niemal wszyscy dyrektorzy, prezesi i radni straszili ją złożeniem skargi do sądu za niesłuszne zatrzymanie i niewłaściwe traktowanie podczas przesłuchań. Tylko raz zdarzyło się, że sędzia poprosił policjantkę, żeby przekonała sąd, dlaczego aresztowanie na trzy miesiące jest słusznym rozwiązaniem. Chodziło o narzeczonego córki posła partii opozycyjnej. Przygotowana na to przez prokuratora, powołała się na obowiązujące ją procedury.

Gardocki się nie odezwał. Milcząc, szedł z opuszczoną głową za dyżurnym. Komisarz wołałaby, żeby coś powiedział, nawet na nią nakrzyczał. Jeszcze w czwartek wieczorem telewizja publiczna podała informację o zatrzymaniu podejrzanego w związku z morderstwem w redakcji. Informację natychmiast powtórzyły wszystkie komercyjne

rozgłośnię i kablówka. Czy radio regionalne również poszło tą drogą, tego rzeczniczka komendanta nie wiedziała. Pomimo że obie piątkowe gazety dużo miejsca poświęciły morderstwu w redakcji, nie było w nich wzmianki o tym, kogo policja zatrzymała. Daniel, doświadczony reporter śledczy, zanim cokolwiek napisze, starannie dobiera słowa i telefonuje do zaprzyjaźnionego profesora z uniwersyteckiego wydziału prawa. Nie zdarzyło się, żeby po jego tekście ktokolwiek domagał się sprostowania informacji. Dlatego „Gazeta Wyborcza” nie poszła w ślady rozgłośni komercyjnych, nad tym się nie zastanawiała.

Nie przyszło jej na myśl, że Gardocki się wstydzi. Wiedział, że gdy wróci do domu, żona będzie mu wyrzucała, że żałował pieniędzy na prezent imieninowy dla teścia. Gdyby chodziło o sąsiada czy dzieci drugiego męża młodszej siostry, machnęłaby ręką, ale to przecież jej ojciec. Nie mieliby tego domu na Dolinie Luizy, gdyby teść nie dołożył części swoich pieniędzy odkładanych na trudniejsze czasy. W dodatku teść uważał Dominika za najlepszego zięcia.

- Do widzenia - powiedziała komisarz, wyprowadzając Gardockiego na schody, skąd roztaczał się widok na coraz bardziej zaniedbany park, za którym była wiata autobusowa. - O tej porze ósemka odjeżdża do centrum co dziesięć minut. Bilet kupi pan w autobusie. I proszę go skasować.

Gardocki nawet się nie obejrzał. Zamiast na przystanek poszedł w stronę postoju taksówek. Pewnie sądzi, że jeśli wsiądzie do autobusu, wszyscy pasażerowie będą wiedzieli, gdzie spędził dwie ostatnie doby, pomyślała Mrozińska, znikając za drzwiami budynku.

Zielonagóra, ul. Dworcowa, niedziela, przedpołudnie

Daniel Jung pamiętał o tym, co Staszek mu powiedział, ale dopiero gdy zatrzymał „pięćsetkę” na niewielkim parkingu przy dworcu kolejowym, zdał sobie sprawę, że zapomniał porozmawiać z Miską o szefie karateków, znawcy prawa medycznego.

- Jedna moja część należy do katedry patomorfologii, kierowanej przez pana małżonkę, gdzie mam pół etatu - przyznał doktor Pogonowski. - Natomiast za drugie pół staram się odwdzięczać zakładowi bioetyki. A tak w ogóle to najbardziej interesuje mnie prawo w dyscyplinach zaliczanych do sportów walki, szczególnie karate fudokan. Marzeniem ojca było, abym został strzelcem, ale okazało się, że brakuje mi talentu. Akurat w strzelectwie potrzebne jest to, co jest wadą karateki.

-Spokój? Opanowanie?

- To także - uśmiechnął się. - Ale przede wszystkim przytomność umysłu.

Jung nie zrozumiał, co Pogonowski miał na myśli. Kiedyś spyta Staszka, jakimi cechami powinien się wyróżniać dobry strzelec.

- W czwartek został zamordowany mój redakcyjny kolega. - Jung gładko przeszedł do sedna spotkania.

- Słyszałem o tym. Podobno policja zatrzymała domniemanego mordercę. To jakiś ważny urzędnik marszałka.

- Zabójca zadał Michałowi co najmniej dwa ciosy w tył głowy czymś tępym, łamiąc kręgi szyjne. Policja, owszem, zatrzymała tego urzędnika, jednak komisarz prowadząca śledztwo nie wierzy, żeby miał on cokolwiek wspólnego z morderstwem. To były trener speedrowerowców, a ta dyscyplina stawia na zręczność nóg i ramion. Jak powiedziałem, Michał zginął od ciosów fachowo zadanych w kręgosłup szyjny. Czymś tępym. Być może kantem otwartej dłoni. Kto wie, jak uderzyć, żeby zabić? - spytał. Pogonowski zrobił pytającą minę. Widząc to, Daniel odpowiedział: - Bokser, karateka albo ktoś z tej branży. Boksera jednak wykluczam.

- Jest pan pewny, że karateka?

- Sądzę, że pan jako rektor szkoły walki zna zielonogórskich karateków.

- Nieźle orientuję się w tym środowisku.

- Dlatego...

- W Gladiatorium nie uczymy atakowania bezbronnych ludzi, a tym bardziej mordowania. Uczymy obrony - podkreślił Pogonowski. -

Wiem, że wielu sądzi właśnie tak jak pan. Ci, którzy rozpoczynają naukę, podpisują oświadczenie, że tego, czego nauczą się w naszej szkole, nigdy nie wykorzystają w ataku. Kopię każdego oświadczenia przekazujemy policji. Panie redaktorze, jako prawnik z wykształcenia i zamiłowania, w połowie podwładny pana żony, czyli trochę znający się na medycynie sądowej, przysięgam, że nie kształcę morderców. Chociaż nie daję gwarancji, że wśród absolwentów mojej szkoły nie ma przyszlých skrytobójców.

- Czy, przyjmując do szkoły, pyta pan o cel treningów i plany kandydata?

- Bez pytania wiem, że część, szczególnie chłopców, przychodzi na zajęcia, bo tak sobie życzą ich rodzice. Niektórym podoba się kimono, nazewnictwo, zachowanie ma macie. Część, i to niemała, kiedyś została skrzywdzona albo znieważona, a ponieważ są to ludzie nieśmiali, postanawiają nauczyć się walki, aby sytuacja się nie powtórzyła. Co ciekawe, niemal wszyscy są drobnej budowy i nie za wysocy. Jeśli pan mnie spyta, o co chodzi w sztuce walki, odpowiem, że wyłącznie o obronę. W rzeczywistości chodzi o to, żeby nauczyć się zabijać. Kto nie ma duszy samuraja, zrezygnuje z zajęć w takiej szkole jak Gladiatorium. Proszę sobie wyobrazić, że wykształcony zawodnik potrafi tak się skoncentrować, tak skumulować energię, że uderzy z siłą półtorej tony. Domyśla się pan, co znaczy taki cios zadany w kręgi szyjne.

- Zmiażdżenie kręgosłupa i natychmiastową śmierć.

Dwa lata temu Miśka dostała nagrodę naukową zwaną Lubuskim Noblem. Pieniądzy było akurat tyle, że wystarczyło na trzytygodniową wycieczkę do Chin dla dwojga. Z Pekinu trasa wiodła do kilku milionowych miast. Wyłączając Szanghaj, ich trudne do zapamiętania nazwy już wyleciały Danielowi z głowy. Zresztą wszystkie ulice zlały mu się w jedną wielką rzekę skośnookich ludzi ze spłaszczonymi twarzami, którzy brali go za Amerykanina. Każdy biały człowiek w oczach Chińczyka to bogaty Amerykanin. O tym, że Polska leży w środkowej Europie, wiedzieli nieliczni. Na pytania, z kim graniczy, jak się nazywa prezydent lub premier, jaka wiara w Polsce przeważa, nie odpowiedziała

nawet anglojęzyczna przewodniczka. Z tego wyjazdu Daniel zapamiętał całodzienny pobyt w klasztorze Szaolin. Rozumiał, że wszystko, co demonstrowali mnisi i uczniowie, było adresowane do turystów, by wyciągnąć jak najwięcej dolarów z ich kieszeni. Tam przekonał się, jak groźne mogą być wschodnie sztuki walki traktowane nie jako sport obronny, ale jako atak.

- Czy poza Gladiatorium są w Zielonejgórze jeszcze inne podobne ośrodki?

- Jeśli ktoś chce prowadzić taką szkołę, musi wykazać się kwalifikacjami pedagogicznymi i szeroką wiedzą z zakresu wschodnich sztuk walki. O ile wiem, nasza szkoła jest jedyną w regionie lubuskim. Najbliższe z podobnym programem spotka pan w Poznaniu, Wrocławiu, Szczecinie - odpowiedział Pogonowski. - Domyślam się, że interesuje pana, czy kogoś podejrzewam o zamordowanie redaktora Kostrzyńskiego. Kiedy usłyszałem tę wiadomość, zacząłem w myślach przeglądać albumy ze zdjęciami naszych absolwentów. Nikt mi nie pasuje.

- Gdyby...

Pogonowski nie pozwolił skończyć Jungowi.

- Gdybym cokolwiek wiedział, natychmiast informacją podzielę się z prokuratorem i z komisarz Mrozińską. Nie powinienem pana zapewniać, że jako dyplomowany prawnik przede wszystkim staram się stać na straży prawa i porządku. Ponadto jestem nauczycielem i wychowawcą.

Daniel przypomniał sobie dyskusję z Syskim, którą kiedyś odbyli w policyjnym bufecie. Po drugim kuflu piwa Jacek powiedział, że skoro system demokratyczny jest oparty na prawie uchwalanym przez parlament i zatwierdzanym przez prezydenta, to dlaczego politycy nazywają zło mniejszym lub większym albo potwierdzają, że ktoś z ich grona naruszył normy, ale zrobił to nie tyle dla osiągnięcia osobistych korzyści, co dla dobra ogółu.

- Nie ma czegoś takiego jak ogół - wyrwało się Danielowi. - Są miliony ludzi różniących się wyglądem, inteligencją, pracowitością,

poglądami, wyznaniem, poziomem oleju w głowie.

- I dlatego właśnie musi istnieć prawo - podkreślił Syski. - Twarde prawo przestrzegane także przez tych, którzy je uchwalili. Przez burmistrzów, radnych, bezrobotnych, zwykłych zjadacza chleba oraz przez policjantów i dziennikarzy.

Zielonagóra, ul. Szosa Wrocławska, niedziela, popołudnie

Takiego tłoku na chodnikach po obu stronach wylotówki w stronę Wrocławia Daniel Jung się nie spodziewał. Już od skrzyżowania z Lwowską na poboczach drzemały całkiem nowe i zdezelowane fordys, skody, volva, peugeoty, dacie, suzuki, toyoty, volkswageny, a nawet mercedesy i chevrolety. Wśród nich dostrzegł identycznego bentleya, którym jeździła Kunicka. Skręcił na ogromny plac przy nowym cmentarzu, ale i tam auto stało przy aucie. Facet z winietą Grempler Security na rękawie bluzy radził mu jechać na parking dla ciężarówek przy wylocie z miasta albo od razu do lasu.

- O ile gdziekolwiek dziś znajdzie pan miejsce - dodał nonszalanckim tonem. - Na taki mecz zjeżdża pół żużlowej Polski. Ten, kto dziś wygra, mistrzostwo ekstraklasy prawie ma w kieszeni.

Dopiero teraz Daniel zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, kto dziś jest przeciwnikiem drużyny Gremplera. Chuda kazała mu opisać bieg po biegu, a przy tym mieć oczy zwrócone w każdą stronę, bo nigdy nie wiadomo, jak zachowają się kibice. W maju zeszłego roku Fani Gremplera zdemolowali kilkanaście samochodów z rejestracją gorzowską. Tydzień później kibole Jancarzy wytknęli szyby w autokarach zarejestrowanych w Zielonejgórze. Daniel próbował się wykręcić, ale wicenaczelną powiedziała głosem niecierpiącym sprzeciwu, że jest tylko dziennikarzem i ma robić to, co ona każe. Nie podoba się w redakcji, droga wolna. Chętnych do pisania znajdzie wśród studentek polonistyki i to za dużo mniejsze pieniądze. Gdyby Bojanew nie zginął wczoraj na obwodnicy miasta, dziś byłby na stadionie, chociaż

wszystkim mówił, że wyścigi na torach żużlowym to cyrk na kółkach. Za tydzień Krzysiek wróci z urlopu i do końca wakacji musi sobie radzić w pojedynkę, a potem Chuda zdecyduje, czy w dziale sportowym są potrzebni dwaj zawodowi dziennikarze.

- Generalnie rzecz biorąc, teraz do głosu dochodzi społeczeństwo obywatelskie, tak. To da się ludziom legitymacje, nazwie społecznymi dziennikarzami i zarzucą nas tekstami. Za darmo - oznajmiła wczoraj, ale Jung jej nie pochwalił, a ona spodziewała się przynajmniej akceptacji. - Będziemy prekursorami - dodała, trącając Daniela w ramię.

Chciał powiedzieć, że wystarczy jedna amatorka w redakcji, ale pewnie wtedy zaciekawiby się, kogo ma na myśli. Zamiast tego spytał:

- A jak redaktorka naczelna zareagowała na tę propozycję?

- Na razie, kolego, zbieram opinie. Tu trzeba podejścia naukowego, tak.

- Ani chybi, pani doktor - rzucił z udawaną powagą.

Zaraz po studiach koledzy z pionu kryminalnego zaciągnęli Daniela na stadion przy Szosie Wrocławskiej. Zrywali się z ławek, wrzeszczeli, wpychali brudne palce do ust i gwizdali. Potem przez kilka dni dyskutowali o tym, co się działo na stadionie, a przez drugie pół tygodnia o tym, co będzie się działo w niedzielę. Nie rozumiał, dlaczego tysiące mężczyzn i chłopców pasjonują się żużlem. Gdy Miśka miała dyżur w szpitalu, czasami specjalnie przełączał telewizor na kanał sportowy tylko dlatego, żeby podczas dyskusji o żużlu w towarzystwie nie świecić oczami. Ta dyscyplina interesowała go jeszcze mniej niż bilard czy curling.

Zaparkował „pięćsetkę” na skraju drogi prowadzącej do niedawno postawionego hotelu ForRest, skąd miał do stadionu co najmniej dwadzieścia minut szybkiego marszu. Z miasta byłoby bliżej i szedłbym chodnikiem, pomyślał. Takich piechurów jak on było wielu.

Lewy pas jezdni zajął szwadron większych i mniejszych radiowozów pobłyskujących modrymi lampami, cztery suki, trzy autobusy z okratowanymi oknami, dwie polewaczki z armatkami wodnymi umieszczonymi na dachach, a na końcu stał transporter opancerzony.

To w razie siekierzady, jak ci z pionu przewencji nazywają to, co może się dzieć po zakończeniu zawodów, analizował. Gdy kibice wychodzący ze stadionu zobaczą tyle pojazdów i warujących przy nich policjantów w kombinezonach bojowych, w kaskach wciśniętych na głowy, z tarczami, pałkami, tonfami, glauberytami i glockami, najwyżej pokrzyczą, pogrożą pięściami, rzucą kurwami i pójda. Takich sposobów wyrażania entuzjazmu lub rozgoryczenia na razie nikt im nie zabronił.

- Jestem z „Gazety Zielonogórskiej” - przedstawił się kudłaczowi w budce z tabliczką „Akredytacje”. - Daniel Jung - dodał, pokazując legitymację prasową.

Wyraźnie zaskoczony kudłacz patrzył na niego jak na ducha z pobliskiego cmentarza. Dopiero po chwili przełknął ślinę, zerknął na wykaz i powiedział:

- Takiego nazwiska nie ma. Z „Zielonogórskiej” mam redaktora Krzyśka.

- Krzysiek jest na urlopie, a jego szef... - urwał, bo co brodacza obchodzi, dlaczego Bojanew nie przyszedł na mecz. - Wczorajsze i dzisiejsze imprezy sportowe są wyłącznie na mojej głowie.

- Rzecznik prasowy klubu musi zdecydować - powiedział brodacz i zanim Daniel zrozumiał, w jakiej znalazł się sytuacji, ten rzucił do słuchawki: - Alan, z „Zielonogórskiej” znowu przyszedł ktoś inny. Rudy jak Crump. Jakiś Jung, a takiego nie ma na wykazie akredytowanych. - Co mówił rzecznik, tego Daniel nie słyszał, ale pewnie utyskiwał na prasę. - Tak jest, Alan. - Odłożywszy słuchawkę, kudłacz odezwał się tonem rozkazującym: - Proszę czekać.

- Długo?

- Nie wiem. Pewnie zdąży pan na prezentację zawodników.

Od wczorajszego wieczoru Daniel wiedział, że wyścigów jest piętnaście. W każdym uczestniczy czterech żuźlowców w kaskach: czerwonym, białym, zielonym i niebieskim. Ruszają na znak startera i jadą tylko w lewo po sypkiej nawierzchni. Do pokonania każdy ma cztery jajowate okrążenia. Temu, który wygra, sędzia przyzna trzy punkty, drugiemu - dwa, trzeciemu - jeden. Liczy się suma punktów

uzyskanych przez drużynę w piętnastu biegach, powtórzył w myślach to, co mu powiedział ochroniarz, gdy wczoraj wieczorem wychodził z budynku redakcji. Dziś rano zadzwonił do kolegi relacjonującego zawody w Polskim Radiu. Ten mu wyjaśnił, że maszyna żuźlowa nie ma skrzyni biegów ani hamulców, a funkcję tylnego błotnika spełnia deflektor, który przede wszystkim chroni zawodników przed uderzeniem strumieni kruszywa wrywanego spod kół. Kombinezon, kask, ochraniacze tułowia, kolan i pleców, okulary ze zrzutkami, rękawice, buty oraz różne zatyczki kosztują tyle, co średniej klasy samochód.

Widocznie rzecznik był w pobliżu, bo zjawił się, zanim Daniel zdążył przypomnieć sobie nazwiska najważniejszych zawodników.

- Alan - przedstawił się. Jung zrobił pytającą minę, bo nie wiedział, czy to jest imię, czy nazwisko. - Proszę się nie martwić. Będzie okej. Pana szefowa uprzedziła dyrektora klubu.

- Szpałta? - wystrzelił. Po sekundzie jednak się poprawił: - Redaktor Krupa? - spytał zaskoczony, robiąc wielkie oczy.

- Pani doktor Chudy jest więcej niż dobrą znajomą dyrektora.

Daniel miał na końcu języka pytanie, co to znaczy, że jest więcej niż dobrą znajomą, gdy rzecznik wziął go pod ramię jak kawaler pannę i poprowadził w stronę górującej nad stadionem wieżyczki sędziowskiej. Pewnie pokaże mi najkrótszą drogę do sektora dla prasy, przeleciało mu przez myśl. Bardziej się domyślał niż wiedział, że podczas meczów ekstraklasy dziennikarze nie siedzą między kibicami i mają łatwiejszy dostęp do parku maszyn.

- Dyrektor mi przykazał, żebym zaopiekował się panem redaktorem w sposób szczególny, a jemu nie mogę odmówić, bo to mój ojciec - wyjaśnił Alan. - Będzie pan śledził zawody z łoży honorowej.

Jung nie przypuszczał, że w łoży zobaczy urzędników marszałka i wojewody, posłów, radnych, dyrektorów i prezesów, prezydenta miasta i wójtów okolicznych gmin, zastępcę komendanta, a nawet księży. Niektórych znał, o innych słyszał, a było też wielu takich, których twarze i nazwiska nic mu nie mówiły. Już otworzył usta, by powiedzieć,

że w łoży honorowej zasiadają sami mężczyźni, gdy usłyszał przyciszony alt. Obok wicemarszałka siedziała Elżbieta Nahorska, którą zapamiętał jako dyrektorkę generalną korporacji Kunicki Holding. Uśmiechnął się do niej i skłonił głowę.

- Proszę spokojnie oglądać zawody i notować spostrzeżenia. Reszta należy do mnie - powiedział Alan. Daniel zrobił pytające oczy. - Zaraz po zawodach dostanie pan gotowy do druku tekst. - Chciał zaprotestować, gdy rzecznik podniósł rękę i wyjaśnił: - To decyzja dyrektora klubu uzgodniona z doktor Chudy. Pan ma dobrze się czuć. Winko, piwko, koniaczek czy whisky? - Wskazał głową bufet.

- Przyjechałem samochodem.

- Każdy z tu obecnych - rzecznik pokazał na posłów, radnych, prezydenta, przed którymi stały kieliszki i kufle - przyjechał swoim samochodem. I nim odjedzie.

Zielonagóra, ul. Urszuli, niedziela, popołudnie

Od połowy czerwca słońce nawet na minutę nie skryło się za chmurami. Kwiek rozebrany do gatek siedział w wiklinowym fotelu pod parasolem przed swoim domem. W wiaderku chłodziły się dwie butelki piwa. Radio było nastawione na 106 FM. Od kwadransa sprawozdawca ze swadą opowiadał, co się dzieje na stadionie przy Szosie Wrocławskiej. Gdy wczoraj w samo południe stacja podała, że w wypadku na obwodnicy Zielonejgóry zginął dziennikarz sportowy Bojan Bojanew, Kwiek najpierw uśmiechnął się nienaturalnie, a potem oblał go zimny pot. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Wieczorem miał zamiar iść do baru dla Fanów Gremplera i upić się, ale mógłby tam palnąć coś, czego później by żałował.

- Abyś nie chory, Oluń. — Zona stanęła na wprost Kwielca i pytającym spojrzeniem wpatrywała się w jego oczy. Były lekko zaczerwienione.

- Chory? Nie - odpowiedział i uciekł wzrokiem na koksownik z

nadpalonymi bryłkami węgla. Jutro rano każę czeladnikowi, żeby wyrzucił te resztki do kubła na śmieci, postanowił.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Coś ty taka troskliwa?

- Zawsze gdy jest żużel, gnasz na stadion. A dziś siedzisz przy radyjku? Czy to u ciebie, Oluń, aby normalne?

- Dziś nic ciekawego nie będzie. Nawet jak Grempler zremisuje, to za tydzień wyjdzie na pierwsze miejsce w lidze - powiedział, wyciągając rękę po butelkę z piwem. Po chwili dodał: - Po co wydawać pieniądze na bilet, jak w radiu jest to samo?

- To do ciebie, Oluń, nie pasuje - stwierdziła żona i z przymusem się uśmiechnęła.

Zielonagóra, ul. Przy cmentarna, poniedziałek, wczesny ranek

W poniedziałki Neimann wcześniej pojawiał się w biurze klubu. Sekretarka zawsze przyjeżdżała autobusem przed ósmą i zanim rozłożyła papiery i odpaliła komputer, parzyła kawę. Po wygranym meczu w dużym zielonym termosie z emblematem Gremplera, po przegranym - w mniejszym czerwonym, oznaczonym logotypem drużyny zwycięskiej. Dziś postawiła na stole oba termosy i sześć filiżanek na tacy. Wśród nich była zielona. Spodziewała się, że koło południa prezes wpadnie do siedziby, jak Neimann nazywał biuro klubu, i każę podać kawę. Joachim Grempler pił kawę tylko z zielonej filiżanki, jadł na zielonym obrusie, latem ubierał się w zieloną marynarkę i zawiązywał zielony krawat, natomiast w zimie nosił zielone rękawiczki i zielony kapelusz. Jeździł zielonym oplem amperą. Żużlowcy dowcipkowali, że pewnie nosi zielone majtki, na noc zakłada zieloną pidżamę, śpi na zielonej poduszce pod zieloną kołdrą i śnią mu się zielone żabki. Ta barwa kojąco wpływa na psychikę i zmniejsza stres związany z pracą, co Gremplerowi wyjaśnił profesor z uniwersyteckiej kliniki chorób serca, który pracował nawet w niedziele po południu.

Wczoraj gremplerowcy mieli wygrać z Bykami, a ledwie zremisowali. Po takim meczu Neimann nigdy nie pił kawy i do nikogo się nie odzywał, tylko siedział przy biurku i patrzył na zielony kubek z emblematem Gremplera. Jeszcze jeden remis w tym sezonie i koniec marzeń o zdobyciu mistrzostwa kraju, a przecież menedżer Jancarzy, z którymi zielonogórzanie będą się ścigali w najbliższą niedzielę, myśli tak samo. Jeśli trzeci raz z rzędu drużyna Gremplera nie zdobędzie złotego medalu, Neimann straci stanowisko dyrektora klubu. Gdzie były esbek znajdzie lepiej płatne zajęcie i szef nie będzie mu rozkazywał? Może braciszek wkręciłby go do którejś firmy korporacji Kunicki Holding, ale tam musiałby zasuwac świątek piątek, od świtu do zmroku. I jeszcze Nahorska będzie się domagała cudów, patrzyła mu na ręce, opieprzała z byle powodu. Neimann był przekonany, że póki Joachim Grempler nie wgrzyzie się w polskie prawo i nie pozna zwyczajów, on będzie czuł się w klubie jak u Pana Boga za piecem. Mało tego, z najgłupszą sprawą Grempler przyjdzie do niego, spyta o zdanie i zrobi to, co usłyszy, choćby nawet miał wątpliwości.

- Niech pan kupi drużynę żużlową - odpowiedział Gremplerowi cztery lata temu, kiedy Kunicki wypiął się na sport, właściciel sieci marketów zainwestował w drużynę koszykarzy, a Bożejko nie chciał zrzec się łatwego zysku z wydawania gazety, chociaż Neimann przekonał Anittę Carewicz, by namówiła go do tego. Wtedy zarząd klubu był gotów wybrać na prezesa kobietę, nawet walczącą ateistkę, byle jej mąż miał dużo pieniędzy. Neimann nie przyznał się, że sprzedanie klubu żużlowego Gremplerowi to pomysł jego młodszego brata, któremu ufał bardziej niż sobie. - Niech pan pożycz w banku pod hipotekę. Gwarantuję, że za rok wyjdzie pan na swoje i zwróci je w całości. Koszykówka w Zielonejgórze to dobry interes, ale żużel jeszcze lepszy. Pod jednym warunkiem... Da mi pan wolną rękę w prowadzeniu klubu.

- Jaką mam gwarancję, że się uda i oddam bankowi to, co pożyczyłem? - spytał Joachim Grempler z wahaniem. - To po pierwsze, Neimann. Po drugie, który bank zechce pożyczyć takie pieniądze jedynie pod zastaw domu?

- Gdyby znał pan polskich polityków i wyborców co najmniej tak jak ja ich znam, to wiedziałby pan, że dadzą się nabrać na każdy lep. Na przykład taki prezydent miasta. Przez pierwszy rok po wygranych wyborach cieszy się sukcesem i ma głowę pełną naprawdę niegłupich planów. W drugim roku rozumie, że nawet genialne projekty bez pieniędzy nic nie znaczą. W trzecim myśli, skąd wziąć szmal. Za rok, panie Grempler, w naszym mieście odbędą się kolejne wybory. Ten prezydent, mądrzejszy o doświadczenie pełnej kadencji, marzy o ponownym wygraniu. Jeśli pan zaoferuje mu wsparcie finansowe, zostanie jego przyjacielem i dostanie złoty medal Honorowego Obywatela Zielonejgóry, co się opłaci, bo ma pan zagwarantowany pochówek na koszt miasta z orkiestrą dętą i poczem sztandarowym, pośród zasłużonych, na ocienionym wzgórzu tujami, skąd widać stadion żużlowy. Zanim do tego dojdzie, pana firmy będą wygrywały przetargi na przebudowę ulic i placów, na sadzenie kwiatków na klombach, remonty szkół, malowanie pokoi w ratuszu czy ochronę obiektów. A to przecież oczywisty zarobek. Doradcy podpowiedzą prezydentowi, żeby jak najczęściej kadził panu w radiu, telewizji i gazetach, zapraszał na najważniejsze spotkania i bale, siedział w pierwszym rządzie podczas inauguracji roku akademickiego na uniwersytecie, żeby wraz z panem składał życzenia imieninowe biskupowi, jeździł za granicę i do ministrów. Jednak ostrzegam, bo to gra polityczna. Niech pan nie uważa się za mocarza. Pokorne cielę dwie matki ssie. Ale i każda krowa swoje cielę liże. O tym trzeba pamiętać od poniedziałku do niedzieli, w dzień i w nocy, panie Grempler. A musi pan wiedzieć, że im bliżej końca kadencji, tym częściej prezydent będzie się pojawiał na stadionie, a wraz z nim urzędnicy marszałka i wojewody, posłowie, radni, dyrektorzy i prezesi miejskich firm. Nawet księża. Oczywiście ja jako dyrektor, to jest menedżer klubu, nakazę spikerowi zawodów, żeby zawsze witał prezydenta jeszcze przed prezentacją żużlowców. To powinno zapaść w pamięci tysiący tych, którzy przyjdą na Szosę Wrocławską. W czasie głosowania, gdy większości mieszkańców jest obojętne, z której partii jest rządzący miastem, były lampy się paliły po

zmiernych, ulice były równe, opłaty za wywóz śmieci niskie, podatki znośne, najwięcej głosów dostanie ten, którego nazwisko i obietniki wbiły się do głów wyborców. A jeśli zechce pan zostać prezydentem miasta, gwarantuję zwycięstwo.

Na tacy obciążonej zielonym aksamitem sekretarka położyła wafelki w czekoladzie i dwie gazety. Najpierw Neimann wyciągnął rękę po „Wyborczą”. Przerzucił ją jakby mu się spieszyło i odłożył na skraj biurka. Dłużej zatrzymał wzrok na stronie sportowej w „Gazecie Zielonogórskiej”. Relację z wczorajszego meczu znał wieczorem, mimo to czytał ją jeszcze raz, bo może redaktor prowadzący poniedziałkowe wydanie coś wykreślił. Nie zauważył żadnej poprawki. Zachowało się nawet to, że prezydent miasta znalazł czas w swoim napiętym kalendarzu i oglądał zawody w towarzystwie Joachima Gremplera. Gdyby nie remis i tylko jeden zdobyty punkt, Neimann pierwszy raz byłby zadowolony, a Grempler powinien zauważyć, jak się stara.

- Gratuluję znakomitego sprawozdania z wczorajszego spotkania na szczycie - powiedział, gdy w komórce usłyszał głos Moniki Chudej. - Naprawdę piękna robota dziennikarska.

- Dziękuję za pochwałę. Myślę, że zawsze tak będzie. Generalnie rzecz biorąc po to tu jestem, dyrektorze, przepraszam, menedżerze, tak - skwitowała ze śmiechem. - Co na taką relację twój pryncypał?

- Na razie nie widział gazety. Nie będzie zadowolony z rezultatu, bo to tylko remis, ale gdyby ktoś inny opisał przebieg meczu, byłoby jeszcze gorzej.

Zielonogóra, al. Niepodległości, poniedziałek, wczesny ranek

- Co to jest, pani redaktorko? - Danielowi Jungowi udało się zadać pytanie w miarę spokojnym tonem. Dopiero kiedy rozłożył gazetę na biurku wicenaczelnej, poczuł drżenie rąk.

- Generalnie... Odpowiem tak, że bardzo dobrze napisany tekst o imprezie sportowej wysokiego formatu to jest. Są cząstkowe wyniki,

wypowiedzi zawodników obu drużyn, opinie kibiców i gości plus komentarz autora. W tym momencie to - zawiesiła głos i kątem oka obserwowała Junga - interesuje kibiców żuźla, tak.

- Dlaczego nie ukazał się tekst z moimi poprawkami?

- Generalnie rzecz biorąc, mi się wydaje, że oryginał jest dużo lepszy. Redaktora poprawki językowe od strony sportowej wносиły niewiele istotnego, można powiedzieć.

Ponadto, do czego redaktor przyznał się, nie było to spojrzenie kogoś, kto zna się na żuźlu, bynajmniej.

- Skoro tak pani uważa, to dlaczego pod niemoim tekstem jest moje imię, nazwisko, numer telefonu i adres mailowy?

- Przecież ktoś musiał podpisać się pod artykułem, tak?

-Ja, o czym pani wie, staram się przestrzegać prawideł obowiązujących w polszczyźnie pisanej. Przecinki stawiam tam, gdzie ich miejsce, a nie na czuja. Tak buduję swoje teksty, żeby najważniejsze informacje były w pierwszych akapitach. W relacji podpisanej moim imieniem i nazwiskiem brakuje logiki. Ona mnie ośmiesza.

- Przesadzasz, redaktorze Jung.

- To, co pani zrobiła, jest oszustwem. - Chuda nie wiedziała, co odpowiedzieć. Machnęła więc ręką, jakby nic złego się nie stało, wyszczerzyła zęby i odwróciwszy się w stronę okna, sięgnęła po papierosa. - Pani z premedytacją dopuściła się przestępstwa, dlatego złożę doniesienie do prokuratury.

- Generalnie rzecz biorąc, co ci, redaktorze, z tego przyjdzie? - roześmiała się cynicznie. - Była tu taka jedna, mówiła, że po UJ-ocie, Zielińska Regina się nazywała, tak. Drugi miesiąc szuka zajęcia. Póki ja będę w tym gabinecie, nikomu jej nie polecę, a w sprawach kadrowych w tym mieście jeszcze mam coś do powiedzenia, tak.

-Ja się nazywam Daniel Jung.

- A wcześniej ?

- Co wcześniej?

- Ja nie mam czego się wstydić i nie muszę zmieniać nazwiska jak redaktorek.

- Zmieniłem je nie dlatego, że się czegoś wstydiłem.
 - A dlaczego redaktorek je zmienił na niemieckie?
 - Na austriackie. Mój dziadek był Austriakiem. Po drugiej wojnie ojciec z nieznanymi mi powodów przyjął nazwisko swojej żony, czyli mojej matki. Gdyby nie to, że w Zielonejgórze mieszka i pracuje znany pisarz o podobnym jak moje brzmiącym nazwisku, nigdy nie zmieniłbym swego. Nie chcę, żeby czytelnicy nas mylili.
 - Mógłby redaktorek coś bardziej sensownego wymyślić. Prawdę mądrzy ludzie mówią, żeby nie wierzyć rudemu, bo każdy rudy jest fałszywy.
- Jung bez słowa wyszedł do sekretariatu. Gorzej być nie może, stwierdził w myślach.

Zielonagóra, al. Niepodległości, poniedziałek, wczesny ranek

Od soboty na automacie z kawą wisiła kartka „Awaria”. Bufet będzie czynny dopiero od popołudnia. Daniel mógł poprosić Magdę, żeby zaparzyła mu kawę, ale nie chciał jej fatygować.

Po powrocie do swojego pokoju usiadł przed komputerem i z miną niesłusznie skarconego milczał. Tam, w pokoju Chudej, zrozumiał, że mimo iż ona ma niewielką władzę, uważa się za namaszczoną, która ma prawo o wszystkim decydować. Taka osoba może narobić wiele złego. To niebezpieczna baba, stwierdził. Jej szwagierka, Anitta Carewicz, też zaczynała od zdobycia niewielkich wpływów, potem przygarniała do siebie coraz więcej, a gdy została wybrana na przewodniczącą zarządu regionalnego rządzącej partii, przestała liczyć się nawet z tymi, którzy jej w tym pomogli. Gdyby to od Daniela Junga zależało, natychmiast przepędziłby Chudą z redakcji. Ta baba już narobiła więcej złego niż wszyscy stażyci razem wzięci, a wicenaczelną jest od niedawna. Jednak zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej on wyleci z redakcji niż Chuda przestanie zajmować swój gabinet przy Niepodległości.

Kamil spytał, czy przejrzał wpisy na forum. Potwierdził, ale zaraz

pomyślał, że pewnie stażycie nie chodzi o komentarze pod informacjami kryminalnymi, a o to, co napisali czytelnicy tekstów sportowych. Tym bardziej teraz, po śmierci Michała i Bojana.

- Matko Boska! - wykrzyknął.

- Dużo, co? Krzysiek mówił, że tak jest po każdym meczu Gremplera. Ci kibice, którzy za mało wyładowali się na stadionie, wyładowują się na stronie redakcji.

Nie zważając na błędy ortograficzne, stylistyczne, brak liter, interpunkcję i to, co uczniowie i studenci uważają za balast, Daniel czytał z zaciekawieniem, ale nie wszystko rozumiał.

-*roxy*: o koszu dużo. No kot był w Przemyślu? Olać stelmet. Grempler górom!!!

-*Bachus*: Grempler semper fidelis!

-*Ferbay*: Curde bez takich wycieczkow.

-*roxy*: A ochrona na stadionie do dupy!

-*Polak*: jaka ochrona!!! Emeryci.

-*MiodyStach*: pokazali nasi jak sie cieszc byłem między leszniakami nie pałali do nas miłością buczeli na nas co było śmieszne to wisiało w powietrzu.

-*gość*: jebać gremplera. tylko STALECZKA!!!

-*Miody Stach*: zapisz sie do PD O pomoże wygrać.

-*Jas*: Gooowno.

-*PolakPL*: jeśli się coś nie podoba to poprostu Wyp***aj.

-*Batman09*: Odnośnie przemocy na stadionach żużlowych. Chodzę ponad 30 lat, widziałem przez ten czas może 2 akcje gdzie musiała interweniować ochrona, a sytuacje te nie trwały dłużej jak kilka minut.

-*GremplerKing*: A co robią? Bo jakoś ja nic nie zauważyłem żeby próbowali zrobić komuś krzywdę. To jest ŻUŻEL a nie szachy. I żeby nie było ze mam coś do zawodników spod byka. Chodziło mi bardziej o tor który robił i robi januszek.

-*roxy*: Pretensje to do komisarza i sędziego. A leszczyniaki niech siedzą cicho bo u nas przynajmniej nikt nie próbuje mordować zawodników drużyny przeciwnej.

-*Lucek-7*: wycofaj się z tych pomówień.

-*anty-grempler*: kary kary i jeszcze raz wysokie kary pieniężne, co za syf.

-*GościuzWąsami*: zmiataj frajerze biedne na swoje podwórko i karaj swoich zawodników za mordy niedorozwinięte.

-*roxy*: to co widziałem w zielące to typowy antyżużel i cios w kibiców! zielonych też!

-*W imieniu Byków*: Hauhauuuuuuuuuuu!!!

-*Hasiu*: Nie szczekaj kundlu z Leszna.

-*Laryx*: ok. tor może zgodny z regulaminem tak nędznego żużla to ja nie oglądałem od kilku lat. jazda jak pod marketem na parkingu po dwudziestej trzeciej.

-*Marek S*: Jestem fanem żużla od lat 60, ale takiego toru nie widziałem od lat dawna. Było widać, że zawodnicy Gremplera po polaniu toru niezbyt dobrze sobie radzili, więc trzeba było coś wymyśleć i ubić tor tak, aby drużyna przeciwna, tj. Fogo Unia, nie mogli dać sobie rady. Każdy, kto się interesuje motoryzacją, wie, że samochód, motocykl po takiej dawce kurzu stanie lub co gorsza się zatrze. Po co jest komisarz toru, skoro na godziny przed startem nie każe go polać, aby był równy dla wszystkich? Gdy tor był polany, wygrywali goście, a gdy przesechł, miejscowi. Każdy kij ma dwa końce i ktoś Gremplerowi zrobi psikusa z torem. Jak pisałem, jestem fanem żużla i chciałbym oglądać zawody fer, a nie to jak ktoś okaże się sprytniejszy w przygotowaniu toru. Na tym chyba to polega. Niesnaski między kibicami nakręcają działacze poprzez takie działania.

-*MiodyStach*: PanieMarku, chociaż odrobinę obiektywizmu. Skoro jesteś pan fanem żużla od tak wielu lat to przypomnij sobie, jak się kurzyło jeszcze w latach osiemdziesiątych. Pan przecież wie, że motocykle i samochody mają coś, co się nazywa filtr powietrza.

-*Normalny*: Choroba Alzheimera cie dopada dziadku.

-*stolarz*: Też mi się taki tor nie podoba i nie takie „widowiska” chcę oglądać, ale widziałem już wiele gorszych i nudniejszych.

-*anty-grempler*: KARY karyyyy i jeszcze raz wysokie kary pieniężne. Co

za syf.

-*Hasiu*: Sam jesteś syf. Kiedyś na żużlu nikomu nie przeszkadzało, że się kurzy. Po to się tam chodziło. Teraz w białych spodniach na kant, to na ławkę do parku, a nie na żużel. Proszę uważać, bo i tam praszkki mogą narobić.

-*Bachus*: Nasi byli lepsi i tylko to się liczy!!! GREMPLER ma mistrza w kieszeni!

-*Ramotk*: Zgodzę się z Tobą. Nasi chłopcy są extra i tyle. Tutaj nie ma o czym dyskutować. GREMPLER był mistrzem jest mistrzem i mistrzem będzie!!!

-*normalny*. Pan Joachim Grempler na Prezydenta naszego miasta.

-*Hasiu*: a szef Stelmetu to od macochy? Głosuj jak ci rozum podpowiada.

-*MłodyStach*: Porąbało was? Jeszcze wybory nie zaczęły się.

-*gość*: Amen.

- Nikt nie przyczepił się do relacji w gazecie. Nawet nie ma uwag do krytycznych wypowiedzi leszczynian - rzucił zadowolony Jung w stronę Kamila. - Najwidoczniej ludzie i bez gazety mogliby żyć.

- Dopiero by się działo, gdyby w naszej gazecie nie znaleźli relacji z meczu.

Daniel Jung pomyślał, że tym razem Kamil ma rację. Gazeta jest potrzebna autorom komentarzy do potwierdzenia tego, co widzieli i słyszeli na stadionie. A co byłoby, jeśli ukazałaby się moja wersja sprawozdania? Czy to oznacza, że mam iść do Chudej i ją przeprosić?

Zielonagóra, ul. Urszuli, poniedziałek, rano

Dawniej Kwiek wstawał koło południa, zjadał śniadanie, które równie dobrze mogłoby być obiadem, wypijał kawę, telefonował do znajomych i dopiero wtedy zaglądał do warsztatu z pytaniem, jak idzie robota. Teraz sam jest majstrem i mechanikiem, a roboty ma tylko tyle, że tego,

co zarobi, ledwie starcza na podatek, składki i pensyjke czeladnika. Wszystko z winy komputerów. Jeszcze pięć lat temu Kwiek był panem, właścicielem sławnego w Zielonejgórze warsztatu, po którym został szyld przy bramie „Mechanika pojazdowa Kwiek Aleksander” i góra złomu na podwórzu. Kogo nie było stać na nowy samochód, szedł do Kwieka z zaliczką, a ten wiedział, gdzie w Niemczech są największe szroty. Co drugi dzień dwaj kierowcy przywozili na Urszuli wiekowe fordy, volkswageny bez kół, przerdzewiałe ople, kalekie porsche, poharatane bmw, roztrzaskane merce i audice, maybachy tak rozbebeszone, że niepodobne do maybachów. Mechanicy wyciągali zużyte części i na ich miejsce wkładali nowsze, wyklepali blachy, szpachlowali, malowali i polerowali tak, że auta wyglądały, jakby dopiero co wyszły z fabrycznej montowni. Zdarzało się, choć niezbyt często, bo Kwiekowi Pan Bóg nie dał talentu złodzieja, że gdy był współwłaścicielem komisju przy Szosie Wrocławskiej, ukradł kilka samochodów za Odrą. Bronił się, ale czy mógł odmówić docentowi Pastwie, skoro go prosił? Docent zapraszał go do swego pokoju na uniwersytecie i pytał, czy sprowadzi auto takiej, a takiej marki, bo jest konkretny klient, któremu nie wolno odmówić. Kwiek nigdy nie przytaknął ani nie powiedział tak, tylko cmokał, kręcił głową, a gdy Pastwa obiecywał, że to ostatni raz, pytał, kiedy wóz ma być u klienta. Mówił „wóz”, co oznaczało luksusowy samochód niemieckiej marki. Wskazanego przez docenta dnia mechanik wyprowadzał ów wóz z warsztatu przy Urszuli. Podczas kontroli drogowej nigdy się nie zdarzyło, by policjanci domyślili się, że właściciel auta jeździ tym, czego oni szukają. W zacieraniu numerów fabrycznych silnika i ramy samochodu Kwiek był mistrzem. Gazety często pisały o wykryciu dziupli, o skradzionych samochodach i ich nowych właścicielach, ale nigdy nie padło jego nazwisko. Wtedy Kwiek nie mógł się opędnąć od klientów w jedwabnych garniturach. Nie sądził, że tak szybko się to zmieni. Później jednak było coraz gorzej. Docent przestał zapraszać go do swego pokoju na uniwersytecie, a od zeszłej jesieni nikt nie spytał o samochód używany, dlatego przed Nowym Rokiem Kwiek zwolnił

ostatniego mechanika i wywiesił tabliczkę „Wymiana opon zimowych na letnie”, na której miejscu jesienią będzie wisiała „Wymiana opon letnich na zimowe”. Czasem trafi się kierowca błagający o przełożenie klocków hamulcowych albo wyważenie kół na poczekaniu, ale Kwiek wszystkim mówi, że jest zawałony robotą, z czego śmieje się czeladnik. Doszło do tego, że Kwiekowej zaczęło brakować pieniędzy na kobiece zachciewajki, dlatego od poniedziałku do piątku przed południem sprząta sale na urologii, po południu telefonuje do przypadkowych ludzi i zaprasza ich na prezentacje a to garnków do gotowania na parze, a to pościeli wełnianej, a to odkurzaczy, a to cudownych kosmetyków, natomiast w soboty i niedziele sprzedaje sztuczne kwiaty przed cmentarzem.

Gdyby Kwiek wiedział, kto wymyślił komputer pokładowy w samochodzie, zrobiłby z nim to samo, co zrobił Bojanewowi. Bo Kostrzyńskiego wysłał do nieba niepotrzebnie. Jeszcze rok, dwa i nikt nie przyprowadzi swojej dryndy do warsztatu na Urszuli, chyba że Kwiek kupi identyczne urządzenie jak to, które widział u dileru Fiata na Sułechowskiej. Tam kierowca wjeżdża na parking, wysiada z auta, naciska guzik przy automatycznej bramie i idzie na kawę, a mechanik wprowadza samochód do hali, przeciąga kabelki z urządzenia diagnostycznego do sterownika w samochodzie i patrzy na ekran. Nawet nie musi się zastanawiać, co wymienić, bo komputer podpowiada, a on jedynie naciska klawisz i czeka przy taśmociągu na nowe części, które wędrują z magazynu.

- Mówiłem, że jak nie ma nic do roboty, to wywieź żelastwo na złom. Będzie parę groszy. Mówiłem, kurwać, czy nie? - Kwiek zganiał czeladnika beczynnie siedzącego pod parasolem. Gdy zrugany pracownik się podniósł, właściciel warsztatu powiedział: - Dobra, zrobisz to później, a teraz skocz po gazetę do kiosku.

- „Tygodnik Żużłowy”?

- „Zielonogórska”.

- A na co szefowi taka gazeta? - spytał czeladnik, nic sobie nie robiąc z reprimendy. - Był szef na meczu, to chyba wie, dlaczego nasi

zremisowali. Wydawało się, że na Gremplera nie ma mocnych, a tu Jaskółki pokazały im, gdzie raki zimują. Jeśli za tydzień nie wygrają z Jancarzami, a tu kaktus mi wyrośnie jak wygrają, to będą na drugim miejscu w ekstraklidze. I złoty medal szlag trafi.

Kwiek nie lubi! powtarzać swoich poleceń. W ogóle był małomówny, ale kiedy coś postanowił, to choćby miał przegrać, musiało być tak, jak zdecydował. Zaplanował więc, że Łukaszek wróci do pierwszego zespołu. Neimann już mu to obiecał. A jak wróci i będzie zdobywał punkty dla Gremplera, to zarobi na sobie i dziesięć takich urządzeń diagnostycznych, jakie Kwiek widział w hali przy Sulechowskiej.

Najbliższy kiosk z gazetami jest na dworcu kolejowym, tyle że otwarty wtedy, kiedy odjeżdżają i przyjeżdżają pociągi, to znaczy z samego rana i po południu. Sto metrów dalej na dworcu autobusowym też jest kiosk z gazetami, czynny od świtu do zmroku, ale czeladnik wstydzi się chodzić po mieście w tym, co nosi w warsztacie. W takim razie został sklepik przy Bema, gdzie na ławkach przed stołówką Caritas zawsze warują bezdomni i zaczepiają każdego, kto tamtędy przechodzi.

- Dawno nie czytałem tak fajnego komentarza w „Zielonogórskiej” - przyznał czeladnik, chcąc pokazać Kwiekowi, które zdania mu się spodobały.

- Skocz po piwo.

- Lodówka jest pusta.

- Do sklepu. - Kwiek położył na stoliku banknot. - Sobie kup jakąś mirindę czy coś.

- Nie mógł szef od razu... - zaczął czeladnik, lecz skarcony jego zimnym wzrokiem ruszył w stronę furtki. - Jeszcze coś, żeby trzeci raz nie musiał chodzić?

- I tak nic nie robisz.

Na pierwszej stronie gazety, pod główką, wybity czarnymi literami tytuł wołał: „W wypadku samochodowym na prostej drodze zginął nasz kolega. To druga niepotrzebna śmierć wśród pracowników redakcji w tym tygodniu”. Kwiek najpierw na stojąco przebiegł wzrokiem tekst, potem usiadł pod parasolem i czytał wolno, zdanie po zdaniu. Autor

informował, że „biegły z zakresu mechanoskopii, docent Pastwa z zakładu budowy i eksploatacji pojazdów uniwersytetu, raczej nie ma wątpliwości, co było przyczyną wypadku. Przednie prawe koło odpadło od passata w trakcie jazdy na prostej drodze, ponieważ przytrzymujące je śruby zostały wcześniej poluzowane lub odkręcone. Sprawcę próbują ustalić policjanci z pionu kryminalnego. Więcej będzie można powiedzieć po przeprowadzeniu szczegółowego badania wraku pojazdu w laboratorium. Zdaniem dziennikarzy naszej gazety to mógł być zamach na red. Bojanewa. Kto go przygotował i dlaczego, tego nie wiadomo. Jesteśmy przekonani, że policja szybko upora się z zakończeniem śledztwa, a sąd okręgowy wymierzy mu sprawiedliwą karę”.

- Takiego wała - powiedział Kwiek nosowym głosem, zginając prawą rękę w łokciu.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, rano

Do coraz bardziej brzuchatej teczki, w której znajdowały się protokoły z przesłuchania Gardockiego, zapiski z wyjaśnieniem Janiaka i kserokopia strony w książce wejść do budynku redakcji, notatka z rozmowy przez telefon z sekretarką z patologii, fotografie z pokoju działu sportowego i monitoringu, wycinki z gazet, komisarz Mrozińska dołączyła opis wypadku na obwodnicy miasta sporządzony przez sierżanta z drogówki. Na razie nie wiedziała, co łączy zabójstwo Michała Kostrzyńskiego ze śmiercią Bojana Bojanewa, jednak intuicja podpowiadała jej, że musi istnieć jakiś związek.

Do teczki włożyła dziś również opinię docenta Pastwy. Wczoraj wieczorem biegły wysłał ją pocztą elektroniczną do prokuratury. Ekspertyza z jego podpisem i kolorowymi zdjęciami będzie na biurku prokuratora najwcześniej za dwa dni, chociaż uniwersytecki zakład budowy i eksploatacji pojazdów od gmachu na Partyzantów dzielą niecałe trzy kilometry. W poniedziałek rano docent pójdzie na pocztę

przy Podgórnej, wypełni potwierdzenie nadania, które włoży do koperty z rachunkiem za badanie. Takie są przepisy.

Pastwa precyzyjnie przedstawił to, co widział. Dołączył sześć stron rozważań. Wynikało z nich, że koło odpadło od opla passata razem z piastą i kołnierzem półoski. Mogło do tego dojść z powodu naturalnego zmęczenia materiału lub celowego nacięcia podzespołu. Żadnej z tych wersji nie da się udowodnić bez szczegółowych badań. Docent jest gotów je przeprowadzić, pod warunkiem że prokuratura zapłaci za wynajęcie sali i oprzyrządowania. Teoretycznie koło odpadło, ponieważ śruby mocujące nie były dokręcone do felgi. Same nie mogły się poluzować, więc ktoś musiał to zrobić. Kierowca? W jakim celu miał je odkręcać? Nawiasem mówiąc, kierowca osobiście odkręca śruby mocujące wyłącznie w sytuacji, gdy przebije oponę i dlatego musi wymienić koło, co zdarza się niezmiernie rzadko. Zdaniem docenta ktoś to zrobił bez wiedzy Bojanewa. Złośliwie albo nieświadomie. Prędeż świadomie. Zatem świadomie ktoś mógł poluzować śruby mocujące i naciąć kołnierz półoski, konkludował docent.

Mogło się to stać w nocy na osiedlowym parkingu. Ktoś musiał coś zauważyć.

Bojanew miał pojechać do Hiszpanii i Portugalii, ale ze względu na mecz koszykarzy w Przemyślu i wymuszony urlop kolegi z działu sportowego pozostał w kraju. Zamiast z mężem, jego żona wybrała się tam z koleżanką. Miała wrócić w środę przed wieczorem. Syn i synowa ofiary są właścicielami hoteliku z restauracją przy uliczce prowadzącej do ośrodka sportowego w Drzonkowie. Tyle aspirant Araszkiewicz dowiedział się w sekretariacie redakcji.

- O tej porze u nas są jeszcze urlopy. Zaczynamy za dwa dni - wyjaśnił mu recepcjonista przez telefon. - Szef z szefową pojechali na wczasy za granicę. Dokąd? Tego nie wiem. Szef nie powiedział i kategorycznie zabronił dzwonić na jego komórkę.

- Kiedy wróci?

- W piątek zaczynają mistrzostwa seniorów w pięcioboju nowoczesnym, a pięciobój to jego oczko w głowie. Dwa razy był

wicemistrzem Polski, szykował się na olimpiadę, lecz kiedy miał paszport w kieszeni, złamał nogę. Szefowa systematycznie zajmowała trzecie miejsca. Gdyby nie dziecko...

- Jak tylko się pojawi, proszę dać mi znać.

Zielonagóra, os. Cegielnia, poniedziałek, wczesne przedpołudnie

O tym, że na miejscu dawnej cegielni rozsiadło się niemałe, komfortowe osiedle, aspirant Araszkiwicz coś niecoś słyszał. Gdyby nie dzielnicowy, pewnie nigdy nie trafiłby na Szamotową. A tu, proszę, w samym centrum osiedla, przy Hoffmana, piec do wypalania cegły przerobiony na luksusowe mieszkania. Szeregowce i domki jednorodzinne przykucnęły wzdłuż uliczek o ceramicznych nazwach. Za nimi wygrzewają się w słońcu zabytkowe maszyny do formowania cegieł. Aspirant nie zauważył sklepu z Chlebem, mlekiem i tym wszystkim, co jest potrzebne w domu rano, a mimo to uznał osiedle za atrakcyjne. Stwierdził, że chciałby mieszkać w miejscu, gdzie roznosi się zapach sosnowego lasu i słyszać kumkanie żab w jeziorku.

- Miał redaktor jakichś wrogów?

- Zadałeś wyjątkowo nieprzemyślane pytanie - odpowiedział dzielnicowy, gdy Araszkiwicz szukał czegoś na parkingu przed szeregowcem, w którym mieszkał Bojanew. - Kto ma przyjaciół, ten musi mieć i wrogów. To jest naturalne i nikogo nie powinno dziwić. A osoba znana ma dwa razy więcej jednych i drugich. On mógł mieć wrogów jako znany dziennikarz i jako sąsiad. Myślisz, że mu nie zazdrościli?

- Czego?

- Ci, którzy jedzą kielbasę zwyczajną, zazdroszczą tym, którzy jedzą szynkę. Czyli biedni zazdroszczą bogatym. Bogaci jeszcze bogatszym. Niscy wysokim. Chudzi grubym, a grubi chudym. Uczniowie zazdroszczą studentom, studenci adiunktom, adiunkci profesorom... U nas nikt nie lubi, gdy komuś lepiej się wiedzie.

O tym Araszkiewicz przekonał się jesienią zeszłego roku, kiedy zastępował chorego Syskiego. Prawda, sam nigdy nie wpadłby na to, kto wymordował Cyganików, ale słuchając podpowiedzi nadkomisarza, dostarczył prokuratorowi, a ten sądowi niezbite dowody. Pilnik dostał dożywocie, on zaś nagrodę pieniężną od komendanta. Lepiej by jej nie dostawał. Jeszcze tego samego dnia ktoś porysował drzwi i wybił szybę w jego corsie. Koledzy w pionie kryminalnym też patrzyli na niego jak na wroga.

- Popytajmy sąsiadów.

- Idę o zakład, że nikt nikogo podejrzanego nie widział i niczego nie słyszał.

Dzielnicowy niewiele się pomylił w ocenie sąsiadów Bojanewa. Wyłączając jednego, wszyscy albo wcześniej położyli się spać, albo oglądali telewizję i niczego nie słyszeli. Ten jeden to doktor Pogonowski, który zawsze stawiał swoje bmw za passatem Bojanewa.

- W piątek wieczorem, a właściwie już w nocy, gdy wróciłem z uczelni, nie było auta pana redaktora tam, gdzie zwykle.

- A gdzie było? - Araszkiewicz przerwał Pogonowskiemu.

- Pomyślałem, że Bojan ma dyżur w redakcji albo że wyjechał na mecz. Dopiero później skojarzyłem, że ten wypadek, co był na obwodnicy...

- Czy kiedykolwiek pan widział, żeby redaktor Bojanew majstrował przy swoim passacie? - spytał aspirant.

Pogonowski najpierw pokręcił głową, potem powiedział:

- Przecież pan dobrze wie, że dzisiejsze samochody są tak skonstruowane, żeby z najdrobniejszą usterką kierowca jechał do serwisu firmowego.

Nie tylko samochody, lecz i pralki, zmywarki, opiekacze, mikrofalówki, żelazka, czajniki, miksery, maszynki do mięsa, odkurzacze, telewizory, radia, komputery, aparaty fotograficzne czy dyktafony wymagają napraw w serwisach. Rodzice Araszkiewicza kupili pierwszą lodówkę, gdy ten miał miesiąc. Stała w kuchni ponad ćwierć wieku. Wymienili ją na mniejszą dopiero wtedy, gdy siostra wyszła za mąż i gdy on się ożenił. Stała się zbyt wielka dla dwojga emerytów i za

dużo zżerała prądu. Nowa lodówka zepsuła się już tydzień po tym, gdy minął okres gwarancji. Mechanik orzekł, że trzeba wymienić silnik, ale szkoda pieniędzy, bo naprawa będzie kosztowała niewiele mniej niż identyczny egzemplarz prosto ze sklepu. Pierwszego telewizora ojciec nie wyrzucił, chociaż ten był już bardzo stary i miał niewielki czarno-biały ekran. Wywiózł go do domku na działce.

- *De facto* niczego pan nie widział - podsumował aspirant, zwracając się do doktora.

Pogonowski kiwnął głową i spytał, czy może już odejść. Zrobił kilka kroków, przystanął i odwróciwszy się do policjantów, dodał:

- Skoro passat Bojana tu nie stał, a on jeszcze nie wyjechał, bo przecież wyruszył w drogę dopiero rano, to gdzie stało auto?

- O to właśnie spytaliśmy pana doktora.

- Rzeczywiście. - Pogonowski roześmiał się przepraszająco. - Czasem zachowuję się jak profesorowie z lat, gdy byłem studentem.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, przedpołudnie

Ilona Mrozińska nie wiedziała, gdzie mieszka komendant. Było pewne, że nie w Zielonejgórze, ponieważ w sobotę i w niedzielę nie zwoływał odpraw, nie zaglądał do bufetu, nie przyczepiał się do podwładnych. Dopiero w poniedziałek o dziesiątej pojawiał się w komendzie i nadrabiał zaległości. Syski, gdy niedawno odwiedziła go w domu i opowiedziała, co się dzieje na Wąskiej, doszedł do wniosku, że ten inspektor długo nie będzie zajmował gabinetu komendanta w Zielonejgórze. I dopiero wtedy znajdzie się miejsce na centralę monitoringu miejskiego, bo w to, że powinna być jak najbliżej policjantów, nikt nie wątpił. Zresztą tak ustalił prezydent z poprzednim inspektorem, zanim ten został szefem zarządu regionalnego CBS.

Nowy komendant nie pamiętał, jak się nazywa naczelniczka wydziału kryminalnego. Nie pytając, czy ma czas, kazał jej natychmiast przyjść do swego gabinetu.

- Ustaliła komisarz, kto przetrzebił hołotę dziennikarską?
- Czy pan pyta o redaktora Kostrzyńskiego z „Gazety Zielonogórskiej”?
- Nazwisko mnie gównu obchodzi. Pytam o tego dziennikarza, co go ktoś wykończył - odpowiedział komendant głosem szorstkim jak papier ścierny.
- Redaktor Kostrzyński został zamordowany w czwartek. W sobotę w wypadku drogowym zginął redaktor Bojanew. Obaj pisali w tej samej gazecie.

Komendant umilkł, a po chwili huknął:

- Dlaczego nie poinformowałaś mnie o tym? Uważasz, że jak jestem nowy w komendzie to można mieć mnie w dupie! Ze nie muszę wiedzieć, co dzieje się na mieście? Za kogo mnie masz?

Komisarz nie odpowiedziała. Zaraz po wejściu do gabinetu inspektora zatrzymała się obok przeszklonej szafy pełnej talerzy i kubków ozdobionych malunkami i napisami, odznak, proporczyków, albumów i innych niełatwych do nazwania gadżetów. Stała wyprężona, nie licząc na to, że komendant wskaże jej krzesło albo fotel i poczęstuje kawą. Ale takiego traktowania się nie spodziewała.

-Jak do tego doszło?

- Na razie sprawdzamy ślady. Są pewne poszlaki, ale...
- Aha, sprawdzacie. Zaczynaj dzień od czytania gazety, a nie od malowania pazurów, to będziesz więcej wiedziała. Ja na twoim miejscu, komisarz, zacząłbym pisać raport o przeniesieniu na gminny komisariat.
- Orientuję się, co piszą w gazetach.
- I znasz autora tekstów kryminalnych.
- Daniel Jung jest bardzo sprawnym dziennikarzem śledczym. W dodatku ma doświadczenie policyjne. Jako gliniarz nazywał się Sateck. Niedawno wrócił do nazwiska rodzowego swego dziadka. Co się tyczy spraw śledztw kryminalnych wie tyle, ile powie mu nasza rzeczniczka, a zasadniczym źródłem jej wiedzy jestem ja.
- Jak to dziennikarz ma doświadczenie policyjne?
- Gdyby jeden z pańskich poprzedników go nie wykopał z komendy,

pewnie byłby dziś naczelnikiem wydziału. A może nawet komendantem miejskim albo kimś na jeszcze wyższym stanowisku.

- Komisarz, za dużo sobie pozwalasz.

- Długo jeszcze?

- Co, długo?

- Długo jeszcze będzie pan mnie traktował jak niedowarzoną posterunkową?

Założywszy ręce do tyłu, inspektor zrobił kilka kroków i zatrzymał się koło Mrozińskiej.

- Nam płaci społeczeństwo. Mamy służyć temu społeczeństwu. Ono domaga się sprawnego działania policji - podkreślił. Obiecał zastępcy komendanta wojewódzkiego, że śledztwo zakończy się w ciągu tygodnia. Wtedy on wróci na poprzednie stanowisko, skąd krok do gabinetu naczelnika wydziału komunikacji społecznej, do większych pieniędzy i prestiżu.

- Na razie żaden badany ślad nie prowadzi do sprawcy.

- Skoro nie prowadzi, komisarz, to trzeba zmienić metodę śledztwa. Trzeba kogoś przydupić, potrzymać na dołku o chlebie i wodzie, a jeszcze lepiej...

- Pana przede wszystkim interesują wskaźniki - wypaliła bez namysłu.

- Co?! - Inspektor wrzasnął i zdębiał. Od blisko dwudziestu lat był policjantem, zawsze na kierowniczych stanowiskach. Jeszcze żadna podwładna nie zachowywała się tak pewnie jak ta pinda. Już chciał ryknąć, żeby Mrozińska wypierdalała z jego gabinetu, gdy odezwała się komórka na biurku. Zerknął na wyświetlacz. Nikt ważny. - Daję ci, komisarz, czas do środy. Nie ma sprawy, nie ma cię w wydziale. Jasne?

- Zdaję sobie sprawę z tego, panie inspektorze, kto utrzymuje policję. Nie mam wątpliwości, za co biorę pieniądze. Moim zadaniem jest wskazanie podejrzanego. Pan powinien wiedzieć, że o tym, czy na podstawie zebranego materiału dowodowego można ustalić i skazać sprawcę, decyduje sąd. Czasem ważniejsze są poszlaki niż protokoły z przesłuchań. A przy okazji, mam do przekazania uwagę w imieniu pańskich podwładnych.

- No, co?

- Gdyby centrala monitoringu miejskiego znajdowała się w tym pomieszczeniu, gdzie pan urządził swój gabinet na wysoki połysk, prowadzenie śledztwa byłoby łatwiejsze. - Dotarł do niej własny głos.

-Co?!

- To miejsce było przeznaczone na centralę, a pan...

- Wypierdalaj! Ale już! - wrzasnął komendant. Odwróciła się. Otwierając drzwi, usłyszała: - Jak mi, kurwa, do środy nie znajdziesz winnego, poszła w pizdu z wydziału!

Dopiero za drzwiami w pełni zrozumiała swój błąd. Niepotrzebnie się postawiła inspektorowi. Powinna zachować się tak jak on. Jednak Ilona nie umiała bluźgać, a jeśli zdarzało się jej zakląć, to wychodziło komicznie. Pierwszego października minie piętnaście lat jej służby w policji, więc postanowiła, że do tego dnia musi jakoś wytrzymać. Już niedługo będzie miała gdzieś i tego komendanta, i jego debilnych następców. A jeśli inspektor dowie się, jakie Ilona ma plany i wyrzuci ją z policji przed pierwszym października? Zastanawiała się, czy wrócić i go przeprosić. Upokorzyć się? Nigdy, zdecydowała w myślach.

Nie wiedziała, czy inspektor powiesił krzyżyk obok godła, ponieważ jest katolikiem czy dlatego, że nastał taki obyczaj. Jednego była pewna: gdyby ten człowiek był komendantem wtedy, kiedy bomba rozbebeszyła skodę Syskiego pod Hermesem, nie ona, a Araszkiwicz zostałaby naczelnikiem wydziału. Inspektor pewnie uważa, że kobiety są po to, żeby służyć mężczyznom dniami i nocami. Ale ja, Ilona Maria Borek, po mężu Mrozińska, magister prawa i komisarz policji, z tym się nie zgadzam, rozmyślała.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, przedpołudnie

Już w sobotę po południu szukanie mordercy Michała Kostrzyńskiego komisarz Mrozińska uznała za stratę czasu. Prokurator był tego samego zdania, tym bardziej że okoliczności wskazywały na to, że

Kostrzyński stał się przypadkową ofiarą. Mimo to należało zgłębić jego życiorys, popytać, z kim się trzymał, czym się interesował, a przede wszystkim przeczytać wszystko, co napisał. Możliwe, że jednak to nie było przypadkowe zabójstwo. Przecież ktoś mógł wcześniej grozić Kostrzyńskiemu za niekorzystny tekst w gazecie i dziennikarskie śledztwo, a ponieważ redaktor go nie posłuchał, wydał wyrok skazujący go na śmierć. Mrozińska przypomniała sobie powiedzonko: za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli, za pieniądze patron stawa, za pieniądze dobra sprawa. Wiedziała, że na razie najważniejsze jest ustalenie, dlaczego komuś zależało na tym, żeby zginął Bojan Bojanew. Trzeba prowadzić śledztwo w sprawie, a nie przeciw konkretnej osobie. A może o pomoc komisarz powinna poprosić Daniela Junga? Ma doświadczenie policyjne, a co ważniejsze, jest w samym środku redakcji. Jemu niczego nie trzeba tłumaczyć, przeciwnie, detektywistyczne zapędy Daniela należy hamować. Prokurator pewnie nie będzie miał nic przeciw udziałowi Junga w prowadzeniu śledztwa. Jak się zachowa komendant, gdy się dowie, kto jest jej współpracownikiem? Pochwali i przyzna nagrodę albo obsztorcuje jak święty Michał diabła w Wielką Niedzielę. Była też trzecia możliwość - nawet się nie zainteresuje wynikiem śledztwa, bo od tego ma zastępcę.

- Jedź do redakcji i przejrzyj teczkę personalne obu denatów - powiedziała do Karoliny de Murville.

- Do której redakcji?

Mrozińska już chciała wypalić, że jak nie będzie interesowała się tym, co robią jej koledzy z wydziału, to skończy w komisariacie kolejowym albo na posterunku w śródleśnej gminie, gdzie diabeł mówi dobranoc, jednak zamiast tego powiedziała spokojnie:

- Wsiądź do osiemdziesiątki na przystanku przy stadionie na Szosie Wrocławskiej, a po dziesięciu minutach jazdy wsiądź w centrum. Najpierw spytaj o drogę do alei Niepodległości, potem o redakcję „Gazety Zielonogórskiej”. Wejdz na pierwsze piętro, następnie w sekretariacie przedstaw się pani Magdzie i poproś redaktor naczelną albo jej zastępczynię o udostępnienie akt osobowych redaktorów Michała

Kostrzyńskiego i Bojana Bojanewa.

- Dzień dobry też mam powiedzieć?

Mrozińska uśmiechnęła się lekko skarcona i postanowiła inaczej patrzeć na Karolinę. To myśląca policjantka, tylko dotąd nie miała okazji udowodnić, ile potrafi.

- Przepraszam - powiedziała zawstydzona komisarz. - Wypisz z dokumentów to, co uznasz za istotne w prowadzonej sprawie. Przede wszystkim kolejne miejsca pracy obu i zajmowane stanowiska.

- A nie lepiej zrobić kserokopie *sywi*?

- Czego?

- W policji nazywa się to ankietą personalną kandydata do służby zawodowej.

- *Curriculum vitae* jest określeniem łacińskim, a nie angielskim.

Podkomisarz się zaczerwieniła, ale przytaknęła.

- Gdyby to było określenie angielskie, mogłabyś wymawiać jako *sywi*. Niestety, *curriculum vitae* jest terminem łacińskim, stosowanym w prawie, a ostatnio nadużywanym przez wszystkich. Zresztą identycznie jak *leader*, *coach*, *discount*, *flyer* i dziesiątki podobnych słów. Śmieszy mnie, gdy posterunkowi mówią, że idą na *lunch* do naszej stołówki. Albo z żonami chodzą do Złotego Domu

i Focusa na *sale* zamiast po przecenione towary lub na wyprzedaże. Niedługo nasz kadrowiec zacznie przeprowadzać *interview* z kandydatami na dzielnicowego. Moi sąsiedzi mają troje dzieci: Oliwiera, Nikolę i Oliwię. Lepsze to niż Colin, Vanessa czy Elvis. *Curriculum vitae* znaczy przebieg życia. Jednym słowem chodzi o zwykły życiorys.

- Dziękuję za interesujący wykład, pani komisarz - przerwała jej Karolina. - O Michale już mogę niemało powiedzieć.

- Tak dobrze go znasz?

- Razem chodziliśmy do podstawówki, potem byliśmy w tej samej humanistycznej klasie w ogólniaku i studiowaliśmy na Uniwersytecie Europejskim „Viadrina” we Frakfurcie nad Odrą. On gospodarke finansową z elementami księgowania, ja - zarządzanie kulturą.

Kto skończył studia na Viadrinie, niemiecki zna biegle. Każdy uczy!

się angielskiego w szkole podstawowej i średniej. Z takimi kwalifikacjami de Murville powinna pracować w administracji teatru, filharmonii czy muzeum, a nie na komisariacie, pomyślała Mrozińska.

- Policja to jedyna instytucja, gdzie na razie przyjmują na podstawie umiejętności i bez znajomości - wyjaśniła Karolina.

Zielonagóra, al. Niepodległości, poniedziałek, przedpołudnie

Życiorys Michała Kostrzyńskiego zajmował mniej niż pół strony wydruku. Po ukończeniu studiów starał się o pracę w firmie produkującej opakowania do kosmetyków. Właściciel obiecał dać odpowiedź w ciągu tygodnia. Czekał do końca lata, a potem napisał list do „Gazety Zielonogórskiej” o tym, jak przedsiębiorca po zawodówce ignoruje absolwenta uniwersytetu. Sposób ujęcia problemu spodobał się Szpalcie, dlatego zaproponowała Michałowi trzymiesięczny wolontariat w redakcji. Sprawdził się, więc przyjęła go na etat dziennikarza w dziale ekonomicznym.

Bojan Bojanew urodził się dużo wcześniej niż Michał Kostrzyński, od biedy mógłby być jego ojcem, ale - jak kadrowiec powiedział podkomisarz de Murville - jego wygląd nie zdradzał wieku. Bojanew był o rok starszy od Junga i przeszedł podobną drogę awansu zawodowego jak Daniel. Zaraz po studiach nauczycielskich uczył historii w szkole podstawowej i prowadził szkółkę piłkarską w Drzonkowie. Zarabiał niewiele, a potrzeby rodziny rosły. Nawet gdyby wyprosił u dyrektora szkoły prowadzenie dodatkowych zajęć pozalekcyjnych, nie był w stanie spełnić oczekiwań chorowitej matki, która mieszkała w jednym pokoju z wnukiem. Zona suszyła mu głowę, że powinni kupić duże mieszkanie, najlepiej dwupoziomowy segment na Cegielni.

Kadrowiec rozwiązał tasemki teczeki, wyjął z niej ankietę personalną i życiorys. Nie patrząc ani na te dokumenty, ani na podkomisarz de Murville, powiedział, że gdy Bojanew rozpoczynał pracę w redakcji, w ankiecie podał osiedle Cegielnia jako miejsce zamieszkania.

- Jako nauczyciel, zarabiał poniżej średniej krajowej. Skąd zatem miał pieniądze na segment? Tego nigdy nie badałem. Nie sądzę, by jego żona, również dyplomowana nauczycielka, zdecydowała się na podjęcie dodatkowego zajęcia, jeśli w tamtym czasie w ogóle gdzieś pracowała. Ostatnio prowadziła biuro poselskie. Jaka odpowiedzialność, takie pieniądze - orzekł kadrowiec z wyraźną pogardą. - Podobno, ale do tego Bojanew nigdy się nie przyznał, gdy były potrzebna gotówka, jego żona wyjechała do Niemiec. Tam zajmowała się niesprawnym adwokatem na emeryturze. Gotowała, karmiła, wyprowadzała go na spacer, a pewnie i kąpała, i... Tak na okrągło przez siedem dni w tygodniu, przez dwa lata. Raz w miesiącu pojawiał się syn adwokata, wypłacał jej pensję i zostawiał dokładnie wyliczoną gotówkę na utrzymanie ojca. Mogła zaoszczędzić na mieszkaniu i wyżywieniu. To by się zgadzało, bo skąd Bojanewowie mieli pieniądze na segment? - spytał Szmit, odwracając teczkę z dokumentami w stronę podkomisarza.

-Jego imię i nazwisko wygląda na zagraniczne.

- Proszę czytać. - Pokazał palcem rubrykę, gdzie były dane ojca i matki Bojanewa.

- Janina z domu Stonoga. Krum... To nie jest polskie imię?

- Bułgarskie. Ojciec Bojana przyjechał do Łodzi na studia medyczne. Tam poznał Janinę, która pochodziła z Zielonejgóry i studiowała stomatologię. Gdy się okazało, że jest w ciąży, przerwała naukę. Dziś pewnie zamieszkaliby w akademiku koedukacyjnym i wychowywali syna, ale wtedy, niestety były inne czasy. W każdym razie Krum Bojanew skończył medycynę, ale nie wrócił do Bułgarii. Do śmierci pracował w naszej poliklinice przy Wazów jako ortopeda. Niech pani sobie wyobrazi, że po polsku mówił mniej więcej tak jak ja po niemiecku.

- Bojan Bojanew pracował jako wychowawca więzienny? - zdziwiła się de Murville. Chciała spytać gdzie, bo w ankiecie brakowało tej informacji, gdy kadrowiec przypomniał sobie, że Bojanew dojeżdżał pociągiem do Nowej Soli.

- Był klawiszem w stopniu porucznika. Odpowiednik komisarza

policji - dodał.

- Dlaczego dojeżdżał do Nowej Soli, skoro identyczny areszt jest w Zielonejgórze przy Łużyckiej?

- Pewnie tu nie mieli wolnego etatu, a tam potrzebowali kogoś po studiach. Wzięli nauczyciela historii.

- Długo był wychowawcą? - spytała i zawstydziała się, gdy Szmit pokazał palcem na zapis w ankiecie personalnej.

- Prawie osiem lat. Teraz zechce pani mnie spytać, dlaczego zrezygnował z pracy w służbie więziennej i jak to się stało, że nauczyciel historii z wykształcenia został dziennikarzem sportowym. - De Murville kiwnęła głową.

- Gdyby pani przejrzała zszywki archiwalnych roczników gazety, to spotkałaby w nich informacje podpisane inicjałami BB. Jeszcze jako student historii Bojanew współpracował z „Gazetą Zielonogorską” od święta. Nie sądzę, aby stanowiło to poważne źródło dochodów. Wystarczało mu na piwo i papierosy.

Karolina powiedziała, że żaden spośród dziennikarzy, których zna, nie ma wykształcenia polonistycznego i nie skończył studiów dziennikarskich. Michał Kostrzyński napisał pracę magisterską z ekonomii, Jung zaczynał na psychologii, doktor Monika Chudy jest po kulturze fizycznej, a ten młody na stażu, Kamil, ma dyplom magistra sztuki muzycznej o specjalności jazz.

- Poloniści wiedzą, dlaczego Mickiewicz napisał *Sonety krymskie* albo co chciał powiedzieć Gombrowicz w *Ferdydurke*. W szkole to się przydaje. Pomijając oświatę, poloniści są nieprzydatni. Co innego germaniści czy angiści, a jeszcze lepiej sinolodzy. Jediną zaletą polonistów jest to, że robią mniej błędów stylistycznych. W redakcjach najlepiej sprawdzają się absolwenci uczelni technicznych, ekonomicznych, politologii, prawa, którzy mają zacięcie humanistyczne. Czy pani zdaje sobie sprawę, że podobna sytuacja jest w służbach mundurowych? Proszę policzyć, ilu inżynierów techniki samochodowej pracuje w drogówce albo ilu informatyków ma biurka w wydziale do walki z przestępczością gospodarczą. U was w pionie kryminalnym jest

biolog, architekt kształtowania krajobrazu, nawet historyk sztuki. Pani skończyła zarządzanie instytucjami kulturalnymi na Viadrinie.

- Skąd pan to wszystko wie?

Kadrowiec zreflektował się, że powiedział za dużo. Karolina de Murville wcale nie jest bezmyślną policjantką, która robi jedynie to, co jej każe komisarz Mrozińska. Z taką nie warto zaczynać. Ona może być potrzebna, tym bardziej że Szmit nie zamierzał do końca życia siedzieć w pokoju kadrowca. Gdzie jak gdzie, ale w policji trzeba mieć znajomości.

- Redaktor Bojanew miał sto zalet i jedną wielką wadę - szybko zmienił temat.

-Jaką?

- Do przesady nie lubił speedwaya, czyli żuźla. Zawodników uważał za kaskaderów, a całą dyscyplinę nazywał cyrkiem na kółkach dla bezmyślnych kibołi. A to przecież także sport, tyle że nieolimpijski, traktowany jako niszowy. Identycznie jak brydż, szachy czy snooker. - Podniósł palec wskazujący i przymrużył oczy, jakby starał się zwrócić uwagę policjantki na coś, czego ona nie rozumie, a bez czego trudno żyć. - U nas to dyscyplina najważniejsza, wypełniająca stadion przy Szosie Wrocławskiej do ostatniego krzeselka. A ile osób stoi za płotem i nasłuchuje! Byłoby jeszcze większe zainteresowanie, gdyby w naszej gazecie ukazywało się co najmniej tyle artykułów o speedwayu, ile Bojanew pisał o futbolu czy bascecie. Może teraz, kiedy nie ma hamulcowego w redakcji, zapali się zielone światło dla żuźla.

- Co takiego jest w żuźlu, że pan aż tak go broni?

- To prawdziwie męski sport.

-Tylko sport? A nie męska solidarność również?

- Czysty sport.

- Przestrzegano mnie przed panem.

- Kto przestrzegał?

- Pan, mecenasie Szmit, broni żuźla, bo nie chce się narazić niektórym osobom w naszym mieście. Przede wszystkim swemu przyrodniemu bratu - wypaliła i zaraz tego pożałowała.

- Mógłbym zadzwonić do komendanta i... Nie zrobię tego tylko ze względu na młody wiek pani podkomisarz. W przyszłości proszę najpierw... Rozumiemy się?

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, wczesne popołudnie

Po powrocie do komendy Karolina de Murville powtórzyła komisarz Mrozińskiej wszystko, co usłyszała od kadrowca, i dodała swoje spostrzeżenia. Nie podobał jej się Szmit.

- Kopia naszego kadrowca.

- Jest przyrodnim bratem dyrektora klubu żużlowego. Neimanna.

Tego podkomisarz się nie domyśliła, a powinna dojść do wniosku, że to jakiś waźniak już wtedy, kiedy Chuda zaprowadziła ją na trzecie piętro i otworzyła drzwi do pokoju kadr. Nie pamiętała, co Szmit powiedział, ale było to coś takiego, co ją zaskoczyło. Pewny siebie utuczony waźniak.

- Nie chciałabym mieć takiego szefa - przyznała szczerze. Ilona Mrozińska nigdy nie spotkała Szmita. Wiedziała

o nim tyle, ile powiedział komisarz Syski, gdy gawędzili o przeszłości, najczęściej przy Danielu Jungu, który też dużo wiedział o powiązaniach w mieście. Syski zapamiętał Szmita jako niegadatliwego kapitana Służby Bezpieczeństwa, który miał pod swoją pieczę redakcje regionalne i rodziny pracujących w nich dziennikarzy. Prawie wszyscy esbecy stanęli przed komisją weryfikacyjną na początku lat dziewięćdziesiątych i prawie wszyscy nie mieli sobie nic do zarzucenia, ponieważ robili to, jak twierdzili, co kazali im naczelnicy wydziałów albo jeszcze ważniejsi zwierzchnicy. Niemal wszyscy wrócili do pracy, tyle że w formacji pod nową nazwą i z nowymi naczelnikami. Szmit słusznie się domyślał, że zabraknie dla niego miejsca w Urzędzie Ochrony Państwa, dlatego nie zgłosił się do komisji. Podobnie zachował się jego starszy brat, który w wojewódzkiej SB był szefem sekcji szóstej. Czym się ona zajmowała, Mrozińska dokładnie nie wiedziała. Wydawało się jej, że wszystkim, co

dotyczyło wsi i gospodarki żywnościowej. Zresztą gdyby nawet Neimann był naczelnikiem sekcji łączności albo małego ruchu granicznego, też nie miałby szansy powrotu do bezpieki. Ktoś w Warszawie zdecydował, że wszystkim funkcyjnym esbekom komisja weryfikacyjna ma wystawić wilcze bilety. Neimann został młodym emerytem, a jego brat znalazł się na bruku. Nie na długo. Gdy Bożejko kupił „Gazetę Zielonogórską” wraz z drukarnią i siecią kiosków, Szmit przypomniał mu, że razem zaczynali studia i nawet raz stanął w jego obronie. Nowy właściciel przyjął go do pracy, najpierw powierzając funkcję kierownika administracyjnego, po kilku miesiącach zaś obsadzając go w roli swego zaufanego i głównego kadrowca. Wierniejszego pracownika nie było w całej firmie. Po śmierci Bożejki już pewny siebie Szmit znowu wypadł z obiegu, ale wtedy już tak dokładnie zamazał swoją przeszłość, że młodzi dziennikarze uważali go za nieszczęśliwą ofiarę poprzedniego systemu politycznego. Jednego nie umiał się pozbyć: notowania uwag o każdej osobie, z którą się spotykał. W kieszeni marynarki nosił dyktafon. Włączał go zawsze i wszędzie, nie tylko gdy zaglądał do Klubu Dziennikarza, ale nawet gdy wchodził do gabinetów Chudej i Szpalty. Syski śmiał się, że Szmit nagrywa rozmowy z kochanką brata, żeby i ją potem szantażować.

- Byłych esbeków obchodzi szerokim kołem, Karolinko - poradziła jej Mrozińska. - Choćby sami mocno chcieli, nie potrafią się zmienić. Przez lata pracy w SB za dużo ohydy w nich się nagromadziło. W naszej komendzie już ich nie ma, ale pozostał nieprzyjemny zapach. To znaczy w głowach ludzi pozostał.

*Zielonagóra, al. Niepodległości,
poniedziałek, popołudnie*

Daniel Jung nie miał się kogo poradzić. Po tym, co Chuda zrobiła z jego relacją z meczu, nie chciał z nią rozmawiać. Zresztą nigdy jej nie cenił. Szpalta przed wyjazdem do Norwegii prosiła, żeby nikt do niej nie

dzwonił. W miarę rozsądny sekretarz redakcji także był na urlopie w Norwegii, natomiast jego zastępca w połowie przyszłego roku odejdzie na emeryturę, dlatego do niczego, co drażliwe i wymusza zajęcie stanowiska, się nie wtrąca. Szefowa działu politycznego lubiła pouczać i rozwodzić się na temat odpowiedzialności dziennikarza za słowa, ale gdy trzeba było podjąć trudną decyzję, wycofywała się rakiem. Inni również wygłaszali moralizatorskie przemowy, ale z takiego gadania niewiele wynikało. Kamila nie brał pod uwagę przede wszystkim ze względu na brak jego doświadczenia w zawodzie, chociaż wiele razy przekonał się, że chłopak jest pomocny, szczególnie gdy główną rolę zaczynała odgrywać informatyka. Czasem radził się Jacka Syskiego, lecz tym razem nie chciał zdradzać komisarzowi na zwolnieniu lekarskim, co mu chodzi po głowie. Jeśli napiszę w jutrzejszej gazecie, że policja jest na tropie mordercy, to Ilona Mrozińska ani temu nie zaprzeczy, ani go nie pochwali. Policjanci kryminalni zielenieją ze złości, gdy dziennikarze wyprzedzają ich w ogłaszaniu wniosków. Może prokurator będzie miał pretensje, pomyślał, ale on i tak zawsze dzwoni do redaktorki naczelnej i czepia się nawet tych słów, które padły z jego ust.

Jung szukał doradcy, bo miał zamiar napisać coś innego, mianowicie to, że mordercą jest znany w kraju mistrz sportu walki, którego nazwiska dziś nie wymienia jedynie w obawie o lincz, do jakiego może dojść w klubie. To oczywiście kłamstwo, ale i sposób, żeby morderca popełnił błąd lub sam się ujawnił. Dwa lata temu, kiedy zginął właściciel sieci stacji benzynowych, Jung nieopacznie napisał, kogo sąsiedzi widzieli w pobliżu jego podmiejskiej posiadłości. Przeczytawszy informację w gazecie, główny plastyk strzelił sobie w głowę z tego samego rewolweru, z którego zabił benzyniarza. Czasem więc dziennikarz jest bardziej przydatny niż policjant, chociaż Jung nie zgadzał się z tymi, którzy uważali, że wymierzył sprawiedliwość. Od wymierzania sprawiedliwości jest przecież sąd.

*Nowa Sól, ul. Stefana Żeromskiego,
poniedziałek, popołudnie*

Dyrektor aresztu śledczego pracował w Nowej Soli od niedawna, dlatego nic nie wiedział o Bojanewie. Gdy Ilona Mrozińska zadzwoniła do niego i powiedziała, dlaczego chce rozmawiać, kazał kadrowej odszukać teczkę z aktami personalnymi byłego pracownika. Znajdowała się w niej ankieta, jaką musiał wypełnić każdy kandydat do pracy w więziennictwie, odpis dyplomu ukończenia studiów, życiorys, zaświadczenie o niekaralności, świadectwo przeszkolenia oficerskiego, kopie kart urlopowych i świadectwo pracy ze szkoły.

- Z tego, co się u nas zachowało, wynika, że porucznik Bojanew pracował w naszej jednostce jako wychowawca przez osiem lat. Żadnej nagany czy upomnienia. Odszedł z więziennictwa na własną prośbę.

Komisarz powinna spytać, co należy do obowiązków wychowawcy w areszcie śledczym, ale nie chciała się przyznać do tego, że działa rutynowo.

- Miał sukcesy?

- Musiał mieć. Nasze przepisy ogólne są podobne do procedur policyjnych. To znaczy raz w roku każdy funkcjonariusz odpowiada na pytania dotyczące znajomości wybranych rozdziałów prawa, zdaje test ze sprawności fizycznej i przechodzi badania psychologiczne. Przełożony, a w wypadku wychowawcy jest nim dyrektor lub jego zastępca, przeprowadza z nim rozmowę i wypełnia standardowy arkusz oceny, który stanowi podstawę do awansowania na wyższy stopień. Te ostatnie dokumenty są przechowywane w archiwum inspektoratu okręgowego przy Młyńskiej w Poznaniu. Zaraz, zaraz, mogą być w Zielonejgórze, bo wtedy nasz areszt tam podlegał - powiedział dyrektor, namyślając się. - Najlepiej będzie, jeśli pani porozmawia z moim poprzednikiem. Major Koziółek od trzech lat jest na emeryturze. Mieszka pięć minut drogi stąd, na osiedlu Kopernika. W tej chwili mogę do niego zadzwonić.

Komisarz kiwnęła głową. Zastanawiała się, dlaczego mimo tylu lat pracy w policji nie rozmawiała z żadnym szefem aresztu, tylko zawsze z

kimś z oddziału penitencjarnego. Gdy dyrektor odłożył słuchawkę i powiedział, że major na nią czeka, spytała, jak dojechać na osiedle Kopernika.

- Szybciej pani dojdzie. Po drugiej stronie ulicy Piłsudskiego, na wprost sądu, stoją czterokondygnacyjne bloki, typowe dla taniego budownictwa w latach gierkowskich. Proszę kierować się na stary kościół. Major mieszka w domu obok. Ostrzegam, mój poprzednik lubi sobie pogadać. I - mrugnął, jakby zdradzał tajemnicę - robi znakomite nalewki. Jeśli spyta, czym panią poczęstować, podpowiadam: dereniówką.

*Nowa Sól, os. Mikołaja Kopernika,
poniedziałek, popołudnie*

Major palił papierosa na ławce przed budynkiem.

- Pani komisarz Mrozińska? - zawołał, gdy Ilona rozglądała się po osiedlu, szukając tabliczki z numerem budynku.

Potwierdziła uniesieniem ręki i spytała, po czym poznał, że jest policjantką, którą zapowiedział dyrektor aresztu. Przecież alejką obok kościoła przed nią i za nią szło więcej kobiet, a nie wszystkie niosły torby z zakupami.

- Ale żadna nie idzie wyprostowana i nie stawia nóg jak na defiladzie - powiedział, czubkiem laczka rozdeptując niedopałek papierosa. - Przez czterdzieści lat miałem do czynienia z mundurowymi. Słuch już nie ten, jesienią czeka mnie operacja oczu, ale czują mam jak dawniej. Czy pani wie, że tam, gdzie byłem dyrektorem aresztów, a zaczynałem w Choszcznie, potem Kamień Pomorski, po nim Międzyrzecz i prawie jedenaście lat Nowa Sól, żaden aresztant nie dał dyla. Z konwoju do sądu co rusz ktoś uciekał. Z aresztu nikt.

Komisarz podała mu dłoń w taki sposób, aby nie podniósł jej do ust i nie pocałował. Nie miała nic przeciwko adorowaniu, przytulaniu, kokietowaniu, cmokaniu na jej widok, ale nie przez śliniącego się

emeryta, w dodatku cuchnącego dymem papierosowym.

- Major Koziołek - przedstawił się skrzeczącym głosem, niemal stając na baczność, jakby miał przed sobą nie policjantkę z komendy miejskiej, a dyrektora inspektoratu okręgowego. - Możemy rozmawiać w mieszkaniu albo tu. - Pokazał ręką na ławkę w cieniu bloku. - Tu przyjemniej, tyle że niczym pani nie poczęstuję.

- Wolę na zewnątrz - powiedziała zadowolona, siadając obok niego. Uznała, że firanki, dywany i meble w mieszkaniu przesiąkły smrodem papierosów. Starzy ludzie często nie wietrzą domów nawet latem, jakby się bali, że przez otwarte lufciki dostanie się do środka jakaś choroba. Zawsze gdy Ilona odwiedzała rodziców, czuła drażniącą woń stęchlizny. Po powrocie do swego mieszkania szybko się przebierała, rzeczy, w których była, prała albo wносиła na balkon. Czytała, że większość mężczyzn rzuca palenie zaraz po czterdziestce. Kto tego w tym okresie nie zrobi, będzie niewolnikiem papierosów do śmierci, którą najpewniej przyspieszy rak krtani lub płuc.

- Dyrektor aresztu napomknął przez telefon, że pani komisarz interesuje się Bojanewem. Czym taki spokojny człowiek podpadł policji?

- Nie podpadł.

- Coś gorszego?

- Bojan Bojanew nie żyje.

Koziołek otworzył usta i znieruchomiał, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

- Zawał? - spytał i po chwili sam sobie odpowiedział: - Nie. Policja nie zajmuje się zawałami. W takim razie morderstwo?

- Sekcja zwłok wykaże, czy zgon nastąpił w wyniku zawału serca, zaślabnięcia czy jeszcze czegoś innego. W każdym razie prokurator bada okoliczności wypadku, jeśli to był wypadek, a nie zamach na redaktora Bojanewa. Chodzi o to, że w trakcie jazdy na obwodnicy Zielonejgóry oderwało się przednie koło samochodu, który prowadził. Zdaniem biegłego stało się to, ponieważ prawdopodobnie śruby mocujące felgę zostały poluzowane. Kto je poluzował i dlaczego? I czy na pewno to

było przyczyną wypadku... Staramy się wszystko wyjaśnić.

- Nigdy nie słyszałem, żeby koło samo z siebie odpadło od auta osobowego. W tirach to się zdarza. Najgorzej gdy koło od ciężarówki oderwie się na autostradzie. Kraksa murowana.

- Pan pracował z Bojanewem osiem lat.

- Chodzi o to, czy ktoś... - Koziołek spojrział na policjantkę. Mrozińska nie odpowiedziała, chociaż domyślała się, o co chciał spytać.

- Interesuje panią, czy gdy Bojanew był wychowawcą w areszcie, wydarzyło się coś, co należy łączyć z wypadkiem na obwodnicy, tak? - wyartykułował.

- Staramy się sprawdzić wszystkie wątki.

- Mnie też dziwiło, że nauczyciel historii, magister, rzucił pracę w szkole po to, żeby być klawiszem, znaczy się wychowawcą w areszcie śledczym. U nas jak w policji, najpierw trzeba wykonać polecenie przełożonego, potem można dyskutować, byle nie za długo. A najlepiej nie gadać, bo ze zwierzchnikami jeszcze nikt nie wygrał, prawda? - Koziołek zerknął na Mrozińską, oczekując potwierdzenia. Komisarz nawet nie kiwnęła głową, więc kontynuował: - Magister Bojanew napisał podanie do inspektoratu w Poznaniu, oni posłali go na kurs do Szczypiorna. W stopniu podporucznika skierowali do nas razem z etatem wychowawcy.

- W więziennictwie może pracować pół-Polak? - przerwała mu bez zastanowienia. Po chwili żałowała tego, ale już było za późno na wycofanie pytania.

- Jego ojciec był Bułgarem, a matka - Polką. Urodził się w Polsce. Gdyby nie imię i nazwisko, nikt nie powiedziałby, że jest pół-Polakiem i pół-Bułgarem.

- Przepraszam za to pytanie.

- Niczego złego o Bojanewie nie powiem poza tym, że nie nadawał się do służby. Za miękki. Zbyt ufny i łatwowierny. Osadzeni to wykorzystywali. Poruczniku Bojanew, tłumaczyłem, nie jesteście od współczucia. Są przepisy i regulaminy, więc trzeba ich przestrzegać. Macie pomagać osadzonemu, edukować ich, rozwijać zainteresowania,

resocjalizować, krótko mówiąc naprowadzać na właściwą drogę życia, ale zgodnie z regulaminem. On bawił się z nimi w teatrzyk. Wypożyczył instrumenty z domu kultury i założył zespół muzyczny. Chciał urządzać koncerty w świetlicy. Kazał aresztantom pisać artykuły do „Ludzi Bezdomych”, bo jego zdaniem to miało przyspieszyć proces resocjalizacji.

- Do czego mieli pisać? - spytała, otrząsając się z zamyślenia.

- Pani nie zdaje sobie sprawy, jakie talenty trafiają za kraty.

Mogła go zaskoczyć tym, że słynną *Lolite* Nabokov napisał w więzieniu. Kraszewski, skazany na trzy i pół roku za szpiegostwo na rzecz Francji, nie odłożył pióra za kratami w berlińskim Moabie. Powieść Collinsa o tym, jak popełnił zabójstwo, stała się bestsellerem, a on po wyjściu na wolność zaczął utrzymywać się z twórczości literackiej. Notatki robione w stalinowskim obozie pracy Solżenicyn wykorzystał w *Archipelagu GULag*. Szalamow zdobył sławę *Opowiadaniem kołymskimi*.

- Tak? - zadała to pytanie tylko po to, by zachęcić rozmówcę do opowiadania.

- Osadzeni w areszcie poznańskim redagują „Życie Młyna”, w Krzywańcu wydawali i pewnie jeszcze wydają „Wieści”, a w Nowej Soli wychodzą „Ludzie Bezdomy”, bo areszt jest przy ulicy Stefana Żeromskiego. Mądrze, prawda?

- Tak - potwierdziła, nie zastanawiając się nad tym, co powiedział Koziołek.

- Raz Bojanew przyszedł do mnie z propozycją, by zorganizować mistrzostwa zakładów karnych w koszykówce albo siatkówce. Ja na to, że może jeszcze turniej taneczny o puchar przechodni ministra sprawiedliwości chce przeprowadzić. Zaświeciły mu się oczy. Boże, on mi areszt zamieni na dom kultury, pomyślałem. Chyba żeście, poruczniku Bojanew, spadli z byka na asfalt, odparłem mu wtedy.

- Czy miał zatargi z aresztantami?

Koziołek wyjął z paczki marsa i pstryknął zapalniczką. Komisarz odchrząknęła. Trzymając niezapalonego papierosa w palcach,

powiedział:

- Każdy wychowawca ma większe lub mniejsze zatargi. Nawet kapelan ma, chociaż przychodzi raz na dwa tygodnie. Jeśli funkcjonariusz nie ma racji, to wstyd się do tego przyznać. Taka jest logika. Funkcjonariusz nie może sobie pozwolić, żeby ostatnie zdanie należało do aresztanta.

- Mimo że Bojanew tyle im proponował, także i do niego mieli pretensje?

- Nie wszyscy. Jeden był taki, że w pojedynkę lepiej było do niego nie podchodzić.

- Coś z głową?

- Większość kozaków na wolności to za kratami potulne baranki. Czasami tylko pomiędzy nimi znajdzie się wilk.

- O co poszło?

- O żużel.

- O sport żużlowy.

- Podobno Bojanew wygłosił nieprzychylną opinię o żużlowcach. Co powiedział, nie wiem. A ten był kibicem Falubazu, jak wtedy nazywał się dzisiejszy Grempler.

-Jak pan zareagował?

- Ponieważ porucznik Bojanew nie złożył raportu, nie domagałem się przeprowadzenia wyjaśnienia. Źle zrobiłem, co?

- Jedyne kibic żużla mu groził?

- Ja wiem o nim - odpowiedział po dłuższym namyśle.

- Pamiętaj pan, skąd ten kibic pochodzi i za co był aresztowany?

- Na pewno z Otynia. U nas większość osadzonych pochodzi z okolicznych miejscowości. Ten był oskarżony o próbę gwałtu. Wcześniej też coś miał na sumieniu. Nie radziłbym pani spotkać takiego na drodze. Policjanci z komisariatu w Otyniu powinni więcej powiedzieć.

- I dlatego Bojanew się zwolnił?

- To nie miało związku z jego odejściem ze służby. W tym samym czasie „Gazeta Zielonogórska” szukała redaktora do działu sportowego, a ponieważ Bojanew współpracował z nimi jeszcze jako student i

nauczyciel historii, wzięli go na etat. Od ręki dostał prawie dwa razy tyle co u nas.

- A żużłoman w skórze wilka?

-Kto?

- Ten, co groził porucznikowi Bojanewowi?

- Pewnie już wyszedł. Albo znowu siedzi. To jeden z tych, co go knajpa już nie zepsuje i kościół nie naprawi.

*Otyń, Rynek, poniedziałek,
późne popołudnie*

Komisarz Mrozińska nie miała zamiaru szukać tego, który groził Bojanewowi. Zresztą było to wbrew procedurom obowiązującym w policji. Przede wszystkim powinna powiadomić komendę w Nowej Soli, ponieważ Otyń leży w jej zasięgu. Powinna także wezwać aspiranta Araszkiewicza - partnera w prowadzeniu śledztwa - albo kogoś innego z pionu kryminalnego. Karoliny de Murville nie brała pod uwagę, a pozostali byli zajęci czymś innym.

Jutro rano przyjadę z Tadeuszem, postanowiła, a teraz prosto do komendy. Jednak gdy przed jej autem wyrósł znak wskazujący drogę do Otynia, wbrew wcześniejszej decyzji skręciła kierownicą seata w prawo. Na parkingu przed nowym marketem mogła jeszcze zawrócić, tyle że wtedy zobaczyła następny znak, a na nim informację, ile kilometrów z tego miejsca jest do Zielonejgóry. Teraz ekspresowa „trójka” jako międzynarodowa trasa E65 z Malmö w Szwecji do Chani na greckiej Krecie omija Otyń, choć dawniej przecinała miasteczko na dwie nierówne części. Wtedy samochody z zagranicznymi tabliczkami stały wzdłuż wąskich uliczek wokół przysadzistego ratusza. W gospodzie, gdzie kelnerki podawały gołonkę z chrzanem i naprawdę świeżutki chleb, zawsze brakowało miejsca. Nie podobało się to miejscowym piwoszom, którzy musieli okupować ławki przed dwoma sklepami spożywczymi.

Ilona Mrozińska dawno nie była w centrum Otynia, toteż nie pamiętała, czy posterunek jest w ratuszu, czy może przybyło urzędników i policjanci przenieśli się do domu kultury albo szkoły.

- U nas komisariat? Ze trzy lata będzie jak zlikwidowali. Teraz mamy dzielnicowego. Jak wygląda i jak się nazywa, nie wiem. Gdzie go szukać? Jakaś wywieszka powinna być na tablicy przy ratuszu - podpowiedziała kobieta na przystanku autobusowym.

Przy ratuszu stała oszklona tablica. W jej dolnym rogu komisarz znalazła informację, że telefon komórkowy dzielnicowego jest dostępny tylko w godzinach pełnienia służby. Od której do której pracuje policjant, tego nie wiedziała, mimo to włączyła swoją komórkę i wystukała dziewięć cyferek wypisanych na tablicy ogłoszeń. Nikt się nie odezwał.

- Gdyby teraz coś się wydarzyło w miasteczku, na przykład wypadek, to jak wezwać policję? - To pytanie zadała mężczyźnie w podkoszulku siedzącemu na ławce w cieniu domu.

- Dziewięć, dziewięć, siedem - odpowiedział przez nos.

- Można próbować na sto dwanaście, ale szkoda czasu.

- Od dawna mieszka pan w Otyniu?

- Od takiego. - Przygarbił się i wyciągniętą ręką zarysował linię na wysokości swoich kolan. Komisarz domyśliła się, że od dziecka. - To pewnie zna pan takiego, który siedział w więzieniu za gwałt.

- Od nas?

- Z Otynia.

- W ciupie? Ile dostał? - dociekał, unosząc rozwichrzone brwi, a ona pokiwała głową. - Poczekaj, pani. Lesiu!

- zawołał do brzuchacza o słomianych włosach, zmierzającego w stronę kościoła. - Kto od nas kibłował za gwałt?

Brzuchacz zatrzymał się w pół kroku, wbił wzrok w bruk i ręce splótł na szyi, jakby to miało mu przypomnieć, kto był skazany.

- Ten, co mieszkał z Iśką od Muchy. Ale on za pobicie.

- Michał? Nie. A Bruzda nie siedział za gwałt? - spytał mężczyzna, zapalając papierosa.

- Wizów Eda! - wykrzyknął brzuchacz i zadowolony odwrócił się do Mrozińskiej.

- Pani do niego?

- Być może - odpowiedziała komisarz dla świętego spokoju.

- Lepiej sobie pani z nami pogada. Z nim nie da rady.

- Wyjechał?

- Na zawsze - odpowiedział brzuchacz. Dostrzegłszy pytające oczy Mrozińskiej, pokazał ręką przed siebie i dodał: - Wynieśli go nogami do przodu.

- Umarł?

- Pierwszego dnia, jak wyszedł z kicia, pochłął w gospodzie i wleciał pod tira. - Brzuchacz śmieiej spojrział na Mrozińską. - Po co on pani?

Na poczekaniu mogła wymyślić jakąkolwiek opowiastkę, na przykład że jest z biura penitencjarnego i sprawdza, co robią ci, którzy zostali warunkowo zwolnieni po odbyciu więcej niż połowy kary lub że prowadzi badania socjologiczne na zlecenie ministerstwa.

- Gdzie zobaczę posążek Matki Bożej Klenickiej? - spytała, zastanawiając się, czy czegoś nie pomyliła. Skoro obraz Matki Bożej Częstochowskiej wisi w Częstochowie, to posążek Matki Bożej Klenickiej musi być w Klenicy.

- W sanktuarium - odpowiedział ten w podkoszulku i pokazał ręką na nową wieżę kościoła.

- Właśnie idę w tamtą stronę. Mogę panią odprowadzić - zaoferował brzuchacz.

- Chociaż mieszkam niedaleko, bo w Zielonejgórze, dotąd nie miałam okazji obejrzeć cudownego posążka - przyznała troszkę zawstydzona. Pomyślała, że powinna pojechać do Rokitna, gdzie jest obraz Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej i po drodze zobaczyć sanktuarium Pierwszych Męczenników Polski.

Brzuchacz nie zareagował. Gdy w milczeniu doszli do bramy, wyjaśnił, że w dzień kościół jest zamknięty, a wszystkiego o figurze może się dowiedzieć z ulotki zawieszanej w gablocie.

Zaczęła czytać o tym, że figurka Matki Bożej z Dzieciątkiem ma cechy

rzeźby gotyckiej. Prawdopodobnie została wykonana z drewna lipowego pod koniec czternastego wieku w pobliskiej Klenicy. Przedstawia Maryję trzymającą w lewej ręce Dzieciątka. Głowa Bogarodzicy w miedziano-złocistej szacie jest nakryta dużą koroną z gwiazdami. Podania mówią, że Boża Rodzicielka ukazała się pasterce gęsi na wzgórzu za klenickimi domostwami. Tam ją poprosiła, żeby w miejscu objawienia mieszkańcy wioski postawili kościół. Przez wieki do Klenicy pielgrzymowali Lubuszanie, Ślązacy i Wielkopolanie, gdzie modlili się o ochronę przed zarazą, zdrowie, obfite plony. Autor ulotki podkreślił, że wielu z nich doznało łask i uzdrowień, co miało wpływ na rozwój kultu Matki Bożej Klenickiej. W obawie przed profanacją przez szwedzkich żołnierzy podczas potopu jezuita przeniósł figurkę do kaplicy klasztornej w Otyniu. Co ciekawe, w czasie pożaru klasztoru, gdy niemal wszystko się spaliło, lipowy posążek przetrwał pożogę. To kolejny dowód na jego niezemskie pochodzenie. Po drugiej wojnie światowej otyński proboszcz przeniósł figurkę do kościoła parafialnego, któremu pod koniec drugiego tysiąclecia biskup zielonogórski nadał rangę sanktuarium. Raz w roku zawsze przed zniwami posążek na jeden dzień wraca do Klenicy.

- Powinna pani przyjechać, gdy kościół jest otwarty. Najlepiej w niedzielę - powiedział brzuchacz taszczący na plecach worek z czymś, co go wygięło w kabłąk. - W Klenicy mówią, że jak teraz jest demokracja, to figurka powinna wrócić tam, gdzie powstała. A my nie oddamy.

- Dlaczego nie oddacie?

- Bo nie. I już!

*Zielonagóra, ul. Dolina Luizy,
poniedziałek, późne popołudnie*

Chudy urodził się w Zielonejgórze. Był przekonany, że zna nawet najkrótsze uliczki i najciemniejsze kąty, ale - jak się okazało - nie wiedział, gdzie jest Dolina Luizy. Ksiądz dyżurujący w stołówce Caritas,

kiedy spytał go o tę ulicę, odpowiedział, że gdyby chodziło o Nową Sól, to z zamkniętymi oczami zaprowadzi Chudego nawet tam, gdzie kiedyś stał browar i opowie, jaki smak miało piwo Hutnik, jednak tutaj się nie orientuje. Ani kucharka, ani żadna z jej trzech pomocnic nie słyszały o Dolinie Luizy. Dopiero kierowca powiedział mu, że to uliczka, która powstała niedawno, położona wzdłuż Gęsńnika, łącząca Sulechowską z osiedlem bez urzędowej nazwy, chociaż tubylcy już dawno ochrzcili je Psimi Budami. Po jednej stronie między drzewami przemyka strumyk, po drugiej otoczone żeliwnymi płotami rezydencje milionerów wygrzewają się w słońcu.

- Na każdym podwórzu waruje jak nie rottweiler, to pitbul albo jeszcze bardziej wściekłe psisko - ostrzegł go mężczyzna.

Chudy nie spodziewał się, że Dolina Luizy jest aż taka długa. Szedł już dobre dziesięć minut, a końca nie widział.

Dopiero gdy minął halę sportową, zobaczył pałacyki ustawione na zielonych dywanach, przed niektórymi srebrzyły się auta takich samych marek, jakie oglądał w stuttgarckiej dzielnicy Birkach. Przyszło mu do głowy, że to niesprawiedliwe. On, magister wychowania fizycznego, który potrafi ułożyć kafelki, pomalować ściany, wycyklinować podłogi, latem śpi na ławce w parku Tysiąclecia, a od jesieni prosi o legowisko w noclegowni. Tym tutaj, podniósł oczy na wille, tylko ptasiego mleczka brakuje. Nie uważał przepychu za niezasłużony, lecz za zbyt czyny. Żadnej radości z życia, rozmyślał, idąc dalej. A ile roboty! Zimą trzeba dzień w dzień palić w piecu, przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem myć okna, raz w tygodniu odkurzać dywany, pamiętać o podlaniu kwiatów, zapłacić za gaz, za wodę, prąd, ścieki i jeszcze za coś, czego nie potrafił nazwać. Od połowy kwietnia do końca października trzeba kosić trawę wokół domu, żeby podwórko wyglądało należycie. Przyjdzie jesień, wiatr wieje, deszcz siecze, a ty zgrabiaj liście. Albo mróz, śnieżycy, że z domu wyjść się nie chce, a trzeba odgarnąć śnieg. Nie wilę z gankiem wspartym na kolumnach, nie z wielkim podwórzem i nie w dzielnicy pod lasem, a domek akuraty dla trzech osób mógłbym mieć. Inka mieszkała na poddaszu, nasza sypialnia, to znaczy Moniki i moja

byłaby na parterze, obok łazienka taka, jaką widziałem w Stuttgarcie, salon z kinem domowym, kuchnia jak ta lala.

Wszystko, co zarobił w Niemczech, przepuścił. Przepił zresztą znacznie więcej. Gdy brakowało pieniędzy na wodę, wynosił z mieszkania wszystko, co się dało sprzedać. Jego żona na początku prosiła, potem błagała, by się zmienił, płakała i klęła, aż w końcu wymieniła zamek w drzwiach. Nie miał do niej pretensji, że go wypędziła.

Jeszcze rok, może dwa lata tak pożyję i jak Władek, mój prawdziwy kumpel, z którym piłem, co się dało, pójdę do piachu, pomyślał. Nacisnął na guziczek dzwonka przy furtce i czekał. Zza kratki dobiegł go kobiecy głos:

- Czego?
- Mam sprawę do pana Gardockiego.
- Jaką?
- Osobistą.
- To znaczy?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Chudy podkreślił, że to, z czym przyszedł, może być bardzo ważne dla Gardockiego.

- Pan Gardocki orientuje się, o co chodzi - dodał na chybił trafił.

Coś zaskrzeczało w zamku, potem dźwignie zwolniły zapadki i dopiero wtedy Chudy usłyszał:

- Niech pan wchodzi.
- A pies? - spytał, przypominając sobie ostrzeżenie kierowcy.
- Porter zdechł w zeszłym roku.

Stąpił po ścieżce z polbruku, jakiej kilometry ułożył w Niemczech, wzdłuż alejki kwitnących róż, przygarbiony, z głową wciśniętą w ramiona, gotów natychmiast zawrócić i uciec. W takich miejscach źle się czuł. Gdy doszedł do połowy drogi między furtką a pałacykiem, otworzyły się drzwi i zobaczył tęgą kobietę o twarzy wkurzonej nauczycielki.

- Szybciej pan nie może?! - zawołała, a on pomyślał, że musi być cholerną jędzą. - No, o co chodzi?

- Ja do pana magistra Gardockiego.

- A ja nie mogę być? Gardocka Żaneta jestem!

- Ja do pana magistra Gardockiego - powtórzył tak zdecydowanie, że kobieta machnęła ręką i zrezygnowana wróciła do pałacyku.

Po minucie z domu wyszedł mężczyzna. Gardocki, stwierdził Chudy, przypominając sobie kolorowe zdjęcie w legitymacji, którą trzymał w kieszeni.

- Czy pan coś zgubił, panie dyrektorze?

- Niby co? I skąd człowieku wiesz, kim jestem?

- Niczego panu nie brakuje?

- Do rzeczy. Czego chcesz?

- Spytałem grzecznie, czy pan coś zgubił.

- Nie sądzę, aby mi czegoś brakowało.

- Proszę sprawdzić w portfelu.

Gardocki sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął portfel, chwilę zaglądał do przegródek, gdzie tkwił dowód osobisty, prawo jazdy i karty płatnicze. Przeliczył pieniądze.

- Jest wszystko.

- Na pewno?

Jeszcze raz otworzył portfel.

- Niczego nie brakuje - oznajmił, mierząc Chudego nieufnie. - O co panu właściwie chodzi?

- W takim razie na Dolinie Luizy mieszka jeszcze jeden magister Gardocki Dominik - powiedział Chudy, wyjmując z kieszeni zieloną legitymację z wyciśniętym znaczkiem Fanów Gremplera na okładce. Rozchylił ją i zerknął na fotografię, a potem na Gardockiego. - Ten na zdjęciu kropka w kropkę jest podobny do pana. Wąsy jakby świeżo przystryżone. I też magister.

- O co chodzi, człowieku? - zdenerwował się.

- A o to, że pan nie przyznaje się do legitymacji, którą wyciągnąłem z kosza na śmieci obok stołówki Caritas przy Bema.

- Wyłączając przepustkę do urzędu marszałkowskiego, żadnej legitymacji nie noszę w portfelu. Akurat tę, o której mówisz, człowieku,

trzymam w schowku w samochodzie.

- Niech pan sprawdzi, czy na pewno tam jest.

- Musi być.

-Jednak proszę sprawdzić.

Gardocki uchylił wrota garażu, a Chudy poszedł za nim.

- Zawsze była. Już nie pamiętam, kiedy ją wyjmowałem - przyznał Gardocki. - Mówisz, człowieku, że znalazłeś ją w koszu na śmieci przy stołówce Caritas?

Chudy ani nie kiwnął głową, ani się nie odezwał. Spojrzał w głąb ogrodu, gdzie ogromny parasol z obcojęzyczną reklamą browaru osłaniał cztery fotele i stół. Ładnie i cicho, stwierdził w myślach. Też mógłbym tak żyć i nie musiałbym się o nic martwić. Tylko czy można mieć dużo i nic nie robić?

- Dziwne. - Gardocki zawiesił głos. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był na Bema i po co. Nie pamiętał. - Dziękuję, że ją przyniosłeś, dobry człowieku - zszedł z tonu, wyciągnął rękę po legitymację i uśmiechnął się dziękczynnie do Chudego.

- Coś się należy.

- Komu?

- Mnie.

- Co się należy?

- Znaleźne - odparł Chudy. Gdyby znalazł portmonetkę z pieniędzmi, sprawa byłaby prosta. Dziesięć procent tego, co oddał właścicielowi.

- Znaleźne za przyniesienie legitymacji?

- Znaczy za fatygę.

Gardocki pomyślał, że nie warto się targować, bo w gruncie rzeczy ten ochłaptus ma rację. Wyjął więc z portfela najmniejszy banknot.

- A może chcesz pan więcej zarobić? Trzeba porąbać drewno do kominka. - Pokazał ręką na stos kłoców brzoźowych leżących przy płocie.

- Głupiego dyrektor szuka - roześmiał się Chudy.

*Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych,
poniedziałek, wieczór*

Monika Chuda spodziewała się odwiedzin Neimanna, dlatego w drodze z redakcji do domu skręciła na parking pod Castoramą. Na piętrze były luksusowe delikatesy. Wstępowała tam w każdy poniedziałek po wygranym meczu żużlowców Gremplera. Było pewne, że wieczorem rozanielony Neimann ją odwiedzi. Wcześniej z barku w swoim biurze wyjmie butelkę białego gremplera i przywiezie ją do domu Moniki. Wina z taką etykietką będą w sprzedaży dopiero za kilka lat, gdy na większość wzniesień wokół Zielonejgóry powrócą dawne odmiany winorośli.

Pięć lat temu Joachim Grempler nie wiedział, gdzie leży Zielonagóra i pewnie dalej tak by było, gdyby nie zwarcie instalacji elektrycznej u sąsiada. Pożar wybuchł nad ranem. Jeden zastęp strażaków gasił ogień, drugi pilnował, żeby płomienie nie przeskoczyły na dachy okolicznych domów, a trzecia grupa pomagała mieszkańcom wynosić najcenniejsze przedmioty na podwórza. Gdy strażacy odjechali, oszołomiony Grempler najpierw usiadł na skrzyni, potem do niej zajrzał i wtedy odkrył pożółkłe listy, poszarzałe fotografie i stare książki zalatujące spalenizną. Dowiedział się z nich, że na początku dziewiętnastego wieku August Grempler, daleki krewniak jego przodka ze strony ojca, założył wytwórnię win musujących na obrzeżach miasta. Trochę podstępem, a trochę słusznie za trunki oznaczone nazwami francuskich miast Pernay, Remis i Versenay zdobył medale na światowych wystawach w Paryżu, Londynie i w Wiedniu. Butelki białego gremplera konkurowały z winami reńskimi i mozelskimi przede wszystkim niższą ceną. Nieźle musiało mu się powodzić, skoro kupił plac obok wytwórni i postawił na nim willę. Część tej historii poznał z zachowanych pamiątek, a reszty dowiedział się podczas wycieczki do Zielonejgóry, na którą pojechał tylko dlatego, że obiecał to ojcu przed śmiercią.

- Zobacz, czy stoi ten dom. Nie proszę cię, abys odzyskał go za wszelką cenę, ale jeśli możliwe, Aki, zapłać tyle, ile będą chcieli, i tam się

przenies. To jest piękne miasto, położone na wzgórzach jak Rzym czy Lizbona, blisko Berlina. Zresztą dziś wszędzie jest blisko. No i twoja córka studiuje na Viadrinie we Frankfurcie, to też będzie miała bliżej do ciebie.

- Tak zrobię - obiecał ojcu.

- Powinniśmy umierać tam, skąd pochodzimy.

Niemale, ale i nie za duże miasto, wygrzewające się na wzgórzach między lasami, z ratuszem na okazałym rynku oplecionym wianuszkami secesyjnych kamieniczek, spodobało się Gremplerowi. Najwięcej czasu jednak spędził w muzeum winiarskim. Zobaczył tam butelki oznaczone etykietkami ze swoim nazwiskiem. W drodze powrotnej do Bambergu zdecydował, że będzie kontynuował tradycję rodzinną. Kupił hektary piaszczystej ziemi na zboczach wokół Zielonejgóry, wynajął robotników, którzy obsadzili je krzewinkami winnej latorośli i od czterech lat czeka, kiedy grona zaczną dojrzewać. Spodziewa się niebosiężnego zarobku i sławy równej krewniakowi ojca. A że od pierwszego dnia wiedzie mu się nieźle, właściciel spółki prowadzącej klub żużlowy zaproponował mu zakup udziałów i stanowisko wiceprezesa. Po roku, kiedy do niego należał decydujący głos w spółce, zmienił nazwę drużyny na Grempler. Wtedy zarządzanie klubem przekazał Neimannowi, żądając od niego nie tylko zysku i utrzymania zespołu w ekstraklidze, ale i sukcesów podczas zawodów międzynarodowych, bo przede wszystkim to przyciąga wielkie pieniądze. Szybko przekonał się, że lepszego interesu nie zrobiłby w Bambergu, nawet gdyby przy pomocy wynajętych prawników został jedynym właścicielem fabryki szkła stołowego, którą ojciec zapisał jemu i starszej siostrze Joachima, nakazując spłacić najmłodszą.

- Z całego serca, Moni, normalnie ci dziękuję. - Neimann podniósł kieliszek.

- Dlaczego mi? - Monika Chuda nie rozumiała.

- Tak w ogóle. Za wszystko normalnie. Szczególnie za poniedziałkową relację z meczu. Zaledwie remis, a taki tekst, jakbyśmy wygrali z Bykami.

- Przecież sam ją napisałeś.

- Ja? Takimi sprawami nie zajmuje się dyrektor klubu.

-A kto?

- Normalnie od tego jest rzecznik. - Poczł uderzający go wzrok Moniki. - Alan. On ma etat rzecznika.

- Alan. Identycznie jak mój bratanek. Można powiedzieć, że w połowie sierpnia będzie miał imieniny, tak. W prezencie daj mu słownik ortograficzny i nakaz, żeby często do niego zaglądał.

Neimann kiwnął głową. Nie przyznał się, że jego syn jest rzecznikiem. Jutro zadzwoni do Alana i powie, żeby się wziął za naukę, żeby wreszcie skończył jakieś studia. Tyle jest dzisiaj możliwości, a on co? Ani do nauki, ani do pracy. Wygarnie mu. Do końca życia przecież nie będzie mu pomagał. A jak żuźlowcom będzie kiepsko szło i pan Grempler wysadzi mnie z tego stołka, to jak on sobie da radę, zadręczał się. Głośno powiedział:

- Chodzi o to, Moni, żeby o żuźlu było jak najwięcej. Jak najgłośniej. Najgłośniej i tylko dobrze. Tak dobrze, jak w dzisiejszej gazecie. Ledwie zremisowaliśmy z Jaskółkami, a wyszło, jakbyśmy wygrali. - Złączył kolana i poprosił, żeby na nich usiadła. - A teraz obiecaj mi, że komentarze podważające sens uprawiania żuźla nigdy nie pojawią się w „Zielonogórskiej”.

- Póki będę nadzorowała dział sportowy...

- A co, Szpalta ma jakieś plany?

- Generalnie rzecz biorąc, na razie nie miała okazji ani czasu rozmawiać ze mną na ten temat. Dlaczego? Odpowiadała na pytania prokuratora i jakichś tam pionków z komendy. Postaram się, mój jedyny panie i władco, aby wszystko było wedle twojego oczekiwania, tak. Domyślam się, jak to jest dla ciebie ważne. Dla mnie w tym momencie również. - Lewą ręką objęła Neimanna za szyję i przywarła do niego piersiami, a po chwili naślinionym palcem prawej dłoni dotknęła jego nosa, prosząc o podanie kieliszka. - Rudy trochę podskakuje...

- Kto taki ?

- Jung. Ten pismaczek, któremu kazałam zająć się działem sportowym. Ma rude włosy, więc jak go nazywać?

- Tam gdzie pracowałam poprzednio, też był taki jeden. Dziób cały w piegach. Podobno nawet tam - skierował wzrok na spojenie jej nóg - miał rudy czub. Major od szyfrów. Normalnie nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Ryży, mówiliśmy między sobą i każdy wiedział, o kogo chodzi.

- Na uniwersytecie miałam rudego szefa. Szuja do sześcianu. Nigdy nie był zadowolony z tego, co człowiek zrobił. A kobiet nienawidził, tak. Podobno pedzio.

- Dobrze zrobiłaś, że dałaś nogę z uczelni.

- Dzięki tobie.

- Na uniwerku byłabyś najwyżej adiunktem, bez perspektyw, a w redakcji jesteś, że ho, ho... - Nie wiedział, jak skończyć, żeby Monika znowu nie chwyciła go za słówka. Wczoraj pouczała go, jak powinien mówić. Najpierw ma być imię, potem nazwisko. W lipcu, a nie w miesiącu lipcu. Stadion imienia kogoś tam, a nie imieniem. - W gazecie, Moni, jesteś bardzo ważną panią redaktor, a normalnie możesz być jeszcze ważniejszą - dokończył po chwili.

- Może odpowiem w ten sposób: przede wszystkim jestem i pozostanę twoją dłużniczką, tak - powiedziała, patrząc mu w oczy z nieudawaną wdzięcznością.

Neimann wiedział, co miała na myśli. Razem z bratem kadrowcem wybrali taką taktykę. Prawda, potrzebny był jeszcze Joachim Gremler, ale to drobnostka, bo nie o wszystkim musi wiedzieć, chociaż jest właścicielem klubu. Na razie. Od dnia usadowienia Moniki Chudej w gabinecie zastępczyni redaktorki naczelnej gazety zaczynał czuć się tak, jakby nie Bojanew, lecz on kierował działem sportowym. Od przedwczorajszej soboty, kiedy radio podało komunikat o śmiertelnym wypadku na obwodnicy Zielonejgóry, nie miał wątpliwości, kto będzie pociągał na redakcyjne sznureczki.

-Na mecz z Jancarzami pójdzie Krzysiek, drugi pismak w dziale sportowym. Mimo że do poniedziałku ma urlop, tak, na jeden dzień

Szpalta kazała ściągnąć go do redakcji.

- Komu kazała?

- Jak to komu? Kadrowcowi, czyli twojemu bratu.

- I udało mu się?

- Starał się, tyle że komórka Krzyśka była poza zasięgiem. Jutro jeszcze raz popróbuje. Albo kogoś pośle po niego.

- Nie popróbuje i nie pośle - zapewnił ją Neimann.

Monika znowu się do niego przytuliła. Dwa razy była

mężatką. Dwa razy się rozwodziła. Gdyby Neimann teraz poprosił ją o rękę, zgodziłaby się natychmiast. Ale on tego nie zrobi, bo ma żonę, która bez jego pomocy wygrała konkurs na dyrektorkę w urzędzie. - W najbliższą niedzielę nasi żuźlowcy pojedą ostatni raz w rundzie zasadniczej. Na ten temat codziennie musi być coś w gazecie. W czwartek przynajmniej pół strony. W piątek też, a w magazynie...

- To, ile będzie, w dużej mierze zależy od ciebie, mój panie, tak. - Monika nie pozwoliła mu skończyć. Pod rozpiętą koszulę wetknęła prawą dłoń. Chwilę mierzwiła włosy na jego piersiach, a gdy poczuła palce wsuwające się między jej uda, szepnęła, żeby tak jak zawsze wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko.

Zielonagóra, os. Słoneczne, poniedziałek, wieczór

Po przedpołudniowej rozmowie z wicenaczelną Daniel Jung postanowił zrobić jedynie to, na co ona zwraca uwagę. Nic się nie stanie, jeśli nie napisze o wypadku na autostradzie pod Świebodzinem. Nawet jeśli zginęli tam wszyscy pasażerowie mikrobusu. Chuda nie zwraca uwagi na takie zdarzenia. Ją interesują informacje sportowe, a przede wszystkim to, co się dzieje wokół żuźla i drużyny Gremplera. O Jancarzach, konkurencyjnym zespole z Gorzowa z szansami na zdobycie tytułu mistrza kraju, mimo że miasto też leży na Środkowym Nadodrzu, gazeta może nie wspominać. Stadion przy Szosie Wrocławskiej jest dla Moniki Chudej tym, czym dla Miśki Sala Dębowa w Norwidzie, gdzie

na początku każdego kwartału odbywają się pokazy mody.

- Daniel, ktoś dzwoni! - zawołała Miśka z kuchni.

Zapalił światło w przedpokoju i otworzył drzwi. Na korytarzu stała młoda kobieta w byle jakiej bluzce i długiej spódnicy.

- Proszę o wsparcie - odezwała się żebrzącym głosem. Chciał powiedzieć, że powinna pójść do opieki społecznej, gdy ona wyjaśniła: - Mąż mnie zostawił, a Marletka musi mieć operację. Już czwarty miesiąc dzień w dzień chodzę od mieszkania do mieszkania i zbieram pieniądze na operację córeczki.

Każdego wieczoru osoby podobne do niej dzwonią do drzwi i proszą o coś. W zeszłą środę Miśka się wkurzyła i zamiast facetowi dać pieniądze na jedzenie, zaprosiła go na kolację. Wyśmiał ją. Domyśliła się, że jemu chodziło nie o posiłek, a o pieniądze na tanie wino. Ale ta, która stała przed Danielem, nie wyglądała na pijaczkę.

- W Polsce za operacje nie trzeba płacić - powiedział, podejrzewając ją o kłamstwo.

- Kto ma pracę, ten jest ubezpieczony. Wtedy nie płaci za opiekę zdrowotną - wyjaśniła. - Pracowałabym, ale tak trudno o jakiegokolwiek zajęcie.

- Aha, pani nie pracuje i dlatego nie jest ubezpieczona? - Przytaknęła. Akurat w tym momencie Daniel przypomniał sobie, że od dawna Miśka suszy mu głowę, żeby umyć okna. - Pomogę, oczywiście, pomogę. - Na jej twarzy zakwitł uśmiech. - To znaczy w zamian za pracę. — Uśmiech przygasł. - Jest pięć okien do umycia, co powinno zająć najwyżej dwie godziny.

- Myślisz, że głupią znalazłeś! - wypaliła kobieta i się odwróciła.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Może rzeczywiście zbiera pieniądze na operację dziecka, a on zachował się nikczemnie? Nie, to z pewnością oszustka, stwierdził. Nie pamięta, czy było to dwa czy trzy lata temu, na pewno w Wielką Sobotę z rana, gdy wrócił ze sklepu z zakupami na świąteczne dni. Na klatce schodowej było brudno. Wziął więc szczotkę i gdy zmiatał kłaczki kurzu, papierki, piasek i okruchy, otworzyły się drzwi sąsiadów. Stała w nich mieszkająca tam od niedawna młoda

kobieta, spytała, czy jest dozorcą i nie czekając na wyjaśnienie, zrugła go, że sprząta od wielkiego dzwonu.

- Mieszkam obok pani - powiedział, pokazując na drzwi za swoimi plecami. - Na korytarzu jest tyle brudu, że nie czekając na dozorczynię, postanowiłem posprzątać przed świętami. Mnie z tego powodu nic się nie stanie, a będzie przyjemniej. Swoją drogą, gdy spotkam dozorczynię, to powiem, co myślę o jej pracy.

- Ja bym nie sprzątała. Nie po to tyle lat się uczyłam.

- A gdzie się pani uczyła? - spytał szeptem, udając trochę onieśmielonego.

- Na fryzjerkę, proszę pana.

Zielonagóra, ul. Wąska, wtorek, wczesny ranek

Ilona Mrozińska zerknęła na wyświetlacz służbowego telefonu. Zazwyczaj gdy pojawiał się na nim dziewięciocyfrowy tasiemiec, nie wciskała zielonego guziczka. Tym razem coś jej powiedziało, żeby zachowała się inaczej. Dodał nawet, że dowcipnisie jeszcze nie wstali z łóżek, a ten, kto dzwoni zaraz po siódmej, ma dla niej nie byle jaką wiadomość.

- Proszę - odezwała się lekką chrypką.

- Pani komisarz?

- Tak. Ilona Mrozińska. Z kim mam przyjemność?

- Nie poznałem pani po głosie. Dominik Gardocki. Wczoraj wieczorem... nie chciałem zawracać głowy sprawami służbowymi w domu. Długo nie mogłem zasnąć. W nocy budziłem się kilka razy. To, co mnie męczy od wczoraj, pani komisarz, może być bardzo ważne.

Mrozińska miała ochotę rzucić, że skoro uznał coś za bardzo ważne, powinien do niej zadzwonić nawet w środku nocy. Dlatego przecież dała mu wizytówkę.

- Halo, pani mnie słucha?

Potwierdziła, odchrząknęła, bo coś siedziało jej w gardle, i dopiero

teraz nastawiła przycisk głośnego odbioru. Wyjęła dyktafon z torebki i go włączyła.

- Wczoraj przed wieczorem jakiś lump przyniósł mi do domu legitymację Fanów Gremplera. Gdzie i kiedy ją zgubiłem, nie mam bladego pojęcia. Lump powiedział, że znalazł ją w koszu na śmieci obok stołówki Caritas. Kłamie, ale jak mu to udowodnić? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem na Bema. Przy Caritas pewnie nigdy. Na dobrą sprawę to nawet nie wiem, gdzie jest ta ulica.

- Spisał pan jego dane?

- Tak mnie zaskoczył, bo domagał się znaleźnego. Z tego wrażenia ogłupiałem i...

- Bema jest za torami. Niech pan natychmiast tam jedzie - nie pozwoliła mu dokończyć, zresztą domyślała się, co by powiedział. - Samochód proszę zostawić pod wiaduktem przy Lumelu, zaraz za postojem taksówek, tym blisko dworca. Będę tam najpóźniej za dziesięć minut - dodała, przyciągając do siebie aparat stacjonarny i na jego klawiaturze wciskając numer telefonu służbowego aspiranta Araszkiwicza.

Odezwał się zanim skończyła rozmowę z Gardockim.

- Radiowóz z pełną obsadą. Ty i ja jedziemy seatem. Aha, niech Karolina ściągnie Janiaka, tego ochroniarza z redakcji, do komendy - poleciała takim tonem, że aspirant zaniemówił z wrażenia.

Zielonagóra, ul. gen. Józefa Bema, wtorek, rano

Kucharka przychodząca najwcześniej jeszcze nie zabrała się za obieranie warzyw na kartoflankę, a obie ławki przed stołówką już były zajęte. Bezdomni siedzieli również na trawie pod lipą i w cieniu dawnej piekarni zamienionej na sklep z tanimi meblami. Sami mężczyźni, większość bezzębnych, brodatych, z dawno niemytymi włosami, w łachmanach, chociaż i byli między nimi ogoleni, wykąpani, w czystych bluzach i porządniejszych spodniach. Jednemu z nich spod koszuli

wystawała jedwabna gawroszka.

Gardocki szedł pomału, lekko przygarbiony, z rękoma założonymi do tyłu, jakby wracał ze spaceru. Również Araszkiewicz udawał, że znalazł się w tym miejscu przypadkowo i w zasadzie nic, co się tu dzieje, go nie interesuje. W rzeczywistości śledził każdy ruch Gardockiego. Z radiowozu ukrytego za hotelikiem komisarz Mrozińska obserwowała ich obu. Tylko dwaj starsi posterunkowi na razie siedzieli beczynnie, jeden za kierownicą, drugi na fotelu pasażera, ale oni czekali na rozkaz.

- Przy drzwiach stoi zielony kosz na śmieci. Dokładnie taki, jak go opisał ten, co mi przyniósł legitymację. Niestety, nie zauważyłem tego typka - powiedział Gardocki do aspiranta, gdy znalazł się kilka metrów od stołówki.

Araszkiewicz wetknął rękę do kieszeni spodni, w której miał regulator nadajnika, palcem wskazującym przesunął klawisz i do mikrofonu niewidocznego spod kołnierzyka koszuli powtórzył to, czego dowiedział się od Gardockiego.

- Czekamy! - Usłyszał decyzję Mrozińskiej. - Odejdźcie w stronę lasu albo gdzieś w bok. Tylko nie za daleko. W razie czego bądźcie pod ręką.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Od połowy czerwca nie spadła ani kropla deszczu, więc trawa na klombach zaczynała żółknąć. Gardocki pomyślał, że znowu wieczorem będzie musiał włączyć wszystkie zraszacze przed domem, co niewiele pomaga, a dużo kosztuje. Nigdy w lipcu i sierpniu nie wyjeżdżał na wczasy za granicę. Dopiero we wrześniu brał dwa tygodnie urlopu i najpierw męczył się pod parasolem na plaży w Grecji, a potem robił posezonowe porządki wokół domu. Od upalnego lata wołał dżdżystą i wietrzną jesień. Zona twierdziła, że jest nienormalny, a on po prostu lubił siedzieć na ganku i wsłuchiwać się w melodie wiatru wygrywane na gałęziach drzew.

- Wracajcie! - Araszkiewicz usłyszał polecenie Mrozińskiej i natychmiast zrobił w tył zwrot. - Bractwo z minuty na minutę się powiększa. Być może interesujący nas świadek już tam jest.

Był.

- To ten - Gardocki wskazał aspirantowi mężczyznę leżącego na boku

pod lipą. Poznał go po koszuli w granatowe grochy, chociaż teraz był ogolony i w niczym nie przypominał menela domagającego się znaleźnego.

-Jak się nazywasz? - spytał aspirant, a nie usłyszawszy odpowiedzi, ułamek sekundy później rzucił do mikrofonu: - Zdaje się, że go mamy.

Chudy nie próbował uciekać, zresztą nie było dokąd.

Zielonagóra, ul. Wąska, wtorek, przedpołudnie

- Dajcie coś zjeść - poprosił Chudy, gdy wysiadł z radiowozu przed komendą policji. A widząc, że Mrozińska kiwa głową do Araszkiwicza, dodał: - Piwko też by się przydało, panie władzo. I papierosy, bo dymka chce się puścić.

Starszy posterunkowy wprowadził Chudego do pokoju przesłuchań i kazał mu usiąść przy stole plecami do ściany. Dwie minuty później do pokoju weszła bufetowa, postawiła przed nim tacę z porcją sałatki jarzynowej, dwiema bułkami i herbatą w kubku oznaczonym emblematem Gwardii.

-A piwo? Gdzie papierosy?

- Przyniosłam to, co zamówił pan aspirant. Zresztą na alkohol nie mamy koncesji. Papierosy sprzedają w kiosku przy dyżurce - wyjaśniła. Pracowała w bufecie od wielu lat, więc orientowała się, co interesuje osoby goszczone w tym pokoju.

Chudy nie domyślał się, że w drugim pomieszczeniu jest Ilona Mrozińska i widzi go w lustrze weneckim. Komisarz nie zauważyła niczego symptomatycznego w jego zachowaniu. Jadł wyprostowany, z łokciami przy sobie. Nawet widelec trzymał jakoś tak elegancko. Gdy skończył, sięgnął po kubek z herbatą. Nie siorbał. Chwilę później do pokoju wszedł Gardocki, usiadł obok Chudego tak, jak kazał mu Araszkiwicz.

- Pan pali?

-Już nie - mruknął Gardocki, mocno opierając się plecami o poręcz

krzesła.

- Szkoda. Mam taką ochotę na dymka, że... Od wczoraj nic.

- Palenie w miejscach publicznych jest zabronione - pouczył go Gardocki.

Do drugiego pokoju, oddzielonego lustrem weneckim, Karolina de Murville wprowadziła Janiaka.

Ten syknął i zacisnął usta. Podszedł do lustra, przechylał głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby szukał znaków szczególnych na twarzy Chudego.

- Pierwszy raz go widzę - odpowiedział niezbyt pewnym głosem.

- W czwartek przed południem nie wchodził do budynku?

Janiak znowu zaprzeczył. Po chwili namysłu dodał:

- Na moje oko prawdziwy menel.

- Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku?

- Nakarmiliście go.

A co mieliśmy zrobić, jak był głodny, pomyślała komisarz i spojrzała na Araszkiwicza.

- Spróbujmy podsumować to, czego się dowiedzieliśmy - powiedziała do Janiaka. - Ani Gardocki, ani Chudy nie wchodzili do budynku, w którym został zamordowany redaktor Kostrzyński.

Ochroniarz przytaknął i zadowolony pociągnął nosem. Z teczki, w której gromadziła dokumenty dotyczące tego śledztwa, komisarz wyjęła kserokopię strony książki wejść i wyjść.

- To pana charakter pisma. - Pokazała na lekko pochylone litery układające się w słowa „mgr Gardocki Dominik”.

Janiak patrzył to na kartkę, to na komisarz, to przez szybę na Gardockiego.

- Jak dyrektor mówił, że jest umówiony z Bojanem, to szedł na trzecie piętro do jego pokoju. Co tu jest grane? - Ochroniarz najpierw zmrużył oczy i się pochylił, potem wycofał pod drzwi, rozstawił nogi i splótł ręce na piersiach. - W co chcecie mnie zrobić?

- Czyżby to nie było pańskie pismo?

- Nie mówię, że nie moje, po prostu...

- W czwartek więc Dominik Gardocki musiał wchodzić do budynku, panie Janiak. Wchodził czy nie?

- Nie wchodził. Przecież znam dyrektora, można powiedzieć. Kogo znam, tego nie zapisuję. Szkoda miejsca.

- W takim razie... - zaczęła Mrozińska i urwała. Janiak niczego nie wyjaśni. - Czy właśnie ten dokument miał pan w ręku? - Pokazała mu legitymację Fanów Gremplera otwartą na stronie, na której było zdjęcie i wpis „mgr Dominik Gardocki”.

Ochroniarz nabrał powietrza do płuc i długo wypuszczał je z sykiem, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Bo ja wiem?

- Zastanawia mnie, dlaczego pan aż tak lekceważy swoje obowiązki. Domyślam się, że siedząc za kontuarem, nie zwraca pan uwagi na osoby wchodzące do budynku. Stara się pan odsiedzieć swoje godziny i tyle. Firma płaci za nicnierobienie. Za to, że gapi się pan w telewizor.

Zielonagóra, ul. Wąska, wtorek, południe

Komisarz Mrozińska nie wierzyła, żeby Chudy miał cokolwiek wspólnego z morderstwem dziennikarzy. Jednak kazała Karolinie de Murville go przesłuchać, obfotografować, pobrać odciski palców i sprawdzić, czy ma coś na sumieniu. Na wszelki wypadek, gdyby komendant przypomniał sobie, że dał jej czas do środy na zakończenie śledztwa albo nagle polecił rzeczniczce prasowej zwołanie konferencji, bo przecież musi się czymś pochwalić. Na pagonach jego munduru już się srebrzyły inspektorskie paski i gwiazdki. Jego poprzednicy byli podinspektorami albo młodszymi inspektorami, dlatego przeniesienie do gabinetu komendanta traktowali jak ostatni krok do awansu. Potem uroczyście żegnani, przechodzili na emeryturę. Tego, że do podwładnych odnosili się z szacunkiem, częściej ich chwalili i wspierali niż ganili, komisarz Mrozińska nie uważała za coś osobliwego, ale tacy byli. Nowy szef zaś zachowywał się tak, jakby najwięcej wiedział i na

wszystkim się znał, bo skończył kurs w FBI National Academy w Quantico, a przecież przesiedlenie go z pokoju zastępcy naczelnika wydziału w komendzie wojewódzkiej do gabinetu komendanta miejskiego było karą za wyjazd służbowym samochodem na grzyby.

- Utrzymuje pan, że legitymacja członkowska Fanów Gremplera zawsze leżała w schowku w passacie? - spytała Mrozińska.

Gardocki uśmiechnął się blado i po chwili namysłu potwierdził to błyskiem w oczach. - Czy ktoś dostał się do pańskiego samochodu i ją ukradł?

- Nie zauważyłem śladów włamania.

- A może żona wzięła kogoś do samochodu?

- Owszem, żona ma prawo jazdy, tyle że od dnia egzaminu nigdy nie siedziała za kierownicą. Boi się.

- W takim razie jak legitymacja trafiła do kosza na śmieci przy stołówce Caritas?

- Identyczne pytanie zadała mi żona.

- Co pan odpowiedział?

- Ze nie wiem. Proszę mi wierzyć: naprawdę nie wiem, w jaki sposób legitymacja znalazła się w koszu na Bema. Gdybym tamtędy wracał do domu, ale to przecież nie po drodze i w dodatku ulica jest mocno podejrzana.

- Przynależność do klubu kibiców wiąże się z płaceniem składek, z przestrzeganiem statutu, ale i oznacza korzyści, prawda? Jakie?

- Po pierwsze legitymacja uprawnia do zakupu karnetu na wszystkie mecze Gremplera w sezonie zasadniczym na własnym stadionie. Po drugie jej posiadaczowi gwarantuje wolne krzesło w wyznaczonym sektorze. A po trzecie zapewnia miejsce w autokarze lub samolocie, jeśli mecz odbywa się na wyjeździe. Ponadto oznacza zniżkę przy zakupie takich gadżetów, jak szalik klubowy, koszulka, czapeczka, trąbka...

- Kiedy ostatni raz miał pan legitymację w rękach?

Gardocki splótł dłonie na piersiach i z namysłem wpatrywał się w okratowane okno.

- Członkowie klubu wchodzą na stadion przez jedną bramkę. Tam

porządku pilnuje członek zarządu, który wszystkich zna, dlatego nie sprawdza legitymacji. Tamtędy też wchodzi inne osoby zaufane, na przykład dyrektorzy departamentów w urzędzie marszałkowskim, naczelnicy wydziałów w magistracie, duchowni i posłowie. - Gardocki próbował nadać głosowi sympatyczną barwę.

- Proszę mówić na temat.

- Na pewno miałem tę legitymację, gdy płaciłem za karnet.

- Czyli kiedy? - spytała zniecierpliwiona komisarz.

- Liga żużlowa zawsze startuje w Poniedziałek Wielkanocny. W tym roku Wielkanoc była bardzo późno, bo dopiero dwudziestego kwietnia.

- Nareszcie.

Aspirant udawał, że pytania zadawane przez Mrozińską go nie denerwują, chociaż od kilku minut i w nim się gotowało. Znał swoje miejsce w wydziale, dlatego w obecności przesłuchiwanego nie miał odwagi powiedzieć jej, żeby dała sobie spokój z dociekaniem w sprawie kibicowania. Przecież chodzi o wyjaśnienie, kto ukradł legitymację.

- Skoro Wielkanoc była dwudziestego kwietnia, to kiedy pan kupił karnet?

- Dokładnie nie pamiętam. Kilka dni wcześniej.

- Czy wtedy wyjmował pan legitymację z portfela?

Gardocki miał ochotę zakląć. Przecież powiedział, że przy zakupie ulgowego karnetu trzeba pokazać legitymację klubową. Mało tego, jej numer i jego personalia kasjer wpisał do książki sprzedaży biletów, którą klub prowadzi na polecenie policji.

- Zona nie siada za kierownicą - przypomniała Mrozińska. - Może dawał pan komuś kluczyki do swego samochodu?

- Niby komu?

- Na przykład podwładnemu.

- Nie mam takiego zwyczaju. Zresztą gdyby o czymś takim dowiedział się marszałek, już by mnie nie było w urzędzie.

- A może zaprowadził pan auto do warsztatu, gdzie wymieniają olej na poczekaniu?

- Akurat tym samochodem jeżdżę od jesieni. Producent zaleca, by

pierwsza wymiana oleju odbyła się nie później jak po roku albo po przejechaniu dwudziestu tysięcy kilometrów. Czyli zostało mi jeszcze trochę czasu. Wymieniałem jedynie opony letnie na zimowe i zimowe na letnie - powiedział Gardocki, a słysząc westchnienie, dodał: - Odkąd stać mnie na porządniejsze auto, zawsze robię tak, jak nakazuje instrukcja producenta i zdrowy rozsądek.

- Czy sam pan wymieniał opony zimowe na letnie. W garażu? Kiedy to było?

- Osobiście nigdy tego nie robię. Zawsze jeżdżę do firmowego serwisu.

- Kiedy więc pan tam był?

- W drugiej połowie marca. - Rozłożył ręce przekonany, że to koniec rozmowy.

- Jeśli wciąż pan nie jest w stanie przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach zgubił pan tę legitymację, zostało mi tylko jedno... Dać panu czterdzieści osiem godzin na odświeżenie sobie pamięci.

- Czyżbym został zatrzymany?

- Jeśli pan sobie coś przypomniał, proszę zgłosić to dyżurnemu w izbie zatrzymań. - Mrozińska syknęła przez zaciśnięte zęby, wstała i wyszła z pokoju przesłuchań.

- Pani nie ma prawa!

Zielonagóra, al. Niepodległości, wtorek, południe

A jeśli to początek serii zabójstw dziennikarzy? W czwartek został zamordowany Michał Kostrzyński w budynku redakcji podczas pracy nad artykułem, w sobotę - Bojan Bojanew zginął w wypadku samochodowym na obwodnicy miasta w drodze na mecz, o którym miał napisać w gazecie. Przypadek i tragiczne zdarzenie? Kto będzie następny? Z tymi pytaniami redaktorka naczelna wczoraj wieczorem położyła się do łóżka. Do rana nie pozwoliły jej zasnąć.

Wypowiedziała je głośno podczas naprędce zwołanego zebrania kolegiantów. W drodze do redakcji zastanawiała się, czy podczas

pogrzebów powinna powiedzieć, że gazeta straciła dociekliwych, ale i niepokornych dziennikarzy. Przede wszystkim bezkompromisowych, odważnych, takich, co to nikomu nie ufają i dlatego wszystkim patrzą na ręce. Bojanew taki był, ale nie Kostrzyński. Michał jeszcze nie miał wrogów. Prosiła go, żeby nie bał się pisać zadziornie, zwłaszcza że jego artykuły dotyczyły łapówek w urzędach, szwindli w firmach spożywczych, wymuszaczy okupów, fałszywych handlarzy, roznosicieli ulotek, naciągaczy i tego wszystkiego, co pocztą pantoflową docierało do wkurzonych czytelników. Co innego Bojan. Uparciuch, jakich mało. Nawet Szpalta nie potrafiła go przekonać, żeby teksty o żużlu zajmowały więcej miejsca na stronach sportowych. Poniedziałkowe wydanie „Gazety Zielonogórskiej” lepiej się sprzedawało niż piątkowe, do którego redakcja dodawała program telewizyjny na cały tydzień. Czasem jakiś wisiorek, czasem naklejkę, plakat, kupon zniżkowy na koncert mniej znanego zespołu, mapę z rozmieszczeniem fotoradarów, płytę z kołędami, siano na stół wigilijny, farbę do malowania jajek wielkanocnych lub inny tego typu gadżet. Bojanew rozemocjonowanym głosem starał się przekonać naczelną, że większa sprzedaż poniedziałkowego wydania to skutek nagromadzenia wydarzeń w sobotę i niedzielę, kiedy nie wychodzi gazeta, a nie efekt szczytowego zainteresowania drużyną Gremplera.

- Przecież zimą, gdy żużlowcy nie ścigają się na torach, poniedziałkowe wydanie też nieźle się sprzedaje - dowodził, czego nie można było podważyć.

Przed zwołaniem kolegium Szpalta zadzwoniła do szefa Kunickiego Ochrony. Obiecał jej dokładniejszą kontrolę osób wchodzących do budynku redakcji. Poradził też, by właściciel wydawnictwa wynajął ochroniarzy, którzy będą aniołami stróżami dziennikarzy w dzień i w nocy.

- Niech się pani zwróci o ochronę do policji - podpowiedział, gdy Szpalta westchnęła, słysząc informację o cenie.

Jeszcze wczoraj Magda próbowała połączyć naczelną z komendantem. Z rana go nie było, potem sekretarka powiedziała, że prowadzi odprawę

z zastępcami i naczelnikami pionów, a po południu, kiedy Magda znowu zadzwoniła do komendy, usłyszała, że już wyjechał. Być może wróci przed wieczorem, ale na pewno nie podniesie słuchawki, jeśli nawet będzie dzwoniła komenda główna.

- Pierwszy raz nie udało mi się zdobyć numeru czyjejs komórki - przyznała zawstydzona kobieta. - O poprzednim komendancie wiedziałam więcej niż jego zwierzchnik, ale o tym... zero. Nie mieszka w Zielonejgórze. Był naczelnikiem najważniejszego biura w komendzie wojewódzkiej, gdzie albo komuś, albo za coś podpadł. Przeniesienie inspektora do komendy miejskiej oznacza degradację.

Czyli muszę powiedzieć dziennikarzom, żeby mieli się na baczności. Przynajmniej do czasu, aż komendant pochwali się, że podlegli mu policjanci zatrzymali domniemanych sprawców, postanowiła Szpalta. Coraz trudniej być rzetelnym i bezkompromisowym autorem, pomyślała. Koniecznie muszę zajrzeć do redakcji „Rogalands Avis” i wypytać, czy w Norwegii dziennikarze giną z powodu ujawniania prawdy.

Zielonagóra, Szosa Wrocławska, wtorek, popołudnie

Daniel Jung nie spodziewał się aż tylu znanych osób na cmentarzu podczas pogrzebu Michała Kostrzyńskiego.

W tłumie zebranych dominowali dziennikarze, ale przyszli też politycy. Daniel nie miał wątpliwości co do tego, że są tu po to, by pokazać się kamerzystom i fotoreporterom.

Wiosną był na pogrzebie nielubianego redaktora Łuki, kiedyś zastępcy naczelnej i wykładowcy dziennikarstwa na uniwersytecie, recenzenta z ambicjami i arbitra literackiego. Za trumną szło sześć osób, w tym ani jednego poety i pisarza. A jeśli nie liczyć Szpalty, kadrowca i Junga, tylko trzecia żona i dwaj synowie z pierwszego małżeństwa. Wyjaśnił to sobie tym, że niedomagający Łuka pokłócił się niemal ze wszystkimi w mieście. Dwa lata przed śmiercią napisał książkę. Jak przekonywał we

wstępie, był to najbardziej obiektywny przewodnik po pracowniach zielonogórskiego środowiska literackiego. Do wszystkich autorów miał jakieś uwagi, najczęściej niezwiązane z twórczością, a tym, których do niedawna wychwalał, gdzie się tylko dało, w *Moich pstryczkach* zarzucił prowincjonalizm. Jung też mógłby się obrazić, bo jego nazwiska Łuka nie podał nawet w apendyksie, zupełnie jakby nie istniał jako autor, a przecież z reportaży kryminalnych drukowanych w gazecie złożył dwie książki.

- Skoro na pożegnanie Michała przyszło tyle osób, to pojutrze, kiedy będzie pogrzeb Bojana, na cmentarzu może pojawić się tłum - prorokował Kamil, redakcyjny stażysta.

W urzędzie pracy, który refunduje jego pensję, jest taki bałagan, że nikt nawet nie zauważył nieregulaminowego przeciągnięcia stażu. Kamil nie protestował. Wiedział, że jeśli Szpalta zechce przyjąć go na etat, dostanie mniej korzystne warunki finansowe.

- Gdyby Bojan kibicował żużlowcom tak, jak kibicował koszykarzom i futbolistom, można by było się spodziewać tłumy - rzucił Jung. Chciał opowiedzieć Kamilowi o pogrzebie Łuki, ale machnął ręką z rezygnacją. Przypomniał sobie zasadę, że o zmarłych powinno się mówić wyłącznie dobrze albo wcale.

- Na razie prokuratura daje plamę w sprawie mordercy Michała.

- Dlaczego? Przecież policja prowadzi śledztwo pod nadzorem prokuratury.

- Chyba tylko, żeby prokurator je umorzył z powodu niemożliwości wykrycia mordercy - zaśmiał się stażysta. - Jak było z Kunickim, szefie?

- Kunicki... - Jung chciał powiedzieć, że zabójstwo najbogatszego do niedawna zielonogórzanina to inna sprawa. Policja zrobiła wszystko, co do niej należało. Gdyby politycy nie wtykali nosa, a właściwie przewodnicząca zarządu regionalnego rządzącej partii, to ten, kto postrzelił Kunickiego, już tęskniłby za wolnym światem z za krat. - Prawda, idzie im jak po grudzie, ale czy warto kopać się z koniem?

- A chociaż sprawdzili laptop Bojana?

- Sądzisz, że tam policja znajdzie coś, co ją doprowadzi do tego, kto

mu groził?

-Ja na miejscu policji...

- Owszem, zabrali laptopy Bojana i Michała, przejrzeni serwer redakcyjny, nawet komórki i notatniki. Poprosili też o bilingi. Takie są procedury. Nie mam wątpliwości, że dojdą do mordercy czy morderców.

- Jeśli nie w tym miesiącu, to za rok albo dwa - powiedział Kamil, kierując słowa gdzieś w przestrzeń.

Pomimo że Jung dawno rozstał się z mundurem komisarza, denerwowały go takie opinie o działaniach policji. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie wszyscy mundurowi są jak święty Franciszek z Asyżu. Zresztą Polska to nie Norwegia, gdzie rozwiązywanie zagadek kryminalnych od początku do końca należy do zadań policji. U nas prowadzi się śledztwa pod nadzorem prokuratury, a ta na głowie ma przede wszystkim wyjaśnianie donosów polityków i podejrzeń o przekręty dużych przedsiębiorstw. W Polsce morderców nie traktuje się priorytetowo.

- Ten grób Bojan sobie sam wykopał - stwierdził Kamil, tym razem zwracając głowę w stronę Daniela.

- Co rusz mnie zaskakujesz. To z lewej, to z prawej. Z kąta w kąt. W naszym fachu obowiązuje zasada, że zanim wydasz opinię, sprawdź fakty. Powierzchnowość jest najgorszą cechą dziennikarza. Ponadto nieprzemysłaną gadką nie tylko możesz kogoś skrzywdzić, ale i sobie napytać biedy.

Stażysta nawet się nie zawstydził.

- Miałem sprawę do Krzyśka, więc poszedłem do działu sportowego - powiedział, jakby tamto, co przed chwilą usłyszał, jego nie dotyczyło. - Bojan gadał przez telefon jak to on. Po swoimemu. To znaczy dał się i bluzał. Mnie czasem zdarza się użyć słowa uważanego za wulgarne - Kamil zerknął na Junga - ale Bojan tak rzucał kurwami, chujami i pizdami, że uszy puchły. Jakby Chuda to usłyszała... W końcu pieprzył słuchawkę na widelki. „Jeszcze jeden pojebaniec się znalazł, krótka piłka!”, krzyknął do mnie. „Kutas dzwoni co tydzień, bo w gazecie jest

za mało o żużlu. A to sport numer jeden w regionie. Ma więcej fanów niż futbol, kosz i siatka razem wzięte! Jego zdaniem w poniedziałek ludzie kupują naszą gazetę przede wszystkim po to, żeby przeczytać relację z niedzielnego meczu, więc o żużlu mamy pisać dzień w dzień. Najlepiej nad główką na pierwszej stronie i wielkimi literami. I ma być więcej zdjęć, bo jeśli nie, to kibice mi pokażą. Na forum od dawna bluzgają, ale żużlomani wszystkim bez wyjątku wygrażają. Najwięcej miłośnikom kosza. Jakby kosz był dla idiotów”. Tak do mnie mówił. Wygląda na to, że ktoś przez telefon groził Bojanowi.

- Kiedy to słyszałeś?

Kamil zmrzył oczy i po dłuższej chwili odpowiedział:

- W zeszły wtorek albo może w środę.

- Powiedziałaś policjantce?

- Zapomniałem - przyznał się przepaszająco.

Zielonagóra, ul. Wąska, wtorek, popołudnie

Najpóźniej pojutrze listonoszka przyniesie protokół obdukcji Bojanewa do komendy. Jeszcze musi go autoryzować profesor Jungowa, a szefowa katedry patologii w poniedziałek i wtorek ma wykłady w Gdańsku. Doktor Trzcinka zrobił wszystko, co należało do jego obowiązków. Starym zwyczajem sekretarka zadzwoniła do komisarz Mrozińskiej i streściła, co napisał patolog: w obrębie głowy i szyi tłuczone rany, złamania kości sklepienia, podstawy czaszki, kości twarzy, zmiążdżenie mózgowia, rozerwanie stawu szczytowo-potylicznego, złamania wszystkich wyrostków kolczystych kręgow szyjnych, częściowe rozerwanie dysku międzykręgowego. Uszkodzenia w obrębie głowy i szyi powstały w wyniku uderzenia twardego tępego przedmiotu o ograniczonej powierzchni kontaktowej. - Wypadek byłby mniej tragiczny w skutkach, gdyby redaktor Bojanew zapiął pasy - dodała sekretarka.

Tego komisarz Mrozińska nie wiedziała, ponieważ docent Pastwa

skupił się na wynikach oględzin passata, a policjanci z drogówki, którzy pierwsi przyjechali na miejsce zdarzenia, akurat ten fakt pominęli. Prawdopodobnie nie przyszło im na myśl, że osoba siedząca za kierownicą na drodze ekspresowej nie zapięła pasów.

- Jest też dokument z laboratorium toksykologicznego. Proszę posłuchać. W czasie badań chemicznych krwi i wątroby zwłok mężczyzny wykryto spirytus etylowy w koncentracji zero cztery promila, co odpowiada bardzo lekkiej intoksykacji alkoholowej. W wątrobie nie wykryto spirytusu etylowego. W krwi nie wykryto morfiny i jej pochodnych.

- Dziękuję - powiedziała spokojnym tonem Mrozińska. Jak się na tym znam, znikoma ilość alkoholu mogła pozostać po wypitym soku jabłkowym. Firma ubezpieczeniowa uzna jednak, że kierowca był pod wpływem alkoholu i choćbyśmy złapali za rękę tego, kto poluzował czy odkręcił śruby w kole, nie wypłaci nawet części odszkodowania.

Zielonagóra, ul. Wąska, środa, wczesny ranek

Gdy sekretarka weszła do pokoju, Ilona Mrozińska wyjmowała zawartość szuflad i wkładała swoje rzeczy do kartonu przywiezionego z domu. Komendant wezwał ją do swego gabinetu, gdzie z wrzaskiem domagał się, żeby do środy przymknęła podejrzanego o morderstwo dziennikarzy. Jeśli tego nie zrobi, pożegna się z wydziałem kryminalnym. Może i lepiej, pomyślała. Będę miała więcej czasu dla siebie i dla rodziny. Inspektor nie wyrzuci mnie z policji. Najwyżej znajdą mi miejsce w którejś z najbardziej zapuszczonych gmin. Do jesieni muszę wytrzymać, a pierwszego października już jako wcześniej emerytowana policjantka dostanę dużo mniej niż dziś zarabiam, ale na fryzjerkę, kosmetyczkę i ciuszki wystarczy. O pieniądze na utrzymanie domu, opłaty, przyjemności i co tam jeszcze jest potrzebne w życiu, niech się martwi mąż. Zresztą nie mam zamiaru gnuśnieć przed telewizorem, myślała. Do Bożego Narodzenia odpoczynek, a po

świętach otworzę bufet z pysznymi przekąskami gdzieś w pawilonie na wprost komendy. Kiedy sława mojej garkuchni rozniesie się po dzielnicy, będę już miała plan na restaurację z polską kuchnią. Nazwę ją Karczma u Ilony albo Gospoda Zielonogórska. Nowoczesne nazwy też jej się podobały, ale nie dorównywały starym. Wykształceni ludzie lubią zaglądać do czegoś, co z jednej strony brzmi intrygująco, a z drugiej przypomina im najszcześniejsze lata dzieciństwa.

- Gdybym nie wiedziała, że jesteś w gorącej wodzie kąpana, to zaczęłabym ronić łzy - powiedziała sekretarka, krytycznym wzrokiem mierząc zwierchniczkę. - Nigdzie nie odejdziesz, a przynajmniej nie do czasu powrotu Syskiego z chorobowego. Potem zresztą też nie.

- Zajmij się lepiej porządkami w swoim biurku. Komendant może dojść do wniosku, że skoro pracowałaś z niedojdą, to również nie nadajesz się do policji.

- Jestem w cywilu i dlatego, w przeciwieństwie do ciebie, nie mogę starać się o wcześniejszą emeryturę po piętnastu latach pracy.

- Zamiast tak stać i patrzeć mi na ręce, zaparz pożegnalną kawę.

Na dziewiątą rzeczniczka zwołała konferencję prasową. Tak jej kazał komendant. Próbowала go przekonać, że to za wcześnie. O dziewiątej dziennikarze dopiero przychodzą do redakcji, przeglądają pocztę, omawiają to, co się ukazało w gazecie i układają plan pracy. Konferencje w komendzie zawsze rozpoczynały się o jedenastej. Zresztą rasowi dziennikarze nie czekali i na przykład Daniel Jung dzwonił do rzeczniczki nawet w weekend czy o świcie. Zazwyczaj wiedział więcej niż policja chciała ujawnić. Tak, ale Jung ma za sobą przeszłość policyjną i czuje pismo nosem. Jego trudno było zadowolić byle informacją.

Większość konferencji za kadencji poprzedniego komendanta dotyczyła spraw kryminalnych. Przed każdą inspektor zapraszał Ilonę do swego gabinetu albo naradzał się z nią przez telefon. Omawiali to, od czego powinien zacząć i ile może powiedzieć, aby nie ujawnić za dużo. O tym, że dziś o dziewiątej rozpocznie się konferencja prasowa, komisarz usłyszała wczoraj wieczorem zaraz po zakończeniu przesłuchania Gardockiego. Na jaki temat? Tego rzeczniczka nie

wiedziała. Przypuszczała, że ubrany na galowo inspektor pochwali się sukcesami. Gdy znudzeni dziennikarze zaczną zadawać rzeczowe pytania, każe odpowiadać Ilonie.

Od zabójstwa redaktora Kostrzyńskiego mijał tydzień, więc powinna już sformułować konkretne wnioski, a ona nie umiała spłodzić najprostszej hipotezy. Wszystkie domniemania potrzebne do naszkicowania portretu socjologicznego sprawcy wzięły w łeb. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Nawet żona Kostrzyńskiego zapewniła aspiranta Araszkiwicza, że nie miała i nie ma kochanka. Michał był jej pierwszym i jedynym mężczyzną poznanym jeszcze na uniwersytecie. Nie chodziło więc o zazdrość czy o zdradę. Komisarz nie dopuszczała do siebie myśli, żeby ktoś wykonał wyrok na dziennikarzu. Tymi tekstami, które na jej prośbę redaktorka naczelna wybrała z archiwum gazety, Kostrzyński nie mógł nikomu zaszkodzić. Co innego zadziorne artykuły i komentarze Bojanewa. Czy wypadek na obwodnicy Zielonejgóry należy łączyć z morderstwem w redakcji? Wspólne jest tylko miejsce pracy obu denatów. Komendant chce, żeby powiedziała głosem zdecydowanym, że podejrzanych jest kilku. Kto? Na razie bez nazwisk. Gdy dziennikarze spytają, bo na pewno zarzucą ją szczegółowymi pytaniami, nie powie, że po raz drugi na czterdzieści osiem godzin zatrzymała dyrektora departamentu w urzędzie marszałkowskim. Zatrzymała też bezdomnego, który w koszu na śmieci znalazł legitymację członka Fanów Gremplera. Nie wiedziała, jaki to ma związek ze śmiercią dziennikarza.

Kostrzyński zginął od uderzenia zadanego tępym narzędziem w tył głowy. Najpewniej kantem dłoni. Może zabójcy trzeba szukać wśród kulturystów, zapaśników, judoków, bokserów lub karateków. A co znaczyła szlaka w jego ustach? W dodatku pozostawiona przez mordercę informacja nie miała sensu. Jak na złość kamery miejskiego monitoringu również niczego ważnego nie uchwyciły.

Mrozińska przez otwarte drzwi usłyszała, jak sekretarka wybucha śmiechem.

- Ilona, wypakuj wszystko z kartonu.

- Czyżby komendant zmienił zdanie na temat kobiet? A może nagle awansował? Albo szczęśliwie dla wszystkich został odwołany? - zakpiła.

- Odwołana jest konferencja - powiedziała sekretarka. - Nasz komendant tak się zapędził w rozmowie przez komórkę, że idąc do toalety, potknął się i... skręcił nogę w stawie kolanie. Jak nic sześć tygodni w gipsie i co najmniej miesiąc rehabilitacji. Do końca wakacji myszy mogą harcować. Karetka zabrała go do polikliniki.

Ilona otworzyła usta, żeby spytać, kto będzie pełnił obowiązki komendanta, gdy na jej biurku odezwał się telefon, którego numer podała na służbowej wizytówce. Lewą ręką podniosła słuchawkę.

- Komisarz Mrozińska - przedstawiła się i palcem wskazującym prawej dłoni wcisnęła guziczek magnetofonu. Zawsze tak robiła.

- Koziółek z Nowej Soli - powiedział mężczyzna skrzekliwymi głosem i się rozkaszał. - Wczoraj rozmawiałem z panią komisarz o Bojanie.

- Doskonale pamiętam. - Powinna go rozpoznać po rżeniu charakterystycznym dla starego palacza. Ilona zaczęła popalać już jako nastolatka. Kto w liceum nie palił, był traktowany jak ciapa. To samo na uniwersytecie. W komendzie również wszyscy wyskakiwali na dymka. Dopóki każdego dnia rano ustawiała się w kolejce do kiosku po dwie paczki giewontów, nie dostrzegała żółtych palców i zębów palaczy, tytoniowych twarzy, nie czuła też smrodu włosów i przesiąkniętych tytoniem ubrań. Teraz unikała palaczy. Podobno tak robią wszyscy, którzy po wielu latach rzucili palenie. - Dzwoni pan do mnie, majorze, bo coś ważnego pan sobie przypomniał, tak?

- Przed wieczorem pojechałem na działkę. Jest taki upał, że dzień w dzień i rano, i przed zmrokiem tam jeżdżę. Bez podlewania wszystko zmarnieje.

Boże, będzie mi opowiadał o kwiatkach, marchewce i groszku, pomyślała.

Koziółek domyślił się tego, czego nie powiedziała, więc kontynuował:

- Moim sąsiadem jest były strażnik z aresztu. Jednego dnia odchodziliśmy ze służby. Lubimy sobie powspominać dawne czasy. Wczoraj wieczorem napomknąłem mu, że Bojan nie żyje. Wtedy on

przypomniał sobie jedno zdarzenie. Czy ważne, to już pani komisarz sama oceni.

- Dziękuję, że pan major dzwoni. Zamieniam się w słuch - wtrąciła, żeby zachęcić go do przedstawienia sedna sprawy.

- Teraz jest policja konwojowa. Dawniej strażnicy odpowiadali za dostarczenie osadzonego do sądu na rozprawę. W Nowej Soli z Żeromskiego na Piłsudskiego jest tyle co kot napłakał, ale nie można było aresztanta prowadzić ulicą do sądu. Trzeba było zamówić więźniarkę. Po rozprawie to samo. W tamtą stronę nie, za to z powrotem jeden wydzierał się, że jak wyjdzie na wolność, to Bojanowi połamię kości.

- Miał jakiś powód?

- W opinii do sądu Bojan nie napisał wszystkiego, czego oczekiwał osadzony. Jeśli prokurator domagał się wysokiej kary, taka opinia niewiele znaczyła. Ten, co się wydzierał na Bojana, był oskarżony o współudział w zabójstwie. Adwokat twierdził, że jego klient jest niewinny. Domagał się od prokuratora przedstawienia dowodów. I, niech pani sobie wyobrazi, sąd dał wiarę obrońcy, bo proces był poszlakowy, a dowody zebrane przez policję okazały się za słabe. Facet został uniewinniony, ale jak zabierał swoje rzeczy z depozytu w areszcie, groził Bojanowi.

- Czy pamięta pan, kiedy to było? Jak ten człowiek się nazywał? Skąd pochodził?

- Strażnik mówi, że pochodził ze Sławy. Nazywał się Wittek. Zapamiętał nazwisko, bo pisze się je przez dwa te. Jak pani pojedzie do Sławy, proszę pytać o zabójstwo właściciela zakładu przetwórstwa mięsnego. To wszystko, co miałem do przekazania - powiedział Koziółek i się rozłączył.

Komisarz nawet nie zdążyła mu podziękować.

Sława, ul. Przemysłowa, środa, wczesne popołudnie

Ilona Mrozińska przyznała się Araszkiwiczowi, że nie wiedziała, jak dojechać do komisariatu policji. W Sławie była tylko raz jako studentka. Zapamiętała brak ciepłej wody w gościńcu Pod Trzema Sosnami i drogę prowadzącą z kościoła do restauracji Stary Kormoran, w której balowała do rana na weselu kuzynki.

- Ze mną nie zabłądzisz - zapewnił ją aspirant Araszkiwicz, skręcając w ulicę Pobożnego. Nad wejściem do budynku, w którym dwa lata wcześniej w czasie wakacji dyżurował razem z miejscowymi policjantami, wisiała czerwona tablica z białymi literami „Urząd Miasta i Gminy w Sławie”. - Od połowy czerwca do pierwszych dni września to miasteczko niewiele się różni od Kołobrzegu.

- Miejsce na komisariat jest doskonałe, bo jednocześnie w centrum i na uboczu. Nie rzuca się w oczy - oceniła komisarz Mrozińska. - Gdybym była burmistrzem, wydzierzałabym te pomieszczenia restauratorowi. - A może właśnie w Sławie powinnam otworzyć bufet z przekąskami? Latem tu, bo dużo wczasowiczów, a po sezonie w Zielonejgórze, pomyślała.

- Komendanci tu albo odchodzili na wcześniejszą emeryturę, albo podpadali zwierzchnikom, a burmistrzowie podobno zmieniają się co cztery lata.

Mężczyzna przechodzący obok ich samochodu zastukał palcem w szybę i pokazał na znak zakazu zatrzymywania się w tym miejscu.

- Były komendant! - ucieszył się Araszkiwicz. Niczego nie wyjaśniając, wyskoczył z samochodu na ulicę.

Ilona nie słyszała, o czym rozmawiają. Gdy wrócił, wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Ważniak!

- Małomiasteczkowy dupek z okopconymi wąsami - rzuciła z pogardą. Nie lubiła wąsatych mężczyzn, a niechlujami gardziła.

- Twierdzi, że mnie nie pamięta. Akurat! Powiedziałem mu, że gdy ty byłem, to jego żona miała smażalnię ryb przy plaży. Sprzedawała też

tanie piwo. Wieczorami najwięcej burd było w tamtym miejscu. „Nie znam pana”, powiedział. Skurwiel jeden.

Z budynku wyszła młoda kobieta. Komisarz, nie wysiadając z samochodu, spytała ją, jak trafić do nowej siedziby komisariatu.

- Został przeniesiony na Przemysławą. - Widząc pytający wzrok policjantki, wyjaśniła: - Trzeba jechać na Śmieszkowo, Kaszczor. To znaczy do tyłu i tam. - Machnęła ręką w prawo.

Po pięciu minutach byli na miejscu. Pełniący obowiązki komendanta starszy sierżant ucieszył się z ich wizyty. Dyżurnemu kazał zaparzyć kawę i podać ciastka.

- Wittek? - bardziej spytał niż powtórzył nazwisko. Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Dobrze znam pana prezesa. To właściciel zakładu przetwórstwa mięsnego. Podobno największego w okolicy. Lubin jest stolicą zagłębia miedziowego, Zielonagóra - kabaretowego, a Sława - wędliniarskiego. Dawniej królowała firma Balcerzaka, potem doszła Dobrosława, po niej Bio-peck, dziesiątka mniejszych i ciągle się rozbudowujący Ślusarczyk. Po co daleko szukać? O, obok komisariatu jest przetwórnia Ale Sława. Burmistrz chwalił się, że pod lasem, jak się jedzie na Lubiatów, polsko-niemiecka spółka kupiła ziemię i ma zamiar postawić wytwórnię karmy...

- Nas interesuje Wittek - przerwała mu Mrozińska.

- Prezes Wittek.

- Nie prezes, panie komendancie. Obywatel Wittek.

- Chodziliśmy do tego samego technikum. Nie rzucał, jak to się mówi, słów na wiatr. Co postanowił, to zrobił. Chciał boksować i dwa razy w tygodniu dojeżdżał do Gwardii. Jak tylko mu się boks znudził, to zapisał się na karate. Szusował na jawie. Motory i sport u nich to rodzinne.

- A zanim Wittek został prezesem, czym wcześniej się zajmował? - znów mu przerwała.

- Różnie. Najdłużej robił na wędliniarni. Będzie z sześć, siedem lat, jak został zadżgany właściciel firmy, Ślusarczyk. Chłopak też po naszym technikum. Kto go? Dlaczego? Nie wiadomo. Ale podejrzenie padło na Wittka. Siedział w areszcie w Nowej Soli... Bo ja wiem? Chyba nieco

dłużej niż pół roku. Na rozprawie wyszło, że jest niewinny. Kiedy tylko go zwolnili, powiedział, że ożeni się z wdową, bo szkoda, żeby taka firma poszła na zmarnowanie.

- I się ożenił - strzelił Araszkiewicz.

- Nawiasem mówiąc, jeszcze w technikum smalił cholewki do Ulki. Też, co jej Ślusarczyk machnął dziecko i potem musiał się żenić.

- W takim razie jedziemy porozmawiać z prezesem Wittkiem - zarządziła komisarz.

- To znaczy ze Ślusarczykiem - sprostował sierżant. Mrozińska i Araszkiewicz wybałuszyli pytające oczy, więc rozmówca dodał: - Bo tamten Wittek teraz nazywa się Ślusarczyk. Podobno jest takie prawo, że mąż może przyjąć nazwisko żony.

Na twarzy sierżanta pojawił się ironiczny uśmiešek.

Sława, ul. Zielonogórska, środa, popołudnie

Gdyby Ilona Mrozińska wiedziała, że Wittek to Ślusarczyk, nie kazałaby Araszkiewiczowi szukać komisariatu, tylko zaraz za Radzynielem skręcić na parking przed bramą. Każdy, kto jechał tą drogą do centrum miasteczka, musiał zauważyć litery na dachu hali układające się w napis: Zakłady Mięsne Ślusarczyk. Na miedzianej tablicy przy bramie pod nazwą firmy był dopisek: Urszula i Ireneusz Ślusarczykowie.

- Witam serdecznie panią komisarz i pana aspiranta - przymilał się ochroniarz ze znakiem Grempler Security na kieszeni bluzy, gdy wysiedli z samochodu.

- Skąd pan wie, kim jesteśmy? - zdziwiła się policjantka.

Zamiast odpowiedzieć, ochroniarz uśmiechnął się zadowolony i pokazał ręką na obrotowe drzwi szklanego budynku przyklepionego do hali. Mrozińska poczuła zapach czegoś, czego nie umiała określić, ale uznała go za nieprzyjemny. Araszkiewicz też pociągnął nosem. W przeciwieństwie do naczelniczki wydziału lubił tę woń, bo przypominała mu dziecińne lata, gdy ojciec wolał rzeźnika i odbywało się świnioobicie.

W tamtym czasie kwik zarzynanych wieprzków cichł dopiero dwa tygodnie przed Wielkanocą. Powtarzał się między sianokosami a żniwami i przed Bożym Narodzeniem.

- Komendant mnie uprzedził - przyznał Ślusarczyk bez zmieszania, gdy komisarz powtórzyła pytanie zadane ochroniarzowi. - On najlepiej wie, z kim trzeba dobrze żyć w Sławie.

Mrozińska postanowiła, że jeszcze dziś zadzwoni na komendę i go opieprzy.

- Proszę nie brać mu tego za złe. Gdyby nie właściciele miejscowych firm, nasza policja nie miałaby ani czym jeździć, ani na czym pisać, a abonament na rozmowy komórkowe wystarczyłby komendantowi najwyżej na tydzień. Sława żyje z turystyki. Mieszkańcy chcą dużo zarabiać i chcą mieć spokój. Pierwsze zapewniają przyjezdni, drugie jest obowiązkiem policji, więc wszyscy się wspieramy.

Mrozińska drgnęła, jakby ostatnie słowa Ślusarczyka ukłuły ją w najbardziej wrażliwe miejsce. Nie lubiła przemądrzałych policjantów, ale jeszcze bardziej drażnili ją zarozumiałcy udający ważniaków. Araszkiewicz zaś kiwnął głową na znak, że go rozumie i się z nim zgadza.

- Co pan robił w czwartek przed południem? - spytała komisarz, przybierając urzędową minę. Postanowiła, że będzie uważnie przyglądała się Ślusarczykowi. Chciała uchwycić najmniejsze zmiany wyrazu jego twarzy. O to samo poprosiła Araszkiewicza jeszcze na korytarzu.

Aspirant wyjął notes z kieszeni bluzy, otworzył go i czekał na odpowiedź prezesa, gotów ją streścić.

- Czy to jest oficjalne przesłuchanie? - spytał wyraźnie zdenerwowany, przebierając palcami po biurku.

- Na oficjalne przesłuchanie, jeśli uznamy je za konieczne, wezwiemy pana do naszej komendy. Na razie chcemy sprawdzić zasłyszane informacje.

- A jakieś pismo...

- Z wezwaniem do natychmiastowego stawienia się w komendzie?

Ślusarczyk zrozumiał, że się zagalopował i choćby w tej chwili zadzwonił do szefa komendy powiatowej, nie wygra z Mrozińską.

- W czwartek od godziny dziesiątej byłem w ogrodach Pałacu Prezydenckiego w Warszawie. Odbywało się tam spotkanie głów państw Europy Środkowej, a ponieważ od wielu lat nasza firma jest dostawcą wędlin na tego rodzaju uroczystości, korzystam z okazji, by tam się pokazać. Wychodzę z założenia, że moje sukcesy zależą od ludzi, których spotykam, i od uroczystości, w których biorę udział.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Najpewniej biuro przepustek BOR-u. Może pani również sprawdzić na lotnisku w Przylepie, o której godzinie wystartowała Cessna, kto siedział za sterami i kto był pasażerem oraz najpewniej też jaki ładunek znajdował się na pokładzie.

- O której wrócił pan do Sławy?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć precyzyjnie. Sądzę, że byłem tu tuż po dziesiątej wieczorem. W Przylepie... jakąś godzinę wcześniej. Przez miasto nie da się jechać jak po autostradzie. A skąd to zainteresowanie moim rozkładem dnia, pani policjantko?

Mrozińska postanowiła nie ukrywać, dlatego pyta Ślusarczyka o to, co robił przed tygodniem.

- W zeszły czwartek przed południem został zamordowany redaktor „Gazety Zielonogórskiej”.

- Wiem. Mam łebskiego asystenta. Na uniwersytecie, chociaż jest doktorem filozofii, zarabiał tyle, co pielęgniarka w szpitalu, a u mnie - jaka praca, taka płaca. Chłop się stara, żebym na bieżąco orientował się w tym, co dzieje się w regionie. Pojadę gdzieś, zapytają, a ja oczy w słupek? Zapisz się, doktor, do rządzącej partii, to pomogę ci zostać wojewodą, tak mu mówię. A jak zechcesz być za marszałka województwa, też pomogę. Mnie to kosztuje tyle co nic, a opłaci się mieć znajomego wojewodę czy marszałka, nie? Ale on nie chce - Ślusarczyk się roześmiał.

Ma dobre alibi, stwierdził w myślach Araszkiwicz. Tego samego zdania była Mrozińska, lecz mimo to powiedziała:

- W sobotę rano doszło do tragicznego w skutkach wypadku samochodowego na obwodnicy Zielonejgóry. Zginął dziennikarz z tej samej redakcji. Bojan Bojanew. Pan go znał?

- Jeśli to jest ten sam, który był klawiszem w Nowej Soli, to nie zaprzeczam. A co wspólnego ze mną mają te oba nieszczęścia? - spytał zdeorientowany.

- O ile wiem, to prokurator nie przedstawił dowodów przekonujących sąd, że dopuścił się pan zabójstwa poprzedniego właściciela niniejszej firmy - przypomniała Mrozińska, pukając palcem wskazującym w stół. - Wiem również, że najpierw w więźniarce, a potem odebrawszy rzeczy z depozytu w areszcie, groził pan Bojanowi Bojanewowi. Są świadkowie, którzy mogą to potwierdzić.

- Zaraz tam groził! To takie zgrywy były. Kiedy niewinny człowiek zostanie uwolniony od oskarżenia, to z radości przychodzą mu do łba najgłupsze durnoty. - Ślusarczyk się roześmiał, ale zaraz spoważniał, jakby nagle dotarła do niego powaga sytuacji. - Pan Bojanew był fajnym wychowawcą, tylko gdy czasem coś powiedział, to chciało się dać mu w zęby. Raz rozmawialiśmy o żużlu. Mówiłem, że to sport prawdziwie męski i widowiskowy jak mało który. Tłumy wałą na stadiony. Adrenalina w kibicach aż się gotuje. Telewizja. Radio. Transmisja na żywo. I takie tam. A on, że to disco-polo na stadionie. Ze tylko ćwoki chodzą na żużel. Ze to ryczący kibole, którzy nabijają kasę cwaniaczkom. Według niego żużel to cyrk na dwóch kółkach, a nie sport. Zdenerwował mnie, bo od kiedy przestałem boksować, nie opuściłem żadnego meczu Falubazu. Tak dawniej nazywał się dzisiejszy klub. O żużlu wiedziałem więcej niż o Panu Bogu, chociaż chodzę do kościoła i z naszym proboszczem jestem na ty. Z burmistrzem zresztą też. W dodatku mój brat jeździł po torze w pierwszym zespole. Dokładnie nie pamiętam, co wtedy powiedziałem panu Bojanewowi, ale na pewno coś mocniejszego, jednak nie mogło to być nic takiego, żeby go wystraszyć. Pani komisarz rozumie, że jak nerwy poniosą, to czasem człowiek głupio gada.

- Pana brat jeździł w Falubazie?

-No.

- Również nazywał się Wittek?

- Kwiek. Kwiek Olek. Mamy tę samą matkę, ale różnych ojców.

- A w więźniarce? W depozycie? To, co pan wtedy powiedział, podpada pod paragraf. To są groźby karalne.

Ślusarczyk wstał zza opasłego biurka. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy zostanie oskarżony. Przeszedł się wzdłuż stołu, przy którym siedzieli policjanci.

- Przecież Bojanew nie żyje. Kto wniesie oskarżenie do sądu?

- Jest ktoś, kto może poświadczyć - odpowiedziała Mrozińska bez namysłu. - I komu z pewnością sąd da wiarę.

Prezes otworzył usta, jakby chciał rzucić coś, czym zaskoczy policjantkę, ale się nie odezwał.

Radzyń, ul. Sławska, środa, późne popołudnie

- Skąpiradło - powiedział Araszkiwicz, gdy szli na parking. Ochroniarz siedzący w budce przy bramie nawet nie oderwał wzroku od gazety. - Miałem nadzieję, ba, byłem przekonany, że kto jak kto, ale Ślusarczyk czymś specjalnym nas poczęstuje. Zaopatruje prezydenta w wędliny, a nam pożałował kilku plasterków szynki. Nawet kawy nie zaproponował.

- Gdyby Ślusarczyk każdego częstował, nie byłby bogaty - wyrzuciła z siebie komisarz. - Bratanek mojego męża zaczynał od jednego kiosku na blokowisku, a dziś ma hurtownię i sieć sklepów mięsnych. Twierdzi, że najlepsze wyroby są ze znakiem firmowym Ślusarczyka. Najlepsze i najdroższe, ale lepiej zapłacić więcej niż połakomić się na tanioczę z marketu.

- Jestem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami - poskarżył się aspirant. Zapamiętał szyldy na domach przy drodze w Radzyniu. - Przed zakrętem jest pierozkarnia. „Jeśli męczy cię głód srogi, wpadnij do nas na pierogi”. Skorzystamy z zaproszenia?

- Na wprost pierozkami jest smażalnia ryb. Ponieważ ja nie przepadam za ruskimi...

- Jak każda kobieta dbasz o linię - wypalił bez zastanowienia i zaraz

tego pozałował, bo Ilona zmierzyła go ganiącym spojrzeniem.

- Gdybym nie dbała o linię, miałabym dupę jak trzydrzwiowa szafa z lustrem, a ty uciekłyś do wydziału walki z przestępczością gospodarczą.

Araszkiewicz się zawstydził. Ilona była spokojną osobą, a jeśli się zdenerwowała, wstawała od biurka i robiła rundkę po pokoju lub wychodziła na korytarz. Nigdy nie słyszał, żeby podniosła głos, chociaż potrafiła rzucić kilka takich słów, że podwładnemu robiło się zimno ze wstydu.

- Teraz ja prowadzę - powiedziała zdecydowanym tonem. - Do pierogów będziesz mógł sobie zamówić piwo.

Liczyła na to, że zje smażoną płoć, siławę lub inną rybę złowioną w Jeziorze Sławskim. Postanowiła, że jeśli ryba będzie odpowiednio wysmażona, kupi kilka kawałków na kolację. Mąż mógł jeść ryby trzy razy dziennie nawet przez tydzień.

- Jest tylko to, co na tablicy - odpowiedziała chłodnym głosem barmanka, patrząc ponad głowami klientów w stronę drzwi.

Ilona przeczytała wypisane kredą nazwy ryb.

- Miruna nowozelandzka, dorsz atlantycki, halibut pacyficzny, morszczuk chilijski, serdela argentyńska i łosoś norweski. - Na mniejszej tabliczce, opartej o donicę, umieszczono ofertę jak z fast foodu. - Mam ochotę na rybę z jeziora, które rozciąga się za barem. Przecież jestem na Pojezierzu Sławskim.

- Ochotę można mieć, ale ja nie urodzę - rzuciła poirytowana barmanka. - To co pani bierze? Bo robi się kolejka!

Ilona wyszła z baru. Trudno o lepsze miejsce do zbijania kokosów, pomyślała. Pewnie tym, których właściciele pensjonatów zwabili nad Jezioro Sławskie, też ślinka cieknie na myśl o szczupakach, leszczach, płotkach i karasiach. Dlaczego im mniejsza miejscowość, tym większy zachwyt obcym paskudztwem? Niemal wszędzie tam, gdzie była za granicą, lokalne restauracje zapraszały przyjezdnych na potrawy kuchni regionalnej. No może nie wszędzie, ale w większości krajów.

- Moja mama lepiała smaczniejsze pierogi. Mimo to zjadłem podwójną porcję - pochwalił się Araszkiewicz. - Teraz przydałoby się zanurzyć w

jeziorze...

- Nie zabrałam stroju - prychnęła Ilona. - I naprawdę jestem głodna. Jedziemy do domu. Ja prowadzę.

Przyborów, droga nr 315, środa, wczesny wieczór

Tadeusz Araszkiwicz miał ochotę zajrzeć do cerkiewki w Lipinach. Nie przyznał się, że zawsze w niedzielne południe, gdy latem jechał na służbę w Sławie, skręcał w tamtą stronę. To pierwsza świątynia prawosławna wzniesiona od fundamentów na ziemiach zachodnich. Najpierw wierni chcieli ją postawić jeszcze w latach gomułkowskich, potem w gierkowskich. Władze państwowe nie mówiły nie, ale ociągały się z wydaniem oficjalnego pozwolenia. To pod koniec lat siedemdziesiątych minionego wieku miejscowy gospodarz pochwalił się wójtowi, że ma zamiar powiększyć gospodarstwo i zbudować stodołę. Gdy dostał przydział na cement, cegły i dachówki, szybko wylał łąwy fundamentowe i postawił ściany, jakby się bał, że władze cofną pozwolenie. Wtedy któryś z miejscowych kapusiów doniósł wójtowi, że to, co wyrosło między podwórzem a lasem, nie jest podobne do stodoły, bo ma dach spadzisty na obie strony, otwory na smukłe okna, a nad wąskimi wrotami góruje wieża. Zanim ktoś w urzędzie gminy wezwał gospodarza do złożenia wyjaśnień, proboszcz odprawił pierwsze nabożeństwo. Wójt groził gospodarzowi sądem, ale ponieważ już było czuć zapach środkowoeuropejskiej jesieni narodów, skapitulował.

- W ten sposób Lipiny zapisały się w historii Kościoła prawosławnego - spointował swoją opowieść Araszkiwicz.

Mrozińska chciała spytać, skąd o tym wie, gdy przypomniała sobie, że aspirant jest jedynym policjantem w pionie kryminalnym, który przychodzi do komendy w drugi dzień Bożego Narodzenia, a świętuje dwa tygodnie później.

- Za chwilę będziemy w Przyborowie. Po lewej zobaczysz nowy kościół katolicki. Zaprojektował go ojciec kolegi mego męża mniej więcej w

tym samym czasie, kiedy w Lipinach stała cerkiewka. Architekt lubił opowiadać o trudnościach z przydziałem na materiały budowlane...

- Hamuj! - krzyknął Araszkiewicz.

Seat lewą stroną otarł się o drzewo, przeskoczył przez wysepkę i zatrzymał się na ścianie domu tuż za skrzyżowaniem. Silnik peugeota z przyczepką, który uderzył w jego bok, natychmiast zgasł i zatarasował drogę. Araszkiewicz wygramolił się o własnych siłach. Oszołomiona Mrozińska dopiero po chwili odpięła pas i próbowała wydostać się zza kierownicy.

- Moja noga - odezwała się, wykrzywiając twarz, gdy aspirant zaczął szarpać drzwi z jej strony. - Wezwij pomoc.

Araszkiewicz zadzwonił pod numer alarmowy. Dyżurny w komendzie powiatowej w Nowej Soli kazał czekać na ratowników.

- Skontaktuj się z zastępcą naszego komendanta - poleciła Mrozińska.

- Nie, najpierw sprawdź, co z nim. - Pokazała na samochód tarasujący drogę.

Z najbliższych domów już wyszli ludzie. Mężczyzna w dżokejce wołał, żeby wezwać karetkę i powiadomić policję.

- Tadziki! - Usłyszał Araszkiewicz.

Przekonany, że to do niego, odpowiedział:

- Mnie nic nie jest. Koleżanka za kierownicą chyba ma złamaną nogę.

- A tyle razy mówiłem Tadzikowi, żeby po pijaku nie wsiadał do auta.

Chociaż żyje?

Część II

Zielonagóra, ul. Przycmentarna, czwartek, ranek

Chory albo skacowany. Ostatnio pije coraz więcej. Sekretarka długo mierzyła Neimanna wścibskim wzrokiem, aż w końcu spytała, czy na pewno dobrze się czuje. Przytaknął, bo przecież nie przyzna się tej kobiecie, że w środku sezonu ligowego, na trzy dni przed najważniejszym meczem rundy z gorzowskimi Jancarzami, cztery noce z rzędu spędził w obcym łóżku.

Zimą zdarzało się to jeszcze częściej. Wtedy zawodnicy trenują w sali, a on przedpołudniami przekłada papiery w biurze, negocjuje umowy z wytwórcami szalików, czapek, kubków i dziesiątków gadżetów, za które kibice zapłacą każdą cenę, gwarzy z działaczami i kandydatami na sponsorów, natomiast popołudniami kadzi Gremplerowi przy jego winie, a wieczorami odwiedza Monikę w jej domu na osiedlu Kamieni Szlachetnych, w którym czuje się jak u siebie, bo do budowy dołożył więcej niż połowę pieniędzy. Wtedy zdarza się, że tydzień nie wychodzi z jej domu.

Dziś rano wpadł do swojego mieszkania tylko po to, by nakarmić rybki w akwariium, które ku swemu utrapieniu dostał od Joachima Gremplera na ostatnie urodziny, przyszytych wąsy i bródkę oraz sprawdzić, na kiedy ma zaplanowaną wizytę u kardiologa w Berlinie.

Nawet kilka swoich koszul włożył do szafy Moniki. Wprawdzie kobieta proponowała mu, żeby przeniósł się do niej na stałe, ale w jego głowie zrodziły się obawy. Owszem, lubił ją, zwłaszcza że nie gderала bez powodu jak była żona, nieźle gotowała, niewiele od niego wymagała, a przy tym odpowiadała na wszystkie jego zachcianki i, co nie było bez znaczenia, miała dyplom doktorski. Neimann zastanawiał się kiedyś, czy zapłacić komuś za napisanie pracy doktorskiej, lecz gdy na jaw wyszło,

że jego ostatni szef w Służbie Bezpieczeństwa, który nie znał żadnego języka obcego, dostał stopień doktora europeistyki w jakiejś uczelni kościelnej, doszedł do wniosku, że szkoda zachodu. Jeśli dziennikarze dowiedzieliby się, kto jest autorem rozprawy i za ile ją kupił, to u Joachima Gremplera byłby spalony. Mimo wszystko podobało mu się, gdy wszyscy w łoży honorowej na stadionie zwracali się do marszałka, wicewojewody, pierwszego zastępcy prezydenta miasta „panie doktorze”.

- Dzwonił ojciec Łukasza - powiedziała sekretarka badawczym tonem.

- Podobno jesteś mu coś dłużny, a ostatnio komórki nie odbierasz.

Neimann spiekł raka.

- Zaparz mi kawę - poprosił, udając, że szuka w szufladzie czegoś ważnego. Na biurku obudziła się motorola.

Nie spoglądając na wyświetlacz, wduślił palcem zielony guziczek. - Halo, słucham.

W odpowiedzi usłyszał głos Kwieka, więc natychmiast się rozłączył.

- Pomyłka. Jakiś kawalarz upatrzył mnie sobie i nawet w nocy dzwoni bez opamiętania. Jeśli nie przestanie, to normalnie zwariuję - rzucił do sekretarki, jakby się usprawiedliwiał.

Znowu wdepnęłaś w jakieś gówno, Neimann, pomyślała i wycofała się za drzwi. Znała różne jego grzechy i grzeszki, wybiegi, skoki w bok, kombinacje, gierki i sztuczki. Dziwiła się, że Joachim Grempler, uważany przez zielonogórskich przedsiębiorców za najbardziej pазernego, a przy tym niewiarygodnie cwanego, jeszcze go nie przejrzał. Może razem są w coś zamieszani?

Ponownie rozległa się melodyjka z ostatniego filmu o Jamesie Bondzie i komórka zaczęła podskakiwać na biurku. Tym razem Neimann spojrzął, kto dzwoni.

- Taaa, jestem - odezwał się, zanim usłyszał głos Kwieka.

- Dyrektor nie chce ze mną rozmawiać. Unika mnie. Nieładnie. Zapomniał dyrektor, co obiecał?

- Przypomnij mi, Kwiek.

- Ja swoje zrobiłem. A dyrektor?

- Czego chcesz?

- Za trzy dni, w niedzielę, nasi jeżdżą z Jancarzami.
- Jeżdżą. No i co z tego?
- Mecz sezonu, jak mówią prawdziwi kibice. Transmisja w telewizji.
- Gadaj do rzeczy, Kwiek.
- Miało się znaleźć miejsce dla Łukaszka w pierwszym zespole. Dasz mu, dyrektor, szansę?

Jak się go pozbyć? Jeśli nawet wyłączę komórkę, to przyjedzie do biura i będzie jeszcze gorzej, pomyślał Neimann. Postanowił zapewnić go, że trener wstawi Łukasza do pierwszego zespołu. A może wyjątkowo faktycznie pozwolić chłopakowi na występ? Przecież ten mecz mamy wygrany, rozmyślał. Zerknął na zdjęcia zawodników wiszące nad kanapą na wprost biurka. Mam, ucieszył się. Zwałę na Skandynawów.

- Trochę się komplikuje, Kwiek. Lechu i Mały muszą jeździć, co do tego nie powinieneś mieć wątpliwości. Nie po to pan Grempler dał za Bociana tyle kapuchy, żeby grał ławę. Tak samo sprawa ma się z Kubą. Zgadzasz się? - spytał przekonany, że wciągnie Kwieka do dyskusji, a wtedy co innego stanie się ważniejsze. Jednak rozmówca milczał. - W umowie z Ake Edwardssonem jest punkt, że w pierwszej części sezonu musi wystąpić co najmniej w sześciu meczach. Dotąd jeździł pięć razy. Identyczne zobowiązanie podpisał Adler-Olsen. - Eureka! Roześmiał się. Gdyby teraz Kwiek był w jego gabinecie, uściskałby mu rękę. Ze też wcześniej na to nie wpadł i dopiero były żuźlowiec musiał mu otworzyć oczy. Przecież jeśli Skandynawowie nie pokażą się na torze po sześć razy w pierwszej części sezonu i nie przekonają sądu polubownego, że to z winy klubu, nie dostaną pensji

i jeszcze zapłacą karę za niewywiązanie się z umowy. Wtedy Joachim Grempler będzie wdzięczny Neimannowi i z pewnością wyrazi to odpowiednią gratyfikacją. - Chyba że...

- Co takiego? - przerwał mu Kwiek. Był już troszkę podminowany przeciągającą się rozmową.

- Chyba że stanie się coś, na co klub nie miał wpływu. Jakieś zdarzenie losowe. Siła wyższa. Na przykład zawodnik nie dojedzie na prezentację przedmeczową i w ostatniej chwili kierownik drużyny będzie musiał

wstawić kogoś z rezerwy. Nie dojedzie, bo nie zdążył na lotnisko albo z powodu awarii samolot nie odleci o wyznaczonej porze. Albo na autostradzie będzie wypadek i policja wyznaczy objazd. Albo jeszcze coś podobnego.

-Wtedy mój Łukaszek...

- Normalnie od początku sezonu Łukasz jest pierwszy w rezerwie - powiedział Neimann, chociaż nie był tego pewny.

- Co innego dyrektor mówił - próbował protestować Kwiek. Miał ochotę przypomnieć rozmowę o Bojanewie.

Rozmawiali o tym, że gazeta za mało pisze o żuźłowcach, bo kierownik działu sportowego nie lubi tej dyscypliny. A przecież w co drugą niedzielę od Wielkanocy do połowy października tłumy walą na stadion przy Szosie Wrocławskiej. Tak samo jest w Gorzowie, Lesznie, Bydgoszczy, Toruniu, Gdańsku. Gdy gremplerowcy ścigają się w Częstochowie, na parkingu przed stadionem stoi rząd autokarów zielonogórskich i kompania ochroniarzy. Do Rzeszowa na mecze ze Stalą zielonogórzanie latają samolotami wynajętymi przez klub kibiców. Podczas tamtej rozmowy Kwiek zgodził się z Neimannem, że „Gazeta Zielonogórska” za mało pisze o żuźłowcach, ale póki Bojanew będzie kierownikiem działu sportowego, nie ma co marzyć o poprawie.

Neimann twierdził wtedy, że gdyby to było takie łatwe, pan Grempler już by wiedział, jak się pozbyć Bojanewa z gazety. Przypomniał sobie wtedy, jak Pilnik usunął Cyganików z drogi, po której szedł Antti Hyvarinen. Zwolnienie Bojanewa nie wchodziło w rachubę, zresztą jeden z właścicieli drużyny piłkarskiej był szwagrem Bożejki, więc miał wpływ na to, co się ukazuje w gazecie. Jeśli będzie więcej o żuźlu, to musi być mniej o piłce nożnej, o koszykówce, siatkówce, pływaniu i tenisie.

Neimannowi udało się wkręcić Monikę do kierownictwa redakcji. Nie odpowiedział Kwiekowi, jak pozbyć się Bojanewa, ale akurat w tej sprawie były żuźlowiec okazał się domyślny.

-Jesteś niczego sobie mechanikiem, to i najlepiej wiesz, co zrobić, żeby sprinter Edwardssona czy crafter Adlera-Olsena nawalił zaraz za

przejściem granicznym w Gubinie. Zanim ściągną pomoc drogową, zanim znajdą części, tu już będzie po ptakach. Wystarczy jednego uziemić.

- A gdzie oni trzymają te swoje karawany?

- Normalnie. W Berlinie.

- W Berlinie? - spytał z niedowierzaniem Kwiek, ale zaraz przypomniał sobie, że w soboty obaj Skandynawowie jeżdżą w swoich krajach, w niedziele w Polsce, w poniedziałki Edwardsson wspiera klub w Anglii, a Adler-Olson robi to we wtorki. W leżącym prawie centralnie Berlinie urządzili sobie bazę. - Dyrektor wie, gdzie dokładnie stoją te ich cacka?

- Na parkingu jakiegoś hotelu niedaleko nowego lotniska. Proponowałem im miejsce u nas, ale wolą Berlin. Nieźle zarabiają, więc stać ich na taki luksus.

- Pamięta dyrektor numery rejestracyjne, kolory blachy czy chociaż nazwę hotelu? Może coś jeszcze?

- Podam ci esemesem - powiedział Neimann i wcisnął czerwony guziczek, kiedy sekretarka otwierała drzwi. Poczł zapach kawy z ekspresu.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, późny ranek

Danielowi Jungowi spieszyło się na konferencję prasową w prokuraturze, gdy nagle drzwi jego pokoju się otworzyły i stanęła w nich Magda. Zaskoczony tym, natychmiast wstał, jakby miał przed sobą Szpalte, otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek sekretarka weszła do jego pokoju. Jeśli redaktorka naczelna lub jej zastępczyni kazała wezwać dziennikarza, Magda wciskała klawisz interkomu lub telefonowała.

- Chuda chce z tobą rozmawiać. Natychmiast masz wszystko rzucić i do niej wejść - powiedziała szeptem, jakby wiedziała, że ściany w redakcji mają uszy. - Tak rozgorączkowanej chyba jej jeszcze nie widziałam.

Kino pamięci Junga zaczęło wyświetlać obrazy ostatnich kontaktów ze zwierzchniczką. Od poniedziałkowego poranka nie rozmawiał z nią. Szpalta, kiedy we wtorek zaraz po pogrzebie Kostrzyóskiego szykowała się do wyjazdu na wycieczkę po norweskich fiordach, prosiła go, żeby informował zastępczynię o postępie w wyjaśnianiu śmierci obu dziennikarzy. Pewnie jakiś psychol zadzwonił do Chudej z sensacyjną wiadomością na temat mordercy Bojana i Michała. Powie, pod warunkiem że redakcja dobrze mu zapłaci albo ogłosi coś, na czym mu zależy.

- Słyszałam, jak Chuda rozmawiała przez komórkę o żuźlu. Wydaje mi się, że to był jej gach. Neimann.

- Rozmawiali też o mnie?

- Zapewniła go, że dłużej tego nie będzie tolerowała, że w czasie urlopu naczelnej ona jest najważniejsza, generalnie rzecz biorąc. - Magda powiedziała to z ironią w głosie i się roześmiała. - Powiedziała, że pismak, który nie wykonuje jej poleceń, wyleci na zbity pysk z redakcji.

- Czy padło moje nazwisko?

Magda potwierdziła to oczyma i położyła palec wskazujący na ustach, dając mu do zrozumienia, że coś wie o podsłuchu w pokojach dziennikarzy. Wzrokiem wskazała na telefon.

Gdy schodzili z trzeciego piętra, dotknęła ramienia Daniela i wyprzedziła go. Zwolnił, żeby obserwować, jak zgrabnie stawia nogi. Lubił ją głównie dlatego, że była słowna i szczera, pomagała uczciwym dziennikarzom, a przede wszystkim umiała być dyskretna. Magda podkreślała swoją urodę i zawsze roznosiła przyjemny zapach. Prawą dłonią nacisnęła klamkę drzwi do sekretariatu, lewą podniosła i uśmiechnęła się do Daniela, jakby chciała dodać mu odwagi.

- Trzymam za ciebie kciuki - powiedziała szeptem, czego on nie zrozumiał, ale domyślił się tych słów z jej gestu.

Jeszcze nie zamknął za sobą drzwi, gdy wicenaczelną wypaliła, machając gazetą:

- Gdzie jest tekst o niedzielnym meczu na Szosie Wrocławskiej?!

Zatrzymał się w pół kroku.

- Dlaczego pani akurat mnie o to pyta?

- Poleciłam, Jung, tak, żeby codziennie ukazywało się coś o żuźlu. Ma tak być do powrotu Krzyśka z urlopu, można powiedzieć. Poleciłam czy mi się wydaje, że poleciłam, tak?

- *Primo*, nie jestem kierownikiem działu sportowego i nie znam się na sporcie, a żuźel to dla mnie wyższa matematyka. *Secundo*, nie pamiętam takiego polecenia. Być może pani miała zamiar je wydać, ale zajęta pilniejszymi sprawami, zapomniała. - Zabrzmiało to jak próba rozładowania ciężkiej atmosfery.

- Jung, do kurwy nędzy, czy masz mnie za popierdoloną idiotkę, tak? W tym momencie nie myśl sobie, że jak byłeś gliniarzem, tak, to możesz robić mnie w chuja.

Zaniemówił. Tego się nie spodziewał. Stażysta czasem popisывał się znajomością zwrotów z innej planety, ale gdy takie słowa padają z ust doktoryzowanej zastępczyni redaktorki naczelnej, to już zupełnie inna kwestia.

- Sugeruję pani umiarkowanie w używaniu obelżywych zwrotów. To samo można powiedzieć po polsku. Wtedy na pewno zrozumieć. Ponadto nie wypada, żeby przełożona tak się zachowywała. Szczególnie jeśli jest kobietą w średnim wieku, z pretensjami, a podwładny jest nieco starszym mężczyzną. Starszym i mającym spore osiągnięcia w tym, co robi naprawdę dobrze.

Chuda walnęła otwartą ręką w biurko i zasyczała, po czym skrzywiła twarz i zaczęła dmuchać w dłoń.

Jung zdawał się nie zważać na jej osobliwe zachowanie.

- Już raz pani postąpiła nieetycznie, podpisując obcy tekst moim nazwiskiem. Drugi raz proszę tego nie próbować.

- Bo co?!

- Bo jest sąd. Dziennikarski.

- Redaktorku...

- Do czasu powrotu Krzyśka z urlopu redaktor Krupa zobowiązała panią do redagowania stron sportowych, pani zaś przerzuciła to na mnie, wiedząc, że kiepsko znam się na sporcie. Jeśli coś nie wyszło, to

proszę mieć pretensje wyłącznie do siebie.

- Teraz ja, doktor Chudy Monika, można powiedzieć, kieruję redakcją, tak?

- Jako podwładny przygotuję komunikat o niedzielnym meczu. Powtórzę go w sobotnio-niedzielnym wydaniu, a nawet pójdę na mecz, ale nie pozwolę, żeby pani traktowała mnie jak smarkacza. Nie zasługuję na to. Swoją drogą o całej sprawie i o rozmowie, która się tu właśnie odbyła, powiadomię prezesa wydawnictwa.

Chuda rzuciła mu wzgardliwe spojrzenie i sięgnęła po papierosa.

*Zielonagóra, os. Zacisze,
czwartek, wczesne przedpołudnie*

- Nie gratuluję ci, Tadeusz, awansu. Chyba że... - zaczął Jacek Syski troszkę ironicznym głosem i urwał.

Nie zdradził, że od dnia wypadku Daniel Jung odwiedza go co wtorek wieczorem i przynosi czteropak lubuskiego portera, którego stali się smakoszami i nawet do północy rozmawiają o tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach, co ich irytuje, co zmieniliby natychmiast, gdyby byli ministrami. Przedwczoraj Syski właśnie od Junga dowiedział się o mających nastąpić przetasowaniach w pionie kryminalnym, ale nie wierzył, żeby nowy komendant odważył się usunąć Ilonę Mrozińską ze stanowiska. Za nią staną murem oba związki zawodowe, Fundacja Policjantek z Wyższym Wykształceniem i na pewno feministki ze stowarzyszenia Wolny Wybór. Zresztą niewiele to da, bo kiedy na początku października minie jej piętnaście lat pracy w policji, kobieta wybierze się na wcześniejszą emeryturę. Pokój naczelnika będzie wolny. Jednak po tym, co Syski usłyszał od Junga, już nie miał pewności, czy wróci na swoje poprzednie miejsce. Nowy komendant wymienia naczelników, bo ci, którym daje szansę, jeśli nawet się zeszmacą, to go nie zawiodą.

Aspirant Araszkiwicz uważał się za lojalnego policjanta i dobrego

kolegę, dlatego gdy Syski leżał w poliklinice, przynosił mu ciepłe rogaliki, a potem do mieszkania w bloku na Zaciszu przychodził z pączkami, które razem zjadali. Dziś przyszedł z pustymi rękoma. Zawsze rozmowę zaczynał pytaniem o zdrowie i nie czekając na odpowiedź, stwierdzał, że gdyby był na miejscu Syskiego, to źle by się czuł zamknięty w czterech ścianach. Mężczyzna w każdym wieku musi pracować, a w średnim tyrać co sił. Dziś nie usiadł w fotelu i nie poprosił o kawę w filiżance, tylko splótł dłonie na piersiach i oparł się ramieniem o futrynę drzwi.

- Kiedy komisarz wraca na Wąską? - spytał.

Rano gdy wyszedł z gabinetu zastępcy komendanta, czuł się jeszcze ważniejszy niż jesienią, kiedy przez cztery tygodnie zastępował Syskiego. Jak długo będzie pełnił obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego, tego zastępcą nie określił. Przypuszcza, że do dnia powrotu komisarza Syskiego z chorobowego. Chciałby jak najdłużej zwoływać odprawy, wydawać polecenia aspirantom i podkomisarzom, sprawdzać dzienniczki praktykantów, kontaktować się bezpośrednio z zastępcą komendanta i co poniedziałek zasiadać w sali narad między naczelnikami drogowki i prewencji.

- Do połowy lipca, kiedy skończy się moje chorobowe, powinienęś zamknąć śledztwo - powiedział Syski.

- To znaczy, że za około dwa tygodnie - powiedział Araszkiwicz, a w duchu z żalem dodał: za dwa tygodnie przestanę być najważniejszą osobą do spraw kryminalnych w komendzie. Komisarz chce mieć czyste pole. Nigdy nie lubił poprawiać błędów po innych śledczych. Nad sprawą morderstw dziennikarzy pracuje jedenaście osób, czyli niemal cały wydział. Z jednej strony dużo, z drugiej za mało, tym bardziej że bez Mrozińskiej będzie trudno powiązać wątki.

- Ilona leży w poliklinice? - spytał Syski, a Araszkiwicz przytaknęła niewyraźnie. - Za ścianą ma łóżko z komendantem. Nareszcie mogą sobie do woli pogadać, bez pośpiechu wszystko wyjaśnić i, co ważne, jako pacjenci polikliniki są sobie równi. Może wreszcie się polubią.

- Nie, bo teraz sale dla mężczyzn są w drugim końcu korytarza.

Komendant ma separatkę z telewizorem ledowym, dostępem do internetu i innymi bajerami. Iwonka leży w sali z tą podkomisarz od przestępczości gospodarczej, co ją zaatakował właściciel Zielnetu. Ponadto nie sądzę, żeby inspektor miał ochotę rozmawiać z komisarz o służbie w trakcie leczenia się w poliklinice. To przecież służbista, który nie zadaje się z podwładnymi. Jemu marzy się większa władza.

Z tymi opiniami o komendancie Syski się zgadzał. Pamiętał go z odpraw w komendzie wojewódzkiej. Niemal każdy, komu udało się uisnąć za biurkiem na Kwiatowej, myśli przede wszystkim o sobie i o tym, jak wspiąć się wyżej. Prawdziwi policjanci znają swoje miejsce i dlatego nie mierzą za wysoko.

- Ile spraw prowadzisz?

- Z redakcją będzie czternaście, ale tamte albo w zamrażarce, albo jedynie brakuje opinii biegłych. W tych z redakcji dupa błada.

- Dasz radę zakończyć je do połowy lipca?

- Nie wiem - odpowiedział aspirant, rozkładając ręce.

- Teoretycznie pracuje jedenaście osób, tyle że poza mną, Karolinką, stażystką i dwoma praktykantami...

- Pytałeś prokuratora, jakie ma oczekiwania?

- Robię swoje.

- Ostrouchy powinien zapoznać cię z planem śledztwa

- powiedział Syski, a Araszkiewicz westchnął i się roześmiał. - Za dużo jest wątków, żeby pracował na nosa. Ponadto on również ma przełożonego, a każdy przełożony kocha podpowiadać, poprawiać, zatwierdzać i rozliczać.

- Nie słyszałem, żeby akurat on miał jakiś plan. Ostrouchy zachowuje się tak, jakby za wszystko była odpowiedzialna policja. Wie szef, kim jest jego bratowa?

-Nie.

- Carewicz. Anitta Carewicz.

Syski spojrzął na aspiranta z niedowierzaniem. Zdarzało się, że prokuratorzy nie przywiązywali większej wagi do tego, co nakazywało im prawo i zasady postępowania, ale dotyczyło to spraw

bezdyskusyjnych, gdy najważniejsza była opinia medyka sądowego.

- W takim razie trzeba zacząć od próby ustalenia motywu, jakim kierował się zabójca Kostrzyńskiego. Musiał mieć jakiś motyw. Nawet psychopata go ma. Prawda? - bardziej przypomniał niż stwierdził Syski.

- Dlaczego ktoś zabił Kostrzyńskiego?

- Ilona stawiała różne hipotezy, ale w każdej czegoś brakowało. Uważam - podkreślił Araszkievicz - że to, co stało się w redakcji, nie było przypadkowe. Mamy do czynienia z zamachem na życie Bojanewa. Śmierć zadana z premedytacją.

- Zamach był na Bojanewa, a zginął Kostrzyński.

- Przez pomyłkę.

- Aha, więc sugerujesz, że Kostrzyński zginął przypadkowo. Ze morderca polował na Bojanewa? Dlaczego właśnie na niego? Co on takiego zrobił i komu, że ktoś wydał na niego wyrok? I to zdarzenie na drodze nie było wypadkiem? Czyli że to też zaplanowane morderstwo?

- Dowodów nie mam, ale tak właśnie myślę.

- Skoro...

-A jak szef poprowadziłby to śledztwo?

Zaskoczony pytaniem Syski nie wyglądał na zbitego z tropu, lecz mimo to zamilkł. Przypomniała mu się podobna sprawa sprzed kilku lat, gdy po powrocie z kursu w Holandii został oddelegowany do Wrocławia, tylko że wtedy wszyscy chcieli mieć ją z głowy.

Po chwili namysłu powiedział:

- Powinno się zacząć od naszkicowania portretu psychologicznego morderców lub mordercy, ale pewnie do nikogo to cię nie doprowadzi. Może najpierw stworzyć portrety charakterologiczne ofiar i sformułować wnioski? To się udaje, ale pod warunkiem, że rys będzie realistyczny, a nie namalowany przez abstrakcjonistę, któremu zależy na wybieleniu ofiary. Po prostu trzeba człowieka dobrze znać - powiedział Syski takim głosem, jakby nie wierzył w skuteczność tej metody. - Niech będzie, że Kostrzyński zginął przez pomyłkę. Śmiertelny wypadek Bojanewa nie pasuje mi do zabójstwa na zlecenie. Ale jeśli tak było, to za tym coś musi się kryć. Przypuszczam, że niesforny dziennikarz ma tylu wrogów,

co sędzia, prokurator czy policjant. Bojanew raczej był spokojny. Pamiętam kilka jego zadziornych komentarzy, ale w sporcie jak są zwycięzcy, to i muszą być przegrani. Może jednak dał komuś do wiwatu.

- Karolina sprawdziła, co robił Bojanew, zanim został redaktorem. W szkole uczył historii, żadnych takich tam. W czasie pracy w areszcie śledczym dochodziło do spięć między nim i osadzonymi. Jeden, ten z Otnia, nie żyje od dobrych kilku lat. Drugi, ze Sławy, ma takie alibi, że nawet Pan Bóg jest za słaby, żeby go ruszyć.

- Nie podoba mi się twoje rozumowanie.

- Pomiędzy morderstwem Kostrzyńskiego a wypadkiem Bojanewa może być jakiś związek. Jaki? - powtórzył pytanie, które zadała mu Ilona Mrozińska w drodze do Sławy.

Intuicja podpowiadała Syskiemu, że Araszkiwicz powinien szukać zabójcy wśród czytelników, dlatego powiedział:

- W gazecie musiał się ukazać tekst, którym Bojanew komuś się naraził.

- Taką hipotezę postawiła Ilona. Czy szef zdaje sobie sprawę, ile czasu zajmie drobiazgowo analizowanie „Zielonogórskiej”? I kto miałby się tym zająć?

- Mam na myśli teksty Bojanewa, powiedzmy, z ostatniego roku. Owszem, ludzie są pamiętliwi, ale emocje szybko mijają. Tadeu, mam taką propozycję... - Syski urwał i patrzył na Araszkiwicza, jakby nie wierzył, że tego, co wymyślił, aspirant nie wyśmieje. - Do śledztwa trzeba włączyć Junga.

- Redaktora?

- Redaktora.

- Regulaminy...

- Czy regulaminy zabraniają współpracy z cywilami, których spostrzeżenia mogą okazać się przydatne?

- Chyba nie - odpowiedział aspirant z wahaniem.

- Ponadto^ za co pochwali cię każdy sędzia, redaktor nie jest zwyczajnym cywilem, jakich wielu szwenda się po ulicach. Daniel Jung

ma talent reportera i doświadczenie policjanta. To rzadkość - podsumował Syski, z czym aspirant zgodził się, kiwając głową. - Jung, gdy nawet siedzi przy stole biesiadnym, to słucha i obserwuje otoczenie. Cenię go za solidność i nieustępliwość. Za zdecydowanie. Za to, że nie uznaje słowa „niemożliwe”. Kiedy coś obieca, to choćby się paliło i waliło, zrobi to. Daniel to najbardziej niezawodny z niezawodnych, choć on uważa to za swoją wadę.

- Wadę? To zaleta - wtrącił Araszkiewicz.

- I, czego nie powinienem ci tłumaczyć, w policji, a szczególnie w kryminalnej, bardzo ważna jest analiza, stawianie hipotez, nowoczesne metody zabezpieczania śladów, ale najważniejsza jest sztuka bezpośredniej obserwacji i wyciąganie wniosków z pozornie błahych spraw. Nie słyszałem, żeby coś się zmieniło, jeśli chodzi o świadków i osoby przypadkowe w okolicy popełnienia przestępstwa.

-No, nie wiem. Komendant...

- Nikt, kto ma władzę, nie lubi nią się dzielić. Dlaczego pani Carewicz posypała głowę popiołem? Dlaczego przeprosiła na łamach gazety? Wprawdzie winę zwała na prokuraturę, ale przeciętny mieszkaniec regionu wziął to za dobrą monetę. Pani przewodnicząca zrozumiała czy może znalazł się w jej otoczeniu ktoś, kto podpowiedział, że z prasą nikt jeszcze nie wygrał. A kto dopuszcza dziennikarzy do swoich tajemnic, ten jest górami. Zresztą dobrze wiesz, Tadeusz, że w gruncie rzeczy Jungowi chodzi o to samo, co tobie.

*Zielonagóra, ul. Akademicka,
czwartek, wczesne popołudnie*

Gdy aspirant Araszkiewicz zadzwonił, Jung czekał na odpowiedź na pierwsze pytanie, jakie zadał trenerowi w uniwersyteckim klubie karate shotokan.

- Teraz nie mogę rozmawiać. Oddzwonię za dwadzieścia minut - rzucił, zerknąwszy na wyświetlacz i wduśił czerwony guziczek.

- A może to coś ważnego? - odezwał się docent Pastwa głosem kaznodziei, którym był w akademickim zborze świadków Jehowy. Wcześniej wyznał Jungowi, że ma więcej ambicji pedagogicznych niż naukowych, dlatego w wolnym czasie jest instruktorem karate. Jego uczniami są wyłącznie studenci. Daniel domyślał się, że w ten sposób docent werbuje wyznawców do swojego zboru, bo przecież nie ma nic za darmo.

- Znajomy policjant. Jeśli to naprawdę coś ważnego, zadzwoni za kilkanaście minut - wyjaśnił Jung i powtórzył pytanie: - Czy karatecy wykorzystują swoje umiejętności poza salą? - Spodziewał się odpowiedzi twierdzącej.

- Po co to panu wiedzieć?

Trzeba inną drogą do niego dotrzeć, pomyślał Daniel i zaraz przypomniał sobie, że spotkali się na obwodnicy Zielonejgóry w sobotę przed południem, kiedy docent w roli biegłego przyjechał na miejsce wypadku. Interesuje go ten, który zadał śmiertelne ciosy redaktorowi Kostrzyńskiemu. Policja też szuka zabójcy, ale idzie jej to jak po grudzie. I na nieszczęście naczelniczka wydziału kryminalnego uległa wypadkowi. Od niedzieli Daniel zagląda do klubów aikido, judo, taekwondo, jiujitsu, kung-fu, rozmawia z instruktorami i ich właścicielami. Tak mu poradził doktor Pogonowski prowadzący Gladiatorium. Na razie bez efektu.

- Karate to najbardziej popularna sztuka walki. Jest karate tradycyjne i nowoczesne - zaczął docent, tym razem głosem wykładowcy.

Daniel miał ochotę przerwać prelekcję, bo każdy instruktor, z którym rozmawiał, traktował go jak studenta, a on przecież był po kursach w szkołach policyjnych w Pile i w czeskim Holeszowie, gdzie musiał ćwiczyć judo na zmianę z zapasami.

- Trochę się orientuję - wtrącił.

- Karate tradycyjne to samoobrona oparta na uznanych technikach walki. Siła nóg i rąk jest ważna, ale ważniejsza jest synchronizacja oddechu, napięcia i rozluźnienia mięśni oraz dynamiki całego ciała. Skrótowo mówiąc, każdemu z dwóch zawodników na macie zależy na

zadaniu ciosu kończącego po to, aby wyeliminować rywala z walki. Nie zniszczyć, lecz wyeliminować. Tego uczy doktor Pogonowski w Gladiatorium i ja również to wpajam moim studentom, tyle że on za pieniądze, a ja z zamiłowania. W klubie Shotokan dominuje psychofizyczne doskonalenie się - podkreślił Pastwa, jakby się usprawiedliwiał.

- Najlepszą obroną jest atak - powiedział Daniel i ugryzł się w język. Tego zdania nie powinien przypominać.

Pastwa je zlekceważył.

- Na początku wspomniałem, że oprócz karate tradycyjnego jest i nowoczesne. Tam chodzi o uderzanie w określone miejsca, za co sędzia przyznaje punkty. Ma to więcej wspólnego z bijatyką niż z filozofią, a ja jestem wychowawcą, adiunktem na uniwersytecie oraz wykładowcą filozofii człowieka w niepublicznej uczelni imieniem Jakuba z Paradyża.

- Imienia - poprawił Daniel, ale docent nie zrozumiał.

- Ten, którego pan szuka, jest słabym człowiekiem. Prymitywnym nawet. On nie zna filozofii karate. Uczył się podstaw jakiejś sztuki walki dlatego, żeby dodać sobie pewności. To ktoś, kto chce dominować bez względu na cenę, jaką zapłaci. Raczej mężczyzna nieoczytany, bez poważniejszego wykształcenia. Nie będę zaskoczony, jeśli się okaże, że siedział w więzieniu. Uprawiał kolarstwo, żużel, podnoszenie ciężarów czy kick-boxing. Albo sandę. Tyle że w Polsce nie mógł się tego nauczyć.

- A gdzie mógł?

- Najbliżej w Skandynawii.

Daniel zrobił krok w stronę drzwi, gdy docent spytał, czy już ktoś zajął miejsce po Bojanewie.

- Redagowanie stron sportowych latem, kiedy niewiele się dzieje na stadionach, nie jest trudne. Dlatego redakcja łąta dziurę przy pomocy takich dziennikarzy jak ja. Myślę, że po wakacjach szefostwo gazety posadzi któregoś z moich młodszych kolegów na stołku kierownika działu sportowego albo ogłosi konkurs.

- A pan?

- Mnie taka funkcja nigdy nie interesowała. Zawsze chciałem pracować na własny rachunek.

Zielonagóra, ul. Wąska, czwartek, popołudnie

Jeszcze we wtorek zaraz po pogrzebie Ilona Mrozińska kazała podkomisarz de Murville przesłuchać żonę Michała Kostrzyńskiego. Nie powiedziała, do kiedy ma to zrobić i jakie zadać pytania. Zaznaczyła jedynie, że skoro Karolina jest mniej więcej w wieku młodej wdowy, będzie jej łatwiej nawiązać z nią kontakt. Obie w tym samym czasie studiowały na Viadrynie i pewnie spotkały się w akademiku, w klubach lub na uczelnianych korytarzach. De Murville mogła umówić się z Ingą Kostrzyńską w jej mieszkaniu na osiedlu Kamieni Szlachetnych, lecz doszła do wniosku, że lepiej nie wchodzić na prywatny teren bezpośrednio po tragedii. Była niemal pewna, że przesłuchanie wdowy nie wniesie niczego istotnego do sprawy. W wydziale kryminalnym podkomisarz pracowała od trzech lat, więc powinna być uodporniona na Izy, a mimo to całe przedpołudnie zastanawiała się, od czego rozpocząć rozmowę z wdową. Dopiero kiedy komisarz Mrozińska zadzwoniła do niej ze Sławy z pytaniem o wnioski z przesłuchania, zebrała w sobie odwagę.

- Ilona kazała mi przesłuchać Ingę Kostrzyńską. Nie powiedziała, jak mam to zrobić, dlatego nie pojechałam do jej mieszkania i nie wezwałam kobiety do nas. Umówiłam się z nią w kawiarni - zameldowała Araszkiewiczowi. - Zanim sporządzę notatkę, chciałabym...

- Powiedziała coś, co nareszcie otworzy nam oczy? - przerwał jej aspirant.

Karolina pokręciła głową. Było tak, jak się spodziewała. Zaskoczyło ją jedynie to, że Inga Kostrzyńską przyszała do kawiarni w białej bluzce z dużym dekoltem, w zielonych alladynkach i w sandałach na obcasie. Na szyi miała wisiołek obciążony czymś, co było podobne do bryłki węgła,

w uszach takie same kolczyki, przegub lewej ręki opasała bransoletka wysadzana identycznymi ozdobami. Oczy zasłoniła okularami z przydymionymi szklami. Gdyby Karolina nagle została wdową, przez pierwsze dni po śmierci męża ubierałaby się na czarno nawet do sklepu. Nie dopytywała, dlaczego Inga nie nosi żałoby. Może po prostu nie lubi czarnego koloru? Jest niemal tropikalne lato, a w czarnej bluzce byłoby jej gorąco, wytłumaczyła sobie policjantka. Niemniej jest zwyczaj okrywania się żałobą przynajmniej przez pierwsze tygodnie po pogrzebie bliskiej osoby. Inga zaprzeczyła jakoby podejrzewała, kto i dlaczego zamordował Michała. Gdy kobieta zdjęła okulary, Karolina zobaczyła łzy w jej podkrążonych oczach. Zdała sobie wtedy sprawę, że nie kolor noszonej bluzki świadczy o tym, jak kto przeżywa stratę. Po chwili milczenia Inga wyznała, że jest w czwartym miesiącu ciąży. Przed końcem roku urodzi bliźnięta. Zwyczaj panujący w jej rodzinie dyktował, by dzieci dostały imiona po ojcu i po dziadku. Będzie Joachim Michał i Leon Michał. Kobieta nie obawiała się, że sobie nie poradzi. Z pewnością obaj dziadkowie pomogą wychowywać chłopców.

- No dobrze, ale co konkretnie ci powiedziała?

- Właściwie tylko tyle.

- Mało.

- Próbowałam wydusić z niej coś więcej, ale niewiele umiała wyjaśnić.

- Trzeba było ją jakoś podejść.

- Ona nie interesowała się tym, o czym Michał pisał w gazecie.

Dowiadowała się o takich rzeczach od koleżanek w pracy.

-A wieczorem, gdy wracał do domu?

- Zamiast opowiadać, co się działo w redakcji, gdzie był, z kim rozmawiał, siadał przed telewizorem. Zawsze w sobotę Inga przygotowywała rodzinny obiad. Wtedy jej mąż dyskutował z teściem. Należał do tej grupy facetów, którzy nigdy się nie denerwują.

- Pewnie nie miał wrogów. Takie ciepłe kluchy. A Inga Kostrzyńska, jak każda żona, chciałyby, żeby z nią rozmawiał i się skarżył, prosił o radę, miał wątpliwości. Kobiety lubią matkować swoim mężom.

- O tym nie wspominała - zaprzeczyła Karolina.

Araszkiewicz kontynuował:

- Taki sam milczek jak nasz kadrowiec. Spytała, to odpowiedział. Po prostu mamlas.

- To twoja opinia, Tedi. Mnie zawsze wydawał się ciekawy świata.

- Znałaś go aż tak dobrze?

- Chodziliśmy do tej samej klasy w liceum.

Aspirant oparł się plecami o poręcz fotela, zmrużył oczy i nad czymś myślał.

- Tak naprawdę to niczego nie mamy. Ani dowodów, ani poszlak. Same pytania, z których nie da się ułożyć najprymitywniejszej hipotezy. Czas leci, a my nic - powiedział, jakby miał pretensję do Karoliny. - W dodatku nic nie trzyma się kupy. My tej sprawy nie rozwiązaliśmy do końca świata.

- Michał to jedna sprawa, a Bojanew - druga - przypomniała.

- Obie łączy jedynie to, że pracowali w tej samej redakcji. Jeden był od sportu, drugi zajmował się ekonomią. Jeden flegmatyk, drugi narwany. Bojanew mógłby być ojcem Michała.

- Czym zajmuje się Inga? - zainteresował się nagle.

- Uczy niemieckiego w liceum na Chopina.

- Nie wspomniałaś, że studiowała germanistykę.

- Studiowała gospodarkę finansową na Viadrinie. Niemieckiego uczy, ponieważ ten język zna dużo lepiej niż polski. Inga z pochodzenia jest Niemką, która wyszła za Polaka, kolegę ze studiów. Podobno kiedy jej ojciec nie chciał zgodzić się na małżeństwo, skłamała, że jest w ciąży, której nie można już usunąć. Z czasem ten człowiek zmienił zdanie o Michale i ostatnio nawet był gotów przyjąć go do tworzonej spółki.

- Czym zajmuje się ojciec pani Kostrzyńskiej?

- Nie pytałam. Widać byłam mało dociekliwa, Tedi - stwierdziła samokrytycznie, co spodobało się Araszkiewiczowi. - Jeśli to takie ważne, sprawdzę w rejestrze sądowym, jaka firma należy do Gremplera.

- Joachim Grempler?!

- To jej panięskie nazwisko, więc raczej tak.

- O, w dupę węża! - zawołał aspirant i oburącz chwycił się za głowę.

Karolina się przeraziła. Sądziła, że popełniła jakiś niewybaczalny błąd.

- Zawaliłam sprawę?

- Przeciwnie - stwierdził po chwili. - Trzeba będzie przesłuchać pana Gremplera. Nie przypuszczam, żeby właściciel klubu żużlowego miał coś wspólnego ze śmiercią dziennikarzy, ale tak trzeba zrobić.

- Kto ma go przesłuchać? Ja? - spytała z obawą w głosie i szybko dodała, że nie zna się na finansach, marketingu, zarządzaniu przedsiębiorstwami, a przede wszystkim na żużlu. Nigdy nie była na stadionie przy Szosie Wrocławskiej.

- Ktoś inny to zrobi - odpowiedział. Nie przyznał, że osobiście się tym zajmie. Jeszcze nie zdecydował, czy wezwie Gremplera do komendy, czy pojedzie do biura klubu.

Zielonagóra, al. Niepodległości, czwartek, popołudnie

Syski postanowił zadzwonić do Daniela Junga, by poprosić starego znajomego, żeby nie ignorował aspiranta Araszkiewicza i nawet gdy Tadeusz uzna to za zbędne, by pomógł mu w doprowadzeniu sprawy zabójstw dziennikarzy do końca.

Daniel nie przyznał się, że już w sobotę rozpoczął śledztwo dziennikarskie. Na razie bez rezultatów. Gdyby na coś ważnego natrafił, natychmiast powiadomiłby o tym Ilonę Mrozińską. Zresztą wiedział, którędy przebiega granica, której nie wolno mu przekroczyć.

Araszkiewicza poznał zeszłej jesieni, kiedy ten krótko pełnił obowiązki naczelnika wydziału po tym, jak skoda przewożąca Syskiego z polikliniki na Zacisze wyleciała w powietrze w centrum miasta. Nie ufał mu jednak. Daniel Jung cenił policjantów, którzy mają wątpliwości nawet wtedy, gdy aresztowany przyzna się do winy, a Araszkiewicz jego zdaniem był zbyt pewny siebie. Często nie uznawał racji innych osób, mimo że nie potrafił przedstawić niepodważalnych argumentów na korzyść swojego toku myślenia. Jako magister pedagogiki i absolwent kilku kursów kryminalistycznych w szkole policyjnej w Pile powinien

nosić na pagonach gwiazdki komisarza, a wciąż jest w korpucie aspirantów. Pewnie dopiero przed odejściem z policji awansuje na aspiranta sztabowego, i to nie za zasługi, a za wysługę lat i żeby otrzymywał wyższą emeryturę.

Jung postanowił, że dopóki Syski nie wróci z chorobowego, będzie wspierał Araszkiwicza jako aspiranta pełniącego obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego, bo i jemu zależy na tym, żeby rozwiązać zagadki śmierci Michała Kostrzyńskiego i Bojana Bojanewa.

Jeszcze jako policjant Jung brał udział w wyjaśnianiu grubo ponad setki spraw kryminalnych. Zawsze znajdował jakieś powiązania sprawcy z ofiarą albo z miejscem przestępstwa. Zgadzał się z Iloną co do tego, że zabójca przychodzi na pogrzeb ofiary. Dlatego Mrozińska wysłała jednego fotografa udającego taksówkarza, który cykał zdjęcia każdej osobie wysiadającej z samochodu na przycmentarnym parkingu, drugiego, który fotografował twarze przechodzących przez bramę, oraz wywiadowców udających fotoreporterów, którzy obserwowali żałobników w kaplicy, tych idących w kondukcje i stojących nad grobem. Profilerzy analizowali te zbiory. - Co łączyło mordercę z Michałem Kostrzyńskim? - ni to spytał, ni powiedział do stażysty, a ten, wpatrzony w ekran komputera, tylko wzruszył ramionami. - Komisarz Mrozińska podejrzewała, że zejścia Michała i Bojana jakoś się łączą, ale nie wiedziała jak.

- Odkąd pani Ilona leży w poliklinice, wyjaśnienie tych spraw wyraźnie stanęło w miejscu.

- Gołymi oczami widać, że aspirant nie jest komisarzem.

- Ktoś z większym doświadczeniem powinien to prowadzić.

- Jesteś pewny, że aspirant Araszkiwicz sobie nie poradzi? Musi. Ma do pomocy cały wydział kryminalny.

- Nie znam się na czynnościach policyjnych. Ze studiów pamiętam, że nie każde założenie się potwierdza, redaktorze. Niektóre projekty kończą swój żywot na papierze, bo w praktyce są nie do wykonania. Pewnie dlatego prokuratorzy tak często umarzają sprawy. Im wisi, ilu przestępców postawią przed sądem, byle każdego pierwszego dnia

miesiąca kasa wpłynęła na konto. Gdyby im płacili za wyniki... Takie sranie w banie - mądrzył się Kamil.

Daniel zastanawiał się, czy kiedy był w jego wieku, to też nie przebierał w słowach. Na pewno nie kłął i nie mędrkował, chociaż zaraz po studiach powiedział kadrowcowi, że on, magister z dyplomem uniwersyteckim i po przeszkoleniu policyjnym w Czechach, powinien zarabiać co najmniej tyle, ile dostaje naczelnik wydziału, który skończył kurs oficerski. Wezwany do pokoju szefa, najczęściej milczał albo tylko odpowiadał na pytania, chyba że czuł się niewinny, to wtedy stawał okoniem, co najczęściej kończyło się źle. Dlatego mimo protestów Jacka Syskiego przestał nosić mundur policjanta, ale nie uważał tego za tragedię. Jako dziennikarz śledczy miał wolną rękę i większą satysfakcję z pracy niż jako komisarz w pionie kryminalnym.

- Jednak musi być jakiś związek. Nikt przypadkowy nie wchodzi do naszego budynku po to, żeby zabić dziennikarza. W dodatku dokładnie wie, gdzie ten dziennikarz przebywa. Czymś Michał musiał zawinąć. Pytanie: czym i komu?

- A ta kobieta, którą rano pijany kierowca potracił na przejściu dla pieszych, czym zawiniła? Na własną prośbę odwieźli ją do lecznicy?

Masz łeb, Kamil, jak sklep, pomyślał Jung, ale głośno powiedział co innego:

- Na razie dajmy sobie spokój z Michałem. Zajmijmy się Bojanem.

-My?

- My - potwierdził Jung, pokazując na Kamila i siebie. - Od czego zaczynamy? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: - Od przeglądania stron sportowych gazety. Na początek od lipca poprzedniego roku.

Czytali tylko te teksty, pod którymi były inicjały Bojana Bojanewa lub pierwsza litera jego imienia i nazwisko albo podpisy w pełnym brzmieniu. Przeważały szczegółowe relacje z meczów, analizy tabel, rozmowy z trenerami i zawodnikami, opinie kibiców, w większości neutralne, rzadko pojawiały się napastliwe głosy, notowane zapewne na gorąco. Komentarzy było niewiele, zresztą również dominowały sądy wyważone. Gdyby Daniel redagował strony sportowe, wprowadziłby

większą różnorodność wypowiedzi, a przede wszystkim zestawiałby różnego rodzaju głosy. Czytelnicy lubią takie potyczki.

- Nigdy nad tym się nie zastanawiałem, a dopiero teraz widzę, że gazeta żyje jeden dzień - przerwał milczenie Kamil. - Kogo dziś obchodzi kwietniowa przegrana Stelmetu z Energa, skoro w czerwcu zielonogórzanie pokonali ślupszczan i zostali wicemistrzami kraju?

Jung dawno to odkrył, dlatego przykładał się do tekstów drukowanych w wydaniu sobotnio-niedzielnym, gdzie miejsce banalnych informacji zajmowały reportaże, wywiady z naprawdę ciekawymi ludźmi, artykuły z logicznymi tezami, recenzje i felietony. Niedawno podczas imienin znajomy Miśki, też profesor nauk medycznych, przypomniał mu tekst sprzed siedmiu lat.

- Napisał pan o historyku z naszego uniwersytetu. Pamiętam tytuł: *Dojenie Rzeczypospolitej*. - Daniel zrobił minę, jakby nie pamiętał tego artykułu. Profesor przypomniał mu, że owemu historykowi sąd przyznał rekompensatę za lata spędzone w Kazachstanie w czasie drugiej wojny i walkę z poprzednim systemem Rzeczypospolitej. - Ci, którzy go znali, twierdzą, że w Kazachstanie był trzy, cztery dni albo i krócej. Podpisał deklarację lojalności i wrócił do miasteczka koło Lwowa, gdzie został zastępcą przewodniczącego *gorsowieta*. Kanalia, jakich mało, o czym świadczyło to, że zawsze nosił nagan. Przyprawdzali człowieka do niego, kładł broń na stole i zadawał pytania. Potem, jak władza się zmieniała, zwiął do Zielonejgóry, gdzie był nauczycielem historii w liceum i pisał czołobitne artykuły w partyjnej gazecie. Po obronie pracy doktorskiej dostał stanowisko docenta w szkole pedagogicznej. A kiedy nadeszło to, co historia nazwała jesienią narodów środkowej Europy, znowu pisał artykuły, tyle że w nowej gazecie i przekonywał, jak jego pokolenie zostało skrzywdzone. Po upadku poprzedniego systemu politycznego, złożył wniosek w sądzie o odszkodowanie za katorgę w Kazachstanie. A jakże, dostał je, bo przedstawił dwa poświadczenia. Wtedy każdy naciągacz doił Rzeczypospolitą, co pan miał odwagę napisać, powiedział uniwersytecki kolega żony Junga. Nie napisał pan, redaktorze, o co nie mam pretensji, bo pewnie pan nie wiedział, że obaj

autorzy poświadczeń byli fałszywi. Wyznał to mój ojciec przed śmiercią. Znał docenta jeszcze z czasów lwowskich, ale się go bał, o co z kolei ja miałem do niego żal i pretensję.

- O, szefie, to jest arcyciekawe spojrzenie na sport. - Stażysta przerwał mu rozmyślania. Nie pytając, czy Jung ma ochotę dowiedzieć się, co go zainteresowało, przypomniał, że w każdy czwartek na przedostatniej stronie gazeta drukuje felietony Bojanewa w cyklu *Z ręką na sercu*.

- Teksty ukazywały się nawet wtedy, gdy Bojan był na urlopie - przypomniał sobie Jung. - Wydawało mi się, że nie pisał ich na zapas, bo dotyczyły bieżących spraw. Urlopował i śledził to, co się działo w sporcie?

- Niech szef posłucha. - Kamil rozłożył gazetę i czytał, próbując przybrać sceniczny ton: - Żuźłowcy w ramionach kostuchy... Nie wiem, którą dyscyplinę sportową śmierć lubi najbardziej. Z ręką na sercu przyznaję, że nie sprawdzałem, ilu zjazdowców zabiło się na trasach slalomu alpejskiego. Nie zastanawiałem się też, ilu skoczków narciarskich wylądowało tak nieszczęśliwie, że nawet lekarze byli bezradni. Ilu kierowców zginęło na drogach wyścigów rajdowych, ilu kartingowców, ilu spadochroniarzy, a w końcu ilu pilotów szybowcowych i lotniarzy.

Jung pomyślał, że to ostatnie zdanie go dotyczy. A on przecież nigdy nie myślał o tym, czy cały wróci na ziemię. Wypychał motolotnię z hangaru, włączał silnik i kierował się na pas startowy. Oczywiście wcześniej sprawdzał, jaka jest pogoda dwieście metrów nad lotniskiem. Jeśli warunki wietrzne były odpowiednie, latał przez kwadrans. Rzadko kilka minut dłużej.

Kamil czytał dalej:

- Od czasu uznania żuźła za sport, czyli od pierwszych lat dwudziestego wieku, na torach zginęło trzystu pięćdziesięciu zawodników. Pierwszy był Kanadyjczyk Robert Appleby. Na stadionie Newcastle w Birmingham, omijając leżącego zawodnika, uderzył w jego motor. Wyrzucony w powietrze, spadł na głowę, łamiąc kości czaszki. Zdarzało się, że tego samego dnia śmierć zagładzała na kilka stadionów.

Pierwszego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku uważany za najlepszego żuźlowca na świecie Anglik Joe Abbolt zginął w Bradford, a jego kolega z reprezentacji Jeck Sheard w Norwich. Nie sądzicie, że kostucha omijała żuźlowców mówiących i modlących się po polsku. Co dziesiąty, który dostał się w jej objęcia, był Polakiem. Franciszek Kutrowski w trakcie treningu w Lesznie przeleciał przez ogrodzenie i uderzył w drzewo. Zginął na miejscu. Włodzimierz Wolak upadł na łuku toru w Gorzowie, zmarł w szpitalu trzy godziny później. Jak dotąd śmierć była trzykrotnie na zielonogórskim stadionie. Pierwszy raz przyszła po Wiesława Pawłaka w sierpniu osiemdziesiątego siódmego roku. Sześć lat później zjawiała się w marcu po Andrzeja Zarzeckiego i w czerwcu po Artura Pawłaka. Nie myślcie, że ginęli jedynie mniej znani żuźlowcy. Na torze we Wrocławiu zabił się Lee Richardson, juniorski mistrz świata i wielokrotny reprezentant Wielkiej Brytanii. Śmierć nie oszczędziła dwukrotnego mistrza świata, Anglika Petera Cravena i finalistów mistrzostw w Chorzowie - Rosjanina Walerija Klementiewa i Czecha Zdenka Kudrny. Prócz tego wielu połamało kręgosłupy lub roztrzaskało głowy i resztę życia spędzają na wózkach inwalidzkich. Do grona zabitych należy też dodać kibiców, którzy stali się śmiertelnymi ofiarami czarnego sportu. Nie jest łatwo odnaleźć ich nazwiska.

Jung milczał nie tylko dlatego, że pamiętał ten felieton o śmierci na stadionach. Milczał, bo zgadzał się z jego autorem. Szczególnie podobała mu się zwięzła i przekonująca forma tekstu.

- Jeszcze jeden. Ostatni, jaki wyszedł spod pióra Bojana. Chce szef posłuchać?

Daniel przytaknął bez słowa. Stażysta czytał, znowu starając się nadać swemu głosowi aktorskie brzmienie.

- Nie ze mną te numery, wujowie... Sport coraz rzadziej wychowuje młodych ludzi w duchu pokoju, a o to przede wszystkim chodziło baronowi Pierre de Coubertininowi znanemu jako ojciec ruchu olimpijskiego. Na naszych oczach dogorywa sport masowy. Umiera także sport wyczynowy. Dzieje się tak nie dlatego, że człowiek trzeciego tysiąclecia dotarł do granicy swoich możliwości: szybciej nie pobiegnie,

wyżej nie skoczy, dalej nie rzuci. Powodem jest fakt, że granicę ludzkich możliwości da się przekroczyć jedynie za sprawą specjalistów od sztuczek medycznych (m.in. zachodzenia w ciążę na krótko przed ważnymi zawodami, koksowania zwanego wspomaganie). Sport dogorywa również dlatego, że wujowie zamienili go w widowisko. Pół biedy, gdyby to była kopia teatru czy baletu. Współczesny sport ma najwięcej wspólnego z cyrkiem. Ludzie kupują bilety po to, żeby zobaczyć *show*. Trudno sobie wyobrazić zawody bez udziału gwiazd estrady na otwarcie i zakończenie, orkiestry grającej hymn (z playbacku), reklam wszędzie tam, gdzie się tylko da, i zdumiewających dekoracji czy idiotycznych mów polityków. A przecież jeszcze muszą się pokazać czirliderki z puszystymi pomponami i wielobarwnymi frędzlami, wywijające klubowymi szalikami mażoretki z nogami do szyi. Przed panami lekkoatletki prezentują się w skąpych majtkach i koszulkach ledwie okrywających ciało tam, gdzie normalnie kobiety mają piersi. Siatkarki grają w kostiumach przylegających do ciała. Nawet te szpetne poprawiają urodę. Nienaturalnie umięśnieni zawodnicy w barwnych strojach, często tak dopasowanych, żeby było widać każdą wypukłość, wabią panie. Natomiast żuźłowcy mają na sobie skórzane stroje oblepione znakami firm, które w ten sposób za niemałe pieniądze się reklamują. Za jeden motor żuźłowy można kupić dwa passaty. Niech mi właściciele klubów nie wmawiają, że chodzi wyłącznie o sport. Nie ze mną te numery, wujowie. Przede wszystkim chodzi wam o to, żeby jak najwięcej osób przyszło na stadion. Przecież im więcej sprzedanych biletów, tym większe pieniądze wpływają na wasze konta. Nie tylko wy o tym wiecie, ale również ci, którzy biegają, skaczą, jeżdżą. Dzisiejszy sport niewiele ma wspólnego z wyrabianiem tężyzny. To jest biznes. Właśnie dlatego Joachim Grempler kupił zielonogórską drużynę żuźlową.

- Przecież to samo można powiedzieć o „Gazecie Zielonogórskiej” i każdej innej. Do niedawna prasa była podstawowym źródłem informacji. Dziś gazeta jest produktem jak guma do żucia, pralka czy wycieczka na Karaiby. Nawet strzyżenie włosów fryzjer nazywa

produktem. Właścicielom wydawnictw, biur podróży i fabryk zależy na tym, żeby jak najwięcej osób kupowało ich produkty.

- Wypada sprawdzić, co jest na forum pod tym tekstem. Na pewno jak zawsze syf i malaria - podsumował Kamil, odkładając gazetę.

Zielonagóra, ul. Urszuli, czwartek, wieczór

Kwiek postanowił, że jutro po południu albo w sobotę wczesnym rankiem pojedzie w okolice lotniska Berlin-Schonefeld i zrobi to, co mu podszeptał Neimann. Ostatni raz był tam ze dwa lata temu, gdy przyrodni brat zabrał go do Birmingham na targi żywności. Wtedy zostawił passata nie na parkingu krytym, gdzie podobno ceny za postój są zabójcze nawet dla kieszeni właściciela wytwórni wędlin w Sławie, lecz na jednym z tych ogrodzonych placów odległych od terminalu co najmniej o kilometr.

Kwiek nieźle znał ten kraj. Kiedyś raz w miesiącu zjawiał się w Fritzlar w północnej Hesji, gdzie mówiącemu po polsku właścicielowi komisju płacił żywą gotówką za stare rozbite samochody, które jego kierowcy przywozili na lawetach do Zielonejgóry. Przy drodze niedaleko Hiinfeld był rozległy szrot należący do Chorwata. Tam za niewielkie pieniądze kupował używane części. W warsztacie przy Urszuli mechanicy ten szmelc tak umieli odpicować, że auta wychodzące spod ich ręki na pierwszy rzut oka niczym się nie różniły od nowych, a były dużo tańsze. Wtedy adwokaci, profesorowie, prezesi, dyrektorzy, księża, a nawet prokuratorzy i sędziowie kłaniali się Kwiekowi, a kolejka chętnych na takie wehikuły nie kurczyła się nawet na jeden dzień. To były najlepsze lata w jego życiu. Pewnie nigdy nie powrócą, stwierdził z żalem, jeżdżąc oczyma po wysłużonej mapie.

Od dnia wstąpienia do Unii Europejskiej Polska pokrywa się nowymi drogami, ale to, co się dzieje na wschodzie Niemiec po zjednoczeniu, powoduje, że każdy, kto nie chce zabłądzić, nawet dwa razy w roku musi kupować aktualny atlas samochodowy. Kwiek wiedział, że do

przejścia granicznego w Gubinie dojedzie z zamkniętymi oczami, potem będzie skrzyżowanie ze światłami, gdzie ruszy w prawo wzdłuż Odry drogą do Frankfurtu, poje- dzie w lewo w stronę Cottbus, w Roggosen dostanie się na autostradę A15. A może lepiej jechać przez Olszynę i stamtąd prosto do Schönfelder Kreuz? Gdyby umiał posługiwać się internetem, określiłby w wyszukiwarce trasę i problem miałby z głowy. Postanowił, że po zakończeniu pierwszej części sezonu żuźlowego poprosi Łukaszka, żeby mu pokazał, jakim dobrodziejstwem jest to, co syn nazywa globalną siecią.

Zaraz za przejściem granicznym powinny stać znaki, rozmyślał. One doprowadzą mnie najkrótszą drogą do Schönfeld. Nowe lotnisko pewnie rozłożyło się na obrzeżach miasta, więc nie będę musiał przejeżdżać przez zatłoczone centrum Berlina. Co innego Tegel albo Tempelhof. Nie był pewny, czy na tym ostatnim nadal lądują samoloty ze Szwecji. Niedawno przeczytał w gazecie, że przy starym lądowisku Schönfeld powstaje port lotniczy Berlin-Brandenburg, który będzie większy niż amsterdamski Schiphol czy paryski Charles de Gaulle, a nawet londyński Heathrow.

- Oluń, czyżbyś zapomniał, że jak w środę robię pranie, to w następnego dnia jest nasz czwartek? - spytała żona, uśmiechając się zachęcająco.

- Najpierw ważniejszy obowiązek. Wobec Łukaszka - odparł i postukał długopisem w mapę, ale nie zdradził jej swego planu. - Przyjdę. Na pewno zaraz przyjdę, bo ja na to jak na lato - dodał, tym razem nie wciskając dłoni między jej uda, mimo że kusicielsko ocierała się obnażonymi piersiami o jego nagie plecy.

- Za długo nie siedź, bo zasną przed telewizorem.

Eliminacje skandynawskie Eurosport Speedway Best Pairs rozpoczną się w sobotę o dziewiętnastej na stadionie w Vetlandzie. Po dwóch godzinach zakończą się wyścigi parami, dlatego Edwardsson i Adler-Olsen przenocują w hotelu i dopiero następnego dnia rano pojedą na lotnisko w Göteborgu, skąd odlecą do Berlina. Kwiek sprawdził w biurze informacji lotniczej, że w niedzielę tylko jeden samolot Lufthansy

startuje z Göteborga-Landvettery tuż przed dziesiątą. Niedaleko centrum jest Göteborg-City, wykorzystywane głównie przez tanie linie lotnicze, ale Kwiek był przekonany, że żuźłowcy nie oszczędzają pieniędzy. Boeing Lufthansy powinien być w Berlinie-Brandenburgu kilkanaście minut po jedenastej. Na odprawę i dostanie się z lotniska na parking hotelowy, gdzie stoją gotowe do drogi samochody przystosowane do przewozu większych ładunków, Edwardsson i Adler-Olsen potrzebują około godziny. Co najmniej trzydzieści minut zajmie im dojazd do autostrady A15, w niedzielę może troszkę mniej. Po dwu i pół godzinie bezustannej jazdy powinni być na Szosie Wrocławskiej w Zielonejgórze, ale Kwiek obmyślił, co zrobi, żeby żuźłowcy nie zdążyli dojechać na piętnastą, kiedy rozpoczynają się zawody. Mecz Gremplera z gorzowskimi Jancarzami odbędzie się bez ich udziału.

- I wtedy Łukaszek jednego z was zastąpi - powiedział sam do siebie niezmiernie zadowolony. - Co mnie nie wyszło w Falubazie, to musi się udać mojemu synowi w Gremplerze.

Zaraz po porannej rozmowie z Neimannem Kwiek zaczął układać plan. Nie pamiętał, w jakiej odległości od granicy jest pierwszy leśny parking, gdzie zmieni polskie tablice rejestracyjne na austriackie albo holenderskie. Ma ich niemały zapas z czasów, gdy sprowadzał z Fritzlar rozbite samochody. Kamera na moście granicznym w Gubinie na pewno zauważy wjazd passata do Niemiec, potem ukryte co kilkanaście kilometrów oczy następnych kamer będą śledziły jego drogę i przekazywały informację do centrali monitoringu, lecz on je wykiwa. Tyle razy to robił i zawsze się udawało. Zresztą nie będzie pędził co koń wyskoczy, żeby nie dać się zatrzymać drogówce z powodu przekroczenia szybkości. Niemieccy policjanci nie patyczkują się z kierowcami, a zagraniczników ze Wschodu traktują surowiej niż swoich. Oczywiście jeszcze przed mostem granicznym przyklei sobie wąsy, na głowę wcisnie lniany kapelusik, a pod nim będzie peruka przypięta wsuwkami do włosów. Pod koniec podróży założy okulary w złocistych oprawkach, te kupione w chińskim sklepie. Po dwóch godzinach niespiesznej jazdy powinien być na Schönefelder Kreuz, skąd nawigacja doprowadzi go na

Hans Grade Allee. Jeszcze nie wiedział, jak dostanie się na hotelowy parking, ale już był pewny, że stamtąd ani sprinter Edwardssona, ani crafter Adlera-Olsena o własnych siłach szybko nie wyjadą. Zanim ich mechanicy ściągną pomoc drogową, na stadionie przy Szosie Wrocławskiej rozpoczną się zawody bez Szweda i Duńczyka, za to z Łukaszkiem. Takiej okazji Kwiek nie może przegapić, więc robi, co zaplanował, i wraca do Zielonejgóry. Jeszcze raz zerknął na karteczkę, na której zapisał numery rejestracyjne pojazdów do przewozu sprzętu obu zagranicznych żuźlowców.

- To musi się udać, Joluchna! - zawołał zadowolony w stronę szeroko rozwartych drzwi małżeńskiej sypialni.

Zielonagóra, os. Słoneczne, czwartek, wieczór

Wprawdzie obowiązek dyżurowania w nocy nie obejmował kierowniczkę katedry patologii ogólnej, mimo to profesor Kwiatkowska-Jung zagląda wieczorem do szpitala i często coś ją zatrzymuje do rana. Nigdy nie powiedziała, że pańskie oko konia tuczy, ale tak to wyglądało, toteż Daniel przywykł do samotnych wieczorów przed telewizorem. Nawet mu to odpowiadało, pod warunkiem że w lodówce stały co najmniej dwie butelki piwa.

Jeśli akurat był w Słubicach albo w Gubinie, zawsze przechodził na drugą stronę granicy i kupował tyle puszek niemieckiego piwa, ile zmieściło się w torbie. Syn, który studiował w Berlinie i przynajmniej raz w miesiącu wracał do Zielonejgóry, wytykał ojcu, że cudze chwali, a swego nie zna. Dziennikarz nie zawsze zgadzał się z synem, ale akurat w tym wypadku nie wdawał się w dyskusję.

Daniel sięgał po piwo tylko wieczorem. Pił je codziennie od maja do końca września. Od jesieni do wiosny piwo mu nie smakowało. Mógł spytać żonę, czy to oznacza jakieś zaburzenie metaboliczne w jego organizmie, ale bał się, że Miśka skieruje go na badania szczegółowe, a wtedy jak nie kardiolog, to ortopeda albo psychiatra czegoś się dopatrzy

i każe się leczyć. Doktor Trzcinka, z którym umówił się na rozmowę dotyczącą ciekawostek z medycyny sądowej, powiedział mu, żeby się niczego nie obawiał, bo on też pije piwo wyłącznie latem, ma chorobę zwyrodnieniową kręgosłupa, nosi okulary i czasem górę bierze skrajna dezorganizacja myślenia.

- Za to palę przez cały rok. Ile razy, przeprowadzając sekcje zwłok, widziałem skutki tego nałogu, tyle razy podejmowałem decyzję, że natychmiast go rzucę. Ale gdy zdjąłem fartuch, umyłem się, zaraz sięgałem po papierosa. Panie redaktorze, ja, doktor nauk medycznych, specjalista w zakresie medycyny sądowej, świadomy konsekwencji trucia się dymem tytoniowym, jestem niewolnikiem papierosów - powiedział Trzcinka, bezradnie rozkładając ręce. - Jeśli pan zna skuteczny sposób na oduczenie się palenia, proszę mi go zdradzić, a będę pana wychwalał do końca moich dni.

- Palilem do czterdziestki. Nawet dwie paczki dziennie - przyznał się Jung. - Przestałem, gdy komputery pojawiły się w redakcji. Do tego czasu przy każdej maszynie do pisania stała popielniczka. Nie tylko ja, ale żaden dziennikarz nie umiał napisać zdania, jeśli nie czuł woni dymu papierosowego. Gdy maszyny do pisania przestały być najważniejszym narzędziem w pracy dziennikarza, informatyk przekonał nasze władze, by wydały zakaz palenia w pokojach, bo dym papierosowy osadza się na wiatraczkach komputerów i je rozregulowuje, o czym kilkoro spośród nas się przekonało. Zatem ten, kto chciał zapalić, musiał zejść na parter, co oznaczało oderwanie od tekstu na kilkanaście minut. Panie doktorze, są dziennikarze piszący informacje jakby składali sprawozdania i tacy, którzy, jak piszą artykuły, zapominają o świecie. To bardziej pisarze niż dziennikarze. Ja zaliczam się do tych drugich. Pisząc, podobno mruczę, puszczam gazy i pocę się, dlatego staram się dużo pić. Na moje szczęście przy komputerze może stać kubek z kawą.

Siedząc przed telewizorem, Daniel w lewej ręce trzymał pilota, a prawą sięgał po szklankę z piwem. Czasem dłużej się przysłuchiwał monologowi jakiegoś politologa czy socjologa, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że od dawna w telewizji nie ma niczego przypadkowego.

Pamięta te czasy, kiedy w wiadomościach dominowała propaganda, teraz właścicielowi stacji chodzi wyłącznie o to, żeby jak najwięcej osób zatrzymać przed ekranem, bo większa oglądalność oznacza większe pieniądze za emitowane reklamy. Już pod koniec dwudziestego wieku gazety, radio i telewizja przestały być najważniejszym źródłem informacji o tym, co się dzieje na świecie. Kogo interesują świeże wiadomości, ten przegląda portale internetowe w komórce.

Daniel zawsze lubił śledzić transmisje z zawodów lekkoatletycznych, tyle że ostatnio są one podobne do festiwalu muzyki rozrywkowej. Biegacze, miotacze, skoczkowie, ubrani w kostiumy mieniące się wszystkimi kolorami tęczy nie tylko walczą o zwycięstwo, ale i o przypodobanie się publiczności oraz o nagrody. Raz jest to samochód, kiedy indziej bryła złota lub garść diamentów albo wielka mamona. Z góry da się przewidzieć, kto zwycięży. Biegi sprinterskie dawniej zawsze wygrywali ciemnoskórzy Amerykanie, teraz królują Jamajczycy. Na dłuższych dystansach pokazują się Etiopczycy, Kenijczycy, Botswanańczycy i Marokańczycy pod flagami własnych krajów, a i coraz częściej jako Katarczycy, Szwedzi czy Norwegowie. Rzadko zwyciężają Rosjanie, niewielu Niemców zajmuje czołowe miejsca, o sportowych Albańczykach czy Bułgarach niewiele słychać, a Polacy cieszą się, kiedy ktoś z orzełkiem na piersi dostanie się do finałowej ósemki.

Przypomniała mu się sobotnia rozmowa z Pogonowskim, który oprócz tego, że jest znawcą prawa medycznego, prowadzi Gladiatorium i amatorsko zajmuje się etnologią kultury fizycznej. Doktor mówił mu:

- Sport, taki dla zdrowia, zajmuje emerytów, którzy nie uprawiają warzyw w ogródkach i nie chcą całymi dniami siedzieć przed telewizorami, czyli nielicznych. Prawdziwy sport skończył się zaraz po tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, kiedy z inicjatywy de Coubertina odbyły się igrzyska olimpijskie ery nowożytnej w Atenach. Dziś jest trenowanie młodych ludzi po to, żeby bili rekordy i zarabiali wielkie pieniądze dla właścicieli tych klubów - dodał Pogonowski. - Ci, którzy przychodzą do Gladiatorium, robią to dlatego, że rodzice im kazali albo żeby komuś wkrocić i nie dać się pobić lub też żeby jeździć z

turnieju na turniej i zarabiać pieniądze. Sport dla zdrowia, panie redaktorze, kończy się wtedy, kiedy zaczynają się pieniądze.

- Nie każdy, kto ma słuch muzyczny, gra w filharmonii. Nikogo nie dziwi malarz, który zarabia na chleb obrazkami na zamówienie. To i młodzieńcy utalentowani sportowo wykorzystują swój talent.

- Raczej umiejętności.

- Lepsze to niż pukanie do drzwi opieki społecznej i wyciąganie ręki po pieniądze.

Pogonowski przytaknął jakby się zgadzał z Danielem. Chwilę później powiedział:

- W latach międzywojennych były modne pokazy siłaczy na odpustach, jarmarkach, w mniej wykwintnych restauracjach. To było coś podobnego do dzisiejszego grania na ulicy. Ci, jak pan ich określił, z talentem, najpierw rywalizowali na matach w swoich krajach, a potem przedsiębiorczy berlińczyk wpadł na pomysł, żeby organizować turnieje międzynarodowe. On zaproponował właścicielowi restauracji Louisenthal w Zielonej Górze, kiedy ta jeszcze nazywała się Griinberg, urządzenie zapaśniczych mistrzostw środkowej Europy w stylu wolnym. W żadnym opracowaniu międzynarodowego związku zapaśniczego nie znajdzie pan nazwisk zwycięzców, a wedle miejscowej gazety była to impreza wielkiej rangi z udziałem najbardziej znanych zawodników. Właściciel Louisenthal zgodził się zapewnić im wikt, opierunek i nagrody. Berlińczyk ustalił z zapaśnikami, że wygra Niemiec, Czech będzie drugi, a Polak trzeci. Tydzień później odbyły się mistrzostwa północnej Europy w restauracji Kameralnej w Bydgoszczy. Jej właściciel też zapewnił uczestnikom wszystko. Zwyciężył Czech, Estończyk był drugi, Polak trzeci. W kolejnym tygodniu zapaśnicy pojechali do Breslau na mistrzostwa Dolnego Śląska. Tam zwyciężył Niemiec przed Polakiem i Austriakiem. Były kolejne turnieje, a to o szarfę Alp, a to o złotą wstęgę Jeziora Bodeńskiego, o puchar burmistrza Soltau i inne. Mniej więcej ta sama grupa jeździła z miasta do miasta. Zapaśnicy byli zadowoleni, bo dostawali pieniądze, restauratorzy również byli ukontentowani, ponieważ goście walili do ich lokali drzwiami i oknami,

co oznaczało większą sprzedaż befsztyków, kotletów i wódki. Lokalne gazety także nie narzekały, gdyż miały o czym pisać. A niezorientowani ludzie nie domyślali się, że to, co oglądają, nie ma nic wspólnego z prawdziwą rywalizacją.

- Mistyfikacja.
- Cyrk raczej.

Zielonagóra, os. Słoneczne, noc z czwartku na piątek

Dopiero przed północą Daniel położył się do łóżka. Sięgnął po książkę i miał zamiar czytać co najmniej przez godzinę. To był jego codzienny rytuał. Nie wyobrażał sobie, że zaśnie bez lektury. Czasem odkładał ją, ale tylko wówczas, kiedy Miśka przypominała mu, że jest kobietą, a on jej jedynym mężczyzną.

Dokładnie za piętnaście pierwsza zgasił światło. Co mu się śniło na początku, nie zapamiętał. Pewnie coś związanego z ostatnimi wydarzeniami w redakcji. Zawsze tak było, że to, co się działo na jawie, wracało we śnie wzbogacone fantazjami. Dawniej często śnił o lataniu. Długo nie wiedział, skąd to się w nim brało. Miśka sugerowała, że może mieć na to wpływ codzienne obcowanie z wysokością, bo przecież mieszkają na dziewiątym piętrze wieżowca postawionego na wzgórzu. We śnie oglądał dachy samochodów stojących na osiedlowym parkingu, wzbijał się ponad latarnie i druty telefoniczne, czasem przelatywał na osiedle Łużyckie po drugiej stronie ulicy, gdzie dawniej była kopalnia węgla brunatnego. Nie machał rękami, żeby się utrzymać w powietrzu. Odpychał się albo wiosłował, jakby płynął żabką. O czwartej obudził go stukot windy. Najpierw przewrócił się na lewy bok, do ściany, lecz już nie zasnął. Czasem w takiej sytuacji zapalał lampkę wiszącą nad głową tak, żeby nie obudzić Miśki, i ponownie sięgał po książkę. Tym razem nie miał ochoty na czytanie. Do głowy wróciło to, co się wydarzyło w redakcji i czego policja nie potrafiła zamknąć. Daniel zgadzał się ze wszystkimi, którzy uważali, że Michał Kostrzyński stał się przypadkową

ofiara. Ewidentnie ktoś polował na Bojanewa. Dlaczego? Pewnie komuś nie spodobało się to, co Bojan ostatnio pisał o sporcie. Komu? Na to pytanie policja nie poznała odpowiedzi, mimo że starała się wyjaśnić wszystkie okoliczności, w jakich doszło do wypadku na obwodnicy miasta. Daniel nie miał żadnych dowodów, coś jednak mu podpowiadało, że to sprawa powiązana z wpływowymi osobami powiązanymi z drużyną Gremplera albo psychopaty uważającego żużel za najważniejszą dyscyplinę sportową. Skoro są tacy kibice koszykówki, którzy za grającym w lidze europejskiej Stelmetem polecili do Monachium, Sambułu, Pireusu, to i mogą być kibole, którzy za niepochlebne zdania o żużlowcach zabijają.

Zielonagóra, al. Wojska Polskiego, piątek, ranek

- Nawet jako twoja szefowa nie mogę cię zmusić - powiedziała Szpalta w połowie czerwca i gdy Jung zrobił zdumioną minę, dodała usprawiedliwiająco: - Wiem, Daniel, że komu jak komu, ale mnie nie odmówisz.

Chudej na pewno by odmówił. Nawet za duże pieniądze nie zgodziłby się prowadzić zajęć z wakacyjnymi kursantami. Seminarium ze studentami stacjonarnymi od sześciu lat wybijało go z rytmu redakcyjnego i zajmowało dużo czasu, ale i niekiedy cieszyło. Zdarzało się, że wśród mniej więcej dwudziestki kandydatów na dziennikarzy były dwie, trzy osoby naprawdę utalentowane i chętne do pracy. Letni kurs dla polonistek, bibliotekarek, katechetek, kaowców i innych grafomanów, którzy ogłaszają swoje tekścidla w gazetkach gminnych czy parafialnych, uważał za stratę czasu. Denerwowało go, że kursanci posługują się taką polszczyzną, jakiej już nikt nie używa nawet w szkole podstawowej. Oni piszą wypracowania, w których wychwalają to, za co bierze pieniądze wójt, dyrektor podstawówki, proboszcz, przewodnicząca koła gospodyń, bibliotekarka, świetlicowa. Pół biedy, gdy robią to nieświadomie. Wiedział, że język nie jest lustrem, w

którym myśli wiernie się odbijają. Trzeba mieć talent Herberta, żeby wszystko, o czym pomyśli głowa, wyrazić słowami.

Na pierwsze spotkanie Daniel Jung przyniósł stos gazetek wziętych ze stosu, który Magda wykłada na stoliku przed drzwiami do sekretariatu, a których nikt nie czyta. Miał zamiar swoje spostrzeżenia na temat ich treści podeprzeć przykładami, żeby nikt nie uznał go za gołosłownego piniacza.

- Nie po to pan burmistrz zapłacił za moje studia podyplomowe, nieprawdaż, a ja poświęcam swój czas przeznaczony na nabranie sił, żeby wysłuchiwać obelg ze strony pana magistra redaktora - rzuciła mu prosto w oczy nauczycielka z miasteczka za Gorzowem.

- Przepraszam - mruknął, chociaż aż się w nim zagotowało. Pod jej piórem burmistrz był świętszy niż Pięciu Braci Międzyrzeczkich.

Tego dnia Jung postanowił udowodnić kursantom, że nie powinni robić tego, czym się zajmują, bo są niedouczeni.

- Gdy pada pytanie o ważne wydarzenia na Środkowym Nadodrzu, na ogół słyszymy odpowiedź: tu nic istotnego nie miało miejsca. Zgadza się państwo?

- Z czym?

- Z tym, że tu nic ważnego się nie wydarzyło? Ze wszystko, co najważniejsze w dziejach Polski, miało miejsce wzdłuż Wisły? W Krakowie, w Warszawie i w Gdańsku? Piotrków czy Toruń są częściej wymieniane w polskiej historii niż Wrocław, Poznań, Szczecin. Cudze chwalicie, a swego nie znacie. - Cisza. - To jestem w błędzie? - Cisza. - Kto spośród państwa wymieni osoby, które jako mieszkańcy Środkowego Nadodrza zapisały się w dziejach świata albo Europy lub choćby tylko naszego kraju. Chodzi mi o postacie historyczne. - Nauczycielka z miasteczka za Gorzowem wlepiła wzrok w okno. Chciał ją wywołać do tablicy, zawstydzić, ale w ostatniej chwili coś go wstrzymało. Jeszcze by ci wygarnęła, że się jej czepiasz, ostrzegło. - Jeśli państwo nie pamiętają ich nazwisk albo nie słyszeli, to może jakieś wydarzenia są godne przypomnienia? - Studentom dziennym też zadawał takie pytania. Bez namysłu wymieniali obronę Głogowa z tysiąc

sto dziewiątego roku, bitwy wojsk pruskich z rosyjskimi pod Sarbinowem i Kijami, koncert Chopina w Sulechowie. Ktoś nawet wspomniał o żołnierzach kapitana Więckowskiego, którzy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku bronili Kargowej przed Prusakami, czego się dowiedział z tablicy zawieszanej przy wejściu do ratusza. - Czy to oznacza, że państwa zdaniem tu, nad środkowym biegiem Odry, nie urodził się, nie mieszkał, nie pracował nikt, kogo nazwisko zasługuje na umieszczenie w encyklopedii? Czy tu nie wydarzyło się nic takiego, co miało znaczenie dla cywilizacji chrześcijańskiej? - spytał takim głosem, żeby ich zawstydzić. Wciąż panowała cisza. - Prawda, tu nie było bitwy równej tej pod Grunwaldem ani nie podpisano dokumentu tak ważnego jak ten, który potwierdzał unię polsko-litewską. Za to w dziejach naszego regionu bez trudu można odkryć wiele małych, na pierwszy rzut oka błahych zdarzeń, od których zaczęły się te wielkie. Choćby strajk w zakładzie rolnym w Lubogórze koło Świebodzina. Kto pamięta, o co poszło? - Nikt się nie odezwał. - Przez miesiąc stały fabryki w całym regionie. To był najdłuższy strajk na Środkowym Nadodrzu i prawdopodobnie w Polsce. Dyrektor zakładu kazał traktorzyście, przewodniczącemu zakładowego związku zawodowego, wrócić do pracy, on zaś był innego zdania. Po jego stronie stanęli robotnicy, technicy, magistrowie. A miesiąc później zaczął się stan wojenny. - Ta z miasteczka za Gorzowem spłótła ręce na piersiach i wpatrywała się w swoje paznokcie. Jej sąsiadka złożyła dłonie jak do modlitwy. Wąsaty pod oknem ocierał pot z czoła. Nie powinienem mieć do nich pretensji, pomyślał Jung. Tak ich uczono historii. I pewnie oni tak uczą. W szkołach nie ma czasu na zajmowanie się przeszłością regionu. Wszystko, co najważniejsze w dziejach kraju, wydarzyło się w Warszawie, pod Wawelem, w Piotrkowie Trybunalskim, w Toruniu. - O tym, że astronom Heweliusz pracował w Gdańsku, zapewne państwo wiecie. W tym samym czasie w Żaganiu pracował Johann Kepler, autor pierwszej na świecie książki fantastyczno-naukowej *Sen, czyli astronomia księżycowa*, po polsku wydanej dopiero pod koniec dwudziestego wieku. - Cichutko.

Redaktorka „Kuriera Żagańskiego” udawała, że notuje. - To może ktoś wie, do kogo należało miasto, w którym jesteśmy? Chodzi mi o przynależność państwową.

- Środkowe Nadodrze identycznie jak Śląsk najpierw było polskie, a potem niemieckie - odezwał się wąsaty.

- Niezupełnie.

- Od razu niemieckie?

- Na przykład Zielonagóra była niemiecka zaledwie przez siedemdziesiąt sześć lat. To niewiele dłużej niż należy do powojennej Polski. Najpierw miasto wchodziło w skład państwa Piastów, potem było pod władzą czeską i austro-węgierską, w tysiąc siedemset czterdziestym roku zajęli je Prusacy, a dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym znalazło się w zjednoczonym Cesarstwie Niemieckim.

- Jak chodziłem do technikum, to na historii mówiono co innego - zaprotestował wąsaty.

- Państwu mówiono, że prastare ziemie piastowskie wróciły do Macierzy.

- A nie wróciły?

- To prawda. A że mówiono językiem propagandy, na to państwo nie zwróciliście uwagi. Tamtym językiem państwo nasiąkliście jak gąbka w wannie. Takie też są wasze teksty. Nie piszecie dla czytelników, którzy chcą dowiedzieć się czegoś wartościowego, bo uprawiacie propagandę. I w sumie się nie dziwię. Burmistrz wam płaci, to i wymaga, żeby o nim było jak najwięcej i jak najlepiej - wytknął, mimo że postanowił nie traktować ich surowo. Ci ludzie są ofiarami wcześniejszego systemu kształcenia.

- Dobrze, już dobrze - dodał łagodnym tonem. - W Widnie koło Jasienia zachowały się pozostałości grodziska z epoki brązu. Gdyby je odrestaurować, byłyby tak samo ciekawe jak osada w Biskupinie. Zanim Otton III dotarł do Gniezna, Bolesław Chrobry przywitał go pod Szprotawą. Pierwsi polscy święci, zwani Pięcioma Braćmi Międzyrzeckimi, założyli erem tam, gdzie jest wieś Święty Wojciech i

tam zostali zamordowani w tysiąc trzecim roku. Ślub Kazimierza Wielkiego z księżniczką żagańską Jadwigą odbył się w tysiąc trzysta sześćdziesiątym trzecim roku we Wschowie. Arcydzieła nieznanego z nazwiska rzeźbiarza, zwanego Mistrzem Ołtarza z Gościszowic, zachowały się między innymi w kościołach w Chichach, Chotkowie, Gołaszynie, Żaganiu. Basia z *Pieśni legionów polskich we Włoszech*, czyli polskiego hymnu, była córką podczaszego wschowskiego. Autorem pierwszej na świecie książki fantastyczno-naukowej jest Johannes Kepler, a zaczął ją drukować w Żaganiu w tysiąc sześćset trzydziestym roku. Na Środkowym Nadodrzu urodziło się, mieszkało, pracowało lub siedziało w obozie koncentracyjnym pięciu laureatów Nagrody Nobla. To wybrane na chybił trafił przykłady na to, że to nie jest pustynia historyczna. O tym również trzeba pisać w gazetkach lokalnych. Jeśli państwo tego nie zrobicie, nikt się tego nie podejmie.

- Pan Marcinkiewicz - odezwał się wąsaty.

- Co pan Marcinkiewicz?

- On był od nas. Z Gorzowa. Premier. Najwyżej zaszedł.

- Wyżej od Kazimierza Marcinkiewicza zaszedł Józef Zych. Także stąd.

Był marszałkiem i wicemarszałkiem sejmu.

- To wyżej ?

- Marszałek sejmu jest drugą osobą w państwie. Trzecią marszałek senatu. I dopiero premier.

- Moim zdaniem...

- Jancarz - sąsiad wąsatego nie pozwolił dokończyć nauczycielce z miasteczka zza Gorzowa.

- Proszę?

- Jancarz Edward. Najlepszy polski żuźlowiec stąd pochodził. Z Gorzowa. Dwanaście razy stawał na podium mistrzostw świata. Niestety nie żyje. Przez alkohol.

- Niekiedy sport wykrzywia ludzi. Część mistrzów nie może sobie znaleźć miejsca po zakończeniu kariery. Jancarz pił za dużo i się awanturował - powtórzył Jung to, co wczoraj przeczytał w „Zielonogórskiej”, kiedy ze stażystą analizował felietony Bojanewa. -

Pijany Edward Jancarz zginął od ciosów nożem zadanych przez żonę.

- Lepsze to niż mordęga z pijakiem - powiedziała nauczycielka do swojej sąsiadki tak głośno, że wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

- Na wprost Arsenału w Gorzowie stoi jego pomnik. Jest patronem niewielkiej ulicy nad Wartą i naprawdę nowoczesnego stadionu przy Śląskiej. Każdego roku jesienią odbywa się memoriał imienia Edwarda Jancarza. Klub ma przydomek Jancarze. Jeśli ktoś będzie w Gorzowie, proszę spytać pierwszą napotkaną osobę, kim był Jancarz. Tam nawet dziecko wie, czym się zajmował. - Po chwili Jung dodał: - Sądzę, że gdyby ktoś spytał te same osoby o gorzowskich profesorów, poetów czy malarzy, nie usłyszałby odpowiedzi.

Zielonagóra, al. Wojska Polskiego, piątek, przedpołudnie

Zawsze gdy Barbara Libera spotykała Junga w kampusie B uniwersytetu, gdzie oboje prowadzili zajęcia ze studentami, wyrażała swą wdzięczność za tekst na temat jej ojca. Wprawdzie nie napisał wprost, kto strzelał do Kunickiego, ale przedstawił okoliczności, więc domyślny czytelnik mógł dojść do wniosku, że to, co wydarzyło się zimą w mieszkaniu przy Waszczyka, na pewno nie było samobójstwem. Natomiast pretensję do Junga miała przewodnicząca oddziału regionalnego partii rządzącej, której mąż był bezdyskusyjnym kandydatem na dyrektora departamentu w ministerstwie sprawiedliwości. Po tekście w gazecie Andrzej Carewicz nie tylko nie zamienił Zielonejgóry na Warszawę, ale i został wyrzucony z prokuratury z wilczym biletem.

- Nie jestem przekonana, czy tym razem będę mogła pomóc panu redaktorowi - powiedziała doktor Libera, jakby się usprawiedliwiała, mimo że Jung jeszcze nie powiedział, co go męczy. - Póki współpracowałam z wydziałem kryminalnym, byłam na bieżąco ze wszystkimi procedurami policyjnymi. Po habilitacji mocniej wciągnęła mnie nauka i zadania organizacyjne w instytucie. Ale jestem pańską

dłużniczką, nie mogę więc tak po prostu odwrócić się plecami i odmówić. *Ad rem* zatem, panie redaktorze.

Jung powtórzył wszystko, co wiedział o Michale Kostrzyńskim i Bojanie Bojanewie, oraz to, czego dowiedział się od pracowników redakcji. Zastanawiał się, czy powiedzieć, że gdyby śledztwem kierował Jacek Syski, podejrzany już oglądałby słońce przez kratę w areszcie, a prokurator kończył pisanie aktu oskarżenia. Wypadek na drodze w Przyborowie uwolnił komisarz Mrozińską od dochodzenia wstępnego, tym bardziej że Ilona od pewnego czasu jest myślami na emeryturze. Tadeuszowi Araszkiwiczowi brakuje doświadczenia, młodszy policjanci zaś robią jedynie to, co im każą zwierzchnicy.

- Z moich doświadczeń w pracy z policją wynika, że ludzie nie mordują bez powodu. Zresztą pan też to wie - powiedziała przepraszająco. - Trzeba zatem zastanowić się, czym kierował się morderca? A więc motywy, czyli hipotetyczny powód, jaki miał ktoś, kto złamał kark Kostrzyńskiemu i dłaczego wyspał mu do ust żwir. To samo należy zrobić odnośnie Bojanewa, jeśli nie był to nieszczęśliwy wypadek.

- Pomyślałem o pani doktor jako o osobie wykonującej zadania probiera.

- Nawiasem mówiąc, funkcja probiera w Polsce została przereklamowana przede wszystkim przez samych psychologów policyjnych. Oni próbują żywcem przenieść do nas to, co sprawdza się w Ameryce. Nie biorą pod uwagę faktu, że tam można stosować bardziej drastyczne metody śledztwa, że u Anglosasów obowiązuje system prawa zwyczajowego *common law* i że w sądzie jest ława przysięgłych. To była pierwsza uwaga.

- Jest i druga? - Mimo że liźnął trochę psychologii, spytał z zalotnością nowicjusza. Barbara Libera mu się podobała, czego nigdy nie ukrywał.

- Sukces profilerka, panie Danielu, to wyciągnięcie wniosków z dochodzenia przygotowawczego i na tej podstawie sformułowanie odpowiednich pytań - powiedziała to, o czym Jung wiedział od dawna. - O tym, jakie powinny być te odpowiednie pytania, decyduje raczej

doświadczenie. To nie tajemnica zawodowa. Można zgadywać, co zajmuje dużo czasu, a panu się spieszy. Wyjściem może być wykorzystanie pytań z innych, mniej więcej podobnych spraw. Niestety, w mojej praktyce nic podobnego do tego, co miało miejsce w redakcji, się nie zdarzyło. Jest trzecia możliwość...

- Jaka? - wpadł jej w zdanie.

- Zdać się na publikacje naukowe. Tylko że akurat to będzie czysta teoria. Najmniej przydatna.

- Nie ma czasu na teoretyzowanie, pani Basiu.

- Oczywiście - przyznała mu rację psycholożka. - Nie ma czasu, ale i na podstawie tego, co pan przedstawił, nawet nie potrafiłabym teoretyzować.

- Nic a nic?

- No, może troszkę - uśmiechnęła się. - Ale tylko dla pana.

- Wdzięczność moja nie zna granic.

- Można przyjąć, że morderca domaga się potwierdzenia swojej wartości. To ktoś o niespełnionych nadziejach.

Cholernie ambitny. Pisarza, badacza, muzyka, aktora raczej bym wykluczyła ze względu na sposób zadania ciosów. I ten żwir mi nie pasuje. To może być ktoś związany z kulturą fizyczną. Może nawet ze sportem wyczynowym. Sprawca uważa, że zasługiwał na więcej, a został skrzywdzony albo niedostrzeżony.

- Mści się?

- Za mało mam danych, żeby odpowiedzieć. Panie Danielu, może morderca w ogóle nie ma nic wspólnego ze sportem. Może to przedsiębiorca, który wziął odwet, bo w jego przekonaniu został przez pańskich kolegów poniżony na łamach gazety. Dlatego mógł zginać Kostrzyński. Ale przecież Bojanew nie pisał o ekonomii. Chyba że...

- Co, chyba że?

- Chyba że odkrył jakieś powiązania między przedsiębiorcami i właścicielami klubów sportowych - dokończyła myśl, która zniemacka wpadła jej do głowy.

- Nie sądzi pani, że ktoś taki najpierw by zadzwonił i go postraszył

albo napisał list pełen ostrzeżeń czy nawet gróźb?

- Mordercy bardzo rzadko dzwonią do swoich ofiar. Jeszcze rzadziej piszą listy. Przyznam, że z czymś takim dotąd się nie spotkałam. A co, może policja natrafiła na korespondencję? To byłby ewenement wart odnotowania.

- Na biurku przy głowie Michała Kostrzyńskiego leżała kartka z tekstem „Trzeba było słuchać”. Tak to mniej więcej brzmiało.

- Zaplanowane usprawiedliwienie swojego czynu - stwierdziła psycholożka. - I pewnie na kartce nie było śladów linii papilarnych.

Daniel przytaknął, chociaż akurat tego nie był pewien. Oczywiście rozmawiał na ten temat z Iloną Mrozińską, ale nie przypominał sobie, żeby komisarz zdecydowanie odpowiedziała na jego pytanie.

- Ta kartka to nic ważnego, najwyżej poszlaka, a nie dowód. Przy dzisiejszej technizacji życia policja ma coraz trudniejsze zadania - powiedziała. - Panie Danielu, jeśli coś przyjdzie mi do głowy, natychmiast skontaktuję się z panem. Teraz muszę pędzić na wykład. Już jestem spóźniona.

- Wierzę, że coś pani doktor przyjdzie...

- A jak się panu układa z nową wicenaczelną? - spytała, zatrzymując się w drzwiach.

Daniel nie wiedział, jak się zachować. Przecież nie powie, że źle, a nawet fatalnie. Oniemiały stał z otwartymi ustami.

- Przez osiem lat w bloku mieszkaliśmy po sąsiedzku. Wiem, czego się po niej spodziewać. Największemu wrogowi nie życzę takiego sąsiedztwa. I zwierzchnictwa - dodała, jakby go podziwiała.

Zielonagóra, ul. Urszuli, piątek, przedpołudnie

Na zagracone podwórze wjechało szare, okurzone bmw i zatrzymało się tuż przed szeroko otwartymi wrotami warsztatu. Z samochodu wysiadł mężczyzna średniego wzrostu, z posiwiałymi wąsami opadającymi ku kącikom ust, w dżinsach, pistacjowym kitlu i białych

drewniakach. Facet nie pasuje do takiego wozu, orzekł czeladnik i przestał wymieniać olej w golfie. Zgięty w kabłąk przypatrywał się, dokąd ten dziwak, jak go przezwiał w myślach, pójdzie. Już chciał krzyknąć, żeby skręcił w prawo, gdzie w kantorku znajdzie szefa, gdy Kwiek otworzył okno i zawołał:

- Dziś nie da rady! Przyjdź pan po niedzieli!

- Mistrzu, mnie się nie spieszy - odpowiedział mężczyzna tak ciepłym głosem, że Kwiek zaniemówił.

Właściciel warsztatu rozdziawił usta i gapił się na niego. Nawet nie słyszał podskakującej komórki na stoliku.

- Przed wieczorem szefowa ma mnie zabrać swoim autem na sympozjum medycyny sądowej koło Popradu. W kraju nie będzie mnie caluteńki tydzień. Mam nadzieję, mistrzu, że tyle czasu wystarczy na wymianę klocków i gruntowny przegląd, szczególnie pod kątem bezpieczeństwa. Po powrocie z sympozjum chcę mieć wóz wycackany, mistrzu, bo wiozę żonę i córkę na wyspę Cres w Chorwacji. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Pogonowski. Pracuję na uniwersytecie - dodał, bo to zazwyczaj mu pomagało.

Kwiek niemal stanął na baczność. Kiedyś sędziowie, adwokaci, lekarze, profesorowie, a nawet księża przyjeżdżali pod bramę i pytali, czy mogą wejść na podwórze. Nadskakiwali, mizdrzyli się, przewracali oczami, kadzili Kwiekowi, że drugiego tak wziętego fachowca nie ma w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Niektórzy nawet tytułowali go inżynierem. W zeszłym roku, gdy Pastwa wymazał jego nazwisko z szyldu przy wjeździe do komisju, w warsztacie jak nożem uciął. Czasem pojawi się kobieta za kierownicą albo ktoś zabłąkany w garniturze, ale już nie to, co było dawniej, gdy Kwiek czuł się ważniejszy od prezydenta miasta.

- Ofajdolone że Boże drogi... Jak mogłem czymś tak brudnym jeździć - zganił się doktor. Rozejrzawszy się po podwórzu, stwierdził z żalem: - Szkoda, że nie ma myjni.

Kwiek zawstydział się i już chciał coś powiedzieć na swoją obronę, bo nie lubił przegrywać, gdy Pogonowski dodał:

- Po przeglądzie proszę podjechać na myjnię i tak je wypucować, żeby było jak nówka.

- Do usług szanownego pana doktora! - zawołał właściciel warsztatu, schylając głowę.

Takiego szefa czeladnik dawno nie widział. Kiedyś, gdy dzień i noc tyrali mechanicy, a mimo to kolejka klientów nie kurczyła się, Kwiek chodził roześmiany od ucha do ucha. Ale gdyby czeladnik miał przed sobą takiego klienta, pewnie też zapomniąłby, gdzie jest.

Kwiek chciał powiedzieć, że skoro doktor Pogonowski aż za tydzień wróci po samochód, to powinien podać numer komórki i zostawić jakiś dokument. Najlepiej dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. Zdarzało się, że policjanci szukali kradzionego samochodu w jego warsztacie. Gdyby chodziło o coś popularnego, machnąłby ręką, ale przecież niewiele bmw tego modelu spotyka się w Zielonejgórze.

- Na wszelki wypadek. Proszę. - Z tylnej kieszeni dzinsów Pogonowski wyjął sfatygowany dowód rejestracyjny i z kieszonki na piersi kitla wizytówkę. - Zapisałem stan licznika - ostrzegł Kwieka, starając się przypomnieć sobie, gdzie go spotkał. Nie wygląda na takiego, który zaczął studia medyczne i ze względu na brak funduszy przerwał je lub powinęła mu się noga. To raczej prosty mechanik, najwyżej po zawodówce. Miał zamiar spytać, skąd go zna, bo dałby sobie rękę uciąć, że gdzieś się widzieli, ale zrezygnował. - Zwykle korzystam z usług warsztatu przy Dworcowej, niedaleko mojej szkoły Gladiatorium. W tym roku w lipcu zrobili sobie przerwę urlopową, czego nie przewidziałem, dlatego...

Słuchając doktora, Kwiek zdecydował, że do Berlina pojedzie jutro szarą beemwicą. Gdy tylko czeladnik skończy robotę, każe mu iść do domu. Sam wymieni klocki hamulcowe, wyłączy licznik, żeby doktor nie miał podstaw egzaminować go, dlaczego tak daleko jeździł, sprawdzi, czy w szafie ma takie tablice rejestracyjne, które będą odpowiednie dla luksusowego auta.

- Oczywiście za usługę mogę zapłacić kartą - bardziej stwierdził niż zapytał Pogonowski.

Kwiek chciał powiedzieć, że musi dostosowywać się do sytuacji, w przeciwnym razie konkurencja zajmie jego miejsce, ale tylko przytaknął głową.

Doktor podciągnął rękaw kitla i zerknąwszy na zegarek, spytał:

- Czy mógłby mistrz wezwać taksówkę?

- Podrzucę pana osobiście. Daleko jedziemy?

- Do szpitala uniwersyteckiego. Na Zyty. Za kwadrans rozpoczynam zajęcia z rezydentami. - Pogonowski starał się dokładnie odwracać kartki pamięci w swojej głowie, ale nie mógł natrafić na tę, która by mu przypomniwała miejsce, gdzie spotkał Kwieka. Jego uwagę zwrócił nosowy głos mechanika. Taki dźwięk wydają osoby ze złamaną i źle zoperowaną przegrodą.

- Jedziemy, doktorze - powiedział Kwiek, zapraszając Pogonowskiego na miejsce pasażera w bmw.

- Szeffie, zaraz skończę. Mam brać się za passata czy czekać, aż szef wróci i robić beemkę? - spytał czeladnik.

- Przebierz się i hajda do domciu. Dziś możesz iść na piwo. Zasłużyłeś.

Zielonagóra, ul. Wąska, piątek, przedpołudnie

Dziwne. Po prostu dziwne, żeby nie móc ruszyć z miejsca. Tyle hipotez i żadna nie pasuje. Gdzie wetknę rękę, zero, a Ostrouchy naciska, bo czas leci, pożalił się sam przed sobą Araszkiewicz, gdy Karolina wyszła z pokoju. Kazał jej przeanalizować listy billingowe komórek Kostrzyńskiego i Bojanewa.

- Zawsze wykonuję twoje polecenia, Tedi - powiedziała trochę zalotnie, oczekując bardziej komplementu niż pochwały, ale jemu to nie przyszło do głowy.

-I?

- Najczęściej kontaktowały się z nimi żony, co zrozumiało. W ostatnich dwóch tygodniach Inga Kostrzyńska dzwoniła do Michała nawet po kilka razy dziennie. Pani Bojanewa robiła to rzadziej. Te

połączenia odrzuciłam. Na billingu komórki Michała tylko jeden numer powtórzył się dwa razy. Były to krótkie rozmowy ze stacjonarnym referatu analiz urzędu kontroli skarbowej. Tam pracuje jego kolega.

- Bojanew?

- Tu miałam co robić. Było po kilka połączeń przychodzących od prezesów koszykarzy i piłkarzy Stelmetu. Łączyli się z nim menedżerowie klubów z Gdyni, Sopotu i Przemyśla. Niemal codziennie odbywał rozmowy z dyrektorem Gardockim. Najdłuższa trwała blisko pół godziny. Ponadto pojedyncze kontakty. Połączenia wychodzące w zasadzie z tymi samymi numerami. Dodatkowo sześć razy dzwonił do Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Ostatnie połączenie było wieczorem dzień przed wypadkiem z numerem w Zielonejgórze.

- Esemesy?

- Zwyczajne.

- Czyli nadal nie mamy nic. A prokurator Ostrouchy obudził się i atakuje, bo pewnie i jego przyciskają.

Powinno tu przyjechać paru facetów z jajami i wziąć obie sprawy w garść, pomyślał Araszkiwicz. Choćbym kombinował dzień i noc, to swoje możliwości wyczerpałem. Syski mógłby mi coś podpowiedzieć, pomóc jak starszy mniej doświadczonemu koledze, ale on na chorobowym nie wtrąca się do służby. Pewnie po powrocie do wydziału zechce udowodnić, że jest niezastąpiony. Skurczybyk chce mieć mocne wejście.

Zielonagóra, al. Niepodległości, piątek, samo południe

W jaki sposób stażysta dostał się do głównego komputera w redakcji, Daniel nie chciał wiedzieć. Interesowało go jedynie, czy znalazł jakieś ślady, po których Araszkiwicz mógłby trafić do mordercy Kostrzyńskiego i Bojanewa. Obiecał Syskiemu, że pomoże aspirantowi i starał się dotrzymać słowa. To teraz było najważniejsze. Prawdę mówiąc, liczył na to, że jeszcze raz zagra na nosie prokuratorowi i jego

stronnikom z legitymacjami Porozumienia Demokratycznych Obywateli.

Ile razy spotykał prokuratora nadzorującego śledztwa kryminalne, tyle razy przypominała mu się literacka obserwacja Gogola: „Jeden tam tylko jest porządny człowiek - prokurator, ale i ten, prawdę mówiąc, Świnia”. Od połowy dziewiętnastego wieku, kiedy Nikołaj Wasiljewicz stworzył *Martwe dusze*, niewiele zmieniła się opinia o tym urzędzie.

- Niczego ważnego Bojan nie ukrył. Notatkami i gotowymi tekstami nie będę szefowi głowy zawracać. Ponadto natrafiłem na spis adresów meilowych. Po mojemu same oficjalne. Szukałem kontaktów prywatnych, niestety, w tym temacie dupa błada.

- Gdzie ty, kandydacie na następcę Adama Bukowskiego...

- A kto to taki?

- Dziennikarz śledczy, bohater cyklu powieściowego Marka Harnego, mojego kolegi po piórze z Krakowa, laureata prestiżowej Nagrody Wielkiego Kalibru - odpowiedział Jung, nie przyznając, że z Harnym nigdy się nie spotkał, a zawsze rozmawiał z nim w sieci tak, jakby wypili morze wódki. - Kamil, gdzie zapisujesz numery ważnych telefonów?

- Na komórce. A gdzie?

- Pewnie również i Bojan wszystkie swoje tajemnice trzymał w telefonie.

Araszkiewicz nie powiedział wprost, tylko dał do zrozumienia Jungowi, że policyjni informatycy, którzy badali laptop i smartfon Bojanewa, nie znaleźli niczego, co mogłoby zaciekawić śledczych. Prokurator Ostrouchy nawet nie zerknął na protokół.

- Czyżby kierownik działu sportowego nie dostawał listów od czytelników? Nikt go nie atakował? Nie chwalił?

- spytał Daniel i sam sobie odpowiedział: - Akurat w to nie wierzę. - Po chwili dodał, jakby coś sobie przypomniał: - Na pewno ci w gorącej wodzie kąpani dzwoniли, rzucali kurwami, wymyślali Bojanowi od najgorszych. Tak było, jest i będzie do końca istnienia gazet. A musieli być i tacy, którzy pisali klasyczne listy. Starsi ręcznie, a młodszy na komputerze.

- No - mruknął Kamil.

- Wierzysz w to, że Bojan nie dostawał anonimów? Ze jego nie mdlił lobbing, mobbing, fund-raising i te wszystkie chwyt marketingowe, od których język martwieje? Od kiedy zlikwidowano analfabetyzm, upowszechniono telefony i wprowadzono internet, żaden dziennikarz nie żyje pod kloszem, a Polska nie jest bezludną wyspą.

Kamil nie wiedział, co odpowiedzieć. Anonim wysłany drogą elektroniczną nie jest anonimem nawet wtedy, jeśli jego autor nie poda nazwiska i swojego adresu. W sieci zawsze zostaje ślad. Na żądanie prokuratora operator musi ujawnić historię połączeń. Ponadto skoro policyjni fachowcy badali laptop, to na pewno wyłapali coś, co wydawało im się podejrzanym. A może tak go przeglądali, żeby niczego nie znaleźć?

Jeszcze niedawno w redakcji był dział łączności z czytelnikami. Każdy, kto nie umiał sobie poradzić z czymś albo kogo lekceważyli urzędnicy, zalił się dziennikarzowi dyżurującemu na parterze. Bożejko zaraz po tym, jak stał się właścicielem „Gazety Zielonogórskiej” kazał zwolnić co czwartego dziennikarza i zamknąć ów dział. Twierdził, że nie po to kupił gazetę, żeby dopłacać do utrzymywania prawnika, psychologa, finansowca, inspektora pracy czy doradcę zawodowego, z którymi sprawy były konsultowane. Podczas pierwszego spotkania, ledwie dziennikarze zaczęli bronić nawyków czytelników, nowy właściciel oświadczył, że nie interesuje go, w jaki sposób zdobywają informacje. Płaci i wymaga. Liczą się przede wszystkim ci, którzy kupują gazetę. Z tymi, którzy przyzwyczaili się do zawracania głowy dziennikarzom i z byle sprawą pędzą do redakcji, niech rozmawia ochroniarz. Teraz takie czasy, że najważniejsi są reklamodawcy.

- Wyraźnie maleje liczba tradycyjnych listów - potwierdziła Magda, która robi w redakcji to, czego nikt nie ma w umowie o pracę. Pamięta nawet o tym, kto i kiedy świętuje imieniny czy dostał nagrodę i dlatego naczelna powinna złożyć mu powinszowania. - Ci, którzy pisali dawniej, nadal piszą. W każdej sprawie i do każdego. Naczelna uważa, że jeśli na artykuł nie zareagował żaden czytelnik, to należy go uznać za ogłoszenie.

Nowych autorów da się szybko policzyć. - Rozcapierzyła palce prawej dłoni.

- Czy do mnie także przychodzą listy od czytelników? - spytał Daniel zaskoczony tym, co usłyszał. Magda kiwnęła głową i uśmiechnęła się, zdaniem Kamila, kokieteryjnie. - A dlaczego ja ich nie otrzymuję?

- Jeśli na kopercie jest imię i nazwisko dziennikarza, list wkładam do jego przegródki. - Pokazała na półkę wiszącą przy drzwiach. - Listy bez wyraźnego adresata, chociaż dotyczące konkretnych tekstów, przekazuję kierownikowi działu kadr. Taki obieg korespondencji nakazała pani redaktor naczelna.

- Dlaczego korespondencja czytelników z dziennikarzami miałyby interesować kadrowca? - zaciekawił się Kamil.

Magda puściła do niego oko, jakby ostrzegała, że w redakcji są sprawy, o których lepiej nie mówić.

Ona jest naprawdę atrakcyjna, pomyślał Daniel. Dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż? A może ona i Kamil są parą? Otaksował stażystę pytającym wzrokiem.

- Pan Szmit... - zamilkła, aby po namyśle wyjaśnić - je skanuje. Dane o każdej osobie ma w komputerze. Oryginały wkłada do teczek personalnych.

- Zęby w razie czego mieć haka na człowieka. Esbecka metoda zniewalania ludzi.

Magda znowu puściła oko do Kamila i chwilę później przeniosła spojrzenie na Daniela, jakby w ten sposób potwierdzała to, co powiedział.

Przez niedomknięte drzwi wicenaczelną słyszała rozmowę Magdy z Danielem i Kamilem. W komórce odnalazła numer do Szmita i wcisnęła zieloną ikonkę, a kiedy się odezwał, rzuciła pospiesznie:

- Ten Jung znowu coś wywahał. Nie wiem, o co mu chodzi. Przygotuj się na niezapowiedzianą wizytę, tak. Za kilka minut będzie u ciebie. - Wyłączyła telefon, bo wydawało jej się, że sekretarka stoi tuż za drzwiami i tylko czeka, kiedy ona skończy rozmowę.

*Zielonagóra, al. Niepodległości,
piątek, wczesne popołudnie*

- Po pierwsze ten, kto ma zamiar wejść do mojego gabinetu, puka. Po drugie jestem zajęty. Serdecznie zapraszam panów później, powiedzmy w poniedziałek - zaczął Szmit, przyklepiwszy wzrok do papierów rozłożonych na biurku, jakby tym chciał dowieść Danielowi i Kamilowi, że mówi prawdę.

- Co się dzieje z listami, które przychodzą do redakcji od czytelników?
- zdecydowanym głosem spytał Jung, nie zważając na prośbę kadrowca.

- Słyszał redaktor, że jestem zajęty?

- Co się dzieje z listami, które przychodzą do redakcji od czytelników?

- Nie jest redaktor moim przełożonym, żeby mnie przesłuchiwać.

- Co się dzieje z listami, które przychodzą do redakcji od czytelników?
- Daniel nie ustępował, starając się zachować spokój.

Szmit podniósł się zza biurka, poprawił krawat i zapiął marynarkę. Model biuralisty tak samo niezniszczalny jak wzorec metra przechowywanego pod szklaną kopułą w Sèvres koło Paryża, ocenił go Kamil.

- Zgodnie z ustaloną praktyką wszystkie listy są przechowywane w podręcznym archiwum redakcji, tak. - Szmit sięgnął po leżące na biurku okulary, a z dyplomatkę opartej o fotel wyjął wiązkę kluczy i wybrał z niej jeden, po czym wetknął go do zamka szafy pancernej i rozwarł drzwi szeroko. - Widzi redaktor? Zanim usłyszę kolejne pytanie, wyjaśniam, że anonimy i listy bez określonych adresatów po pięciu latach są komisyjnie niszczone. Inne pozostają w teczkach tak długo, aż przestaną być potrzebne.

- Dlaczego pan nie przekazuje ich dziennikarzom? Przecież po to czytelnicy piszą listy, żeby gazeta je drukowała i na nie odpowiadała.

- Są drukowane. Oczywiście nie wszystkie, a jedynie te, których autorzy zgadzają się z poglądami dziennikarzy i linią programową wydawcy, tak. Krytyczne pozostają do naszej wiadomości.

- Naszej, czyli czyjej? Pana?

Szmit zrozumiał, że się zagalopował.

- Redaktorze - podniósł oczy na Daniela. - W zasadzie jestem jedynym czytelnikiem listów o treści polemicznej. No, może czasem sekretarka też je czyta. Człowiek - teraz zwrócił się bardziej do Kamila niż do Junga - który mniej wie, również mniej cierpi. A czyżby któregoś z redaktorów naprawdę interesowało to, co czytelnicy piszą o ich tekstach?

- Innym razem. Dziś interesują nas listy adresowane do Kostrzyńskiego i Bojanewa - odpowiedział Jung, robiąc krok w stronę szafy.

- Rozumiem, że redaktor prowadzi dziennikarskie śledztwo w sprawie tragicznej śmierci obu kolegów - powiedział Szmit, wracając za biurko.

Daniel kiwnął głową.

- A czy redaktor ma upoważnienie naczelnej lub pani doktor Chudy do zapoznania się z treścią listów?

- Panie...

- Bez pisemnej decyzji przełożonej lub prawomocnej decyzji sądu, tak, nikomu nie mam prawa udostępnić korespondencji przychodzącej do redakcji. Nawet dziennikarzowi śledczemu. *Dura lex, sed lex*, co znaczy, redaktorze, twarde prawo, ale prawo.

Daniel pomyślał, że przecież Szmit go nie zastrzeli, jeśli bez jego zgody wyciągnie teczkę dotyczącą Bojanewa.

Właśnie zrobił krok, gdy kadrowiec zorientował się, jaki ma zamiar, wstał i sięgnął po odpowiedni segregator.

- Proszę bardzo, ale do wglądu wyłącznie w moim gabinecie. Gdybym jednak był na miejscu redaktora, najpierw poprosiłbym o swoją teczkę. Dopiero tam jest co czytać. - Kadrowiec uśmiechnął się cynicznie do Daniela. - Dość dużo i w miarę szczegółowo. Na przykład o odwiedzinach żony pana Libery w ich domu. Oczywiście pod nieobecność jej męża. Albo o wizytach u doktor habilitowanej Grażyny N. na osiedlu Malarzy. O spotkaniach z naszą sekretarką Magdą.

- Kto raz został ubekiem, jest nim nawet wtedy, kiedy święstwa ubecji interesują tylko historyków.

Szmit otworzył usta, ale tylko machnął ręką, jakby nie wiedział, co powiedzieć, żeby nie wyjść na takiego, który tłumaczy się przy stażystce. Tego Jungowi nie daruje.

Zielonagóra, ul. Wazów, piątek, popołudnie

Od zeszłorocznego października, kiedy aspirant Araszkiewicz odwiedzał komisarza Syskiego i się go radził, jak rozwiązać zagadkę wisielczej śmierci doktora Mucha, jego noga nie przekroczyła progu polikliniki. Przed Bożym Narodzeniem koledzy z wydziału gorączkowali z powodu grypy albo symulowali chorobę, żeby dostać zwolnienie na święta i z rodziną gdzieś wyjechać, a jemu nic nie dolegało. Gdyby nie to, że jedną nerkę oddał starszemu bratu, mógłby być pokazywany studentom medycyny jako okaz zdrowia. Do polikliniki przyjdzie dopiero na początku września i też nie z własnej woli. Po prostu wtedy przypada termin obowiązkowego badania okresowego. Zresztą nie musi o nim pamiętać, bo kadrowiec wywiesi listę przy dyżurce i każe sekretarce rozdać skierowania.

Aspirant nie chciał przez telefon uprzedzać Ilony Mrozińskiej o planowanych odwiedzinach, więc nie wiedział, w której sali leży komisarz. Portier wyjaśnił, że jak ze złamaną nogą, to musi być na ortopedii, czyli na szóstym piętrze, dokąd można się dostać jedynie windą. Z treści tablicy informacyjnej nie wywnioskował, gdzie znajdują się kobiety, a nie miał kogo spytać. Drzwi do większości sal były szeroko otwarte. Wtykał w nie głowę i wpatrywał się w osoby leżące na łóżkach.

- Do mnie? - usłyszał znajomy niski głos mężczyzny.

Jezu, komendant! Na przeproszenie i wycofanie się było za późno, więc Araszkiewicz przyznał, że idzie do chorej koleżanki z wydziału, a ponieważ nie wie, w której sali ona leży, zagłąda wszędzie. Zresztą ortopedia w poliklinice to nie centrum urazowe w szpitalu uniwersyteckim. Nagle przyszło mu na myśl, że to za mało i powinien jeszcze coś powiedzieć.

- Zanim odwiedzę koleżankę... skoro jestem w poliklinice, prawda, pomyślałem, że spytam pana inspektora o zdrowie - kłamał, czując, że się poci.

- Z kwiatami? Dziękuję! - Komendant lekko się uśmiechnął. Araszkiwicz pierwszy raz widział radość w jego oczach. Choroba zmienia ludzi, przyszło mu na myśl. - A ta koleżanka... ?

- Komisarz Ilona Mrozińska.

- Ta, co jest naczelnikiem naszego wydziału kryminalnego? - spytał komendant. Araszkiwicz przytaknął i stanął niemal na baczność. - Ona też leży na ortopedii? - Aspirant kiwnął głową. - I może jak ja spadła ze schodów w komendzie? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Z tymi schodami trzeba coś zrobić. Żeby dwie osoby...

- Komisarz Mrozińska uległa wypadkowi w trakcie wykonywania zadania służbowego w terenie - powiedział Araszkiwicz oficjalnym tonem. Spodziewając się, że komendant zacznie dopytywać o szczegóły, opowiedział, co się wydarzyło na drodze.

- W takim razie idźcie do niej. Kiedy lekarze pozwolą mi wstawać z łóżka, też ją odwiedzę. A tak przy okazji, doszły mnie słuchy, że komisarz Ilona ma zamiar przejść na emeryturę. Zwolni się stanowisko naczelnika wydziału kryminalnego.

- Przecież komisarz Syski wraca z chorobowego - przypomniał mu Araszkiwicz.

- Zanim pójdziecie, mam do was, kolego aspirancie, prośbę. Kupcie mi lody.

- Lody? To znaczy zwyczajne lody? Takie jak dla dzieci?

- Gorąco, pić się chce - wyjaśnił inspektor. Dopiero teraz Araszkiwicz zauważył, że komendant ma spoconą twarz. - Mnie, cholera, nikt nie odwiedza. Zona przyjedzie w sobotę albo w niedzielę z Gorzowa. Nie ma już urlopu, a pracuje w gabinecie prezydenta miasta.

*Zielonagóra, dl. Niepodległości,
piątek, popołudnie*

Pomimo iż docent Pastwa uważa się za rodowitego zielonogórzanina, nawet gdy był wicedyrektorem fabryki sprzęgieł w Kozuchowie, nie przekroczył progu redakcji „Gazety Zielonogórskiej”. Wtedy wydawało mu się, że to budynek, do którego tacy jak on nie mają wstępu. Do dziennikarzy spotykanych podczas konferencji nigdy nie podchodził, gdyż uważał ich za osoby z odległego świata. Tak samo myślał o ministrze, wojewodzie, biskupie, a nawet o burmistrzu. Teraz nie kupuje gazet, a o tym, co się dzieje w Polsce i na świecie, dowiaduje się z internetu, zresztą jak niemal wszyscy adiunkci, asystenci i studenci. Chociaż co do studentów nie miał pewności. Czasem wydaje mu się, że młodzi nie zaglądają nawet do uczelnianej gazetki, specjalnie dla nich przygotowywanej przez doktorantów z polonistyki i politologii.

Wczoraj wieczorem w okienku wyszukiwarki wpisał hasło „gazeta zielonogórska”, a kiedy wyświetlił stronę, w zakładce „kontakt z redakcją” znalazł nie tylko imiona, nazwiska, numery komórek, meile, ale i podobizny dziennikarzy. Brakowało jedynie informacji o zastępczyni redaktorki naczelnej, a on chciał sprawdzić, czy to na pewno ta sama doktor Monika Chuda, którą widywał w bufecie uniwersyteckim. Do rozmów najeżonych trudnościami zawsze starał się przygotować. Nie wiedział, co odpowie, jeśli wicenaczelną spyta, czy jego syn ma doświadczenie dziennikarskie i dlaczego nie on sam, tylko Pastwa przyszedł z propozycją do redakcji?

Chuda nie spytała o syna. Patrzyła na Pastwę obojętnym wzrokiem. Pomyślał, że dziennikarstwo wciąż jest tylko dla wybranych albo wicenaczelną ma coś ważniejszego na głowie i dlatego go lekceważy. Dziwne zachowanie, bo godzinę spotkania sama wyznaczyła. Z tego powodu przesunął dzisiejszy wykład dla studentów zaocznych na jutrzejszy wczesny ranek. Nikt nie przyjdzie, ale czy to jego wina?

Pastwa powiedział, że jest tym samym biegłym sądowym, którego widziała na obwodnicy miasta zeszłej soboty przed południem. Chuda

nie zareagowała, więc dodał, że w niedzielę zmieni kilka zdań w ostatecznej opinii o przyczynie wypadku, a doszedł do ciekawych wniosków. Jeśli redakcja jest zainteresowana, udostępni materiał do wykorzystania w publikacji. Najlepiej w formie rozmowy autoryzowanej. Niestety tą propozycją również nie zainteresował wicenaczelną. Dopiero kiedy wspomniał, że oprócz pracy naukowej na uniwersytecie, badania przyczyn zdarzeń komunikacyjnych, egzaminowania kierowców, opiniowania projektów budowy dróg, mostów i wiaduktów, jest współwłaścicielem komisji samochodowego Pastwa & Pastwa, Chuda wyprostowała się w fotelu.

- Tego za stadionem przy Szosie Wrocławskiej, tak?

- Jak zakładałem komisję, do spółki przyjąłem byłego żużlowca, niejakiego Kwieka. Powiedziały jaskółki, że najgorsze są spółki - roześmiał się. - Dzięki Bogu udało mi się go pozbyć, co nie znaczy, że jestem jedynym właścicielem firmy. Teraz prowadzę ją razem z żoną.

- I taki współnik dał się panu docentowi wygrzyźć? - spytała Chuda, przybierając gniewną minę. Kwiek nigdy jej się nie pochwalił, że był współwłaścicielem komisji za stadionem. Przywoził używane samochody z Niemiec, remontował je w swoim warsztacie przy Urszuli i sprzedawał od ręki. Kilka razy prosiła, żeby i jej sprowadził coś nowoczesnego, co jej nie zrujnuje. Obiecał, ale słowa nie dotrzymał, a potem kłamał, że niczego odpowiedniego na jej kieszeń nie znalazł. Mogła przecież płacić w ratach. - Przekonał się pan docent, że Kwiek to lepszy cwaniaczek? Generalnie rzecz biorąc, dla pieniędzy jest gotów zabić własną matkę, tak?

Zamiast natychmiast odpowiedzieć, Pastwa westchnęła i po chwili namysłu rzekła:

- Nasza firma mogłaby współpracować z gazetą.

- Współpracować? Jak pan docent to sobie wyobraża? - Nareszcie Chuda się otrząsnęła.

- Nasza firma mogłaby dostarczać więcej ogłoszeń motoryzacyjnych.

- Generalnie rzecz biorąc, w jakim celu?

- Gazety... radio i telewizja też. W ogóle media żyją przede wszystkim

z opłat za ogłoszenia i reklamy. Im więcej miejsca zajmują ogłoszenia, tym większy zysk ma wydawca, prawda?

- Generalnie nie zaprzeczam i nie potwierdzam, tak. Czy pan usiłuje mnie przekupić? Skorumpować? W takim razie powinnam...

- Broń Boże, pani doktor. Zasadnicza forma handlu samochodami używanymi to możliwość zapoznania się z ofertą na placu. Formy uzupełniające wiążą się z umieszczaniem informacji o asortymencie w środkach masowego przekazu, w naszej sytuacji chodzi o internet i gazety. Mamy umowę z „Wyborczą”, ale moglibyśmy znaleźć jakiś powód i ją zerwać.

- Czego pan docent oczekuje w zamian?

Niech się dzieje, co chce, powiedział w myślach Pastwa.

- Po jakże tragicznej śmierci redaktora Bojanewa powstał wakat w dziale sportowym. Mój starszy syn chciałby być dziennikarzem - wydusił z siebie, nie patrząc na Chudą. Po chwili dodał pewniejszym głosem: - Oczywiście nic za darmo, pani doktor. Jak zaznaczyłem, nasza firma będzie dawała ogłoszenia dotyczące oferowanego przez nas asortymentu.

- Może odpowiem w ten sposób, że nie ja podejmuję decyzje personalne, panie docencie, tak - oświadczyła wicenaczelną. - W tym momencie proszę zostawić swoją wizytówkę w sekretariacie lub podać asystentce numer telefonu kontaktowego. Nasz kadrowiec zadzwoni do pana lub do syna, tak.

- Kiedy można się spodziewać odpowiedzi?

- Wydaje mi się, że w najbliższym czasie.

- A wywiad dotyczący przyczyny wypadku...

Chuda nie pozwoliła mu dokończyć.

- Dziękuję, że mi pan docent złożył wizytę - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Któregoś najbliższego dnia zadzwonię do pana w sprawie prywatnej. Jestem bowiem zainteresowana zakupem niezbyt drogiego, za to w miarę reprezentacyjnego pojazdu osobowego, tak?

- Czy ma pani na myśli konkretną markę?

- Jeszcze użytkuję sportową astrę. Marzy mi się, panie docencie, coś nowego, tak, na przykład porsche carrera. Można powiedzieć, że

interesuje mnie jedynie biały metalik *grand prix ivhite*.

Drapiąc się po łysinie, docent westchnął, po czym powiedział:

- O taki kolor karoserii będzie trudno, nawet bardzo trudno, ale przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Któryś z moich współpracowników dostanie zadanie i... na pewno da się sprawę załatwić. Jak pani doktor się zdecyduje, to proszę o telefon. - Pastwa położył na biurku swoją wizytówkę.

- Odpowiem w ten sposób, że już się zdecydowałam, panie docencie. - Chuda uśmiechnęła się z ukontentowaniem. Pod koniec sierpnia będzie świętowała swoje imieniny. Neimann na pewno spyta, jaki prezent sprawi jej największą radość. Wie, co odpowie. - A temat miejsca dla syna w redakcji - znowu się uśmiechnęła - uważam za zamknięty, tak. W tym momencie niech pan docent będzie dobrej myśli.

- *Wie du mir, so ich dir! Wie man in den Wald hineinruft, so schallt es heraus* - popisał się znajomością niemieckiego, a ponieważ Chuda zrobiła pytającą minę, wytłumaczył, że staż naukowy odbywał na uniwersytecie w Ilmenau. - *Wie du mir, so ich dir* to tyle samo, co jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

- Dokładnie, panie docencie. Dokładnie.

*Zielonagóra, al. Wojska Polskiego,
piątek, późne popołudnie*

Od przedpołudniowego spotkania z Danielem Jungiem doktor Libera zastanawiała się, jak mu pomóc. Naprawdę chciała być przydatna, tym bardziej że czuła się jego dłużniczką. Jeśli przyjąć, że Kostrzyński zginął przypadkowo, a to wzięła pod uwagę policja, to nic jego śmierci nie łączy z wypadkiem Bojanewa na obwodnicy miasta. Z kryminalnego punktu widzenia są to dwie różne sprawy. Z psychologicznego także. Najlepszy profiler też będzie bezradny. Chociaż może nie. Doszuka się czegoś, co łączyło obu dziennikarzy. Przecież Kostrzyński i Bojanew nie żyli na dwóch odległych krańcach Polski. Skoro pracowali w tej samej

redakcji, to musieli się widywać na korytarzu, chodzili na zebrania, pewnie rozmawiali, żartowali. A może spotykali się w klubie dziennikarza przy piwie. Nie byli sobie obcy, skoro Kostrzyński nie odmówił Bojanewowi, gdy ten poprosił go, żeby przeniósł się do pokoju sportowców i dyżurował przy telefonie. Na to zwróciła uwagę komisarz Mrozińska.

Mogło też być inaczej. To znaczy morderca zaplanował, że w czwartek zabije Kostrzyńskiego i w sobotę spowoduje wypadek Bojanewa. To kolejna z hipotez.

- Te dwie osoby zginęły w krótkim odstępie czasu - powiedziała do Daniela, gdy na jej prośbę w drodze z redakcji do domu wpadł do uczelnianej pracowni.

- Śmierć moich kolegów dzielą dwa dni.

- I później nie było żadnych zabójstw.

- I później nie było żadnych zabójstw - powtórzył Daniel tonem lekko ironicznym, co doktor Libera dostrzegła.

- Można przyjąć, że morderca miał plan i był pewien jego wykonania. To by, hmm, to by wskazywało... Chociaż nie. A może jednak? To by wskazywało, że osiągnął cel. Ze chodziło mu o pozbawienie życia Bojanewa.

- Tak to wygląda.

- Panie Danielu, zastanawia mnie, dlaczego zabił jednego i doprowadził do wypadku drugiego. Musiał mieć jakiś powód. Nikt nie zabija bez powodu.

- Psychopata?

- To bezzwzględny drań z kategorii tych, co to po trupach, ale ich musi być na wierzchu.

- Zasada stosowana często przez tak zwanych polityków. Tylko że ani Michał, ani Bojan nie mieli ambicji władczych i nikomu nie zagrażali.

Kobieta teraz rozmyślała nad odbytą rozmową. Gdyby jednak doszukiwać się jakichś cech wspólnych obu denatów? Trzeba by zadać pytania ich kolegom i rodzinom. Na podstawie tego, co wiem od Daniela, nie stworzę portretu psychologicznego zabójcy, pomyślała.

Jedynie porównując podobieństwo fizyczne Bojanewa i Kostrzyńskiego, sposób bycia, hobby, jestem w stanie naszkicować mglistą podobiznę sprawcy. Taką hipotetyczną improwizację.

- Ze zdjęć nie wynika, żeby byli podobni do siebie, ale to najmniej ważne. Coś innego mogło ich łączyć. Coś, co nie podobało się mordercy. Gdyby chociaż pracowali w tym samym dziale, mieli porównywalny sposób dociekania i przedstawiania tego w gazecie.

Jung powiedział jej, że Bojan to typowy felietonista. Trochę lekkoduch dziennikarski. Łatwo przychodziło mu pisanie. Michał natomiast miał cechy klasycznego publicysty z minionej epoki. Był aż za drętwy w tym, pod czym się podpisywał.

Swoją lekkością, a przede wszystkim odwagą wyrażania myśli Bojanew mógł denerwować szczególnie mniej wyrobionych czytelników. On powinien pisać w popołudniówce, a jeszcze lepiej w tabloidzie. Bojan niczego nie ukrywał. Walił prosto z mostu. Był wręcz wzorcowym cholerykiem. Takim, którego można pokazywać studentom medycyny. Michała Jung zaliczył do krzyżówki flegmatyka z melancholikiem, ale z przewagą pierwszego.

Barbara powinna się przyznać, że nie ma punktu zaczepienia. Na koniec rozmowy z dziennikarzem spytała:

- Wybierze się pan ze mną na kawę? - A gdy zaskoczony tą propozycją Daniel przytaknął, dodała: - Coś mi przyszło do głowy. To może być bardzo ważne - podkreśliła ostatnie słowa.

Zielonagóra, al. Niepodległości, piątek, wieczór

Dopiero na placyku za kościołem, gdzie był dziki parking, Pastwa się przestraszył. Niepotrzebnie dał słowo. Mógł powiedzieć, że zdobycie porsche *grand prix white* to bardzo trudna sprawa, a model carrera trafia do komisji rzadziej niż szóstka w totku i jeszcze się nie zdarzyło, żeby czekał na klienta dłużej niż godzinę. Oczywiście będzie się starał, ale półtora miesiąca to za mało, a syn nie powinien aż tak długo żyć

nadzieją na przyjęcie do pracy w redakcji. Żałował, że nie podpowiedział Chudej kupienia czegoś podobnego do porsche, na przykład jaguara albo maserati. Jesienią zeszłego roku żona doktora Ghanena też chciała mieć porsche carrerę. Pastwie udało się przekonać ją, że to najczęściej kradziony samochód i nie na polskie drogi. Za mniejsze pieniądze również można mieć auto, które będzie budziło podziw sąsiadów czy podwładnych. Ghanen dobrze zapłacił za srebrną hondę civic z podgrzewanymi fotelami.

Żeby chociaż był mniej stanowczy, a ja dałem słowo, zganił się Pastwa. Przecież nie pojedę do Kwieka i nie powiem, że jak było, tak było, trochę twojej winy, troszkę mojej... Musieliśmy się rozstać, ale zapomnijmy, co nas poróżniło. Nie ma ludzi absolutnie winnych i absolutnie niewinnych. Chodzimy do spowiedzi to i rozumiemy, że w każdym człowieku kryje się jakaś słabość. Nawet święci, zanim papież wyniósł ich na ołtarze, grzeszyli.

Pastwa nie powie, kto chce jeździć porsche carrerą, bo Kwiek znowu może go wykiwać. Dostałem zamówienie na sportowy wóz konkretnej marki. Porsche carrera *grandprix white*. Twoja głowa, jak to zdobędziesz. Zyskiem podzielimy się sprawiedliwie, to znaczy pół na pół. Ty najlepiej wiesz, gdzie w Niemczech takie cacko stoi. Ma się rozumieć, że musisz przebić numery silnika i nadwozia, usunąć wszystkie znaki szczególne. Zresztą robiłeś to tyle razy, więc nie ma potrzeby, żebym cię pouczał. Pastwa układał w głowie przebieg rozmowy.

A jeśli Kwiek się nie zgodzi?

Zielonagóra, os. Słoneczne, piątek, wieczór

Gdy wysiadł z windy, usłyszał dzwonek telefonu za drzwiami swojego mieszkania. Szybko wtykał klucze do zamków i przekręcał je, bo telefon wciąż dzwonił. Wydawało mu się, że otwieranie drzwi trwa za długo i ten, kto jest po drugiej stronie linii, nie będzie czekał. Może to Miśka?

Wiele razy zdarzało się, że niedługo po wyjeździe z domu telefonowała, bo zapomniała o czymś bardzo ważnym. Powinienem wymienić zamek mechaniczny na elektroniczny. Gdybym taki miał, wystarczyłoby przyłożenie karty do czytnika i drzwi otwarte.

- Proszę - rzucił do słuchawki trochę zdyszany.

- Czy mam przyjemność z panem Danielem Jungiem? - usłyszał wysoki głos.

- Słucham panią - powiedział. Dałby głowę, że po tamtej stronie jest znana mu Regina Zielińska, którą po wyrzuceniu z redakcji przyjął do pracy w agencji telemarketingowej zięć Kunickiego. Z litości.

- Pan Jung, a dawniej Sateck?

Odchrząknął, potwierdził i spytał:

- Z kim mam przyjemność? W jakiej sprawie?

- Dzwonię z upoważnienia firmy produkcyjnej Art-Gum-Pol.

Pomyślał, że znowu ktoś szuka naiwnych. Coraz częściej odzywał się telefon i ktoś po tamtej stronie przekonywał go, że ma szczęście, bo nadarza się wyjątkowa okazja. Pierwszy raz dał się nabrać kobiecie mówiącej z obcym akcentem. Informowała go, że znana na całym świecie firma produkująca doskonałe żyłki od kilku godzin ma przedstawicielstwo w Polsce. Dziesięciu pierwszych mężczyzn wybranych losowo przez komputer dostanie je za darmo, pod warunkiem że zapisze się do klubu użytkowników i przekaze kurierowi zaliczkę za następną przesyłkę. Kiedyś telemarketerka przekonywała Miśkę, że jeśli przez najbliższe dwa tygodnie będzie smarowała szyję kremem, podała jego nazwę, to ona gwarantuje efekt odmładzający.

Czy jest chociaż jedna kobieta w średnim wieku, która nie chce mieć gładkiej szyi? Daniel nie przyznał się żonie, że dał się nabrać telefonicznemu sprzedawcy, gdy zdecydowany męski bas w jego komórce zaproponował mu kupienie klucza do wszystkich rodzajów nakrętek. Uniwersalny francuz nie ma nawet trzeciej części możliwości co nasz wyrób, przekonywał telemarketer. Daniel przełał pieniądze na przewidywane konto i podał swój adres. Po tygodniu goniec przyniósł mu paczuszkę. Był w niej klucz nastawny identyczny jak ten, który wiele

lat temu dziennikarz kupił w sklepie żelaznym.

- Firma Art-Gum-Pol zleciła naszej agencji...

- Art-Gum-Pol?

- Pozwoli pan, że skończę.

- Co takiego zleciła firma?

- Pan jest niecierpliwy, panie Jung, lecz ja jestem kobietą upartą i, ostrzegam, że tak łatwo się nie poddam.

To na pewno Regina Zielińska. Nic się nie zmieniła. Chciał spytać, czy to ona, bo nie podobał mu się ton rozmowy, ale się wstrzymał. Powiedział głosem niemal anielskim:

- Słucham panią.

- Miesiąc temu firma produkcyjna Art-Gum-Pol zaprosiła pana na prezentację swoich artykułów. Potwierdza pan otrzymanie zaproszenia?

- Potwierdzam.

- Pan nie skorzystał z zaproszenia. To znaczy nie przyszedł pan na prezentację wyrobów firmy Art-Gum-Pol.

- Potwierdzam.

- W przesyłce oprócz zaproszenia był lewy japonek.

- Co było?

- Japonek. But zwany klapkiem. Sandał na lewą nogę. Prawy japonek mógł odebrać każdy, kto przyszedł na prezentację przygotowaną przez firmę Art-Gum-Pol. Ponieważ pan nie był obecny na prezentacji, firma domaga się zwrotu przesyłki.

- Zwrotu zaproszenia?

- Zwrotu klapka. Firma daje panu na to siedem dni roboczych.

- Przypominam sobie. Dostałem przesyłkę i śmialiśmy się z żoną z jej zawartości. Nawiasem mówiąc, kłapek wyglądał całkiem przyzwoicie. Tyle że wyrzuciłem go najpierw do kubła i potem razem ze śmieciami do zsypu. Z bloku, w którym mieszkam, raz w tygodniu śmieci są wywożone na wysypisko. Podać pani adres wysypiska komunalnego?

- Do przesyłki była dołączona informacja, że w razie nieskorzystania z zaproszenia, japonek podlega zwrotowi pod wskazy adres.

Daniel już nie miał wątpliwości, że po tamtej stronie była Regina

Zielińska. Mógł poprosić o potwierdzenie, ale nie chciał robić jej przykrości. Jeszcze by się wydało, że poznał jej tajemnicę. Uparta kobieta z takim charakterem nigdzie długo nie zagrzeje miejsca, pomyślał. Trochę było mu jej żal, bo przecież swą pracę zawsze wykonywała solidnie. Może aż zbyt sumiennie i dlatego przegrywała.

*Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych,
piątek, wieczór*

Raz w tygodniu, właśnie w piątek przed wieczorem, Monika Chuda podlewała kaktusy ustawione w dwóch rzędach na parapecie w przedsionku, więc gdy Neimann nacisnął dzwonek, natychmiast przekreśliła klucz w zamku.

- Tak stęskniłaś się za mną, Moni, że aż tu czekałaś pod drzwiami? - spytał, a ona uśmiechnęła się pieszczotliwie i zanim zamknął drzwi, przywarła piersiami do jego ramienia. - Nie widzieliśmy się całe cztery dni, więc masz prawo tęsknić. Jestem cholernie głodny. Najpierw muszę coś zjeść.

Neimann często przynosił jej kaktusik w doniczce, dlatego miała ich ogromną kolekcję. Każdy kwiat był inny. Dziś nawet czekolady nie dostała. Spieszył się i zapomniał o prezencie czy po tylu latach znajomości uznał to za zbyteczne?

Jeszcze w przedsionku zdecydowała, że ze swoim planem zapozna go, kiedy po kolacji będą już w łóżku. To miejsce najlepiej nadaje się do załatwiania niełatwych spraw, o czym przekonała się wiele razy. W odpowiedniej chwili najpierw mu powie, że przysły jej do głowy dwa cudowne projekty. Pierwszy dotyczy jego Alana, drugi wiąże się z jej imieninami. Doda, że jest święcie przekonana, iż oba go zaciekawią. Oczywiście zacznie od Alana. Pewnie jej odpowie, że skoro nie ma własnych dzieci, to nie wie, że każdy rodzic, gdyby tylko mógł, przychyliłby nieba swemu synowi. Nie będzie owijała słów w bawełnę. Powie mu prosto z mostu, że jeśli tylko jego syn zechce, to od jutra

może pracować w redakcji jako reporter sportowy. Po co szukać daleko, skoro Alan interesuje się sportem i, co dla nich bardzo ważne, z żuzłem jest za pan brat. Oczywiście musi podciągnąć się w ortografii, ale to nie problem. Przed oddaniem tekstu do druku będzie jej pokazywał, co napisał. Jedynie ten, kto nie pracuje, nie robi błędów, doda.

W sprawie dotyczącej imienin nie ułożyła sobie precyzyjnej wypowiedzi w głowie. Jeszcze się wahała, czy wyłożyć kawę na ławę, czy dojść do celu okrężną drogą. Zaproponuje mu, że pod koniec września, kiedy skończy się sezon żuzłowy, tak, weźmie go swoim wozem, podkreśli, że jej samochodem, na południe Europy. Tam będzie jeszcze lato, będą się zatrzymywali w przydrożnych zajazdach, zamawiali potrawy miejscowej kuchni, pili domowe wino, wygrzewali się w resztkach urlopowego słońca i cieszyli się z bycia tylko we dwoje. Będzie snuła przed nim piękną opowieść, a kiedy Neimann stwierdzi, że jej astra nie jest odpowiednia na daleką podróż, wtedy Monika przytaknie i zrobi taką minę, że rozanielony kochanek na wszystko się zgodzi. Powie mu, że nowy samochód mogłaby nazwać jego imieniem. Rozczapierzy palce na jego piersiach i będzie mierzwiła włosy na brzuchu, a nogę zgiętą w kolanie położy na udzie, potem przytuli się i szepnie: kup mi auto. Przywrze do niego tak mocno, żeby czuł jej przyspieszony oddech. „Volkswagena passata” - powie Neimann przekonany, że wie, na co ona ma ochotę, ale Monika zaprzeczy. „W takim razie audi”. Zimno, zimno. „Jeśli nie audi, to może któraś toyota. Powiedzmy corolla”. Japończyka nie chciała mieć za żadne skarby. „Chevrolet?” - spyta mężczyzna niepewnie, a ona znowu pokręci głową. „Jeśli nie Chevrolet, Moni, to... Mam! Któryś z merców?” Ciepłej, ciepłej, będzie go dalej naprowadzać, żeby sam wymienił model jej wymarzonego samochodu. „Opel astra? Dłużej nie będę zgadywać, skapituluje. Proszę, Moni, powiedz. Porsche carrera, tak? Wersja *grand prix white*?”

Po sytej kolacji poszli do łóżka.

- Moni, gdyby mojego Alana interesowała praca w gazecie, byłby dziennikarzem jeszcze przed twoim przyjściem do redakcji. Kto jest waszym kadrowcem, no? - bardziej przypomniał niż spytał Neimann. -

Przecież Zbychu jedynemu bratankowi nie odmówi. Mój Alan, Moni, ale na razie to tajemnica... - Położył mały palec na jej ustach. - W nowym sezonie telewizja publiczna ma transmitować mecze ekstraklasy żużlowej? Ma. A kto je będzie komentował?

- Alan... - domyśliła się Chuda i jeszcze mocniej przywarła do ramienia Neimanna. - Generalnie rzecz biorąc, właściwe miejsce dla kogoś, kto chce coś osiągnąć i odkuć się, tak.

- Dziękuję, Moni, że tak oceniasz Alana - powiedział i wsparty na prawej ręce, pocałował ją w czubek nosa. - A ten drugi pomysł?

W jej głowie goniły myśli. Jeśli z pracą dla Alana w redakcji nie wyszło, to i wrześnieowa podróż po Europie może się nie udać. Prawdę mówiąc Chudej nie tyle chodziło o wypoczynek, co o sportową wersję porsche. Wprawdzie Pastwa powiedział, że o auto z białą karoserią będzie trudno, ale zaraz dodał, że nie ma rzeczy niemożliwych. Teraz gdy Alan nie jest zainteresowany miejscem po Bojanewie w dziale sportowym, da je synowi docenta. Oczywiście nie na zawsze.

- Generalnie rzecz biorąc, w tym momencie mam na oku wóz. Tobie też powinien się spodobać, tak. Można powiedzieć, niestety - zaciśnęła zęby i cmoknęła - cena nie na moją kieszeń.

- Model sportowy? - spytał, a Chuda, zamiast odpowiedzieć, jeszcze mocniej do niego przylgnęła. Poczł palce jej dłoni zsuwające się po jego brzuchu ku spojeniu nóg. - Skoro dołożyłem do twojego domu, dołożę się i do tego cacka. Zaslugujesz na coś pięknego, Moni. A ile to ma kosztować?

Zielonagóra, ul. Dolina Luizy, sobota, rano

Od poniedziałku Gardocki myślał tylko o swojej legitymacji Fanów Gremplera. Z jej powodu jeszcze jedną noc spędził na pryczy przy Wąskiej. Miał dużo czasu, więc starał się przeanalizować każdy kolejny dzień. Pijaczyna, który przyniósł mu legitymację, twierdził, że znalazł ją w koszu na śmieci przy stołówce Caritas przy Bema. Przecież nigdy tam

nie byłem. No, może kiedyś, ale na pewno nie w ostatnim roku, poprawił się. Gdyby pijaczyna nie przyniósł legitymacji na Dolinę Luizy i nie domagał się znaleźnego, pewnie jeszcze nie wiedziałbym, że jej nie mam. Zamiast dla świętego spokoju dać mu parę groszy i zapomnieć o wszystkim, zadzwoniłem do komisarz. Czy odezwało się sumienie urzędnika państwowego? Przypomniiał o sobie obowiązek obywatelski? Gdzie ja miałem rozum?! Po chwili znowu wróciło pytanie o to, dlaczego legitymacja znalazła się w koszu przy stołówce Caritas przy Bema. Przecież wyjmowałem ją tylko raz w roku, zawsze na parkingu przy stadionie, kilka dni przed Wielkanocą, gdy klub rozpoczął sprzedaż karnetów na nowy sezon żużlowy. Przez pozostałe dni leżała między mapami samochodowymi po prawej stronie schowka w passacie. A może ten, co przyniósł legitymację, to nie pijaczyna, tylko zawodowy oszust i kłamca? Włamał się do passata, a że niczego, co wartościowe, nie znalazł, wziął to, co było. Chyba na głowę upadłem. Komu potrzebna legitymacja Fanów Gremplera? Co innego dowód osobisty albo przepustka do urzędu marszałkowskiego, ale legitymacja?!

Jeszcze się nie rozwidniło, kiedy otworzył oczy. Tej nocy podświadomość mu przypomniiała, gdzie stracił ową legitymację. Zadzwonił do komisarz Mrozińskiej i przyznaj się, że w środę przed Wielkanocą, kiedy w urzędzie marszałkowskim już czuć zapach świąt, przed jedenastą pojechałeś na Szosę Wrocławską po karnet na sezon żużlowy. Wtedy na pewno miałeś ją przy sobie, bo jak każdego roku kasjer zapisał jej numer w komputerowym rejestrze, żeby nie kupić dwóch karnetów na jednego członka klubu. Po odejściu od kasy spotkałeś dyrektora Neimanna, zamieniłeś z nim kilka grzecznościowych zdań. W zeszłym sezonie się nie udało, ale w tym zielonogórski zespół na pewno zostanie mistrzem Polski, zapewnił cię Neimann. W przeciwnym razie Joachim Grempler sprzeda klub, a kolejka kandydatów na właściciela się wydłuży, bo to ewidentny biznes i cenny rozgłos. Potem wróciłeś do samochodu i wrzuciłeś dokument do schowka. Powinieneś ją wcisnąć między mapy, ale gdy usiadłeś za kierownicą, natychmiast przypiąłeś się pasem do fotela. Nie chciało ci

się schylić i przełożyć map, dlatego środkowym palcem prawej ręki wduśnięć przycisk schowka i gdy klapka opadła, wepchnąłeś tam legitymację. W drodze powrotnej do urzędu postanowiłeś skręcić do warsztatu przy Urszuli i spytać, czy mechanik po południu wymieni opony zimowe na letnie w twoim aucie. Kwiek powiedział, że kogo jak kogo, ale zastępcę dyrektora wyjątkowo szanuje i dlatego czeladnik zostawi inną robotę i natychmiast zajmie się wymianą opon w passacie. Tyle że one są na Dolinie Luizy, powiedziałeś, i dałeś mu dwa piloty: do bramy na podwórze i do garażu. Kwiek odwiózł cię do urzędu, a w drodze powrotnej miał zabrać opony letnie z garażu, żeby czeladnik wymienił je na letnie. Jak obiecał, o piętnastej przyniósł kluczyki do sekretariatu departamentu, informując, że gotowy do jazdy passat stoi na parkingu przed urzędem. Pewnie jeden z nich, to znaczy Kwiek albo czeladnik, połąkami! się na legitymację Fanów Gremplera. Raczej czeladnik. Kwiek na pewno miał swoją.

Punktualnie o ósmej Gardocki sięgnął po komórkę i przypomniał sobie, że wizytówkę z numerami telefonów do Ilony Mrozińskiej zostawił w urzędzie. Nie zastanawiając się, wystukał na klawiaturze numer alarmowy, lecz ten, którego poprosił o połączenie z naczelniczką wydziału kryminalnego poradził mu, żeby zadzwonił wprost na Wąską.

- U nas w sobotę wszystkie wydziały mają wolne - odpowiedział dyżurny w komendzie. - Proszę dzwonić w poniedziałek.

- Pani Mrozińska powiedziała, że jak będę miał coś pilnego, to mam kontaktować się z nią o każdej porze.

- Komisarz Mrozińska jest na zwolnieniu lekarskim.

- Coś poważnego?

- Nie jestem upoważniony.

- W takim razie chciałbym rozmawiać z kimś, kto ją zastępuje - rzucił Gardocki.

- A o co chodzi?

- To sprawa prywatna.

- Jak już powiedziałem, w sobotę wydziały mają wolne. Proszę zadzwonić w poniedziałek. Telefonistka połączy pana z kryminalnymi.

- Niech pan posłucha... - Gardocki usłyszał przeciągły sygnał oznaczający koniec rozmowy. Nie znał nikogo w komendzie, z kim dziś mógłby porozmawiać o tym, co właśnie sobie przypomniał.

*Zielonagóra, lotnisko Przylepa, s
obota, przedpołudnie*

Wczoraj przed wieczorem Miśka pojechała do Popradu na symposium medyków sądowych. Daniel wiedział, że żona wróci dopiero w piątek, a on ma jeść obiady w stołówce, a na śniadania i kolacje powinno mu wystarczyć to, co znajdzie w lodówce. W połowie tygodnia Miśka zadzwoni i spyta, jak sobie radzi i czy wreszcie wyprowadził motolotnię z hangaru. Nie przyzna się, że zaproponował Magdzie spędzenie z nim sobotniego przedpołudnia na lotnisku. Wiele razy namawiał żonę do zajęcia fotela pasażera. Z myślą o niej kupił najnowocześniejszy kask z wbudowanym laryngofonem, lecz ona nigdy nie odważyła się oglądać ziemi z powietrza.

- Moim zdaniem pani Chuda ma coś wspólnego z wypadkiem redaktora Bojanewa - powiedziała Magda w drodze na lotnisko sportowe.

- Tak ci się wydaje czy masz konkretny dowód? - spytał Daniel.

- Gdybym miała dowód, doniosłabym na nią na policję. Od pierwszego dnia pracy w redakcji ta baba gra mi na nerwach - przyznała.

- Zresztą nie tylko mnie. - Chrząknęła dwa razy, a gdy Daniel odwrócił twarz w jej stronę, zacisnęła usta i potrząsając głową, mrugnęła okiem. - Mam takie podejrzenia, to znaczy coś w rodzaju poszlak.

- Da się je bliżej określić?

- Wczoraj po południu odwiedził ją ktoś, kto dużo o niej wie. Między zdaniem była mowa o przyczynie wypadku Bojana.

- Podśluchiwałaś?

- Wcześniej Chuda rozmawiała ze mną przez interkom. Nie rozłączyła się albo coś zrobiła nie tak, więc słyszałam niemal każde słowo.

- Powtórzysz, co usłyszałaś?

- Przyszedł z propozycją zwiększenia liczby reklam. Nie z miłości do gazety, a za cenę przyjęcia jego syna do pracy w dziale sportowym. Chuda najpierw powiedziała, że to nie od niej zależy, ale potem zmieniła zdanie.

Daniel ucieszył się, gdy to usłyszał, czemu dał wyraz, kładąc dłoń na kolanie Magdy i dłużej ją przytrzymując. Jeśli ktoś zostanie przyjęty do działu sportowego, wreszcie nie będzie musiał robić tego, co zajmuje mu dużo czasu, a niewiele go interesuje. Na dzisiejszy mecz koszykarzy Stelmetu z sopocianami w Arenie Bachusa pójdzie Kamil. Wcześniej stażysta zbierze wyniki sobotnich rozgrywek piłkarskich. Chłopak się zgodził, więc Daniel miał wolną sobotę. Za kilka minut wyprowadzi motolotnię z hangaru i będzie latał nad lasami wokół Zielonejgóry. W niedzielę stażysta pojedzie nad jeziora łagowskie, a on pójdzie na mecz żużlowców Gremplera z gorzowskimi Jancarzami. Tym razem nie pozwoli, żeby Chuda zamieściła relację z zawodów, którą przygotowuje rzecznik klubu. Teraz Daniel wie więcej o żużlu niż przed tygodniem, kiedy siedział w łoży i pijąc kawę, czuł zapach karbinolu, słyszał warkot motorów i miał wokół siebie twarze dygnitarzy. Po meczu wróci do redakcji i dopilnuje, żeby w poniedziałkowej gazecie ukazał się jego tekst z jego komentarzem i z jego uwagami.

- Chuda ma długą brodę, a ten, kto ma taką budowę twarzy, zazwyczaj jest uparty.

Daniel nie spytał, skąd Magda to wie, ale się z nią zgodził. Do tego, co dziewczyna powiedziała o Chudej, dodałby, że osoby z długą brodą czują się niepokonane i są bardzo pewne siebie. Do czasu, bo zazwyczaj przegrywają. Na podstawie anatomii nie powinno się oceniać ludzi, pomyślał. To jak twierdzenie, że każdy rudy jest fałszywy. A ja przecież taki nie jestem.

Od dawna czekał na dzień, kiedy będzie się mógł wzbic ponad dachy i lasy. Ostatnio albo pogoda była nieodpowiednia, albo wyjeżdżał służbowo, a poprzedniej soboty Chuda najpierw zabrała go na obwodnicę miasta, gdzie na poboczu do góry kołami leżał passat

Bojanewa, a potem kazała mu pisać o wydarzeniach sportowych. W tym roku tylko raz udało mu się wyprowadzić motolotnię z hangaru. W połowie maja mimo raczej kiepskiej pogody był piętnaście minut w powietrzu. Wtedy wydawało mu się, że zanim zrobi najprostszy skręt w prawo czy w lewo, zbyt długo się zastanawia, czy dodać gazu i jak mocno przechylić się, żeby nie pikować. Dopiero teraz zgadzał się z instruktorem, który na kursie często powtarzał, że z lataniem jest jak z wojskiem - im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju.

W przeciwieństwie do większości członków sekcji Daniel traktował lotniarstwo bardziej jako frajdę po godzinach spędzonych w redakcji niż jako sport. Mimo to zdawał sobie sprawę z tego, że lotniarz musi mieć coś ze sportowca, na przykład czupurność, zaciętość, uczciwość i ambicję. To nie jest zajęcie dla zramolałych brzuchaczy, którzy nie patrząc na cenę, pragną najmniejszym wysiłkiem zrzucić kilka kilogramów. Identycznie jak coraz bardziej modny golf, do czego oprócz wolnego czasu trzeba mieć kosztowny regulaminowy sprzęt i ubiór. Tu również powinien się liczyć temperament, ale kto ma dużo pieniędzy, ten się nad tym nie zastanawia. Większość znajomych Junga jeździ do Drzonkowa na pływalnię lub bywa na kortach tenisowych. Młodzi chwalą się, że emocjonuje ich squash, fitness, dart, snooker i jeszcze jakieś zajęcia, których nazwy trudno zapamiętać, a mimo to coraz częściej lekarze wytykają swoim pacjentom otyłość, która sprzyja chorobom cywilizacyjnym.

Daniel zawsze i wszędzie starał się przestrzegać przepisów. Najpierw więc wyprowadził motolotnię na plac przed hangarem, gdzie sprawdził poziom oleju w silniku i dolał benzynę do baku. Potem ubrał się w kombinezon ozdobiony winietami różnych firm i zanim podpowiedział Magdzie, żeby założyła kurtkę, bo w górze jest chłodniej niż na płycie lotniska, spytał ją, co chce obejrzeć.

- Moje osiedle! - wykrzyknęła. - Chcę zobaczyć Zacisze z lotu ptaka!

- To nie będzie możliwe, ponieważ przepisy zezwalają na przeloty nad miastami na dużej wysokości i tylko po uzyskaniu zgody odpowiedniego urzędu. Moja motolotnia prawdopodobnie nie wzbije się na wysokość

sześciu tysięcy metrów. Ponadto musielibyśmy mieć maski tlenowe i specjalne kombinezony chroniące przed niską temperaturą - tłumaczył Daniel, włączając smartfona. - Bezpiecznie polecimy nad okolicznymi lasami, nad drogami i polami. Z góry popatrzysz na zatłoczone parkingi przed marketami. Przy odrobinie szczęścia zobaczysz też jakąś parkę baraszkującą na podwórzu za swoim domem. Zanim jednak zdecydujemy się na lot, sprawdzę warunki pogodowe.

- Ani chmurki na niebie - powiedziała Magda, podnosząc głowę i dając mu do zrozumienia, że zbytecznie łączy się z serwerem meteorologicznym.

- Takie są przepisy - wyjaśnił. Chwilę później podał jej kask i przypomniał, że jest w nim wbudowany laryngofon, który służy do porozumiewania się w górze, gdzie hałas silnika motolotni uniemożliwia normalną rozmowę. Potem pomógł jej wcisnąć się w fotelik przeznaczony dla pasażera i sprawdził, czy poprawnie zapięła pasy. Uśmiechnął się inaczej niż zwykle.

Magda była zadowolona i przestraszona. Pomyślała nawet, że gdyby coś się zepsuło albo gdyby Daniel popełnił jakiś błąd i motolotnia runęłaby na ziemię, oboje zginą. Bała się bólu.

- Przepraszam cię - usłyszała chropawy głos Daniela przez laryngofon.
- Przed chwilą dyspozytor poinformował mnie przez radio, że nici z latania. Obszar nad lotniskiem zostanie zamknięty na dwie godziny.

- Dlaczego?

- Powiedział, że za chwilę co pięć minut będą tu lądowały awionetki. W samo południe zaczyna się unijna konferencja producentów żywności w Drzonkowie - powtórzył za dyspozytorem lotniska.

- Szkoda - powiedziała Magda. Zrobiło się jej naprawdę przykro.

Daniel pomógł jej odpiąć pasy, zdjęć kask i wygramolić się z motolotni. Przytulił ją i powiedział, że ładnie pachnie, a na zapachy on jest wrażliwy, potem pocałował w czubek nosa i znowu przytulił, tym razem mocniej i na dłużej. Nie próbowała wyswobodzić się, a nawet objęła go w pasie i jakby cmoknęła.

- Skoro mamy dwie godziny wolnego, zapraszam cię na kawę i lody. -

Wykonał gest ręką, kierując dłoń w stronę restauracji Aeroplan.

- Dwie godziny to dużo - powiedziała, rozpiąwszy kurtkę, i znowu do niego przyłgnęła. Tak mocno, że poczuł dotyk jej sutków. - Będzie lepiej, jeśli zaproszę cię na Zacisze. Do mnie. Zobaczysz, jak mieszkam.

- Czy na kawę także?

- Również na sernik. Sama upiekłam - odpowiedziała z uśmiechem, jakiego nigdy nie widział na jej twarzy. Wzięła go pod rękę.

Zielonagóra, Szosa Wrocławska, sobota, popołudnie

Od połowy czerwca nie spadła choćby kropelka deszczu. Od piątkowego popołudnia do niedzielnego wieczoru ulice miasta były wyludnione. Ci, którzy wypoczywali nad jeziorami, cieszyli się upalną pogodą. Neimann też najchętniej uciekłby do Sławy, w dzień trochę leniuchowałby na kocu u boku Moniki, trochę chłodził się w jeziorze, a wieczorem zaprosiłby ją do kawiarenki lub nawet na dyskotekę dla mocodawców w podziemiach Mewy Towarzyskiej. Niestety, póki trwa sezon żuźlowy, nawet na jedną noc nie może wyjechać z Zielonejgóry.

- Robimy tor dziś czy jutro od rana? - spytał go toromistrz, stary wyga w zakresie przygotowania stadionu do zawodów. - Znosi się na ulewę, ale po mojemu chluśnie dopiero jutro przed nocą.

- A jakie zdanie ma trener? - spytał Neimann, żeby nie milczeć. Najchętniej powiedziałby tak, jak mówią zawodnicy, gdyby nie to, że podczas konferencji pomeczowych zawsze udaje, że trzyma stronę walczących z preparowaniem torów. Żużel jest sportem dla twardych mężczyzn, kształtującym charaktery zarówno tych na torze, jak i tych na widowni, dlatego nie wolno pozwalać, żeby wkładały się do niego brudne metody przygotowywania nawierzchni, grzmiał. Ci, którzy jeszcze go nie poznali, dawali się nabrać na takie oświadczenia. Nawet poparł protest zarządu Fanów Gremplera przeciw podnoszeniu cen biletów na mecze ekstraligowe, ale zaraz usprawiedliwił właściciela klubu, że od niego niewiele zależy, bo koszty organizacyjne rosną. Co

innego, gdyby urząd skarbowy obniżył podatki albo prezydent dołożył się do utrzymania stadionu tak, jak dopłaca do przedszkoli, amfiteatru, biblioteki czy Areny Bachusa. - Jak kwestię przygotowania toru widzi trener? Poprawiamy, czy...

- Chłopaki mówią, że nie ma sensu robić kartofliska - powtórzył toromistrz. - Grempler i tak zdobędzie mistrza pierwszej fazy. Dyrektorze, może tak raz spróbować normalnie, co? Polać wodą, żeby za mocno się nie kurzyło i tylko wyrównać? Niech będzie według regulaminu. Po sportowemu.

-Jestem za - zgodził się z nim trener, wlepiwszy wzrok w Gremplera, który myślał o tym, czy już mógłby być prezydentem miasta.

- Decyzja należy do aktorów spektaklu - rzucił Neimann przekonany, że trener powie toromistrzowi, gdzie ma być miękko, gdzie twardo, a gdzie wykopać dziurę lub zrobić bruzdę. Tajemnice toru ujawni swoim zawodnikom, a Jancarze niech zgadują.

*Berlin, Hans Grade Allee,
sobota, późny wieczór*

Kwiek cieszył się, że w niedzielę Łukaszek z plastronem Gremplera na piersi wreszcie usiądzie na motorze i wyjedzie z zadaszonego parkingu na tor. Gdy sędzia naciśnie guzik zwalniający taśmę, wszyscy zawodnicy otworzą przepustnice i ruszą przed siebie. Jeśli Łukaszek zrobi wszystko tak, jak ojciec go uczył, może być na czele wyścigu od startu aż do mety. Tego Kwiek pragnął najbardziej. Po pierwszym wygranym biegu trener na pewno pozwoli chłopakowi jeszcze raz wystartować. I jeśli znowu wygra, na mur-beton będzie miał miejsce w pierwszym zespole. Część pieniędzy, po które przyjeżdża Edwardsson ze Szwecji czy Adler-Olsen z Danii, dostanie jego syn. Co mnie się nie udało, teraz uda się jemu, pomyślał Kwiek i z radości zacisnął dłonie. A jeśli się nie uda? Jeśli Łukaszek przyjedzie ostatni albo będzie miał wypadek i zostanie wykluczony do końca zawodów? Co ja chrzanię? Kurwać, mojemu

synowi musi się udać, zdenerwował się sam na siebie.

Poprzedniego dnia wieczorem Kwiek postanowił, że pojedzie przez Roggosen, skąd prowadzi najkrótsza droga do portu lotniczego Berlin-Brandenburg. W nocy obudził się i zamiast liczyć barany albo pomyśleć o jakiejś przyjemności, rozważał wszystkie za i przeciw takiej trasie. Przy goleniu zdecydował, że od granicy będzie jechał wolniej, to znaczy dłużej, ale bezpieczniej. Po ulicach Zielonejgóry jeździł po swojemu, nie zważał na znaki ani na inne samochody. Śmiał się, że przepisy są dla początkujących kierowców, a on ledwie skończył szesnaście lat, a już miał prawo jazdy i za sobą egzamin na licencję żuźłowca. Zawsze pędził ulicami miasta z szybkością rakiety, nie zatrzymywał się nawet przed przejściami dla pieszych, a gdy zobaczył za kierownicą starszego mężczyznę jadącego tak, jak nakazują przepisy, przyspieszał i natychmiast skręcał na jego pas, a potem zwalniał i dodawał gazu, zajeżdżając mu drogę. Znowu zwalniał i znowu dodawał gazu. Tylko raz zapłacił mandat za zabawę w kotka i myszkę, ale akurat zajechał drogę nieoznakowanej policyjnej kii, a za kierownicą siedział naczelnik miejskiej drogówki.

Gdy skręcił z mostu granicznego, ledwie widoczne światelko na dachu skrzynki chroniącej kamerę nagle się obudziło, co mogło oznaczać zrobienie zdjęcia samochodu i błyskawiczne wysłanie informacji do centrali policji. Wprawdzie na zderzakach szarego bmw Pogonowskiego tkwiły tabliczki z polskimi znakami rejestracyjnymi, więc Kwiek nie powinien niczego się obawiać, ale przecież niemiecka policja mogła poszukiwać skradzionego auta tej marki. Dlatego zdecydował, że dopiero w Vetschau dostanie się na autostradę A15, a wcześniej zatrzyma się na parkingu zaraz za Paitz i jednak zamieni tablice polskie na niemieckie blachy.

Ku jego zaskoczeniu wjazdu na wielki parking bronił kopiec piachu i stojące przed nim prostopadłościany kostek brukowych, co wskazywało na przebudowę lub remont tego miejsca. Kilkadziesiąt metrów od drogi rozsiadła się stacja benzynowa, na pewno z monitoringiem, a to oznaczało kolejną przeszkodę. Bał się zatrzymywać beemkę w centrum

Cottbus, gdzie na każdym placu paliły się lampy, a obrzeży nie znał. Pomyślał, że za miastem na pewno będzie puste miejsce postojowe. Tam wymieni tablice. Na niewielkim parkingu tuż za Kolkwitz stały dwie ciężarówki rosyjskiego przewoźnika Sovtransavto, które ruszą w drogę dopiero w niedzielę dwie godziny przed północą. W Polsce kierowcy tej firmy mają za nic przepisy, ale nie w Niemczech, gdzie kary za łamanie prawa są bardzo wysokie. Kwiek postanowił, że skoro okoliczności nie sprzyjają zamianie tablic, zda się na los, na który dotąd się nie skarżył. Zresztą policjantów patrolujących drogi dojazdowe do berlińskiego lotniska nie powinna dziwić beemka zarejestrowana w Polsce.

Autostradą z Vetschau dojechał niemal do celu. Jeszcze nie wiedział, jak dostanie się do garażu dla gości Pullmanna, ale przecież nie takie zagadki rozwiązywał w biegu. Najpierw jednak postanowił sprawdzić, jak daleko jest z hotelu do dworca lotniska Berlin-Brandenburg, bo jeśli nie więcej niż pół kilometra, to na którymś z tamtejszych parkingów zostawi beemkę, żeby nie rzucała się w oczy. Specjalnie wyostrzony nóż do rozharatania opon w samochodach Edwardssona i Adlera-Olsena wetknął za podpinkę w neseserze z czarnej dermy. W przegródce na kosmetyki miał radykał, jakim rzeźnicy zabijają zwierzęta w ubojni jego przyrodniego brata w Sławie.

Pomimo soboty i późnej pory nie znalazł wolnego miejsca przed lotniskiem, a nie chciał wjechać na parking strzeżony przede wszystkim dlatego, że musiałyby wrzucić dwie monety do automatu, który podniesienie szlaban. Ponadto kamera przy bramie odnotowałaby pobyt szarego bmw z polską tablicą rejestracyjną i sobie znanym sposobem sprawdziła, czy auto aby nie zostało ukradzione w Niemczech. Żałował, że nie spytał Pogonowskiego, gdzie kupił ten samochód. Jeśli w komisie przy Szosie Wrocławskiej, to mogła pochodzić z kradzieży. Przed tym dilerem Kwiek przestrzegał znajomych klientów. Między innymi dlatego Pastwa wyrzucił go ze spółki.

Sprawdził w lusterku, czy wsuwki nie wystają zza ucha i czy przytrzymują perukę tak, żeby nie przesunęła się nad czoło razem z kapelusikiem, gdy będzie ruszał głową. Wąsy przykleił matowym

mastiksem, którego używają aktorzy. Kupił go na ruskim rynečku.

- Czy na pewno zarezerwował pan miejsce w Pullmannie? - spytał ochroniarz wyraźną niemczyzną, wychylając się przez okienko, gdy Kwiek nacisnął na pedał hamulca bmw przed barierką, za którą strzałka wskazywała wjazd na parking hotelowy.

- Przez internet - odpowiedział, mimo że nie miał zielonego pojęcia, na czym to polega. Koniecznie zaraz po weekendzie każe Łukaszкови, żeby zaczął go wreszcie uczyć posługiwania się komputerem.

Ochroniarz podniósł się i obejrzał samochód, potem wolno wciskał klawisze klawiatury z tymi samymi literami i cyframi, co na okurzonej tablicy rejestracyjnej bmw, ale na ekranie nie zobaczył potwierdzenia rezerwacji miejsca w tym hotelu.

- Jest pan przekonany, że zarezerwował pan miejsce w Pullmannie? Może w innym hotelu o nazwie zaczynającej się na „P”? W pobliżu jest Parkhotel, Plus, Pagram, Polo Novum, każdy analogicznie jak Pullmann z parkingiem dla gości. Na Hans Grade Allee jest więcej hoteli niż w centrum przy Unter den Linden. Berlińczycy nazywają tę ulicę Hotelstrasse - roześmiał się, pokazując ręką na plan miasta za swoimi plecami.

Za późno na wycofanie się, stwierdził w myślach Kwiek i zaczął rozważać, jaką drogę wybrać. Przecież musi dostać się na ten parking. Gdybym wszedł do hotelu tak jak wszyscy goście i chciał zjechać windą do garażu, musiałbym włożyć kartę magnetyczną do czytnika, bo tylko wtedy drzwi się otworzą.

- A na jakie nazwisko była rezerwacja?

- Kwiek - odpowiedział i szybko się poprawił: - To znaczy tak się nazywa mój asystent, który zarezerwował hotel. Ja jestem Pogonowski. Doktor Pogonowski. Zajmuję się prawem medycznym.

- Panie doktorze, jeśli są wolne pokoje w naszym hotelu, to ze znalezieniem miejsca na parkingu na pewno nie będzie problemu - pocieszył go ochroniarz. - Pan na długo?

Kwiek już miał podnieść kciuk, gdy pomyślał, że będzie lepiej, jeśli pokaże trzy palce albo nawet pięć. Przecież i tak nie zamieszka ani w

tym, ani w innym hotelu w Berlinie. Co ochroniarz powiedział do interkomu, tego gość nie słyszał. Udając obojętność, kątem oka wpatrywał się w jego głowę pochyloną nad konsolą.

Po chwili ochroniarz odchrząknął i powiedział z zakłopotaną miną:

- Niestety, panie doktorze, recepcja nie znalazła śladu rezerwacji miejsca na nazwisko Pogonowski. Ale to nie znaczy, że nic nie da się zrobić. O której godzinie odlatuje pański samolot?

Kwiek zrobił pytające oczy. Już miał odpowiedzieć, że rezygnuje i nigdzie nie leci.

- Jutro zaraz po dwunastej - rzucił głosem tak pewnym, że aż sam się zdziwił.

- Z soboty na niedzielę mamy mniejsze obłożenie, więc jedną dobę może pan spędzić w Pullmannie. Samochód może stać na naszym parkingu tyle dni, za ile pan zapłaci. Dla pasażerów Lufthansy pierwsza doba parkowania u nas jest za darmo, panie doktorze - dodał ochroniarz i szczerząc zęby, nacisnął guziczek na konsoli. - Proszę kierować się do sektora C. Strzałki doprowadzą pana doktora.

Gdy zgasło czerwone światło, przez kilka sekund migąło pomarańczowe, a potem barierka oderwała się od widełek i stanęła na baczność obok zielonej lampy. Uniesieniem lewej ręki Kwiek podziękował ochroniarzowi i beemka wolno wtoczyła się w korytarz rozjaśniany światłami mijania.

- Życzę miłego pobytu w naszym hotelu, doktorze Pogonowski! - Doleciało za Kwikiem.

W sektorach A, B i C stały samochody, jakich najwięcej jeździ po drogach środkowej Europy, toteż one wyjątkowo dziś nie interesowały Kwieka. Przypuszczał, że sektor dla busików, gdzie spodziewał się znaleźć te transportujące sprzęt sportowy, będzie na najwyższej kondygnacji. Miał rację, bo gdy zatrzymał beemkę, zobaczył trzy mercedesy sprintery i volkswagena craftera. Na stojącym z brzegu była podobizna żuźłowca i wyklejone napisy: Frederik Edwardsson, speedawy, elitserien (S), ekstraliga (PL), elite league (GB). Na drugim złościł się napis: Ole Adler-Olson, speedway, dansk super liga (DK),

premier league (GB), ekstraklasy (PL). Na obu były także odsyłacze do stron w internecie i jeszcze jakieś informacje, których znaczenia Kwiek się nie domyślał. Nie wyłączył silnika beemki, tylko zaciągnął hamulec ręczny. Sięgnął po neseser i wysiadł. Zanim przykucnął obok tylnego koła sprintera, już miał nóż w prawej dłoni. Wbijanie go w opony busa Edwardssona i rozharatanie ich tak, żeby wszystkie nadawały się tylko do wymiany na nowe, zajęło Kwiekowi może dwie minuty. Tyle samo czasu potrzebowałby na przebicie opon w crafterze, gdyby nie zaskoczył go pytający głos ochroniarza:

- Doktorze Pogonowski, co pan tam robi?!

Natychmiast się wyprostował i rzucił nóż na posadzkę, po czym zacisnął usta, ręce zgął w łokciach, przygarbił się i wolnym krokiem, szeroko stawiając nogi, ruszył w stronę ochroniarza. Ten, widząc, że Kwiek ma gołe dłonie, stanął w rozkroku, przygotowując się na atak.

- Stać! - krzyknął ochroniarz i wsunął palec wskazujący prawej ręki pod klamerkę kabury przytroczonej do pasa, gdzie miał pistolet na gaz pieprzowy.

Ochroniarz nie zdążył rozpiąć zabezpieczeń, gdy silny cios kantem otwartej dłoni w szyję zwałił go z nóg. Kwiek stał nad nim i z góry patrzył, jak mężczyzna się dusi.

Zielonagóra, ul. Urszuli, niedziela, wczesny ranek

- Skąd tak późno sąsiad wraca? - spytał emerytowany kustosz muzeum, który bez względu na porę roku i pogodę codziennie wyprowadzał biskoptowego labradora do pobliskiej doliny i pozwalał mu popływać w Gęśliku.

Zamiast cokolwiek odpowiedzieć, Kwiek podniósł palec wskazujący prawej dłoni do ust, co mężczyzna zrozumiał jako prośbę o dochowanie tajemnicy. Uśmiechnął się, pokazując na sztuczne wąsy właściciela warsztatu. O, kurwa, zaklął w myślach Kwiek. Od hotelu tak jechałem.

O kapelusiku i peruce też zapomniał. Po chwili stwierdził, że może to i lepiej, bo za Krosnem wduśli pedał gazu do dechy i zaraz namierzył go fotoradar. Jak przyjdzie wezwanie do zapłacenia mandatu za przekroczenie prędkości, Pogonowski uzna to za pomyłkę, bo nie rozpozna się na fotografii i nie domyśli się, kto siedział za kierownicą bmw.

Gdy sąsiad skręcił do lasu, Kwiek zdecydowanym ruchem oderwał wąsy, wyciągnął wsuwki i zrzucił perukę razem z kapelusikiem. Wciągnął do płuc rześkie powietrze pachnące poranną wilgocią. Czuł się tak, jakby z wielkim wysiłkiem podniósł coś bardzo ciężkiego i wreszcie mógł odpocząć. Otworzył oba skrzydła bramy. Spokojnie wrócił za kierownicę, włączył silnik i auto cicho wtoczyło się na podwórze. Chwilę wpatrywał się w licznik. Do Berlina i z powrotem przejechał prawie czterysta kilometrów. O tyle musi go cofnąć. Zrobi to po południu albo jutro z samego rana. Teraz idzie się przespać. Za dziewięć godzin musi być na stadionie przy Szosie Wrocławskiej. Wtedy Łukasz potwierdzi, czym jest synem i ile już potrafi.

Göteborg, lotnisko Landvetter, niedziela, rano

Eliminacje strefy skandynawskiej Worldsport Speedway Best Pairs zakończyły się na stadionie w Vetlandzie dopiero dwie godziny przed północą. Jak było do przewidzenia, wygrała je para szwedzka, Frederik Edwardsson i Hennig Mankell. Gorzej poszło Duńczykom, Ole Adlerowi-Olsenowi i Lassemu Pedersenowi, którzy dopiero po biegu barażowym zapewnili sobie jedynie miejsce rezerwowe podczas finału w Gorzowie. Po zawodach niemal wszyscy żuźlowcy wrócili do hotelu na spóźnioną kolację i spotkanie z burmistrzem Vetlandy.

Mankell niedawno skończył czterdziestkę, toteż żaden klub zagraniczny nie zaproponował mu podpisania umowy na jazdę w lidze krajowej. Miał wolną niedzielę, co oznaczało, że może spać do obiadu albo i dłużej. Pedersen może podnieść się z łóżka wtedy, kiedy zechce,

ponieważ jego mechanik zawsze siada za kierownicą sprintera. Przed południem samochód ruszy w stronę Malmö, skąd mostem nad Sundem dostaną się do Kopenhagi, a stamtąd prowadzi prosta droga do Esbjergu. Tylko Edwardsson i Adler-Olsen musieli być na nogach przed siódmą, żeby dojechać do Göteborga i zdążyć na samolot Lufthansy, który do Berlina wylatuje kilka minut przed dziesiątą. Po jedenastej boeing powinien wylądować na lotnisku Berlin- -Brandenburg. W samo południe obaj żuźlowcy i ich mechanicy będą w Pullmannie, gdzie w hotelowym garażu czekają na nich busiki ze sprzętem. Po dwóch godzinach jazdy niemiecką autostradą i polskimi podrzędnymi drogami powinni zameldować się na stadionie w Zielonej Górze. Mechanicy będą mieli czterdzieści pięć minut na skręcenie ram i zamontowanie silników, które zawsze ze sobą wożą, a zawodnicy tyle samo czasu na przygotowanie się do wyścigu z gorzowskimi Jancarzami.

Ma to być ostatni występ Skandynawów pod znakiem Gremplera w pierwszej części sezonu ligowego. Dopiero po tym meczu klub przeleje na ich konta w banku należne wynagrodzenie. Powinno być jakieś sto tysięcy euro. Tyle pieniędzy nie dostaną ani w duńskiej, ani w szwedzkiej lidze. Adler-Olsen i Edwardsson dorabiają na torach żuźlowych w Wielkiej Brytanii, ale gdyby liczyli tylko na skandynawskie i angielskie pieniądze, ich rodziny musiałyby ograniczyć wydatki. Najwięcej płacą polskie kluby, więc nie brakuje zawodników chętnych do ścigania się w ekstralidze. Pewnie jest tak dlatego, że właściciele klubów żuźlowych w Polsce również zarabiają najwięcej na świecie.

- Jeszcze trzy miesiące takiej mordęgi i mamy wakacje aż do Wielkanocy - roześmiał się Edwardsson, żuźlowiec od przedszkolaka. Poza ściganiem się na torach nic innego nie potrafi robić. Dwa lata wcześniej zamienił motocykl żuźlowy na motor z oponami do jazdy po lodzie, ale szybko się przekonał, że iceracing nie jest sportem dla niego.

- Jeśli Polacy nie podpiszą ze mną nowej umowy, to będzie mój ostatni sezon na żuźlu - powiedział Adler-Olsen, ziewając. - Najwyższy czas zacząć czerpać przyjemności z życia. Co z tego, że dużo zarabiam, skoro nie mam czasu na wydawanie tych pieniędzy?

Co najmniej od dziesięciu minut na świetlnej tablicy nad stanowiskami odprawy pasażerów powinna szklić się informacja o odlocie boeinga Lufthansy do Berlina. Zaniepokojony jej brakiem mechanik Edwardssona podszedł do okienka informacji i spytał, czy są jakieś problemy.

- Proszę czekać. Niebawem wszystko się wyjaśni - odpowiedziała kobieta po angielsku, uśmiechając się przepraszająco.

Po kwadransie łypania wzrokiem na tablicę, mechanik wrócił do tego samego okienka i kobieta znowu uśmiechnęła się do niego, po czym wyjaśniła, że z powodu wykrycia niewielkiej usterki technicznej boeing Lufthansy odleci do Berlina godzinę później niż zostało podane na jego bilecie.

- Skoro w Berlinie będziemy spóźnieni o całą godzinę, to choćbyśmy mieli skrzydła, nie zdążymy dojechać do Zielonejgóry na czas - wywnioskował Adler-Olsen.

- Musimy - rzucił kategorycznie Edwardsson w stronę swego mechanika. - Mnie nie interesuje, co zrobisz, ale musimy zdążyć. W przeciwnym razie nie dostanę złamanego centa. Nie wiem, co podpisał Ole - pokazał na Duńczyka - ale w mojej umowie z Gremplerem jest zapis, że wypłata wynagrodzenia odbędzie się po zakończeniu połowy sezonu. Grempler postawił jeszcze jeden warunek, który zaakceptowałem, bo prawdę mówiąc nie miałem innego wyjścia, że muszę wziąć udział w sześciu meczach spośród dziesięciu, jakie odbędą się w pierwszej części sezonu. A jeśli klub mi nie wypłaci, to ja nie zapłacę tobie. Bo z czego? - powiedział do mechanika.

Adler-Olsen próbował uspokoić Edwardssona, twierdząc, że usunięcie usterki w boeingu może będzie trwało krócej i spóźnienie okaże się mniejsze. W niedzielę loty są ograniczone, więc może odprawa w Berlinie i dojazd do garażu hotelowego zajmie im mniej czasu.

- I może na autostradzie nie będzie tłoku, to pognamy co koń wyskoczy - dodał.

- Na polskich drogach szybko nie pojedziesz.

Edwardsson zgodził się ze swoim mechanikiem.

- A jakby wynająć awionetkę?
- Zanim załatwisz formalności w Göteborgu, minie godzina. Szwedzi to nie Polacy, którzy pracują w niedzielę tak samo jak we wtorki czy środy - powiedział Adler-Olsen do mechanika swojego kolegi.
- Więc co robimy w tej sytuacji?
- Zielonagóra ma lotnisko pasażerskie.
- Pod miastem jest też lotnisko sportowe. Mogą na nim lądować niewielkie samoloty.
- Wprost z Göteborga mamy lecieć do Zielonejgóry? Awionetką nad otwartym morzem? - zaniepokoił się Edwardsson.
- Adler-Olsen kiwnął głową.
- Zadzwoń do Neimanna - zwrócił się do swojego mechanika. - Powiedz mu, żeby wysłał samochód po nas na lotnisko sportowe. Do drugiego samochodu niech wsadzi dwóch łebskich kierowców i niech pędzą do Berlina po sprzęt. Zadzwoń do menedżera Pullmanna i mu powiedz, że ktoś odbierze z hotelu nasze busy. Najpóźniej za dwie godziny zgłosi się tam dwóch gości z Zielonejgóry, którym ma je wydać.
- Kluczyki...
- Pytasz, jakbyś nie znalazł polskich kierowców - roześmiał się Adler-Olsen, nie pozwalając skończyć mechanikowi.

Berlin, Nipkowstrasse, niedziela, rano

Komisarz kryminalny Bernhard Ziesch jeszcze raz oglądał to, co zarejestrował hotelowy monitoring. Teraz dokładniej, zwracając uwagę na szczegóły. Dwadzieścia siedem minut po dziesiątej wieczorem przed barierką zatrzymało się szare bmw. Ochroniarz spytał mężczyznę siedzącego za kierownicą, czy na pewno zarezerwował miejsce w hotelu. Sześć minut później barierka stanęła na baczność i samochód przetoczył się przez próg garażu. Mimo że czytnik elektroniczny skopiował tylną tablicę rejestracyjną, ochroniarz także zapisał numer w dzienniku wjazdów i wyjazdów. Zdjęcia z następných kamer potwierdzały, że szare

bmw wspinało się na najwyższą kondygnację i zatrzymało się w sektorze dla busów. Nie gasząc silnika, wysiadł z niego szczupły, niski kierowca z czarnymi, gęstymi wąsami zakrywającymi górną wargę, w lnianym kapelusiku trilby i w złotych okularach. W prawej dłoni trzymał czarny neseser. Ziesch domyślał się, że był w nim wyjątkowo ostry szpikulec albo nóż czy bagnet, którym mężczyzna przedziurawił opony mercedesa sprintera i volkswagena craftera. Dlaczego uszkodził akurat te dwa busy, komisarz spróbuje wyjaśnić podczas przesłuchania, pod warunkiem że zatrzyma nożownika. Na razie nie wiedział, do kogo należą samochody, chociaż są zarejestrowane w Berlinie i widnieją na nich reklamy lig żużlowych.

Najbardziej interesowało go zdjęcie zrobione o dwudziestej drugiej czterdzieści dwa. Widział na nim twarz tego samego mężczyzny, który najpierw siedział za kierownicą bmw, potem dość szybko szedł w kierunku busów, trzymając w prawej ręce czarny neseser. Poznałby go na ulicy przede wszystkim po bujnych wąsach zakrywających górną wargę. I może po sylwetce, a na pewno po osobliwym ubiorze. Doświadczenie mu podpowiadało, że to nie jest rdzenny Niemiec. Pochylony mężczyzna zmierzał wolnym krokiem w stronę załęcznionego ochroniarza stojącego z uniesionymi łokciami w szerokim rozkroku pod tablicą z oznaczeniem sektora. Komisarz zatrzymał nagranie i przez chwilę wpatrywał się w rysy twarzy kierowcy, po czym włączył odpowiedni guzik, by analizować obraz przesuwający się klatka po klatce.

Ochroniarz zachowywał się tak, jak go nauczono na kursie, to znaczy wrzasnął „Stac!”, a ponieważ mężczyzna go nie usłuchał, powtórzył komendę i starał się wyjąć pistolet z kabury przytroczonej dla pasa. Nie zdążył jej odpiąć. Uderzony w szyję kantem otwartej dłoni, najpierw zwałił się na kolana, po czym wygiął się w kabłąk, jakby prosił o litość, i upadł głową na posadzkę. Ziesch nie był pewny, czy słyszał świst ręki nożownika przecinającej powietrze. Ochroniarz przez chwilę charczał, a potem krew buchnęła mu przez otwarte usta. Lekarz sądowy, który przyjechał do hotelu jeszcze przed technikami, powiedział komisarzowi,

że ochroniarz udusił się po tym, jak na skutek bardzo silnego uderzenia została roztrzaskana kość gnykowa. Na oficjalne potwierdzenie tej supozycji komisarz musi poczekać do jutra, kiedy medyk sądowy przeprowadzi sekcję zwłok.

Ziesch wrócił do kadru z tablicą rejestracyjną bmw. Jej zgodność sprawdził z zapisem w dzienniku wjazdów i wyjazdów. Była zakurzona, więc bardziej się domyślał niż mógł odczytać czarne litery F i Z oraz pięć cyfr. Z kursu dla policjantów kryminalnych pamiętał, że znaki z przodu wskazują powiat lub miasto, w którym mieszka właściciel samochodu. Jedna litera oznacza duże miasto, dwie - średnie, a trzy - małe. W pierwszej chwili pomyślał o Frankfurcie nad Odrą, ale w tej nazwie nie ma Z, a obilo mu się o uszy, że na tablicy rejestracyjnej mogą znajdować się jedynie te litery, które występują w nazwie miasta lub powiatu. Zestaw F i Z to może być Fritzlar w północnej Hesji, tym bardziej że na ramce obok adresu dilerka widać nazwę miasta. Dzwonię do oficera dyżurnego tamtejszej komendy, postanowił.

- Komisarz Ziesch z policji kryminalnej w Berlinie - przedstawił się, gotów podać swój numer służbowy, lecz nie usłyszał takiego żądania. - Rozpocząłem śledztwo dotyczące zabójstwa pracownika ochrony w hotelu Pullmann w pobliżu lotniska Berlin-Brandenburg. Czy mógłby pan służyć mi pomocą, to znaczy sprawdzić, do kogo należy samochód z rejestracją zaczynającą się od liter FZ?

- To na pewno stary pojazd z naszego powiatu - przerwał mu dyżurny.
- Proszę podać pozostałe znaki.

- Będzie pięć cyfr. Zero...

- Przepraszam, że przerywam. Coś jest nie tak, panie komisarzu. Na żadnej tablicy rejestracyjnej w naszym powiecie nie ma pięciu cyfr. Mogą być najwyżej cztery. Na końcu zawsze występuje jedna lub dwie litery. Ta zasada dotyczy każdego zarejestrowanego samochodu w Niemczech. I ciąg cyfr nie może się zaczynać od zera. Litery FZ były dawniej, kiedy we Fritzlar urzędował starosta, teraz jest powiat Schwalm-Eder, a starosta ma siedzibę w Hombergu. Nowe tablice zaczynają się od liter HB.

- W takim razie przepraszam.

- Niech pan dokładnie obejrzy tablicę. Proszę zbadać, czy na niebieskim tle po lewej stronie, pod otokiem z gwiazdkami unijnymi, widnieje biała litera D oznaczająca Niemcy.

Tego Ziesch nie sprawdził. Zrobiło mu się głupio, że on, komisarz policji kryminalnej w Berlinie, nie zwrócił uwagi na taki szczegół, a teraz daje się instruować jak uczeń. Podziękował dyżurnemu komendy we Fritzar i wrócił do kadru z tablicą rejestracyjną bmw. Na niebieskim tle pod dwunastoma złotymi gwiazdkami bieliło się PL. Samochód był zarejestrowany w Polsce. Dopiero teraz zwrócił uwagę na ubiór nożownika. Niemiec nie przyjechałby w dżinsach i zielonej dżokejce do pięciogwiazdkowego hotelu. Wąsy zasłaniające górną wargę najczęściej noszą Polacy, chociaż nie jest to regułą, bo przeszukiwał już wąsatych Węgrów, Rumunów, a nawet Czechów próbujących naśladować Havla. O swoim rozpoznaniu powinienem powiadomić centralę niemieckiej policji. Ta wyśle zapytanie do oficera łącznikowego w Berlinie albo wprost zwróci się do Komendy Głównej Policji w Warszawie, pomyślał. Dziś jest niedziela, więc zanim prośba dotrze do właściwego biura, upłynie wiele godzin.

Jako odpowiedzialny policjant muszę przestrzegać procedur, pomyślał.

Zielonagóra, os. Zacisze, niedziela, przedpołudnie

Magda również chciała iść na stadion, lecz Daniel wybił jej to z głowy. Nie powiedział, czego się obawia, na przykład że ktoś znajomy mógłby ją zauważyć i donieść Miście, z kim go widział. Już i tak Magda posunęła się za daleko, zapraszając go do swego mieszkania na kawę.

Został z nią do śniadania.

- Jeśli naprawdę interesuje cię żużel, włącz telewizor. Znosi się na mecz sezonu, więc na pewno będzie go transmitowała telewizja regionalna. Siedząc w fotelu, zobaczysz więcej niż gdybyś była na stadionie - tłumaczył przekonany, że go usłucha. - Jak zawodnicy

rozpędzą swoje motory, to z trybuny ich nie widać, bo tyle kurzu wzbijają. W dodatku dziś jest prawdziwa spiekota.

- Mnie nie chodzi o mecz, Daniel - przyznała, biorąc go pod ramię. - Chciałabym jak najdłużej być z tobą. Zdaję sobie sprawę z tego, że masz żonę, ale mnie to nie przeszkadza.

Nic nie powiedziawszy, wyszedł z jej mieszkania. Na dworze było parno. Zanosilo się na wielką ulewę, orzekł, idąc w stronę osiedlowego parkingu, gdzie od wczorajszego południa drzemała jego „pięćsetka”. Mecz Gremplera z Jancarzami może się nie odbyć, pomyślał.

Gdy czasem syn go pytał, po czym poznaje nadejście burzy, odpowiadał, że tę zdolność odziedziczył po swoim ojcu, który w sprawie zmian pogody rzadko się mylił. Gdy był policjantem, Daniel odkrył w sobie jeszcze jedną umiejętność - na podstawie woni potu wyczuwał, czy osoba przesłuchiwana coś ukrywa. Jacek Syski żartował, że Jung jest lepszy niż wyszkolony owczarek, który po zapachu potrafi doprowadzić policjantów do przestępcy. Obejrzał się i podniósł wzrok na okna bloku, w którym mieszkał Syski. Wolałby, żeby Jacek nie widział go w niedzielę o tej porze na Zaciszu.

Najpierw poczuł wibrację komórki, a potem usłyszał melodyjkę. Wyciągnął telefon z kieszeni spodni i bez spojrzenia na wyświetlacz, dotknął palcem zielonego przycisku, a gdy usłyszał głos żony, w jednej chwili oblał się potem.

- Nic fatalnego się nie wydarzyło. U mnie wszystko w porządku - zapewniła go Miśka, mimo że nie zadał pytania. - To sympozjum jak każde inne oznacza spęd specjalistów. Wielu znajomych z całej Europy. Najwięcej Ruskich i Niemców. Jutro jako pierwsza z rana mam wygłosić referat. Oczywiście po angielsku. Poprad nawet mi się podoba. Zmienia się jak wszystkie ośrodki akademickie na Słowacji, w Polsce, w Czechach, eee... Dziś po południu gospodarze zawiozą nas do Lewoczy, takiej tutejszej ni to Częstochowy, ni to Gniezna. Tyle wiadomości w ramach sprawozdania z dwóch pierwszych dni na Słowacji. Zaraz przekażę komórkę doktorowi Pogonowskiemu. Chciałby podzielić się z tobą jakimś spostrzeżeniem. Podobno bardzo ważnym dla ciebie, mój

kochany. Domyślał się, że w Zielonejgórze też wszystko w porządku i jak zawsze za mną tęsknisz, tak?

- Tak - odpowiedział już nie tylko zlany potem, ale i struchlały. Jeśli teraz jakiś przechodzień go pozna i spyta, co o tej porze robi na Zaciszu, Miśka usłyszy pytanie. Pomimo że nikt nie szedł w jego stronę, umknął pod drzewo.

- Panie redaktorze, dzień dobry! - Usłyszał głos Pogonowskiego i nawet się ucieszył, choć strużki potu wciąż spływały mu po plecach. - Od piątku męczy mnie pewne spostrzeżenie. Być może nie mam racji. Być może jako biegły sądowy na co dzień mający do czynienia z lekarzami jestem wyjątkowo przewrażliwiony. Już wczoraj wieczorem dzwoniłem na telefon stacjonarny do domu, ale pan nie podniósł słuchawki. Dzwoniłem również do redakcji. Ochroniarz powiedział, że nie wie, gdzie pan jest, a na wizytówce, którą dostałem od pana zeszłej niedzieli, nie ma numeru prywatnej komórki. Dziś rano poprosiłem panią profesor o połączenie z panem redaktorem i...

- Czego dotyczy to spostrzeżenie, panie doktorze, że jest aż takie pilne? - przerwał mu Daniel.

- Jak pan wie, a jeśli pan nie wie, to wyjaśniam, że dzięki staraniom docenta Pastwy udało mi się okazjnie nabyć bmw. Coś wspaniałego, tylko trzeba o nie wyjątkowo dbać. Dlatego w piątek przed południem zaprowadziłem je do warsztatu przy Urszuli. Zaraz po powrocie z Popradu do Zielonejgóry wybieram się z żoną i córką na urlop i właśnie chciałem, żeby przed podróżą fachowiec przejrzał auto i zrobił w nim co trzeba. Mimo że wspaniała, to jednak tylko maszyna. Moja wiedza o samochodzie kończy się na otwarciu wlewu paliwa i podniesieniu pokrywy silnika po to, żeby uzupełnić płyn w spryskiwaczu. Może w sytuacji podbramkowej potrafiłbym wymienić koło na zapasowe, ale nie jestem pewien, bo nigdy tego nie robiłem - przyznał Pogonowski. Boże, jak on nudzi, orzekł w myślach Daniel. Jeszcze kilka podobnych zdań i przerwę mu orację. - Zawsze korzystam z usług zakładu przy Dworcowej, bo to niedaleko Gladiatorium. W lipcu jednak zrobili sobie przerwę urlopową, czego nie przewidziałem, więc zadzwoniłem do

docenta Pastwy, a on polecił mi warsztat przy Urszuli. Jednak nie w związku z moim samochodem kontaktuję się z panem redaktorem. Otóż od zeszłej niedzieli, kiedy przyszedł pan do Gladiatorium z pytaniami dotyczącymi środowiska karateków, szukałem na nie odpowiedzi. I, proszę sobie wyobrazić, że chyba znalazłem. Dokładnie nie pamiętam gdzie, ale dałbym sobie prawą rękę obciąć, że tego mechanika z Urszuli spotykałem na zawodach. Zapamiętałem nie tyle jego sylwetkę, bo wszyscy karatecy są drobni, co charakterystyczny głos. Kiedyś musiał doznać złamania przegrody nosowej. To niestety często się zdarza u osób uprawiających sztuki walki, ale u niego właśnie została źle zoperowana albo, czego nie wykluczam, jest to wada wrodzona. Swoje spostrzeżenie ugruntowałem w przeciągu kilkunastu kolejnych minut. Po tym, jak zostawiłem auto na podwórzu warsztatu przy Urszuli, wspomniany mechanik odwiózł mnie na Zyty pod szpital, bo miałem zajęcia z rezydentami.

- Pamięta pan nazwisko mechanika?

- Owszem. Kwiek. Na oko może być w moim wieku, czyli tuż po czterdziestce. Aha, w trakcie przejazdu na Zyty pochwalił się, że był żuźlowcem i że w niedzielę, czyli dziś, jego syn, bodajże Łukasz, wystąpi na torze podczas meczu przeciw Jancarzom. To chyba drużyna z Gorzowa.

Zielonagóra, os. Zacisze, niedziela, przedpołudnie

Niewielu znajomych odwiedzało komisarza Jacka Syskiego podczas choroby. Częściej odbierał telefony z życzeniami zdrowia. Gdy tylko odezwał się Samsung leżący na stole w jadalni, natychmiast wyciągnął po niego rękę.

- Proszę - odezwał się pierwszy, mimo że sam przestrzegał podwładnych, aby zawsze sprawdzali, kto dzwoni. Usłyszawszy *good morning*, zaniemówił. Dopiero gdy rozmówca spytał, czy dodzwonił się do komisarza Syskiego do Zielonejgóry, odpowiedział po angielsku: -

Yes. *Who is speaking?*

- Bernhard Ziesch, komisarz kryminalny z Berlina. Wiosną zeszłego roku przez dwa tygodnie byliśmy na kursie z analizy kryminalistycznej w Holandii.

- Bjarnat Cyż, niemiecki policjant łuzycyjskiego pochodzenia? Który dopiero przy czwartym kuflu amstela wznosił toast *Ja śi wiżim* i który nauczył mnie odzewu *A ja śi słyśym* - przypomniał Syski ze śmiechem. Od Ziescha vel Cyża dowiedział się, że od dziesięciu stuleci w południowo-wschodnich Niemczech żyją ludzie, którzy mówią językiem podobnym do polskiego. - Obiecałeś, że mnie odwiedzisz, a ty...

- Na odwiedziny nigdy nie jest za późno - wpadł mu w słowo berlińczyk. - Najpierw jednak robota.

- Słusznie. - Syski chciał powiedzieć, że robota nie zająć, lecz nie był pewny, czy niemiecki komisarz zrozumie sens polskiego powiedzonka.

- W nocy zacząłem śledztwo w sprawie zabójstwa na parkingu hotelowym niedaleko lotniska Berlin-Brandenburg. Coś już mam, tyle że sprawa przekracza granice państwowe. Oczywiście będę przestrzegał drogi służbowej, ale...

- Od jesieni jestem na zwolnieniu lekarskim. Zamiast rozwiązywać zagadki kryminalne, rozwiązuję krzyżówki w gazetach. - Syski nie pozwolił mu dokończyć. - Ale nie znaczy to, że odmawiam pomocy.

Ziesch opowiedział szczegółowo, co się wydarzyło w Pullmannie, nie pomijając tego, że chwilę po tym, jak mężczyzna w letnim kapelusiku kantem otwartej dłoni uderzył ochroniarza w szyję, ten załął się krwią. Nie ukrywał nawet, że telefonował do komendy we Fritzlar.

- Na tablicach rejestracyjnych tamtejszych samochodów są litery FZ.

- Identycznie jak w Zielonejgórze - stwierdził Syski.

- Ochroniarza zabił mężczyzna, który przyjechał do hotelu szarym bmw X3. Na tablicy z lewej strony na niebieskim tle są zakurzone unijne gwiazdki, pod nimi ledwie widoczne oznaczenie PL, z prawej na białym tle znajdują się litery F i Z oraz pięć cyfr. Zapiszesz? - podyktował ciąg po angielsku, potem po łuzycyjsku, a na koniec po niemiecku. - Mam też nazwisko zabójcy. Oczywiście nie mam

pewności, że jest prawdziwe. To doktor Pogonowski.

Nagrała się jego rozmowa z ochroniarzem, w której podał, że miejsce w hotelu rezerwował jego asystent Kwiek.

Syski nie przyznał, że zna doktora Pogonowskiego jako specjalistę prawa medycznego, który wiele razy przychodził mu z pomocą. Ale skoro lekarz wstępnie stwierdził śmierć ochroniarza z powodu roztrzaskania kości gnykowej, a Pogonowski uczy sztuk walki w Gladiatorium przy Dworcowej, to może być zabójcą! Przeraził się. Nie, wykluczone, pomyślał. Pogonowski tak daleko by się nie posunął. Co robiłby na parkingu w Berlinie? Pewnie ktoś się pod niego podszył.

- Jeszcze przez jakiś czas będę na zwolnieniu lekarskim, więc nie mam dostępu do źródeł policyjnych. Zaraz zadzwonię do kolegi z komendy. Odpowiedź dostaniesz na ten numer, który wyświetlił się w mojej komórce - zapewnił go Syski.

- Za chwilę wyślę ci zdjęcie zabójcy z monitoringu hotelowego - dodał berlińczyk i się rozłączył.

Syski jeszcze nie zdecydował, do kogo zadzwoni. Może najpierw powinienem skontaktować się z doktorem Pogonowskim?

- Mąż wyjechał na sympozjum naukowe do Popradu - powiedziała Pogonowska. - Wybrał się tam z profesor Kwiatkowską-Jung, a nasze bmw jest na przeglądzie w jakimś warsztacie. Po powrocie męża ze Słowacji wybieramy się na wczasy do Chorwacji.

Chwilę później Syski na wyświetlaczu samsunga oglądał zdjęcie z monitoringu hotelowego, które przysłał mu niemiecki policjant. Był pewny, że doktor Pogonowski nie nosi czarnych wąsów i ma pociągłą twarz. Taką odpowiedź wysłał do Berlina i głęboko odetchnął.

Zielonagóra, ul. Adama Mickiewicza, niedziela, południe

Co chwilę Kwiek zakrywał usta dłonią, żeby nikt nie widział, jak ziewa. Chciało mu się spać. Przed szóstą położył się do łóżka. Najpierw nie mógł zasnąć i myślał o tym, czy na pewno Adler-Olsen i

Edwardsson nie zdąży dojechać do Zielonejgóry przed rozpoczęciem zawodów. Potem śniło mu się, że po pierwszym wygranym biegu Łukaszek jeszcze raz zdobył po trzy punkty. To powinno przekonać trenera, z jakim zawodnikiem ma do czynienia i zagwarantować chłopakowi stałe miejsce w drużynie. Za tydzień na Motoarenie w Toruniu odbędą się eliminacje do strefy polskiej Worldsport Speedway Best Pairs. Łukaszek pojedzie tam z plastronem Gremplera na kombinezonie i z pewnością pokaże, jak się wygrywa. Każdy ojciec, który sam nie odniósł sukcesu na torze żużlowym, marzy o tym, żeby syn zwyciężał, by ich nazwisko było na ustach kibiców.

- Przestań ziewać, Oluń. Ludzie patrzą - ofuknęła go żona.

Chciał wyjaśnić, że to mimowolne. Wyprostował się, spróbował głębiej oddychać i nie myśleć o meczu, ale to niewiele dawało. Człowiek jest tak skonstruowany, że nie na wszystko, czego pragnie, ma wpływ.

- Ludzie przyszedli do katedry się pomodlić, więc jeśli ty masz zamiar dalej ziewać, to lepiej wyjdź.

Tylko na to czekał. Podniósł się z ławki i tak jak podszeptęła mu żona, chciał wyjść z kościoła, gdy usłyszał:

- Przecież nie teraz. Dopiero po podniesieniu. Przyjmiesz Pana Jezusa i możesz sobie iść.

*Zielonagóra, Szosa Wrocławska,
niedziela, wczesne popołudnie*

Komórka odezwała się akurat wtedy, gdy zielone światło rozbłysło przed skrzyżowaniem Lwowskiej z Szosą Wrocławską. Daniel prawą ręką przerzucał biegi, by ruszyć. Już dawno powinienem mieć urządzenie głośnomówiące, pomyślał. Postanowił, że dłużej nie będzie odkładał tego zakupu. Jutro przed południem pójde do sklepu, zdecydował.

Dzwoniła Ilona Mrozińska. Dopiero za szkołą wjechał na parking stacji benzynowej i nie gasząc silnika, wybrał ostatni numer z listy

nieodebranych.

- Jak twoje zdrowie?

- Leżę w łóżku i zastanawiam się, czy nowe życie zacząć od otwarcia restauracji czy napisania książki.

- Gdybym miał trochę czasu, to spróbowałbym zacząć od książki. Najwyżej się nie uda.

- Kiedy ja wolę od sukcesu.

- Ty...? - zaczął, ale Ilona nie pozwoliła mu skończyć. Chciał spytać, czy ma zamiar napisać kryminał, podążając za modą. Co bardziej utalentowani i odważni piszą kryminały samodzielnie albo do spółki z dziennikarzami lub zawodowymi pisarzami.

- Kiedyś ci wspominałam, że zbieram materiały do książki kucharskiej.

- Pytałaś mnie nawet, czy przejrzę maszynopis - przypomniał, chociaż nie był pewny, czy chodziło jej o korektę, czy o opinię związaną z doborem potraw. - Przejrzę, przejrzę. Nie martw się.

- To chciałam usłyszeć. Pisząc na ióżku w poliklinice, nie będę się nudziła. Zadzwoń w razie wątpliwości językowych - powiedziała. — Dużo myślałam o tragicznych zdarzeniach związanych z twoimi kolegami. Daniel, nie mam wątpliwości, że zabójstwo Michała Kostrzyńskiego było morderstwem. Takim z premedytacją.

- Brakuje dowodów.

- Na razie. Dobrze wiesz, że nie ma zbrodni doskonałej. Jeśli nie teraz, to za rok, za pięć lat...

- A Bojanew?

- Nie wiem, Daniel. Nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Bo jeśli ów wypadek zakwalifikować do kategorii zabójstw, to Araszkiewicz musi zebrać dowody. Morderstwo mi tu nie pasuje. Grubymi nićmi szyte. I kto by za tym stal? Dlaczego komuś zależało na uciszeniu dziennikarza sportowego? Brałam pod uwagę jakąś zadawnioną sprawę. Wiesz, coś z lat, kiedy Bojanew pracował w areszcie. Sprawdziłam to. Żadnych śladów. - Po dłuższym milczeniu dodała: - Daniel, to mógł być nieszczęśliwy wypadek. I pewnie prokurator zakwalifikuje tę sprawę właśnie do tej grupy.

- Czyli umorzy z urzędu?
- Umorzy albo odłoży na półkę.

*Zielonagóra, ul. Przymientarna,
niedziela, wczesne popołudnie*

- Na pewno jest taki zapis w umowach? - spytał Joachim Grempler z niedowierzaniem. Neimann kiwnął dwa razy głową. - Chciałbym je zobaczyć.

- Obie umowy zostały sporządzone po polsku i po angielsku, a pan prezes poza niemieckim nie zna żadnego obcego języka.

Gdy Grempler zawstydzony milczał, Neimann był pewny, że znowu jest krok przed nim. Niech Niemiec będzie właścicielem klubu, ale Polak ma w nim rządzić, przypomniał sobie to, co mu podpowiedział przyrodni brat. Póki można, każdego bogacza trzeba wydoić do ostatniego centa.

- Poproszę córkę o przetłumaczenie. Niech pani połączy mnie z Ingą - zawołał Grempler do sekretarki przez niedomknięte drzwi.

- Dostęp do oryginałów umów ma nasz prawnik. W niedzielę jego kancelaria jest nieczynna. - Neimann nie przyznał, że prawnikiem, który spisał umowy po polsku i po angielsku, jest jego przyrodni brat.

Szparki oczu Gremplera się zwężyły. Po krótkim namyśle spytał zdeorientowany:

- Na pewno jest w nich zapis, że Szwed i Duńczyk muszą pokazać się na torze po sześć razy w sezonie ligowym?

- Nie pokazać, a reprezentować klub co najmniej w sześciu meczach i wzbogacać konto punktowe zespołu, który jest oczkiem w głowie pana prezesa - powiedział Neimann z naciskiem na ostatnie słowa. Był wdzięczny bratu za lekcje retoryki.

Teraz i trener miał wątpliwości. Powinien stanąć po stronie menedżera, dlatego już otworzył usta, żeby go poprzeć, gdy Grempler się odezwał:

- A jeśli nie ze swojej winy nie zdążą przyjechać na mecz? Jeśli na przykład samolot się spóźni? Albo... bo ja wiem... Dajmy na to, że będzie wypadek lub korek na drodze, to co wtedy? Takie sytuacje sąd zawsze bierze pod uwagę.

- Niestety, w umowach nie ma o tym mowy. Prosiłem naszego prawnika, aby tak je sformułował, żeby żaden sąd nie miał wątpliwości co do naszych warunków. Edwardsson i Adler-Olsen własnoręcznymi podpisami potwierdzili, że w pierwszej połowie sezonu będą reprezentowali pana klub co najmniej w sześciu meczach. Jeśli któryś nie dotrzyma umowy, nie dostanie ani grosza i jeszcze zostanie obciążony karą porządkową. - Neimann nie przyznał, że Szmit tak długo nie pozwalał Szwedowi i Duńczykowi podpisać umowy, aż każdy przystanie na jego warunki. - Nasz prawnik starał się jak najkorzystniej występować w imieniu pana prezesa.

- Bo jak ja będę bogaty, to i on na tym zyska. Pan także, Neimann. A ostrzegali mnie przed ludźmi z przeszłością taką, jaką ma pan i prawnik, którego pan mi podsunął.

- Panie prezesie...

- Lepiej mieć mniej, ale uczciwie, niż zdobyć więcej cudzym kosztem - skwitował.

Neimann mało nie parsknął śmiechem. W Zielonejgórze nikt tak dobrze nie znał Joachima Gremplera jak on i jego przyrodni brat. Nikt też nie mógł przypuszczać, co Neimann wiedział o firmach z literą G na zielonym tle. A to, co przed chwilą powiedział jego szef, ma takie znaczenie jak skargi na zeszłoroczny śnieg. Na razie słowa nic nie kosztują. Neimann poznał wielu Niemców, żaden jednak nie zainwestował centa w obcym kraju tylko dlatego, żeby dać innym pracę i rozszerzyć swoje imperium. Nawet ci, którzy zapewniali w gazetach, radiu i telewizji, że leży im na sercu pomaganie najuboższym, domagali się przede wszystkim zysków. Człowiek to taka istota, która najlepiej się czuje, gdy ma dużo pieniędzy.

- A co pan na to? - Grempler zwrócił się do trenera.

- Powiem tak, panie prezesie. Jeśli ktoś uczciwie pracował, to należy

mu się zapłata za to, co zrobił. Do nich, mówię o Szwedzie i Duńcyku, nie mam najmniejszej uwagi. Robili to, do czego się zobowiązali i co im kazałem. A nawet więcej. Nigdy nie wygralibyśmy z Bykami, gdyby nie Edwardsson.

Grempler wstał z kanapy. Pochylony, zrobił kilka kroków wzdłuż ściany upstrzonej portretami żuźlowców, kalendarzami i plakatami. Zatrzymał się przy fotelu, na którym z nogą założoną na nogę bujał się Neimann.

- To prawda, że przed południem dzwonił z lotniska w Göteborgu? - spytał Grempler.

Neimann spojrział na sekretarkę opartą o futrynę drzwi. Tylko ona słyszała jego rozmowę z mechanikiem Adlera-Olsona. Nieznacznie kiwnął głową, ale wcześniej przeszył sekretarkę takim wzrokiem, że wycofała się do drugiego pokoju.

Grempler kontynuował:

- Ponieważ samolot z godzinnym opóźnieniem wylądował w Berlinie, Szwed i Duńczyk nie zdążą dojechać do Zielonejgóry. - Neimann wzruszył ramionami i odchrząknął dwuznacznie. - Obiecał im pan posłanie dwóch naszych ludzi do Berlina po samochody ze sprzętem. Oni zaraz po wylądowaniu boeinga wynajmą awionetkę i za pół godziny będą na lotnisku w Przylepie. Zrobił pan tak, jak prosili?

Neimann wstał, podszedł do okna i odwrócony do Gremplera plecami, powiedział:

- Ma się na burzę. Ulewa jak nic. Może nawet z gradem.

- Zrobił pan to, o co prosili Edwardsson i Adler-Olsen?

- Szeffie...

- Tak czy nie ?

- Szeffie, staram się działać na pana korzyść. Jakoś się z tego wywinie.

- Nas też to dotyczy? - spytał zaskoczony odpowiedzią Grempler, pokazując na siebie i na trenera.

- W Polsce pan nie zrobi żadnego interesu, jeśli będzie pan myślał po niemiecku - zaznaczył Neimann. - Jeden z ministrów premiera Tuska

powiedział kiedyś, że Polska to dziki kraj płynący biedą, wódką i zacołaniem. To nie jest miejsce dla ludzi cnotliwych - dodał i skrytykował go w myślach. - Z takim podejściem do spraw biznesowych daleko pan nie zajędzie, Grempler. W Niemczech może i opłaca się być przyzwoitym, ale nie w Polsce klerykałów, liberałów, konserwatystów, socjalistów w przebraniu populistów, przeciwników wszystkiego, co już było albo co będzie. Tu, panie Grempler, solidni i uczciwi są skazani na porażkę. Nasze przepisy układają przekupni prawnicy tak, żeby ci, którzy ich opłacają, wiedzieli, jak je łamać albo omijać bez ponoszenia konsekwencji.

- Edwardsson i Adler-Olsen muszą zdążyć przed trzecią - powiedział trener stanowczym głosem. - Bez nich nie mamy szans z Jancarzami. Jeśli dziś nie wygramy, zajmiemy drugie miejsce.

- W play-offach drugie jest korzystniejsze niż pierwsze - syknął Neimann.

- Za Edwardssona od biedy mogę wstawić Damiana. Na zdobycie punktu, może dwóch go stać. A kogo za Duńczyka?

Neimann udawał, że się zastanawia.

- Jest młody Kwiek - rzucił jakby po namyśle. - Talent żużlowca ma po ojcu.

- To już lepiej oddać mecz walkowerem - odparł trener.

*Berlin, lotnisko Berlin-Brandenburg,
niedziela, wczesne popołudnie*

Boeing Lufthansy wylądował z półtoragodzinnym opóźnieniem. Oznaczało to, że żadnym pojazdem innym niż samolot Edwardsson i Adler-Olsen nie dostaną się do Zielonejgóry przed rozpoczęciem meczu. Dlatego jeszcze na lotnisku w Göteborgu mechanicy zamówili awionetkę, która czekała na nich w Berlinie. Byli przekonani, że skoro Neimann obiecał im przewiezienie motorów i sprzętu z hotelowego garażu na stadion, to dotrzyma danego słowa.

- Zmieniły się warunki pogodowe. Teraz są wyjątkowo niekorzystne - poinformował pilot cessny, gdy odebrali swoje bagaże. Wskazał na zachmurzone niebo. - Loty małych samolotów zostały wstrzymane.

- Na długo? - spytał mechanik Adlera-Olsona.

- Aż będą odpowiednie warunki. Od zachodu nadciąga burza z wyładowaniami. Sądzę, że dopiero kilkanaście minut po ulewie będziemy mogli wystartować.

- Płacę każdą cenę - rzucił Edwardsson, spoglądając na zegarek. - Nic mnie nie obchodzi pogoda. Najpóźniej za dwie godziny muszę być w Zielonejgórze. Jeśli nie zamelduję się w parku maszyn przed prezentacją zawodników, to nie zostaną dopuszczony do meczu. Jasne?

Pilot rozłożył ręce, a po chwili zastanowienia powiedział:

-Jeśli złamię przepisy lotnicze, stracę licencję. Jasne?

*Zielonagóra, Szosa Wrocławska,
niedziela, wczesne popołudnie*

Było coraz bardziej parno. Słońce to pokazywało się i wtedy przygrzewało niemiłosiernie, to znów na krótko znikало pod nasuwającymi się od zachodu coraz bardziej ołowianymi chmurami. Kto nie musiał, nie wychodził z domu. Nawet na parkingach w pobliżu kościołów stało mniej samochodów. Jednak na Szosie Wrocławskiej tłok był jak każdej niedzieli na godzinę przed rozpoczęciem meczu.

Daniel Jung już wiedział, że nie powinien zbyt daleko szukać miejsca postojowego. Zresztą nie znalazłby go ani na placykach po obu stronach ulicy rozdzielającej cmentarze, ani na wielkim parkingu dla ciężarówek, na który porządkowi kierowali autobusy i samochody osobowe z rejestracją gorzowską, ani nawet przy nowym hotelu przy wyjeździe z miasta czy na poboczu dojazdówki do Raculi. Przepustkę wetknął za przednią szybę „pięćsetki” i śmiało wjechał na parking dla gości specjalnych.

- Znosi się na burzę, jakiej w tym roku chyba nie było. Może nawet z

gradem - odezwał się do kudłacza, który wydawał karty akredytacyjne.

- Na to wygląda.

- Czy ulewa nie przeszkodzi zawodom?

- Mecz musi rozpocząć się punktualnie. Jeśli w trakcie spotkania zacznie padać, to sędzia może go przerwać. Po ośmiu biegach jest możliwe zakończenie meczu.

- Wcześniejsza ulewa nie spowoduje przesunięcia zawodów na inny dzień? Na przykład na jutro?

- To zależy.

- Od czego?

- Nie od czego, panie redaktorze, lecz od kogo.

- A od kogo?

Kudłacz przechylił głowę i lekko się uśmiechnął.

- Od menedżera - powiedział z przekąsem.

- Od menedżera?

- Od Neimanna.

- Myślałem, że od sędziego.

- Rzeczywiście pan, redaktorze, nie zna się na żuźlu. Jeśli Neimannowi będzie zależało na tym, żeby zawody się odbyły, to się odbędą. Przekupi sędziego i tyle. Przygotowanie toru po ulewie zajmie najwyżej godzinę.

- Sędzia pozwoli, żeby Neimann nim dyrygował?

- Redaktorze, pan jest świeży w sporcie, to i nie rozumie, że od dnia, kiedy Grempler stał się właścicielem klubu, a Neimann jest menedżerem, żużel przestał być sportem z krwi i kości. Prawdziwy żużel w Zielonejgórze, taki na zabój, z oddanymi kibicami, co to wspierają drużynę bez względu na wynik meczu, skończył się razem z upadkiem Falubazu. Miał rację pana kolega, mówię o redaktorze Bojanewie, gdy napisał, że dzisiejszy żużel to taki sam biznes jak produkowanie zniczy cmentarnych czy stawianie siłowni wiatrowych. Maluczcy, którzy uważają się za kibiców, nawet nie zdają sobie z tego sprawy, jak są robieni w konia. Oni nie rozumieją, że przede wszystkim napychają kabzę Gremplerowi. Myśli pan, że Neimann użerałby się ze sponsorami, gdyby nie chodziło o kapustę? To lepszy cwaniaczek. A dlaczego

Edwardsson i Adler-Olsen, mimo że wczoraj wieczorem jeździli w Vetlandzie, pojutrze przed osiemnastą muszą być w Anglii, dziś przyjadą do Zielonejgóry? Bo nigdzie na świecie nie zarobią tyle, ile skoszą u nas.

Tego Jung nie wiedział.

Zielonagóra, os. Zacisze, niedziela, popołudnie

Jacek Syski nie liczył, ile razy telefonował do Araszkiwicza. Nawet kiedy w samo południe żona wypędziła go z domu na spacer do parku, zabrał ze sobą komórkę. Telefon aspiranta milczał. Dopiero wczesnym popołudniem udało mu się skontaktować z policjantem, który od dnia wypadku Ilony Mrozińskiej pełnił obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego.

- Zrobiłem sobie wolne - przyznał się aspirant. - Karolinka namówiła mnie, żebyśmy pojechali nad jezioro do Dąbia, a tam, choćby się paliło i waliło, nie ma zasięgu. Umówiłem się z dyżurnym, że w razie większej hecy wyśle po mnie radiowóz. Gdyby nie nadciągająca burza, pewnie jeszcze bym wypoczywał. Coś pilnego? Bo tyle razy komisarz wybierał mój numer...

Kiedy Syski słuchał tłumaczeń, miał ochotę powiedzieć, co myśli o policjancie, który zamiast kierować wydziałem, leży na plaży do góry brzuchem, ale przypomniał sobie, jak i on zaraz po studiach wymykał się z komendy, żeby pobyć z narzeczoną na kąpielisku w Ochli.

- Niedługo po śniadaniu zadzwonił do mnie znajomy z berlińskiej policji.

- Służbowo?

- Raczej prywatnie, tyle że sprawa nie ma charakteru prywatnego. Co ci będę tłumaczyć. Sam dobrze wiesz, jak to jest, jeśli liczy się wyłącznie na drogę oficjalną - przypomniał Syski, po czym opowiedział, czego Ziesch od niego oczekiwał.

- Nie znam doktora Pogonowskiego aż tak dobrze, żeby dać za niego głowę. Oczywiście zaraz komuś każę wszystko sprawdzić, a przede

wszystkim to, czy ma szarą beemkę, jej numer rejestracyjny i czy w ostatnich dniach jeździł do Berlina. Ale skoro szef twierdzi, że facet na zdjęciu nie był podobny do doktora Pogonowskiego, to sprawa się wikła.

- Mógł się ucharakteryzować.

- W jakim celu?

Syski nie wiedział, co odpowiedzieć.

Zielonagóra, Szosa Wrocławska, niedziela, popołudnie

Od południowego zachodu nad miasto nadciągały ciężkie, burzowe chmury. Kwadrans przed prezentacją żużlowców na stadionie zrobiło się tak ciemno, że kierownik zawodów kazał włączyć oświetlenie. Od obwodnicy plutony błyskawic zbliżały się do rogatek miasta. Wiatr zerwał się i tarosił korony drzew okalających pobliskie cmentarze. Mimo to na stadionie nie było nawet jednego wolnego krzeselka, a za płotem stał tłum gapiów liczących na to, że po przerwie otworzą się obie bramy i wszyscy dostaną się na trybuny. O tym, gdzie gospodarze wyznaczili miejsca kibicom gości, świadczył las żółto-niebieskich szalików, bębnienie i okrzyki, których nawet nie zagłuszały coraz bliższe grzmoty i błyskawice. Co gorzowianie wykrzykiwali, tego Daniel nie rozumiał. Widział zastępy ochroniarzy ze znakiem firmy Grempler Security otaczających ich sektor z trzech stron. W pozostałej części stadionu, gdzie ochroniarzy było mniej, dominowały szaliki żółto-biało-zielone. Daniel domyślał się, że tam siedzieli ci, którzy kupili bilety po to, żeby wiwatować na cześć gremplerowców.

- Dziś może być niezła jatka - powiedział reporter tygodnika samorządowego. Daniel nie zrozumiał. - Jeśli zawodnicy Gremplera przegrają, a bez wsparcia Skandynawów na to się zanosi, to stracą szansę na przewodnictwo w ekstraklidze. Upust swemu niezadowoleniu kibice dadzą na ulicach miasta.

- Tylu glińiarzy, radiowozów, suk, furgonów z armatkami wodnymi i

bez, ile stoi wokół stadionu, nie wiedziałem nawet na placu ćwiczeń szkoły policji w Pile - dodał Jung.

- A co działo się w Gorzowie po meczu przegranym przez gremplerowców? - Daniel nie był na tym meczu, nawet nie przeczytał sprawozdania w gazecie, mimo to przytaknął. - Większość to zaprzysięgli kibice, ale część przychodzi na stadion tylko po to, żeby pobalować. Jeśli nasi przerzną, to zadyma murowana.

- Uważasz, że gremplerowcy dadzą ciała? Prawda, rywal jest z górnej półki, ale czy nasi na własnym stadionie pozwolą Jancarzom wygrać? Mając taką publikę, a w swoim składzie Szweda i Duńczyka? - powiedział Daniel, udając znawcę. Przyszło mu to dość łatwo.

- Jeśli Skandynawowie zdążą dojechać. Od godziny powinni być w ZielonejGórze, a...

Nagle grzmotnęło. Błyskawica rozjaśniła trybuny i piorun rozłupał sosnę tuż przy bramie starego cmentarza. Stadion zamilkł na kilka sekund. Chwilę później spadły pierwsze krople na kilkanaście tysięcy głów. I zaczęła się ulewa, jakiej Jung dawno nie widział. Nawet dach nad sektorem prasowym zaczął przeciekać. Pokazawszy na jeziorka błyskawicznie powstające na torze, reporter tygodnika uznał to za oberwanie chmury.

- Do rana woda kropla po kropli będzie wsiąkała w ziemię. Innej metody osuszania nawierzchni toru jeszcze nie wymyślono - dodał.

Gdy po dwudziestu minutach przestało lać, sędzia opuścił swoją wieżyczkę i pochylony, wysoko unosząc nogi, stąpił wzdłuż toru, a za nim podążali mendżerowie obu klubów, asystenci trenerów i jeszcze jakieś osoby, których funkcji Daniel ani nie znał, ani się nie domyślał.

- Założę się o podwójną whisky, że dzisiejszy mecz zostanie przełożony - powiedział reporter tygodnika, chowając laptop do torby.

- Przełożony?

- Założ się.

- Neimann pozwoli na przełożenie meczu?

- Ten sędzia sam decyduje. To lepiej dla Gremplera, bo do jutra Skandynawowie zdążą dojechać.

Dziesięć minut później spiker ogłosił, że ze względu na stan nawierzchni toru sędzia zdecydował o przełożeniu zawodów na poniedziałek.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, wczesny ranek

Starszy sierżant, któremu wczoraj przed wieczorem Araszkiwicz kazał sprawdzić, czy doktor Pogonowski na pewno ma szare bmw X3 i czy w ostatnich dniach był w Berlinie, dopiero dziś z rana pojechał na Cegielnię.

- Pogonowska oświadczyła, że jej mążonek jest na sympozjum medyków sądowych na Słowacji, w Starym Smokowcu koło Popradu. Z domu wyjechał w piątek po południu razem z profesorem Kwiatkowską-Jung jej prywatnym autem. Zgadza się wszystko, co mi podyktowałeś przez telefon, to znaczy Pogonowska potwierdziła te dane - powiedział starszy sierżant, zerknąwszy do notatnika. - Niestety nie mogłem na własne oczy sprawdzić faktów, bo według Pogonowskiej w piątek przed wyjazdem na Słowację jej mążonek zaprowadził samochód do warsztatu niedaleko szkoły sztuk walki Gladiatorium. Tak powiedziała. Pojechałem na Dworcową, ale tam na bramie wisi kartka z informacją, że w lipcu nie pracują.

- Jaki z tego wniosek? - spytał Araszkiwicz. Starszy sierżant wzruszył ramionami i milcząco patrzył na aspiranta. - Trzeba było wrócić do pani Pogonowskiej, spytać, czy na pewno mążonek zaprowadził samochód na Dworcową. Kobieta mogła pomylić adres warsztatu.

- Stwierdziła, że właścicielem jest znajomy męża, dlatego on zawsze tylko tam oddaje swoje auta do przeglądu.

- W takim razie Pogonowska skłamała albo mążonek ją orznął.

- Dała mi numer swojej komórki. Zaraz mogę zadzwonić.

Araszkiwicz kiwnął głową i otworzył usta, żeby wydać polecenie, gdy przez interkom usłyszał, że zgłosił się Gardocki i chce rozmawiać z kimś z wydziału kryminalnego. Aspirant pokazał ręką na starszego sierżanta.

- Zejdź po niego.

Pięć minut później Gardocki siedział przy stoliku w pokoju Araszkiewicza. Zaczął od uwagi na temat pracy policji w sobotę, ale aspirant nawet nie próbował wdawać się z nim w dyskusję.

- Dając mi swoją wizytówkę, pani komisarz Mrozińska zaznaczyła, że jeśli będę miał coś ważnego, mogę dzwonić o każdej porze.

- Komisarz Mrozińska przez dłuższy czas będzie nieobecna, panie dyrektorze. Na razie nie wiadomo, kiedy wróci do komendy. Jej obowiązki służbowe przejąłem ja - oznajmił Araszkiewicz, jakby chciał podkreślić swój status. - Domyślam się, że w związku ze śledztwem dotyczącym śmierci dziennikarzy ma pan, dyrektorze, naprawdę coś istotnego do przekazania, skoro nawet w sobotę musiał pan zobaczyć się z komisarz Mrozińską. - Aspirant kazał starszemu sierżantowi włączyć kamerę i pisać protokół. - Do roboty, dyrektorze, bo czas leci, a jeść się chce.

Gardocki wyczuł kpinę w głosie policjanta, mimo to nie dał po sobie poznać, że nie lubi, gdy ktokolwiek próbuje nad nim dominować. Zaczął od wyjaśnienia, kiedy i dlaczego zaprowadził passata do warsztatu przy Urszuli.

- To pana ulubiony warsztat? Zawsze korzysta pan z jego usług?

- Dawniej jeździłem do serwisu firmowego na Zacisze. Prezes naszego stowarzyszenia wspominał, że jeden z byłych żuźlowców ma warsztat przy Urszuli i że członkowie Fanów Gremplera powinni wspierać weteranów sportu i dawać im zarobić. Wziąłem to pod uwagę, ale przede wszystkim bliską odległość tego warsztatu od mojego domu - wyjaśnił Gardocki i uśmiechnął się do aspiranta.

- Zostawił pan samochód w warsztacie czy czekał aż mechanik zrobi to, co do niego należało?

- Wymiana opon zajmuje nie więcej jak czterdzieści minut, mimo to zostawiłem passata i poszedłem do domu, chociaż kawę mogłem wypić w poczekalni dla klientów. Teraz przy każdym warsztacie stoi automat. Po czterech godzinach wróciłem, zapłaciłem kartą za usługę i aż do teraz jeździłem bez uwag. Gdyby nie to, że minimalnie przekroczyłem

prędkość na drodze pod Sulechowem, za co zostałem ukarany mandatem i punktami, mógłbym być wzorem kierowcy.

- To dlaczego tak pilnie chciał pan skontaktować się z komisarz Mrozińską?

- Chodzi o legitymację, którą przyniósł mi obszczymurek.

Araszkiewicz chciał spytać, o jakiej legitymacji i którym obszczymurku mówi Gardocki, lecz ten, wpatrzony w blat stolika, nie widział jego otwartych ust.

Gardocki kontynuował:

- Schowek w samochodzie mężczyzny to coś w rodzaju sejfu, tyle że ogólnie dostępnego. W moim znajdują się atlas, mapy, formularze oświadczenia o zdarzeniu drogowym, okulary przeciwsłoneczne, przepustka na parking urzędu marszałkowskiego i mniej ważne, ale czasem przydatne dokumenty. Ponieważ moja żona nigdy nie siada za kierownicą, nie ma kto tam zaglądać. To i pewnie nie wiedziałbym, że w schowku brakuje legitymacji Fanów Gremplera, gdyby ten obszczymurek jej nie przyniósł. Pamięta pan zasadzkę, jaką komisarz Mrozińska zorganizowała na Bema? - spytał Gardocki.

Araszkiewicz chrząknął, ale nie potwierdził. Zamiast tego dał mu znak oczami, żeby kontynuował.

- Od wtedy nie dawało mi spokoju pytanie o to, w jaki sposób legitymacja znalazła się w koszu na śmieci. Przecież nikomu jej nie pokazywałem, jeśli nie liczyć kasjera klubu, kiedy wiosną kupowałem karnet na mecze Gremplera. Nie jestem aż takim fanem, żeby być na każdych zawodach, ale lubię mieć karnet na wszelki wypadek.

- Kiedy więc miał pan w rękę legitymację po raz ostatni?

- Jak powiedziałem - podczas kupowania karnetu, czyli kilka dni przed Wielkanocą. Potem nie miałem powodu, żeby afiszować się przynależnością do fanklubu. Nie chodzę do pubu klubowego na piwo. Zresztą wiekowo już nie pasuję do tego towarzystwa.

- Od kilku minut opowiada pan o legitymacji. - Araszkiewicz ponownie odchrząknął i zrobił pytającą minę. - A ja wciąż nie domyślałem się, o co panu chodzi.

Gardocki się roześmiał.

- Chodzi o legitymację Fanów Gremplera - powiedział z naciskiem, spoglądając na policjanta z politowaniem. - Musiała zginać wtedy, kiedy passata zostawiłem w warsztacie przy Urszuli na wymianę opon.

- Zajmij się tym - rzucił Araszkiewicz lekceważącym tonem w stronę starszego sierżanta, który pisał protokół.

Zielonogóra, os. Słoneczne, poniedziałek, rano

Nigdy nie zdarzyło się, żeby rzeczniczka komendy miejskiej policji z własnej woli zadzwoniła do Junga wtedy, gdy coś ważnego wydarzyło się w Zielonejgórce, chociaż wiele razy ją o to prosił. Obiecywała, ale na tym się kończyło, a potem mataczyła, że albo rozładowała się komórka, albo za wcześnie na informowanie prasy, albo też zrzuciła winę na śledczych. Dziś zadzwoniła, kiedy Daniel jeszcze był w swoim mieszkaniu.

- To redaktora zainteresuje - powiedziała pewnie, jakby znała go co najmniej tak dobrze jak Jacek Syski. - Nad ranem anonimowy zielonogórzanin powiadomił oficera dyżurnego, że pod wiaduktem przy Bema znajdują się zwłoki mężczyzny. Natychmiast został tam skierowany znajdujący się w pobliżu radiowóz. W reklamówce przy zmarłym policjanci znaleźli różne dokumenty, a wśród nich był dowód osobisty starego wzoru na nazwisko Chudy. Doktor Trzcinka, który miał dyżur, nie stwierdził udziału osób trzecich. Przyczyną śmierci mógł być atak serca, co potwierdzi lub wykluczy sekcja zwłok. Z informacji uzyskanych w pobliskim centrum wolontariatu Caritas wynika, że zmarły często nadużywał alkoholu.

- To nie pierwszy taki przypadek. Dlaczego więc pani komisarz informuje mnie już z samego rana?

- Proszę zwrócić uwagę na nazwisko denata.

- Chudy - powtórzył. - Ze tak samo jak wicenaczelną „Zielonogórskiej” ?

- To nie jest przypadkowa zbieżność nazwisk. Sprawdziłam w spisie. Denat był mężem Moniki Chudej. Rozeszli się wiele lat temu. Nawet były mąż zawsze pozostaje bliską osobą. Zgadza się pan ze mną?

Zielonogóra, al. Niepodległości, poniedziałek, ranek

Daniela nie bolała głowa ani nie miał kaca, a mimo to czuł się podle. Wolałby nikogo nie widzieć i z nikim nie rozmawiać, ale tak się nie da, uprawiając ten zawód. Wczoraj zaraz po odwołaniu meczu z Jancarzami przyjechał do redakcji i napisał informację o tym, co się działo na stadionie. Dodał, że do końca tygodnia kasa będzie zwracała pieniądze za bilety kupione na niedzielne zawody, a to świadczy o uczciwości klubu, który i tak poniósł niemałe koszty. Wstęp na poniedziałkowy mecz jest bezpłatny. Wczoraj napisał to tak, jak kazała Chuda zaraz po tym, kiedy rzecznik klubu zaprowadził go do gabinetu menedżera. Dziś jednak zdał sobie sprawę, że Joachim Grempler niemało zarobi na odwołaniu meczu. W jego obecności Neimann kazał sekretarce przygotować podanie o zmniejszenie podatku i w poniedziałek z samego rana zanieść je do urzędu skarbowego.

- Nie do biura podawczego, a wprost do sekretariatu naczelnika - podkreślił ostatnie słowo.

- Czym uzasadnić wniosek? - spytała sekretarka.

- Normalnie.

- To znaczy?

- Klub płaci ci za myślenie - ofuknął ją Neimann. Zorientowawszy się, że nie są sami w pokoju, dodał łagodniejszym tonem: - Proszę uprzejmie wyjaśnić, jakie koszty organizacyjne poniósł klub i dlaczego sędzia został zmuszony odwołać zawody. Załącznikiem do wniosku niech będzie „Gazeta Zielonogórska” z relacją pana redaktora Junga. Aha, proszę przypomnieć o innych akcjach dobroczynnych Joachima Gremplera jako osoby prywatnej i jego klubu na rzecz naszego miasta. I ani słowa o ubezpieczeniu.

Daniel czuł się podle również dlatego, że rano, kiedy wszedł do budynku redakcji, ochroniarz kazał mu natychmiast zasuwać do sekretariatu naczelnej. Pewnie Neimann zadzwonił do Chudej z jakąś uwagą albo znowu coś się jej nie podoba w moim tekście, pomyślał. Jeszcze dwa dni i Krzysiek wróci z urlopu, a wtedy będę się tłumaczył tylko Szpalcie. Gdy otworzył drzwi, Magda zerwała się zza biurka i z uśmiechem od ucha do ucha skoczyła ku niemu. Chciał powiedzieć, że Chuda może wejść, ale ona zatkała mu usta prawą ręką, a lewą objęła go w pasie.

- Wczoraj wieczorem ani nie przyszedłeś, ani nie zadzwoniłeś - wyrzuciła z pretensją. - A ja przygotowałam, można powiedzieć, wyśmienitą kolację. Czekałam na ciebie...

- Mogłaś zadzwonić.

- A ty, jeśli naprawdę ci zależy, mogłeś zatęsknić.

Zielonagóra, ul. Urszuli, poniedziałek, przedpołudnie

W głowie Junga grasowały swobodnie różne myśli dotyczące śmierci obu dziennikarzy. Próbował je ujarzmić, ale trwało to najwyżej kilkanaście sekund. Potem znowu mętlik. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że tak dłużej nie może być. Policja stawia hipotezy, ale nawet nie stara się ich dowieść. Prokurator zachowuje się tak, jakby zapomniał o swoich zadaniach. Zaczęły się wakacje i urlopy, więc politycy milczą. Trochę mu podpowiedziała doktor Libera. Najwięcej jednak usłyszał od Syskiego. Jeśli to wszystko połączyć, to można zrobić niewielki krok. Oby się udało, powiedział w myślach, zaciskając pięści.

- Która godzina? - spytał Kamila.

- Zaraz dziesiąta. Mógłby szef kupić sobie porządny zegarek. Z kalendarzem, chronografem, tachymetrem. Kto dziś nosi coś takiego, co tylko wskazuje godziny i minuty, a jeszcze trzeba to codziennie nakręcać?

Jung starał się pamiętać o tym, żeby rano nakręcać zegarek, ale dziś

miał co innego w głowie i dlatego o tym zapomniał. Kamil ma rację, powinienem kupić sobie nowoczesny czasomierz na baterię, przyznał w duchu. Tylko że ten, który mam od ćwierć wieku, nie jest zwyczajnym zegarkiem. To pozłacany kwadratowy solvil et titus, подарowany przez ojca dzień po tym, jak zdałem maturę i dostałem się na studia. To nie jest zwykła pamiątka.

- Zastanowię się - odpowiedział i spytał, jak trafić na Urszuli, lecz Kamil, chociaż był rodowitym zielonogórzaninem, nie znał takiej ulicy.

Magda poradziła im, żeby zajrzeli do internetu. Ochroniarz był pewny, że to jedna z tych nowych uliczek na osiedlu Za Lasem, w którego pobliżu są koszary oddziału prewencji policji.

- Kiedyś nazywało się Rewolucjonistów albo Rewolucji. Po prostu były takie ulice jak Engelsa, Marksa, Luksemburg. Teraz tam jak nie Dolina Luizy, to znów Dolina Zielona albo Zaułek Amelii czy Urszuli. A czego konkretnie redaktor szuka?

- Warsztatu samochodowego - odpowiedział Jung, ale nikomu nie zdradził, że po rozmowie z rzeczniczką komendy zadzwonił do wydziału kryminalnego. Słuchawkę podniósł starszy sierżant i opowiedział mu o Gardockim i o sprawie legitymacji.

- Świętej pamięci redaktor Bojanew jeździł na Dworcową.

- W lipcu mechanicy na Dworcowej mają urlopy. I nie w sprawie naprawy auta się tam wybieram.

Chuda, gdy przez otwarte drzwi ze swego gabinetu do sekretariatu redakcji usłyszała, o którą ulicę Daniel pyta, krzyknęła:

- Za wiaduktem trzecia w prawo! Jeśli do warsztatu samochodowego, to jakieś czterysta metrów od Sulechowskiej. Generalnie rzecz biorąc, niedawno redaktor Bojanew pytał mnie o porządnego mechanika, tak. Właśnie poleciłam mu warsztat Olka Kwieka. To mój znajomy. Jak pisałam dysertację, to korzystałam z jego doświadczeń na torze żużlowym, tak. Wczoraj jego syn miał zadebiutować w pierwszym zespole. Ulewa pokrzyżowała plany. Nic to, dziś się pokaże.

Jung zastanawiał się, czy Chuda wie o śmierci byłego męża i czy przyjdzie do redakcji. Tymczasem ona zachowywała się tak, jakby nic się

nie stało.

-Jeszcze coś, redaktorze?

Nie odpowiedział na jej pytanie. Dziesięć minut później zatrzymał „pięćsetkę” przy płocie na wprost zielonej tablicy z białymi literami „Mechanika pojazdowa Kwiek Aleksander”. Na bramie jeszcze wisiała kłódka. Jung pchnął furtkę i wszedł na podwórze. Przed wjazdem do hali napraw stało szare bmw. Dziennikarz był pewny, że to samochód Pogonowskiego.

- Szefa nie ma - usłyszał głos dochodzący z głębi hali.

- Chciałbym...

- Wcześniej jak o dziesiątej szef nie wstaje. Jak ma pan coś do załatwienia na mieście, niech pan idzie i wróci za godzinę albo jeszcze później. Byle nie późnym popołudniem, bo szef będzie na stadionie.

Przypatrując się beemce, Daniel zrobił kilka kroków w stronę hali.

- Coś pięknego - pochwalił auto i udając naiwnego, dodał: - Niestety, nie na moją kieszeń.

- Ani nie na moją.

- Trzeba być milionerem, żeby mieć taką brykę. Pozwoli pan, że z ciekawości zajrzę do środka. Może kiedyś...

- Najpierw musi pan zostać kimś albo jeszcze ważniejszym cwaniaczkiem - roześmiał się mężczyzna. Pracownik na oko mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Młodzieniec chwycił za klamkę i otworzył drzwi auta. - Proszę spojrzeć, co za luksus. Fotele skórzane. Niech pan sobie posiedzi, byle nie za długo, bo się pan przyzwyczai.

Daniel tylko czekał na takie zaproszenie. Kiedyś zastanawiał się, skąd Pogonowski miał pieniądze na taki samochód. Miśka jest profesorką zwyczajną, kierowniczką katedry patologii, a nie stać jej na nic lepszego niż skoda, zresztą może dlatego, że identycznie jak Daniel traktuje samochód jako narzędzie pracy. Może też Pogonowskiego, który jest adwokatem, kupił mu beemkę, pomyślał. Na siedzeniu pasażera leżał czarny nesesor. Otworzył go i ze zdziwieniem stwierdził, że w środku jest radykał i nóż podobny do bagnetu z długim ostrzem. Po co Pogonowskiemu takie narzędzia? Zerknął na licznik. Dopiero sto

dziesięć tysięcy kilometrów, a na zewnątrz wyglądała jakby właściciel wrócił z Sahary.

- Panie ciekawski, dość oglądania! - zawołał młodzieniec z hali. Daniel wysiadł z samochodu i jeszcze raz spytał, czy na pewno Kwiek pojawi się w warsztacie za godzinę. - A co nawaliło, że aż szef jest potrzebny?

- Hamulce jakby... - urwał, bo nie wiedział, co powiedzieć, żeby młodzieniec nie kazał mu teraz wjechać na podwórze. -Ja też jestem podwładnym - przyznał - dlatego znam zwyczaje szefów. Nikomu nie muszą się tłumaczyć. Najlepiej będzie, jak przyjadę za godzinę.

Zaraz za bramą wyjął z kieszeni komórkę. Ani w zapisanych kontaktach, ani w rejestrze połączeń nie znalazł numeru telefonu Pogonowskiego. Zadzwoił więc do Miśki. Opowiedziawszy, jakie szkody spowodowała burza w Zielonejgórze, spytał, czy w pobliżu jest jej towarzysz.

- Panie doktorze, przepraszam, że tak wcześnie, ale nie mogę czekać. Jestem na Urszuli. Kwiek, właściciel warsztatu jeszcze śpi, a jego pracownik pozwolił mi obejrzyć pańskie auto.

- Po co? - spytał Pogonowski nieco zdezorientowany.

- Znalazłem w nim neseser z czarnej skóry. W środku jest długi nóż i pistolet do zabijania zwierząt.

- Pistolet i nóż?!

- Moim zdaniem, powtarzam, moim zdaniem, auto jest zbyt brudne jak na normalną jazdę. Wie pan, o co mi chodzi... wygląda, jakby ktoś odbył nim daleką podróż. Końcówka licznika kilometrów to dziewięćset trzydzieści jeden.

-Ile?!

- Dziewięćset trzydzieści jeden.

-Jak odstawiałem auto do warsztatu, na liczniku było sto osiem tysięcy czterysta siedemnaście.

- Na pewno?

- Przybyło pięćset kilometrów. W schowku zostawiłem karteczkę ze stanem licznika i poziomem paliwa. Niech pan sprawdzi.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, przedpołudnie

Aspirant Araszkiewicz zerknął na wyświetlacz. Jung. Turlaj dropsa, redaktor. Znowu coś przeżywasz jak mrówka okres. Czy ty, koleś, nie masz nic lepszego do roboty, tylko zawsze musisz wtykać nos w cudze sprawy? Kiedyś nie wytrzymam i udupię cię na asfalcie. Odpierdol się, pismaku, powiedział w myślach i sam nie wie, jak to się stało, że zamiast wcisnąć czerwony guziczek, dotknął palcem zielonego.

- Przyjeżdż na Urszuli do warsztatu samochodowego Kwieka. Natrafiłem na coś, co powinno policję zainteresować - usłyszał.

Pomimo że Tadeusz Araszkiewicz dopiero od sześciu dni był najważniejszym policjantem w wydziale kryminalnym, już miał tego dość. Nie chce ani tych pieniędzy, które należą mu się jako pełniącemu obowiązki naczelnika, ani chodzenia na poranne odprawy i składania raportów, a przede wszystkim tłumaczenia się przed zastępcą komendanta, dlaczego tyle śledztw jest rozbabranych, i prorokowania, kiedy zostaną zamknięte. Prokurator też wszystko ma gdzieś i każe pisać wnioski na wczoraj.

Jesienią zeszłego roku, kiedy Araszkiewicz pierwszy raz zastępował Syskiego, a Mrozińska doksztalcała się za granicą, nosił głowę wyżej niż paw. Nawet Karolina stawiała przed nim na baczność. Pewnie gdyby udowodnił, że Szajbus to zwyczajny nauczyciel czy taksówkarz, a nie emerytowany pułkownik z legitymacją partii rządzącej, nikt by go nie zauważył na korytarzu komendy, a tak niemal wszyscy gratulowali mu odwagi. Oficerowie dyżurni witali go tak, jakby był co najmniej drugim zastępcą komendanta albo szefem związkowców. Jedyne Syski, gdy Araszkiewicz pochwalił się, jak dużą premię dostał i co za nią kupi, powiedział mu wprost, że w ten sposób zatrzaskał wszystkie drzwi na swojej drodze awansu, o czym przekonał się już dwa razy. Jeszcze w zimie przewodniczący stowarzyszenia aspirantów dopisał jego nazwisko do listy kandydatów na kurs w szkole policji brandenburskiej, co oznaczało przeskok do korpusu oficerów i otwierało drogę do kariery w

panionie kryminalnym. Nie dość, że nie pojechał do Oranienburga i nikt mu nie wyjaśnił dlaczego, to na dodatek tuż przed Bożym Narodzeniem komisarz Mrozińska została pełniącą obowiązki naczelnika wydziału.

- Panie Boże, jeśli naprawdę rządzisz światem, błagam, spraw, żeby Syski już był zdrowy. - powiedział zastępca komendanta podczas odprawy, gdy Araszkiewicz nie umiał wyjaśnić, dlaczego tak długo trwa śledztwo w sprawie śmierci dziennikarzy.

-Jeśli komisja lekarska nie przedłuży zwolnienia, to za kilka dni komisarz Syski wróci do służby - poinformował kadrowiec. - Zanim jednak zapozna się z materiałami...

- Jak znam Syskiego, a znam go niewiele krócej niż swoją żonę, to mimo zwolnienia chorobowego jest na bieżąco ze wszystkimi sprawami.

- Byle znowu w coś nie wdepnął, bo do tego on ma wybitne zdolności - dodał kadrowiec ze śmiechem.

Tyle razy Araszkiewicz podpowiadał Syskiemu, żeby był na dystans z Jungiem. Co z tego, że sławny reporter śledczy? Na widok takich trzeba brać nogi za pas, a tym bardziej nie pozwalać sobie na poufałość. Jungowi wydaje się, że jak był komisarzem i posadził kilku cwaniaczków na ławie oskarżonych, to ma prawo wtykać nos w sprawy policyjne. Jego nie obchodzą procedury. On, przedstawiciel czwartej władzy, zadaje pytania w imieniu społeczeństwa i na łamach gazety przekazuje odpowiedzi. Może nie dotrzymać terminu, coś poplątać? Może. Najwyżej przeprosi czytelników. A ja muszę mieć niepodważalne dowody, bo poszlaki niewiele znaczą w kryminalistyce. I teraz mam wszystko rzucić, jechać na Urszuli, bo Jung tak chce?

- Karolinko, zbieraj się. Gnamy na Urszuli - rzucił do słuchawki, nie przyznając się, kto tego oczekuje.

Zielonagóra, ul. Urszuli, poniedziałek, przedpołudnie

Blisko godzinę Daniel spacerował po osiedlu, co chwilę posyłając spojrzem w stronę wjazdu z Sulechowskiej. Poszedł nawet do niedawno

oczyszczonej doliny Gęsnika, gdzie kiedyś zbierali się zielonogórzanie, bo była muszla koncertowa, kęgielnia, dwie restauracje, altanka na wodzie i alejki spacerowe. Gdy usiadł na ławce w cieniu wierzby, kaczkę drzemiącą na wysepce łęgowej obudziły się i podpłynęły do brzegu. Liczyły na poczęstunek.

Daniel prowadził wewnętrzną dyskusję ze sobą. Dlaczego zajmuję się tym, co nie należy do moich obowiązków? Za to mi nie płacą! Niech każdy robi swoje. Ile lat jeszcze będę dziennikarzem? Dziesięć? Piętnaście? A co potem? Co się robi na emeryturze? Nie mam działki, nie poluję, nie wędkuję, nie zbieram grzybów. Ze względu na wiek komisja lekarska najpierw odbierze mi licencję motolotniarza, a potem nie przedłuży prawa do jazdy. Jako emeryt będę niepotrzebny, chyba że coś sobie znajdę.

Dlaczego aspirant nie przyjeżdża? Jacek Syski rzuciłby wszystko i byłby przed warsztatem Kwieka w ciągu dziesięciu minut, pomyślał Daniel. A może zadzwonić do Jacka, żeby popędził kota Araszkiewiczowi? Gdy wyjął komórkę z kieszeni spodni i odnalazł numer do Syskiego, w tunelu ulicy dostrzegł radiowóz. Dwie minuty później wysiadł z niego Araszkiewicz. Karolina de Murville jeszcze oglądała się w lusterku.

- Jak pan redaktor widzi, obywatelskie powiadomienie policja potraktowała z całą powagą - powiedział aspirant bardziej z przekąsem niż wyniośle. - A jak się okaże, że to blef, zapłaci pan za wezwanie radiowozu.

Zaraz po przeszkoleniu w ośrodku policyjnym Araszkiewicz niemal w każdej sprawie miał wątpliwości, dowcipkował, można z nim było iść na piwo i nie zadzierał głowy, a teraz zachowuje się tak, jakby miał zostać komendantem. Pewnie nie mam racji i nie powinienem go oceniać, przywołał się do porządku Daniel, robiąc poważną minę.

- Tam - mruknął, pokazał oczami na podwórce.

- Stary, to przecież jest ten sam samochód, którego od niedzieli poszukujemy razem z niemiecką policją - ucieszył się aspirant, wyciągając rękę do Junga, jakby go dawno nie widział.

- Właśnie dlatego prosiłem cię, żebyś przyjechał na Urszuli - wyjaśnił

zręcznie Daniel.

- Skąd wiedziałeś, że on tu stoi?

- Gdybym był dziennikarzem sportowym, korzystałbym z pomocy osób ze środowiska sportowego. A że jestem na etacie reportera śledczego, jako były policjant zorganizowałem siatkę zaufanych informatorów. Czyli osobowych źródeł informacji albo tajnych współpracowników, jak kto woli. Kiedy gazeta cyfrowa wygryzie papierową, a na to się zanoszą, założę firmę świadczącą usługi detektywistyczne. Trzeba myśleć o przyszłości, aspirancie.

Karolina de Murville roześmiała się gwałtownie, lecz uderzona spojrzaniem Araszkiewicza natychmiast spoważniała. Ilona Mrozińska radziła jej, żeby trzymała się z daleka od wszystkich dziennikarzy, a przede wszystkim od piszących o zabójstwach, kradzieżach, fałszerstwach i pokrewnych draństwach. Dlaczego, tego komisarz nie wyjaśniła wprost, ale gdy Karolina spotykała Junga, domyśliła się, co naczelniczka miała na myśli. Prawdę mówiąc to uważała Daniela za interesującego mężczyznę i bystrego dziennikarza śledczego. Chciałaby mieć takiego teścia.

-Jeśli ci się spieszy, a jako pełniący obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego pewnie masz poważniejsze sprawy na głowie, to w ramach współpracy naprowadzę cię na trop - zaferował Daniel i nie pozwalając aspirantowi przytaknąć albo odmówić, powtórzył to, co Pogonowski powiedział mu przez telefon wczoraj i wyjaśnił dziś. - W samochodzie na fotelu pasażera leży czarny neseser. Zwróć uwagę na jego zawartość. Mój nos podpowiada, że to, co tam zobaczysz, może być ważnym dowodem w interesującej cię sprawie. Sprawdź także licznik kilometrów.

- Podkomisarz, wezwij redaktora do komendy jako świadka i przesłuchaj go na tę okoliczność - rzucił Araszkiewicz rozkazującym tonem. - Wchodzimy na posesję - powiedział, przypatrując się tabliczce, na której pod zielonymi guzikami były odsyłacze do domu i do warsztatu.

- Otwarte! - zawołał młodzieniec palący papierosa przed halą napraw.

Araszkiewicz pchnął furtkę i kiwnął głową do Karoliny, żeby poszła przodem.

- Właściciel warsztatu, pan Kwiek Aleksander? - spytał chłopaka, który przełożył papierosa z prawej dłoni do lewej, jakby spodziewał się, że policjant poda mu rękę.

- Szef jest w domu. Zawołać?

- W pod-sko-kach, kolego.

Podkomisarz de Murville wyjęła notesik z torebki, gotowa natychmiast zapisać to, co podyktuje jej aspirant, a on wyprostował się, splótł palce rąk na plecach i krążył wokół beemki, szukając czegoś charakterystycznego. To w razie, gdyby musiał zadać pytanie, od którego zależy powodzenie śledztwa i jego sukces.

- Cholerny bajzel - powiedział do Karoliny, pokazując głową na górę złomu przy płocie. - Trzeba nasłać dzielnicowego albo straż miejską. Niech postraszą właściciela.

Przytaknęła i uwagę zapisała w notesiku.

- Aspirant Araszkiewicz z wydziału kryminalnego komendy miejskiej - przedstawił się, gdy z domu najpierw wyszedł mężczyzna w średnim wieku, a za nim młodzieniec z papierosem. Policjant z kieszeni spodni wyjął odznakę policyjną, ale nikomu jej nie zaprezentował. Trzymał ją w dłoni. - Pan jest właścicielem warsztatu?

- A bo co?

- Nazwisko.

- Kwiek Aleksander. Od urodzenia.

- Sąsiedzi jeszcze nie powiedzieli, że ma pan bajzel na podwórku? A w skupie złomu czekają na takich jak pan. Żywa gotówka leży pod gołym niebem.

- Moje podwórko i moja sprawa - postawił się Kwiek.

- Czy to pana samochód? - spytał aspirant, podchodząc do szarego bmw.

-Nie.

- A czyj ?

- Klienta. Do naprawy.

- Jego nazwisko, adres i telefon.
- Musiałbym sprawdzić.
- Nie wie pan, kto jest jego właścicielem?
- Mam to w ewidencji przyjęć.
- Od kiedy samochód jest w warsztacie?
 - Dokładnie nie pamiętam - odpowiedział Kwiek, udając, że się zastanawia. Zerknął na podkomisarz de Murville w chwili, gdy ona pstryknęła długopisem i zaczęła coś notować. Kwiek domyślił się, że Niemcy namierzili go na autostradzie. Pewnie cyknęli fotkę za przekroczenie prędkości. Ależ mają tempo!
 - Kiedy klient przyprowadził auto do warsztatu?
 - Chyba w środę - skłamał i zaraz się poprawił: - Nie, na pewno w czwartek przed południem.
 - Mówi pan, że w czwartek przed południem.
 - Przepraszam, w piątek.
 - Auto już gotowe do jazdy? - spytał policjant.
 - Klocki hamulcowe wymienione. Trzeba jeszcze sprawdzić zawieszenie, obejrzeć filtry, oczyścić i zdezynfekować klimatyzację. Klient dał mi czas do najbliższego piątku - wyjaśnił Kwiek. Dopiero teraz przypomniał sobie, że po powrocie z Berlina nie przekręcił licznika, a miał to zrobić wczoraj przed południem. Jeśli aspirant zacznie dokładniej oglądać beamkę, to się wyda, że wróciła z dalszej podróży. W środku jest nesese! Czuł, że robi mu się gorąco.
 - Czy od dnia, kiedy auto znajduje się w warsztacie, ktoś je uruchamiał, wyjeżdżał nim za bramę?
 - Ja nie. Czeladnik też nie.
 - Na pewno?
 - Jak Boga szczerze kocham. - Kwiek uderzył się pięścią w pierś.
- Araszkiewicz już chciał powiedzieć o śladach opon za bramą, gdy zdał sobie sprawę z tego, że wczorajsza ulewa zmyła piasek ze skarpy i gdyby nawet ekipa techniczna cokolwiek próbowała znaleźć, to nie ma na to szans.
- Małżonka poświadczy, że poprzednią noc spędził pan z nią w łóżku?

Kwiek spojrzął na Karolinę, jakby się zawstydził, ale zaraz zrozumiał, że policja bierze go w kleszcze. Choćby miał skłamać, musi się z nich wydostać.

- Jestem żonaty od dwudziestu pięciu lat i mam syna. Nie robię takich numerów.

- Niech pan zajmie miejsce kierowcy i odczyta wskazanie licznika kilometrów. Tylko wolno i wyraźnie, żeby podkomisarz mogła zapisać.

Tego Kwiek nie przewidział, ale zrobił, co mu policjant nakazał.

- Jeden, zero, osiem, dziewięć, trzy jeden.

- Taki był stan licznika w chwili przyjęcia auta do warsztatu?

Już mnie ma, pomyślał Kwiek, a mimo to jeszcze się nie poddawał. A jeśli policjant zechce sprawdzić ewidencję przyjęć samochodów i wtedy się wyda, że od maja nie ma tam nowych wpisów? Gdyby Kwiek zapisywał nazwiska wszystkich klientów i to, co zrobił przy samochodzie, urząd skarbowy zaraz dobrałby się do niego. Większość właścicieli warsztatów oszukuje, w przeciwnym razie żadnego nie byłoby stać na nowy dom, dobry model audi, wycieczkę na Dominikanę, futra dla żony czy zabawy w pałacach i luksusowych restauracjach.

- Powinienem spytać klienta i zapisać, ale... Jakoś tak...

- Neseser należy do klienta czy do pana?

Tego pytania Kwiek się nie spodziewał. Zamiast odpowiedzieć, wzruszył ramionami, udając, że dopiero teraz go zauważył. Poczul strugę potu spływającą mu po plecach. Kryminał murowany, pomyślał. Nawet nie zdążyć pożegnać się z żoną.

- Proszę otworzyć neseser.

Kwiek jakby się zawahał. Po chwili kciukiem prawej ręki najpierw wcisnął klawisz jednego zamka, potem drugiego. Gdy podniósł wieczko, otworzył usta i wybałuszył oczy. Neseser był pusty. Gdzie jest radykał i nóż? Przecież nie zostawiłem ich w Berlinie ani nie zgubiłem na autostradzie. Prawda, po powrocie do Zielonejgóry nawet tam nie zajrzałem, a powinienem. Ktoś musiał go opróżnić, ale kto, kiedy i dlaczego? Oderwał wzrok od neseseru akurat w momencie, gdy odezwała się komórka czeladnika. On mnie obserwował. Kto by inny?

- Nie mam więcej pytań. Dziękuję panu. Życzę owocnej pracy - powiedział Araszkiwicz do Kwieka i zsalutował do pustej głowy. Po wyjściu z podwórza na ulicę rzucił do Daniela, nie żałując jadu: - Zrobiłeś mnie w konia, pismaku z bożej łaski. To było świadome wprowadzenie policji w błąd. Za coś takiego grozi kara aresztu lub grzywny. Nie zapomnij o tym. I nie zdziw się, jak zostaniesz wezwany w celu złożenia wyjaśnień.

Jung odchrząknął, lecz nic nie powiedział, jakby to, co mu przyszło na myśl, już było bez znaczenia.

Zielonagóra, ul. Wąska, poniedziałek, przedpołudnie

Zaraz po powrocie do komendy Karolina weszła do pokoju Araszkiwicza. Spod drzwi spytała, czy zje z nią szarlotkę, którą kupiła rano w nowej cukierni.

- Później.

- Coś cię męczy, Tedi - stwierdziła.

Odważył się przyznać, że jego wiedza na temat mordercy Michała Kostrzyńskiego i sprawcy wypadku Bojana Bojanewa dziś jest taka sama, jak wtedy, kiedy karetka zabierała Ilonę Mrozińską do polikliniki. Ani odrobinę większa. A od tamtego dnia minęło sporo czasu. Już powinien wiedzieć coś więcej. Przynajmniej wyeliminować niektóre hipotezy Mrozińskiej. Mieć jakieś poszlaki. Coś, co będzie przydatne. A tu nic. Gdyby pracował jako murarz na budowie, mógłby pochwalić się ułożeniem co najmniej setki cegieł w tym czasie. Większą satysfakcję z pracy miałby jako kustosz w muzeum czy nauczyciel w liceum. Nawet jako dzielnicowy, który raz na tydzień przejdzie się po osiedlu, zajrzy do piwnic, porozmawia z dozorcami bloków, wypije kawę z kierowniczką sklepu, czułby się usatysfakcjonowany. I jeszcze zastępca komendanta nie daje mu spokoju. Komisarz Syski już by zajął się czymś innym. Tylko Syski i Syski.

- Czy ja olewam robotę?

Karolina chciała coś powiedzieć, ale się wstrzymała.

- Najgorsze jest to, że nikt nie chce mi pomóc. Sam muszę przymknąć tego czy tych, których pan prokurator Ostrouchy łaskawie przesłucha albo i nie, ale na pewno oskarży. Wiesz co, Karola? Ja pieprzę taką robotę!

*Zielonagóra, al. Niepodległości,
poniedziałek, przedpołudnie*

W drodze do redakcji Daniel zastanawiał się, kto wyjął radykał i nóż z neseseru. Poza podejrzeniem Kwieka i czeladnika nikt inny nie przychodził mu do głowy. Ten, kto to zrobił, zdaje sobie sprawę ze znaczenia obu przedmiotów w śledztwie, ale czy na pewno one są kluczem do wskazania morderców dziennikarzy, tego Daniel jedynie się domyślał. Mogło być tak, że siedzący w domu Kwiek usłyszał rozmowę odbywającą się na podwórzu. Zaciekawiony, na czyje pytania odpowiada czeladnik, podszedł do okna i wtedy zobaczył mnie przypatrującego się beemce, analizował. Potem, kiedy czekając na policjantów, przez blisko godzinę spacerowałem wzdłuż ulicy, Kwiek niepostrzeżenie usunął narzędzia. Mógł to też zrobić czeladnik, który przecież obserwował samochód z hali i widział, gdzie zaglądałem i co mnie zainteresowało.

Tylko w jeden sposób można przekonać się, kto otwierał neseser. Trzeba sprawdzić, czyje linie papilarne są na zamkach. Na pewno pozostały tam ślady moich palców, stwierdził Daniel ze złością. Mimo doświadczenia w policji, znowu zrobiłem niewybaczalny błąd. Wstyd. Araszkiewicz długo nie będzie czekał na okazję, żeby mi wytknąć brak profesjonalizmu, chociaż sam często zachowuje się jak kursant w szkole dla posterunkowych. Jeśli neseser jednak należy do Pogonowskiego, poza moimi będą tam odciski palców doktora. Ale dlaczego Pogonowski miałby zostawić takie przedmioty w samochodzie? Zapomniał je zabrać?

Jeszcze dziś Araszkiewicz mógłby to wszystko wyjaśnić, gdyby wrócił

na podwórzu przy Urszuli, gdzie są poszlaki. Tego jestem pewien. A gdybym powiedział Jackowi, że aspirant jest o krok od zamknięcia śledztwa? Mimo zwolnienia chorobowego Syski ma ogromny wpływ na Araszkiwicza.

Daniel dwukrotnie próbował dodzwonić się do Jacka, ale dopiero za trzecim razem się udało. Kiedy Syski to usłyszał, najpierw mu przypomniał, że z punktu widzenia policjanta, a tym bardziej prokuratora, poszlaki są marnym materiałem dowodowym i często wiodą na manowce. Potem dodał:

- Ale nie tak mocne poszlaki. Odciski palców Kwieka na nesecerze, w różnych miejscach, mogą być bezdyskusyjnym dowodem. Ślady to argument, żeby go natychmiast zatrzymać i przesłuchać, bo może zwiąć.

- To właśnie powiesz Tadeuszowi?

Zamiast potwierdzenia, Daniel usłyszał pytanie:

- Czy zapamiętałeś znaki na tablicy rejestracyjnej beemki?

- FZ i pięć cyfr. Widziałem, jak Karolina je przepisywała do notesu.

- A Kwieka też widziałeś? Jak wygląda?

- Niewysoki chłopina, szczupły. Można powiedzieć, że chudy. Takie nic, ale z oczami cwaniaczka.

- Ma wąsy?

- Najwyżej dwudniowy zarost.

- Nie powinienem ci o tym mówić, ale w imię starej znajomości... Zastrzegam, nie wolno ci o tym wspomnieć w publikacji, dopóki kwestia nie zostanie potwierdzona i przestanie być poufna.

- Znasz mnie - wtrącił Daniel, włączając dyktafon.

- Wczoraj przed południem zadzwonił do mnie kolega z policji w Berlinie. Mój dobry znajomy ze szkolenia za granicą. Ziesch powiedział, że w hotelu niedaleko tego nowego lotniska został zabity ochroniarz, prawdopodobnie ciosem w szyję. Z monitoringu hotelowego wynika, że sprawcą jest niski facet z wąsami, który podał nazwisko Pogonowski. Kolega przysłał mi fotkę, ale to na pewno nie jest twarz doktora, w dodatku ma wąsy. W trakcie rozmowy padło też nazwisko Kwiek, który miał niby być asystentem doktora Pogonowskiego. Zabójca ochroniarza

przyjechał do hotelu szarym bmw X3 z rejestracją zaczynającą się od liter FZ. Na marginesie którejś gazety je zapisałem. Chwileczkę.

Daniel domyślał się, że Syski szuka tej gazety.

- O rany, Jacek! - nie wytrzymał, bo wszystko zaczynało do siebie pasować.

- Nie mogę znaleźć. Na pewno pierwsze było zero, potem ósemka... Jak skończymy rozmowę, to starannie przejrzę to, co jest na stoliku, a leżą przede mną gazety z całego tygodnia. Numer podam Tadzikowi i przywołam go do pionu.

Nie minęło pięć minut, gdy Daniel usłyszał podniesiony głos Araszkieвича:

- Musiałeś poskarżyć się komisarzowi?

- Jedź, Tadeusz, na Urszuli - zbył go Jung. - Też zaraz tam się będę. Jeszcze tylko muszę o coś spytać wicenaczelną.

Chuda, gdy Jung wszedł do jej gabinetu, oderwała wzrok od komputera i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ale nie kazała mu wyjść. Po chwili sięgnęła po papierosa, jakby spodziewała się, że usłyszy coś, co ją zdenerwuje. Pokazała głową na krzesło przed biurkiem.

- Generalnie rzecz biorąc, jestem zajęta, tak.

- Zeszłej soboty, gdy wracaliśmy z obwodnicy do redakcji, powiedziała pani, że w piątek Bojan pytał o warsztat samochodowy - przypomniał. - Za późno zorientował się, że przed wyjazdem do Przemyśla trzeba wyregulować geometrię kół w jego passacie czy coś podobnego. Tak było? Podpowiedziała pani Bojanowi, żeby pojechał do warsztatu przy Urszuli i powołał się na panią. Czy chodziło o warsztat Kwieka?

Chuda przytaknęła niewymuszenie i rzekła z przekąsem:

- Do czego redaktor zmierza?

- Zaraz wyjaśnię, ale najpierw proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Po pierwsze to mi się wydaje, że nigdy nie ukrywałam, tak, że doświadczenia pana Kwieka jako żuźłowca wykorzystałam w rozprawie doktorskiej, notabene ocenionej wysoko przez recenzentów z Gdańska i z Poznania. Po drugie, generalnie rzecz biorąc, staram się pamiętać o przysłudze, jaką mi pan Kwiek wyświadczył, a przecież nie musiał, tak.

Dlatego, jeśli mam okazję, tak, podsyłam mu klientów. - Uśmiechnęła się zadowolona, jakby spełniła dobry uczynek. Po chwili spytała, gasząc papierosa i mrużąc oczy: - Zaraz, zaraz, redaktor sugeruje, że Olek Kwiek ma coś wspólnego z wypadkiem Bojana, tak?

- Policja stara się to wyjaśnić.

Chuda pozieleniała na twarzy.

Zielonagóra, ul. Urszuli, poniedziałek, prawie południe

Tyle samochodów i gapiów Daniel widział w poprzedni czwartek na alei Niepodległości przed budynkiem redakcji, kiedy został zamordowany Michał Kostrzyński. Nie dziwili go sąsiedzi Kwieka, których radiowozy wjeżdżające w tunel przy ulicy wyciem syren i błyskiem świateł wywabiły z domów. Ale kto dał znać dziennikarzom, żeby wszystko rzucili i pędzili na Urszuli, bo coś ważnego będzie się działo? Po prawej stronie ustawiły się samochody ze znakami telewizji i lokalnego radia. Dwaj kamerzyści pewnie przeskoczyliby przez płot, gdyby nie mundurowy stojący przy bramie. Dziennikarka z radia publicznego wymierzyła mikrofon kierunkowy w stronę policjantów i cywilów w głębi podwórza.

- Kiepsko słyhać - powiedziała do Daniela, gdy do niej podszedł, żeby sfotografować to, co widział z odległości czterdziestu metrów. Nawet jeśli nic nie napisze o Kwieku, zdjęcie będzie potwierdzało jego reporterską staranność. - Znaleźli coś czy kolejna pokazówka aspiranta Araszkiewicza? Co oni tam szepczą? Dzwoniłam do rzeczniczki, ale pani komisarz albo jest nieorientowana, albo udaje. Mam czekać, cholera, do konferencji prasowej. Czekać mogą gazeciarze. W radiu informacja musi lecieć natychmiast. Jako rozgłośnia regionalna odpowiadamy na zapotrzebowanie milionów słuchaczy - gderała.

Daniel zauważył, że technik wyjął neseser z beemki i włożył go do przezroczystej torby. A jednak sprawdzą, kto otwierał zamek. Powiniennem uprzedzić laborantów, że oprócz linii papilarnych palców

Kwieka, czeladnika i może jeszcze kogoś, na dermie są moje ślady, pomyślał ze wstydem. Technik w granatowej koszulce przykucnął przy tylnym kole, jakby miał zamiar zmierzyć głębokość bieżnika. Podnosząc się z klęczek, o coś spytał podkomisarz de Murville, bo przestała notować i przewracała kartki w notesie, zapewne chcąc odszukać jakąś informację. Podała mu stan licznika, domyślał się Daniel. Pewnie robią oględziny potrzebne w określeniu rodzaju nawierzchni, po której ostatnio jechał samochód.

Z niskiego parteru, gdzie znajdowało się biuro Kwieka, wyszli dwaj technicy w policyjnych koszulkach. Pierwszy dźwigał komputer i monitor, drugi - lekko utykając na lewą nogę - niósł klawiaturę i coś, co zza płotu przypominało Danielowi teczkę na dokumenty.

Milczący Kwiek z rękoma założonymi do tyłu stał obok starszego posterunkowego, którego Daniel widział pierwszy raz, choć znał wielu policjantów. Niewątpliwie ktoś z prewencji albo przysłany z komisariatu osiedlowego do zabezpieczenia i wsparcia.

- Za dwie godziny chcę dostać protokół przesłuchania pana Kwieka! - Prokurator Ostrouchy rzucił rozkazująco do Araszkiewicza, gdy policjant zatrzymał się przy furtce, żeby go przepuścić. - Ile czasu potrzebuje laboratorium na analizę biometryczną? - spytał kierownika pracowni daktyloskopii, pokazując oczyma na torbę, w której był nesesor. Nie doczekawszy się szybkiej odpowiedzi, mruknął: - Dwie godziny i ani minuty dłużej. A pan? - zwrócił się do szefa zespołu badań audiowizualnych.

- Zrobimy wszystko, żeby wstępne wyniki oględzin komputera dostał pan jeszcze dziś - zapewnił go szef techników.

- Do trzeciej, komisarzu doktorze. A i nic się nie stanie, jeśli dostanę je jutro rano razem z nagraniami z niemieckiego monitoringu - dodał łagodniejszym tonem. - Aspirancie, przypominam panu o kontakcie z Berlinem - zwrócił się do Araszkiewicza.

Przekrzykując się, dziennikarki radia i telewizji ruszyły w stronę prokuratora, lecz on uniósł lewą dłoń, co oznaczało, że nie odpowie na żadne pytanie, i wszedł do służbowej skody. Araszkiewicz tylko rozłożył

ręce, dając dziennikarkom do zrozumienia, że skoro prokurator wymigał się od odpowiedzi, to tym bardziej policjant jedynie pełniący obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego musi milczeć.

Minutę później na ulicy pozostali rozemocjonowani sąsiedzi Kwieka. Przed niedomkniętą furtką stał tylko Daniel Jung i przeglądał to, co uchwycił aparatem fotograficznym.

- Długo pan tu pracuje? - spytał czeladnika, który podszedł do bramki, żeby ją zamknąć.

- Zaczynałem jeszcze jako uczeń. Wtedy samych mechaników było sześciu. Dwa razy tyle uczniów. Robota szła świątek - piątek na trzy zmiany. Szef kupił automat do kawy, postawił szatnię z łaźnią, w hali założył centralne ogrzewanie. Było lepiej niż w serwisie Mercedesa. Nawet uczniom płacił, chociaż nie musiał.

- A co takiego się wydarzyło, że pan został sam?

- Dziś myślący właściciel nowego auta jedzie na przegląd do serwisu firmowego. Tam są zaprogramowane komputery, a to podstawa nowoczesnej diagnostyki. Kto ma dryndę z demobilu, szuka części na szrocie i sam łąta dziury albo wpada do takich jak my skansenów. Jest nas coraz mniej. Za dwa, góra trzy lata trzeba będzie szukać innej roboty. Mówiłem szefowi, żeby pilnował interesu, a nie szedł na noże z docentem Pastwą. I się doigrał. Kto ma komis, nie zginie, a tak...

- Czy to pan wyjął radykał i nóż z neseseru? - spytał.

Czeladnik otworzył usta, jakby chciał zaprzeczyć, ale spuścił oczy i milczał.

- Policijny daktyloskopista znajdzie na zamku odciski palców Kwieka, moje i pana.

Czeladnik pokręcił głową i uśmiechnął się nieznacznie.

- Moich śladów na pewno tam nie ma. Otwierałem w rękawicach.

- Przydało się panu oglądanie filmów kryminalnych - pochwalił go Jung i ruszył w kierunku swojej „pięćsetki”. Gdy minął bramę, kątem oka jeszcze raz zlustrował podwórze. Pomimo że na skraju złomowiska dostrzegł koksownik, jaki co roku w połowie grudnia pokazuje każda polska stacja telewizyjna i historycy opowiadają o stanie wojennym,

spytał. - Co to jest?

- Jak jeszcze nie było centralnego w warsztacie, to przy tym grzaliśmy się w największe mrozy. Od wiosny powtarzam szefowi, że tu trzeba zrobić porządek, ale on zawsze co innego miał na głowie. - Czeladnik zrobił kilka kroków w stronę złomowiska, jakby chciał sprawdzić, czy koksownik się nie rozleciał.

- Można nie zamykać bramy na noc, to pijaczkowie wszystko wyniosą - powiedział Jung.

- Pijaczkowie nie zapuszczają się aż tak daleko. Gdyby ta kupa złomu leżała bliżej centrum, już nie byłoby po niej śladu. Tam gdzie mieszkają moi rodzice, a to prawie śródmieście, dawniej były blaszane, a teraz są plastikowe kosze na śmieci. Co było z metalu, to ukradli. Dziwi mnie, że ci, którzy prowadzą punkty skupu złomu, wszystko przyjmują.

- Takie czasy - powiedział Daniel. Wszystko na świecie jest złudą.

Tyle razy wzbijałem się na motolotni nad okoliczne lasy, latałem po obu stronach Gęśnika, a nie dostrzegłem hałdy złomu na podwórzu przy Urszuli. Przecież złomowisko powstało nie wczoraj, dlaczego więc nie zwróciłem uwagi na ten bajzel? Nie znalazłszy odpowiedzi na zadanie sobie pytanie, pomyślał, że jednak z góry nie widać wad tego świata. Pewnie i Pan Bóg nie wszystko widzi.

- Panie Jung! - Daniel, gdy usłyszał swoje nazwisko, natychmiast oderwał wzrok od koksownika. - Można na chwileczkę? Pan mnie pamięta?

- Doktor Kowal? - upewnił się mężczyzna i wyciągnął rękę do emerytowanego kustosa muzeum opartego o płot po drugiej stronie ulicy. Wiele lat temu dzięki niemu Daniel doprowadził do sądu zastępcę dyrektora, który wykradł zabytkowe pistolety, szable i mapy z muzeum. Sprzedawał je kolekcjonerom. - Pięknie pan mieszka - pochwalił, zachwycając się pelargoniami zdobiącymi parapety okazałego domu ze spadzistym dachem.

- Z synem, synową, wnukami i labradorem Biszkoptem.

- Kowal pochylił się i pogłaskał psa. - Podlewanie, zasilanie nawozem, usuwanie zeschniętych kwiatów zajmuje dużo czasu, a jak jeszcze mówi

się do pelargonii, to nawet potrafią być wdzięczne - powiedział zadowolony, pokazując głową na czerwone girlandy zwisające z balkonu. - Czekałem, żeby zatrzymać pana, bo... - urwał w chwili, gdy czeladnik oparł się o bramę, jakby miał zamiar podsłuchać, co sąsiad powie. - Wczoraj rano, gdy wyprowadzałem Biskopota nad Gęśnik, a jeszcze nie było szóstej, to Kwiek skądś wrócił na podwórze. Właśnie tym autem. Ono nie jest jego - podkreślił doktor, wyciągając nieznacznie rękę w stronę bmw. - Nawet go zagadnąłem, skąd tak późno wraca. Nie odezwał się, a zawsze miał coś do powiedzenia. Głupiego albo mądrzejszego, ale bez słowa nie przeszedł. Taki trochę porąbany, jak mówi mój wnuk.

*Zielonagóra, os. Zacisze,
poniedziałek, wczesne popołudnie*

Zaraz po powrocie do redakcji Daniel wychodził ze skóry, żeby skontaktować się z Araszkiwiczem. Pomyślał także o telefonie do prokuratora Ostrouchego, ale zrezygnował. Najpewniej razem przesłuchują Kwieka i wyłączyli swoje komórki, pomyślał. Raczej nie przekonam oficera dyżurnego, że mam bardzo ważną sprawę do szefa wydziału kryminalnego i dlatego natychmiast muszę z nim się zobaczyć. Dziś jest to niemożliwe, usłyszę. Niech pan redaktor przyjdzie w odpowiednim czasie albo mnie poinformuje o tym, co ma zamiar powiedzieć aspirantowi. Zanotuję i na pewno przekażę jak nie osobiście Araszkiwiczowi, to odpowiedniej osobie w wydziale kryminalnym. Karolina wysłucha mnie grzecznie, ale potem tylko rozłoży ręce i każe czekać, aż aspirant wróci do swojego gabinetu. Rzeczniczka prasowa też mnie splawi. Do zastępcy komendanta nie dostanę się nawet na klęczkach. Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić Jacka Syskiego, żeby mimo zwolnienia lekarskiego zaraz włączył się do śledztwa.

- Sprytny adwokat, a takiego Kwiek z pewnością zna, drobiazgowo przeanalizuje załączniki do aktu oskarżenia i będzie starał się wskazać

błędy formalne. Zarzuci Araszkiwiczowi, że pozwolił na to, by w pokoju przesłuchań znajdował się nieupoważniony policjant, czyli ja. Niewiele to da, ale sędzia zażąda wyjaśnienia i odroczy rozprawę o dwa, trzy tygodnie. W tym czasie prawnik wymyśli coś jeszcze bardziej niedorzecznego. Wszystko po to, aby sprawę odwlec, rozmyć dowody, a potem zasłonić Kwieka opinią o jego sukcesach sportowych albo niepoczytalnością. Tymczasem znajdzie się ktoś, kto przypomni sobie, że Kwiek jako żuźlowiec doznał wstrząśnienia mózgu czy urazu głowy.

- Akurat o tym nie pomyślałem.

- Jednak nawet z najtrudniejszej sytuacji jest w miarę bezpieczne wyjście - powiedział Syski i zrobił tajemniczą minę, czym jeszcze mocniej wciągnął Daniela do swojej gry. Po chwili w milczeniu sięgnął po komórkę i z niebywałą wprawą wciskał klawisze. - Dziękuję. Z moim zdrowiem już wszystko w najlepszym porządku. Wracam w połowie miesiąca - odpowiedział komuś, kto go dobrze znał. - Jest taka sprawa. Natychmiast wezwij Araszkiwicza do telefonu. Wiem, gdzie jest i co robi. Właśnie dlatego... On ci potem powtórzy. Zgoda - rzucił i wyłączył telefon. - Kiedy oddzwoni, sam z nim porozmawiasz - powiedział do Daniela i podszedł do okna. - Swoją drogą, podziwiam cię. Robisz to, czego nie musisz. Pomogłeś mi nakryć Szajbusa. Prawie udowodniłeś, że Kunicki nie popełnił samobójstwa, w czym okazałeś się lepszy ode mnie, czego się wstydzę i za co jestem ci wdzięczny.

-I tylko dlatego?

- Nie dlatego.

-Jestem dziennikarzem śledczym i lubię to, co robię... - urwał, gdy w komórce Syskiego odezwała się melodyjka.

- Do długiego pasma swoich sukcesów reporterskich masz okazję dorzucić jeszcze jeden. Opowiedz Tadziovi, co chciałeś mnie powiedzieć.

- Tylko szybko, bo Kwiek zaczyna mięknąć - powiedział aspirant.

Daniel wcisnął klawisz głośnego odbioru, żeby i Syski słyszał rozmowę.

- Moim zdaniem, Tadeusz, powinieneś przerwać przesłuchanie

przynajmniej do jutra.

- Dobrze wiem, co mam robić, redaktorze - odburknął Araszkiewicz.

- Blisko płotu na podwórku przy Urszuli leżą przerdzewiałe drzwi samochodowe, chłodnice, resory, zderzaki, obręcze. Krótko mówiąc, jest tam złomowisko.

- I po to komisarz Syski kazał wywołać mnie do telefonu? Hm, to cenna informacja. Fakt.

- Na skraju, przy szafliku pełnym opon i blach, stoi prymitywne urządzenie do ogrzewania pomieszczeń. Było szczególnie przydatne w stanie wojennym, którego pewnie nie pamiętasz. Sypało się do niego koks, podpałało i ciepło rozchodziło się wokół. Jednym słowem koksownik.

- Do rzeczy, redaktorze.

- W tym koksowniku zalega popiół i nadpalone resztki. Na pierwszy rzut oka przypominają materiał, jakim jeszcze wysypuje się na polne drogi. Do niedawna wysypywano nim nawierzchnie bieżni i torów wokół boisk. Dzisiejsze bieżnie są z tartanu. Tory żuźlowe mają nawierzchnię z kruszywa granitowego, ponieważ mniej się kurzy, rozpryskuje spod kół i rzadziej kaleczy zawodników - wyjaśnił Daniel, a Syski pomyślał, że zastępowanie kierownika działu sportowego wyszło mu na dobre. - Przypomnij sobie, co Michał Kostrzyński miał w ustach.

- Co miał? Coś... jakby żużel. I co z tego?

- Poproś szefa techników, żeby posłał kogoś na to złomowisko, wziął próbki materiału z koksownika i porównał je z tym, co Michał Kostrzyński miał w ustach.

- Po co?

- Gdyby laboratorium potwierdziło, że to także żużel, a w dodatku identyczny...

- Przepraszam cię, redaktorze, jakim prawem wtrącasz się do śledztwa?

- Tadeusz...

- Kto upoważnił cię do wchodzenia na posesję zatrzymanego pana Kwieka? Redaktorze, tego już za wiele! - To były ostatnie słowa, jakie usłyszał Daniel, oddając komórkę Jackowi.

- Marnujesz się w redakcji - powiedział Syski. - Nie lamentuj, jeśli Chuda cię wyrzuci. Zawsze możesz wrócić do policji.
Daniel przełknął ślinę, ale nic nie powiedział.

Zielonagóra, al. Niepodległości, poniedziałek, popołudnie

Monika Chuda przypomniała sobie, że przed wyjazdem na urlop Szpalta prosiła ją, żeby dzień zaczynała od przejrzenia wpisów forumowiczów. Zdaniem redaktorki naczelnej była to kopalnia pomysłów na nowe teksty. Dopiero teraz tam zajrzała.

-*PolakPL*: Dla niektórych żużel to prowincjonalna i niszowa dyscyplina sportu. Takich w dyby i na sybir!!!

-*Blondas*: Na szczęście Zielonagóra (oprócz fascynacji żużlem, której nie popieram) ma koszykówkę na euroligowym poziomie która idzie cały czas do przodu. Nasi grają w grupie z Bajernem, Malagą, Olimpiakosem. Jest jeszcze jakaś nasza drużyna, która przyciąga tylu kibiców?

-*U2*: Żużel to pies?! Jakbyś koleś chodził na żużel to byś tak głupio nie pytał.

-*Jas*: Wole oglądać żużel w TV Tam przynajmniej nie polewają toru wodą.

-*gość*: Bez preparowania torów żużel nie byłby żużlem.

-*Miody Stach*: jak w tamtym roku sędzia kazał polać tor to grempler słabo jechał i dlatego sędzia nie polewał toru by byki nie wygrali nawet komentatorzy zauwarzyli że tor nie jest dobrze przygotowany i jest zrobiony pod gremplery.

-*Laryx*: Tor torem, ale powinniśmy się cieszyć z wygranej prawda?

-*stolarz*: Mi taki tor nie podoba się i nie takie „widowiska” chcę oglądać, ale widziałem już wiele gorszych i nudniejszych. Moim zdaniem sprawa jest bardziej złożona, np. tłumiki. Jeszcze tylko pytanie, skąd wiesz, że komentatorzy podpowiadali, kiedy polać tor?

-*anty-grempler*: kary kary i jeszcze raz wysokie kary pieniężne

-*Q-ba*: żużel to syf

-*PolakPL*: Sam jesteś syf. Kiedyś na żużlu nikomu nie przeszkadzało, że się kurzy. Po to się tam chodziło. Teraz w białych spodniach na kant, to na ławkę do parku, a nie na żużel, ale proszę uważać, bo i tam ptaszki mogą narobić.

-*GościuzWqsami*: Zardzewiałych dziur na torze nikt nigdy nie zliczy. Tor demolka. Jak zwykle w zielonce.

-*gość*: Powiem tak jak moja babcia: kiepskiej baletnicy to i rąbek u spódnicy przeszkadza.

-*Ramoth*: Zgodzę się z Tobą! Nasi chłopcy są lepsi od nabyczonych i tyle ... tutaj nie ma o czym dyskutować! Jancarze go home. GREMLER był mistrzem jest mistrzem i mistrzem będzie!!!

-*GremplerKing*: A co robią? bo jakoś ja nic nie zauważyłem żeby próbowali zrobić komuś krzywdę to jest żużel a nie szachy. I żeby nie było ze mam coś do byków.

-*Hasiu*: i gremplerom się upiekło że sędzia i komisarz toru byli za gremplerem.

-*roxy*: podejrzewam że jak tor byłby prawidłowo przygotowany to gremplerom by tak łatwo by nie poszło i bonus by pojechał do Byków.

-*PolakPL*: Roxy! A tor w Lesznie nie był przygotowany pod byków? Był! Więc nie wypowiadaj się o naszym torze... Faktem jest, że był on w fatalnym stanie technicznym ale to nie jest nasza wina my za pogodę i taki upał nie odpowiadamy a polewać po każdym biegu też nie ma co bo wtedy było by błoto a nie tor.

-*U2*: Fakt z bykami to przesadzili. Teraz błoto było bo deszcz. Zobaczmy w poniedziałek jak Jancarze będą jeździli.

-*gość*: 40 i więcej lat temu lekkoatleci biegali po bieżniach o podłożu wysypanym szlaką i żużlem, a potem pojawiły się bieżnie tartanowe i o różnych sztucznych podłożach. Może więc i na żużlu czas na jakaś sztuczna nawierzchnię, która zamknęłaby problem przygotowania toru. Słowo żużel nie musi oznaczać nazwy nawierzchni na torze. Po angielsku ten sport to speedway.

-*Lucek-7*: Ale my nie jesteśmy w Anglii i w Polsce będzie zawsze żużel.

Zrozumiano?

-*normalny*: Mam pytanie do moderatorów. Dlaczego mój komentarz został usunięty? Co tam było nie tak? Odp. dajcie pod tym komentarzem.

-*Blondas*: Zuzel to syf! Niech żyje kosz. Stełmet pany!

-*Lucek-7*: Sam jesteś syf.

-*Krzyzak*: Pozwolę sobie zacytować słowa naszego Dobrodzieja o przyjęciu jakie powinniśmy sprawić jóskom jak do nas przyjadą: I niech młodsze pokolenie nie oświecone naukami Proboszcza wbije to sobie do głowy. My to jósków przyjmujemy iście po staropolsku. Na początek tradycyjnie jósków trzeba wyłapać, następnie po kolei nakłuwać, przypalać, ciąć, odpilowywać, truć, kopać, wieszać, topić, pobrać organy i sprzedać, wydlubywać gały, zalać przelyki betonem, polać ropą, podpalić, ugasić i znów polać ropą i podpalić a na końcu wywalić na śmietnik. Ament.

-*Hasiu*: Z całym szacunkiem dla Ciebie Krzyzak, ale ten post odrobinę Ci nie wyszedł. Pomijając błędy stylistyczne, jest kilka rażących błędów rzeczowych.

-*Laryx*: Zgadzam się z Krzyżakiem. U nas tak samo.

-*Jas*: Adler ostatni sezon u Gremplera. Edy, STALECZKA czeka. Też nieźle płaci!!! Popytaj Golloba.

-*Ramotb*: Kasy maja, a w szczególności taki Adler co nie miara i nie wierze w to, że Edy zrezygnuje z występów w Polsce. Wypowiedz Szweda może świadczyć o tym, że Grempler ma jakieś poślizgi w wypłacaniu pieniędzy.

-*PolakPL*: Inna sprawa, że w Polsce te regulaminy i władze są chore. Każdy jest co jakiś czas świadkiem jakiś błędów czy to sędziów, czy wykorzystuje się jakieś luki w regulaminach. Czasem dochodzi, również do bardzo kontrowersyjnych decyzji władz GKZ. To zapewne odstrasza, jednak ta kasa, która ściągana od polskich klubów, jest im niezbędna. Do tego dochodzi ściganie się na najlepszych stadionach i przy najlepszych kibicach na świecie. Oni zbyt nie mają na co narzekać.

-*Hasiu*: Tak naprawdę można powiedzieć że szkolenie juniorów kuleje

już od bardzo dawna i z roku na rok coraz bardziej jest to widoczne. Coraz mniej juniorów a przede wszystkim coraz mniej utalentowanych, z tych aktualnych no to tylko Łukasz Kwiek i trochę Pawlina dają jakąś nadzieję na utrzymywanie naszego żuźla na poziomie.

-*GremplerKing*: Jedyne przypadki chuligaństwa na żuźlu to od czasu do czasu jakiś idiota rzucający butelką na tor, przy czym jest on z miejsca wygwizdywany i opieprzany przez innych kibiców oraz wydalany ze stadionu.

-*Lucek-7*: Co byki robią poza stadionem? Tego nie wiem, ale podczas meczów ludzie z wózkami dziecięcymi przychodzą żeby się noworodki mogły od małego nawdychać metanolu i spalonego oleju.

-*stolarz*: Czarnecki już nosił kołnierz ortopedyczny po wpiędołu jaki dostał na meczu żuźlowym we wrocku.

-*PolakPL*: Goście z parkingu zostali na stadion wprowadzeni przez szczelny kordon policjantów. Nie mieli styczności z zielonogórskimi fanami. Przy kasie biletowej stali zabezpieczani przez policję. Za kasą przed wejściem na stadion byli dokładnie przeszukiwani. Dopiero wtedy wchodzili do sektora gości. Miody kibic z Leszna stojąc przed kasą biletową zaczął pisać po tablicy wiszącej na płocie. Zauważył to zastępca komendanta zielonogórskiej policji. Natychmiast wyciągnął kibica z tłumu i przekazał policjantom.

-*Grempler King*: A kto was naciska? Kibice Gremplera już podjęli decyzję i olali was i wasze pół derby. Siedxcie sobie tam sami, łuskajcie słonecznik, nie zapomnijcie wtrynić kiełbachy i patrzcie na pogrom swojej stalczki. Prawdziwe derby będą w Zielonej Górze niestety ostatnie bo w przyszłym sezonie będziemy w innych ligach.

-*normalny*. Zbliżą się wybory to Januszek i inni zaczynają obiecywać, że będą nowe trybuny, zadaszony tor, sztuczna murawa, która w zimie będzie spełniała funkcję lodowiska, a każde krzeselko będzie podgrzewane, z wmontowanym dżinglem do masażu dupci!

-*Hasiu*: Nie zauważyłeś, że po raz kolejny to są tylko obietnice?

-*Laryx*: Po co prezydent przychodzi na stadion? Żeby kibice go zobaczyli. Dlaczego spiker wita prezydenta i tę bandę urzędasów? Żeby

kibice na nich głosowali. Ludzie, nie dajcie się nabrać na ten lep!

-*Gościu bez Wąsów*: Pan Grempler na prezydenta miasta! Hurrrrr! Kto jest za?

-*normalny*: Żeś och*ał? Wex se i walnij. Szwab ma rządzić Zielonągorą? Niedoczekanie twoje. Takiego wała.

-*roxy*: Lepszy taki Szwab jak ta pi*da co była przed Kubą.

-*Laryx*: Co z tego że Niemiec? Grempler więcej zrobił dla miasta jak ten co tera jest za prezydenta. On jest 100-procentowym polakiem. Kto dał tyle szmalu na żużel? Jak by Pan Grempler nie kupił klubu to byś se jeździł na rowerze. Głosujcie na Gremplera!

-*anty-grempler*: grempler ty szwabię wont do rajchu!

-*Jas*: zebys mog sam bys pojechał do rajchu.

-*Hasiu*: Grempler na prezydenta? Neimann na wieka? Szwab i ubek. Ale jaja!!! Może jeszcze kochanka Neimanna z gazety na jakiegoś naczelnika od sportu? Syneczek na rzecznika.

-*anty-grempler*: zapomniłeś Hasiu o pani Kostrzyńskiej.

-*Lucek-7*: Ten który teraz jest za prezydenta gdzie był wcześniej? Co Kuba umi? Bierze cash i miasto ma w głębokim poważaniu.

-*Ramoth*: Żeby być prezydentem, Laryx, trzeba mieć w głowie nie tylko olej z pierwszego tłoczenia. Nie wystarczą szerokie plecy i błogosławieństwo księdza proboszcza z katedry.

-*Miody Stach*: Anitka Carewicz i jej partia pomoże.

-*Grempler King*: Grempler pany!

-*gość*: Pytam się, czy jest lepszy kandydat na prezydenta od Gremplera? Zna ktoś takiego?

-*Hasiu*: Neimann! Haaahaaa!!!

-*Nowy*: Zgadzam się, że żużel to prowincjonalna i niszowa dyscyplina sportu. Co innego kosz w zielonce.

-*normalny*: A futbol to pies?

-*Blondas*: Tej dyscypliny w wydaniu zielonogórskim nigdy nie nazywaj sportem.

-*Grempler King*: Popie***ło was, forumowicze?

-*roxy*: Grempler pany!!!!

Przez uchylone drzwi Magda przypomniała wicenaczelną, że od pięciu minut w salce obok czekają na nią członkowie kolegium. Chuda poderwała się z fotela i nie szminkując ust, co robiła przed każdym wyjściem ze swego pokoju, rzuciła do sekretarki, żeby wyłączyła jej komputer. Nie tłumacząc spóźnienia, powiedziała, że czeka na propozycje tematów do najbliższego sobotnio-niedzielnego numeru gazety.

- Najwyższy czas zacząć pisać o wynikach śledztwa w sprawie śmierci naszych kolegów - rzucił Daniel. Był przekonany, że członkowie kolegium go poprą. - Nie wyobrażam sobie, żeby reportaż nie zaczął się na pierwszej stronie.

- Generalnie rzecz biorąc, przed oficjalnym zakończeniem... Inne propozycje? - powiedziała Chuda lekceważącym tonem.

- Ten reportaż... tym reportażem gazeta odkryje coś, co... - dobierając słowa, Daniel utkwiał spojrzenie w wicenaczelną. Chuda wlepiła w niego oczy, dając mu do zrozumienia, że pożałuje tego, co powie. Przeniósł wzrok za okno i dokończył: - Przypuszczam, że wiem, kto spowodował wypadek Bojana i dlaczego został zamordowany Michał. To powinno być w moim reportażu. I będzie.

*Zielonagóra, ul. Przy cementarna,
poniedziałek, popołudnie*

Monika Chuda co kilkanaście sekund klikała w ikonkę z numerem komórki Neimanna, ale zamiast jego głosu słyszała informację automatycznej sekretarki, że abonent w tej chwili nie może rozmawiać lub jest poza zasięgiem. Jeszcze przed prezentacją zawodników muszę go dopaść, zdecydowała, bo jak się zacznie mecz, to nie wejdę na trybunę. Kazała Magdzie wezwać taksówkę.

- Generalnie rzecz biorąc, mam coś bardzo pilnego do pana dyrektora - powiedziała do sekretarki, która dobrze wiedziała, co łączy Chudą z

Neimannem. - Niezwłocznie muszę się z nim zobaczyć, tak.

Sekretarka w klubie wcisnęła guzik interkomu i gdy odezwał się Neimann, rzuciła bezbarwnym głosem:

- Ktoś do pana. Czeka u mnie w sekretariacie. Mówi, że to bardzo pilne.

- Teraz?

- Bardzo pilne - powtórzyła sekretarka.

Niespełna minutę później cicho otworzyły się boczne drzwi. Neimann tylko wysunął głowę, a dostrzegłszy Monikę opartą ramieniem o futrynę, wybałuszył oczy i chwilę stał nieruchomo.

- Co się wydarzyło, Moni?

- Musimy porozmawiać, tak.

- Teraz?

- To bardzo pilne.

- Za godzinę zacznie się mecz. Zapadają ostatnie decyzje. Nie jestem sam w gabinecie. Wieczorem, Moni, przyjadę i...

- Wieczorem może być za późno.

Neimann chwycił ją za łokieć i poprowadził wzdłuż korytarza do oszklonego wykusza, gdzie w gablotach złożyły się puchary, patery i medale. Tu zaglądało najmniej osób. Ci, którzy zaraz zaczną przechodzić z gabinetu Gremplera do łoża honorowej, będą ich widzieli, ale niczego nie usłyszą, a przede wszystkim nie dostrzegą łez w oczach Moniki. Pewnie była u lekarza, a ten potwierdził, że jest w ciąży, co ona podejrzewała, lecz nie miała pewności, dlatego ostatnio jest taka płacziwa. I może jeszcze postraszył, że w jej wieku ciąża bywa niebezpieczna. Przecież mam znajomych ginekologów, pomyślał. O, zaraz po meczu zadzwonię do któregoś i jutro będziemy mieli problem z głową.

- Nie martw się, Moni. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń.

- Znowu będzie dobrze.

- Rudy...

- Rudy? - powtórzył zaskoczony. Pomyślał o Edwardssonie, o którego włosach kibice mówili, że są rude.

-Jung.

A więc nie cięża. Chwała Bogu. Neimann westchnął i znowu przytulił kobietę, tym razem mocniej, na dłużej i z wdzięcznością.

- Coś przykrego powiedział ci, tak?

- Rudy chce, żeby w najbliższym magazynie ukazał się reportaż o Michale Kostrzyńskim. Przypuszcza, że wie, dlaczego zginął i kto spowodował wypadek Bojanewa.

- Przypuszcza czy wie?

- Dokładnie.

- Tak ci powiedział?

- Na kolegium zgłosił tekst na pierwszą stronę wydania sobotnio-niedzielnego.

- Przedstawił jakieś dowody? - Neimann niemal krzyknął.

Chuda ani nie przytaknęła, ani nie zaprzeczyła. Odwrócona do okna, powiedziała:

- Po ostatniej rozmowie w kadrach, kiedy Rudy zażądał listów przychodzących do redakcji, twój braciszek wcisnął pluskwę do jego komórki. W tym momencie śledzi każdy krok, tak. W sobotę był na lotnisku z Magdą, potem spędził u niej czas aż do rana i rozmawiał z jakimś doktorem Pogonowskim.

- Jest taki na uniwersytecie. Specjalista od prawa medycznego. Prowadzi szkołę sztuk walki przy Dworcowej.

- Rudy wie więcej niż policja, tak. On musi mieć jakieś wtyki, tak.

- Zaraz po studiach był w pionie kryminalnym. Zdobyte tam doświadczenia wykorzystuje jako dziennikarz śledczy. Z pożytkiem dla właściciela „Zielonogórskiej” i ciekawości czytelników. Nie zaprzeczysz, że Jung ma niezłe kontakty i talent.

- Mówiłeś...

- Czy wszystko, Moni, co napisze dziennikarz, musisz wydrukować?

- Nie, ale powinnam.

- Kto rządzi redakcją? - spytał, mocno chwytając ją za łokieć.

- Dopiero będzie chryja, tak, jeśli jego tekst się nie ukáže. Nawet sobie nie wyobrażasz, co przeżyłam, można powiedzieć, jak trochę

podrasowałam jego relację z meczu z Leszmem.

- W takim razie wyślij go na urlop. I to natychmiast. Niczego nie wyjaśnij, tylko niech kadrowiec da mu kartę urlopową. Potem zastanowimy się, co dalej.

- A jeśli się nie zgodzi?

- Wtedy ja go pošlę... do szpitala.

Monika spojrzała na Neimanna z wdzięcznością i gdy uznał sprawę za załatwioną, spytała:

- W tym momencie kto napisze relację z dzisiejszego meczu?

Zaniemówił. Nabrał powietrza do płuc i gdy z sykiem je wypuszczał, przez okno dostrzegł swojego syna.

- Przecież nie powiedziałem, że zaraz trzeba wysyłać Rudego na urlop. Można z tym dzień poczekać. Niech dziś napisze, a jutro ty zrobisz swoje.

- Pod warunkiem że Alan pomoże.

- Wczoraj, bez Duńczyka i Szweda, mogło być źle. Na nasze szczęście dobry Pan Bóg zesłał deszcz, a sędzia przełożył mecz na dziś. Moni, Edwardsson i Adler-Olsen nie po to przyjechali do Zielonejgory, żeby zespół Joachima Gremplera przetrznął z Jancarzami.

- I nie po to wcisnąłeś mnie do redakcji, żebyśmy przegrali, tak?

Neimann kiwnął głową bez słowa.

Epilog

Biegły z uniwersyteckiego laboratorium badania środowiska potwierdził, że próbki żużłu wyjętego z jamy ustnej Michała Kostrzyńskiego i pobrane z koksownika stojącego na podwórzu przy ulicy Urszuli mają identyczne właściwości chemiczne i fizyczne. Rzeczoznawca z laboratorium metalurgii metali nieżelaznych wykrył w nich opiłki mosiądzu cynowego pochodzące z tego samego kawałka stopu. Mimo to Kwiek nie przyznał się, że ostatnio miał w rękach żużel.

- Nie patrzę, co robią klienci na moim podwórku, jak naprawiam ich pojazdy. Może któryś wziął sobie trochę z koksownika na pamiątkę - powiedział śledczym podczas przesłuchania w komendzie. To samo powtórzył w trakcie rozprawy w sądzie okręgowym i przypomniał, że jeszcze niedawno w każdym warsztacie stał koksownik. Tak poradził mu adwokat wynajęty i opłacony przez Neimanna. O tym Kwiek nie wiedział.

Nie przyznał się do wymiany klocków hamulcowych w passacie Bojanewa. Zresztą akurat o tym prokurator nie wspomniał w akcie oskarżenia, spodziewając się, że na rozprawie oskarżony zmięknie i ujawni więcej swoich grzeszków.

- Dawniej listonosz przynosił „Zielonogórką” dzień w dzień. Teraz czytam ją jedynie w poniedziałki, kiedy są sprawozdania z meczów. Jak się czyta, to musi się wiedzieć, kto napisał artykuł. Czasem nerwy mnie brały, bo takie głupoty... Nigdy nie dzwoniłem do pana redaktora Bojanewa. Nie dzwoniłem i nigdy go nie widziałem - oświadczył Kwiek, kątem oka zerkając w stronę adwokata, jakby spodziewał się pochwały. - Proszę wysokiego sądu, jak pan Bojanew naprawdę miał nowego passata, to na przeglądy okresowe musiał jeździć do serwisu firmowego. U nas jest taki na Zaciszu. Kto tego nie przestrzega, może stracić

gwarancję. - Usłyszawszy to, sędzia przestał przeglądać protokół z oględzin passata na miejscu wypadku.

- Ponadto w piątki nie pracuję dłużej niż do trzeciej. Taką mam zasadę.

- Jak widać, panie prokuratorze, to tylko poszlaki - odezwał się adwokat coraz bardziej pewny sukcesu.

Prokurator Ostrouchy uśmiechnął się pod nosem, przekonany, że nagrania z monitoringu w berlińskim hotelu Pullmann przekonają sędziego o winie Kwieka.

I gdy informatyk wetknął płytę kompaktową do kieszeni komputera, na ekranie pokazał się mężczyzna w letnim kapelusiku trilby, spod którego wystawały lekko kręcone ciemne włosy. Na twarzy tej osoby widoczne były czarne, gęste wąsy zakrywającymi górną wargę. Z zarejestrowanej rozmowy z ochroniarzem wynikało, że nazywa się Pogonowski. Potem odtworzono dalszy przebieg zdarzenia.

- Świadek Pogonowski - powiedział sędzia, pokazując doktorowi pulpit, przy którym powinien stanąć. Spytał o imię, miejsce urodzenia i zamieszkania, miejsce pracy i zajmowane stanowisko. - Kiedy ostatni raz pan był w hotelu Pullmann w Berlinie?

- Nigdy nie byłem w tym hotelu.

- W pewnym momencie, jak wynika z przedstawionego nagrania, padają nazwiska Kwiek i Pogonowski. Asystent Kwiek i doktor Pogonowski - uściślił sędzia, pokazując głową na monitor.

- Wręcz niepokojąco to zabrzmiało - orzekł Pogonowski. - Proszę sformułować pytanie, na które wysoki sąd oczekuje odpowiedzi?

- Sąd chciałby ustalić, kto jest na zdjęciu wykonanym przez hotelową kamerę.

- W takim razie jak brzmi pytanie?

- Czy to jest oskarżony Kwiek?

- Czy oskarżony i mężczyzna na zdjęciu to ta sama osoba? Tego nie jestem pewny mimo doświadczenia prawniczego i sporej wiedzy z zakresu fizjonomii, anatomii oraz kultury fizycznej. Kiedy przyjechałem na podwórze warsztatu przy ulicy

Urszuli, rozmawiałem z mężczyzną, tak mi się wydaje, roślejszym i bardziej korpulentnym. Był mniej więcej w moim wieku, czyli sięgał czterdziestki, a to się zgadza z tym, co usłyszałem, kiedy prokurator przedstawiał akt oskarżenia - powiedział Pogonowski, wskazując głową na Ostrouchego. - Ponieważ noszę wąsy i niewielką brodę, zwracam uwagę na wygląd innych wąsaczy. Denerwują mnie ci, którzy nie dbają o swój zarost. Ten, z którym rozmawiałem na podwórzu, był ogolony, a mężczyzna na zdjęciu z monitoringu hotelowego ma czarne, bujne wąsy zakrywające sporą część twarzy.

- Zgadza się - potwierdził sędzia.

- Jeszcze jedno, wysoki sędzie. Wtedy, na podwórzu, spytałem pana Kwieka, czy może zadzwonić po taksówkę, bo za kwadrans muszę być w szpitalu na Zyty, gdzie rozpoczynam zajęcia z rezydentami. Pan Kwiek zaferował, że moim bmw podwiezie mnie pod ów szpital. O czym rozmawialiśmy w czasie jazdy, dokładnie nie pamiętam, ale na pewno podziwiałem jego umiejętności za kierownicą. Nawet coś powiedziałem na ten temat, co pan Kwiek skwitował obojętnym uśmiechem. Gdyby miał wąsy takie jak osoba na zdjęciu z monitoringu, nie zauważyłbym sztucznego uzębienia - wyartykułował Pogonowski. - Wysoki sędzie, jestem przekonany, że mężczyzna siedzący na ławie oskarżonych i ten, który wiozł mnie pod szpital na Zyty to ta sama osoba. Czy oskarżony jest mężczyzną ze zdjęcia wykonanego przez kamerę w hotelu Pullmann, tego nie mogę potwierdzić.

- A czy samochód marki BMW, który wymienił prokurator w akcie oskarżenia i który sąd widział na nagraniu z monitoringu hotelowego, jest własnością świadka?

-Tak.

- Przed chwilą, identycznie jak w śledztwie, świadek stwierdził, że nigdy nie był w hotelu Pullmann w Berlinie. Zatem jak świadek wyjaśni obecność tam należącego do niego samochodu marki BMW?

- W tym czasie uczestniczyłem w konferencji naukowej w Starym Smokowcu koło Popradu na Słowacji, gdzie przedstawiłem doniesienie z prowadzonych badań. Na konferencję wyjechałem w piątek po

południu z profesor Marią Kwiatkowską-Jung. Wyruszyliśmy jej prywatną skodą. Wcześniej swoje bmw zaprowadziłem do warsztatu przy ulicy Urszuli, informując właściciela, co powinien zrobić i że samochód odbiorę po powrocie z zagranicy. Ostrzegłem go, żeby bez mojej wiedzy i zgody nie korzystał z auta. Nawiasem mówiąc, poinformowałem go nawet, że spisałem stan licznika kilometrów i wskaźnika poziomu paliwa. Gdy po powrocie z konferencji oglądałem bmw w obecności policjanta, na liczniku było niemal pięćset kilometrów więcej.

- Dziękuję świadkowi. Jak oskarżony to wyjaśni?

- Nikogo nie upoważniłem do korzystania z mojego samochodu - powtórzył Pogonowski, wracając na swoje miejsce obok docenta Pastwy.

- Czy poza odwiezieniem doktora Pogonowskiego pod szpital przy Zyty oskarżony siadał za kierownicą tego samochodu? A jeśli tak, to dokąd nim jeździł? - zwrócił się sędzia do Kwieka.

- Może mój czeladnik.

- Sąd nie wezwał czeladnika na świadka. W protokole dołączonym do aktu oskarżenia znajduje się oświadczenie tego mężczyzny. Zapewnia, że nie siedział za kierownicą rzezonego bmw. Nie siedział i nie naprawiał tego auta. W takim razie, kto nim jeździł?

Kwiek nie odpowiedział. Prokurator zaczął się podnosić, jakby chciał coś dodać, ale sędzia wstrzymał go ruchem ręki.

- Czy oskarżony potwierdza, że przyjął samochód marki BMW do naprawy?

-Tak.

- Czy oskarżony był w hotelu Pullmann w Berlinie?

- Nie - odpowiedział Kwiek hardo.

- Proszę oskarżonego o zbliżenie się do stołu. - Gdy Kwiek podszedł, sędzia poprosił go o pokazanie prawej dłoni. - Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym oskarżony ma wytatuowane serce przebite strzałą - powiedział do prokuratora. - Czy oskarżenie wyjaśniało znaczenie i pochodzenie tego znaku?

Araszkiewicz spuścił głowę. Karolina też zwracała jego uwagę na ten

tatuaż. Pamiętała z kursu w szkole policji w Pile, że taki znak wyróżnia złodzieja niewielkiego formatu, za to bezwzględno w działaniu.

- Na zdjęciu z monitoringu hotelowego nie widać wierzchniej części prawej dłoni oskarżonego. Sąd więc na razie daje wiarę, że to nie oskarżony był obecny w hotelu - dokończył sędzia.

Docent Pastwa miał wątpliwości, czy samochód przedstawiony na ekranie komputera i bmw, które oglądał na parkingu policyjnym, to ten sam pojazd. Kolor nadwozia się zgadzał, ale litery i cyfry na tablicy rejestracyjnej miały inny kształt i nie były wyraźne. Porównanie zużycia bieżnika opon również nie pozwalało mu na niepodważalne stwierdzenie, że chodzi o samochód doktora Pogonowskiego.

- Może to efekt kąta filmowania - próbował się usprawiedliwić Pastwa.
- Jako naukowiec i rzeczoznawca z długoletnim doświadczeniem w zakresie mechaniki samochodowej tym razem nie potrafię zająć zdecydowanego stanowiska. Proszę mi wybaczyć, wysoki sędzie, ale mimo najszerszych chęci, jestem bezradny.

Sędzia chciał coś powiedzieć, gdy Ostrouchy znowu podniósł rękę. Kiwnął więc głową w jego stronę, co oznaczało, że prokurator może się odezwać.

- Wysoki sędzie, już w trakcie procesu prokuratura zleciła profesorowi Kurzawie z Uniwersytetu Zielonogórskiego przeprowadzenie specjalistycznego badania. Niestety, profesor musiał wyjechać do Toronto, gdzie w Humber Institute of Technology jest profesorem wizytującym, dlatego nie może osobiście stanąć przed wysokim sądem i streścić pisemnej opinii oraz odpowiedzieć na ewentualne pytania. Proszę więc o zgodę na omówienie wniosków z tego badania przez oskarżenie i o dołączenie ich do akt jako dowodu w sprawie. Otóż światowej sławy specjalista w zakresie dźwięku, profesor Kurzawa, porównał głos męski z nagrania zarejestrowanego przez monitoring hotelowy i wykonanego, za zgodą wysokiego sądu, w tej sali podczas pierwszego dnia rozprawy. Biegły podaje na piśmie, że przeanalizował jedynie niektóre elementy, mianowicie artykułowanie i akcentowanie głosek oraz sposób oddychania. Profesor Kurzawa zwrócił uwagę na tak

zwany głos nosowy, charakterystyczny dla osób, które doznały kontuzji nosa. Chirurgiczne wyleczenie złamania przegrody nosowej zazwyczaj nie pozostawia trwałych zmian, mimo to zdarza się, że następują swoiste zniekształcenia, jak określił biegły, fonoanatomiczne pierwszego rzędu. Wedle profesora oba głosy, czyli zarejestrowany przez monitoring hotelowy i ten pochodzący z nagrania wykonanego w sali sądowej podczas pierwszego dnia rozprawy, należą do tej samej osoby. - Prokurator oderwał wzrok od kartki i chwilę milczał, jakby się zastanawiał, czy tyle wystarczy, czy może jeszcze przeczytać jakieś zdanie, które zatka usta przede wszystkim obrońcy. - Tą osobą, wysoki sędzie, wskazaną przez profesora Kurzawę, jest oskarżony Kwiek. To oczywisty dowód, że on również zamordował pracownika ochrony hotelu Pullmann w Berlinie.

- Zdecydowanie protestuję przeciw takiemu stwierdzeniu. - Adwokat poderwał się z miejsca i próbował jeszcze coś powiedzieć, lecz sędzia nakazał mu ręką, żeby usiadł.

- W odpowiednim czasie, panie mecenasie - dodał.

Przysłuchujący się rozprawie komisarz Ziesch z berlińskiej policji kryminalnej nie wszystko zrozumiał, dlatego poprosił Syskiego, żeby przetłumaczył mu odpowiedź na angielski.

- Wysoki sędzie, oskarżenie wnosi o przesłuchanie jeszcze jednej osoby - Adwokat przeczuwając niepełne zwycięstwo, błyskawicznie się zreflektował. - Chodzi o wezwanie na świadka pracownika ochrony redakcji.

- Czy świadek rozpoznaje osobę na nagraniach z monitoringu? - spytał sędzia Janiak podczas kolejnej rozprawy. - Czy to ta sama osoba, która wchodziła do budynku redakcji wtedy, gdy został zamordowany Michał Kostrzyński? Czy osoba ta jest obecna w tej sali?

Ochroniarz wpatrywał się w obraz na ekranie, potem podnosił głowę na sędziego, oblizywał się i chrząkał, to znów mierzył pytającym wzrokiem Kwieka.

- *A propos...* Bo ja tam wiem? Ten sam i jakby nie ten sam, kurka wodna - odpowiedział cicho Janiak.

Adwokat uśmiechnął się zadowolony i położył dłoń na ramieniu Kwieka.

- Jest dobrze - dodał tak głośno, że i sędzia roześmiał się w duchu.

- Wysoki sędzie, prokuratura postanowiła zlecić policji przeszukanie domu oskarżonego. W związku z tym wnioski o przerwę w procesie i dołączenie do akt sprawy protokołu z powyższego. - Ostrouchy chwycił się ostatniej deski ratunku. A gdy sędzia spytał, dlaczego dopiero teraz padł ten wniosek, wyjaśnił: - Na skutek nagłych zmian kadrowych w wydziale kryminalnym naszej komendy, policja popełniła kilka błędów. Do nich zaliczam brak tego działania.

Nie za dwa, jak zapowiedział sędzia podczas poprzedniej rozprawy, lecz cztery tygodnie później odbyło się ostatnie posiedzenie sądu.

- Dziękuję wysokiemu sądowi za przychylenie się do wniosku oskarżenia dotyczącego przeprowadzenia przeszukania w domu przy ulicy Urszuli i dołączenia protokołu do akt sprawy. Dom, o którym mowa we wniosku, zajmuje oskarżony Kwiek Aleksander wspólnie z żoną Jolantą i synem Łukaszem. Przeszukanie przeprowadzili funkcjonariusze policji pod nadzorem prokuratora. Po wejściu do domu policjanci okazali pisemne postanowienie wydane przez sąd. Zaznaczam, że żona oskarżonego, Kwiek Jolanta, usiłowała uniemożliwić przeprowadzenie czynności, uzasadniając to swoim stanem zdrowia. Po pouczeniu jej o odpowiedzialności wynikającej z utrudniania pracy, zezwoliła osobom upoważnionym na wejście do domu - powiedział Ostrouchy, sięgając po teczkę z papierami. - Protokół za chwilę przekażę wysokiemu sądowi. Jest w nim mowa o tym, że w bielizniarce znajdującej się w sypialni, pod stertą pościeli, znaleziono nóż i rądykał. W ocenie prokuratury były to przedmioty identyczne jak te przedstawione na nagraniu pochodzącym z hotelu Pullmann w Berlinie. Szczegółowe badanie przeprowadzone w laboratorium daktyloskopijnym policji potwierdziło obecność na nich pozostałości linii papilarnych. - Prokurator oderwał wzrok od kartki i wyprostował się, milcząc, patrzył przed siebie. Siedzący na wprost niego Kwiek zrobił się jeszcze mniejszy, a adwokat chwycił długopis i

zaczął coś notować. Mam was, pomyślał prokurator. Głucha cisza w sali trwała może dziesięć sekund. - Ślady te należą do jednej osoby. Do wezwanej na świadka na wniosek prokuratury Kwiek Jolanty, żony oskarżonego.

Tego adwokat się nie spodziewał.

- Proszę wezwać świadka Kwiek Jolantę - powiedział sędzia do protokolantki. Gdy do sali weszła kobieta średniego wzrostu, raczej szczupła, w bluzce z dużym dekoltem, która nie zakrywała ramion, przewodniczący składu orzekającego szepnął, że świadek nie szanuje powagi sądu.

- Daj spokój. - Ostudził jego zapal sędzia z lewej strony. - Im szybciej odpowie na pytania, tym szybciej będziemy wolni. Taki skwar.

Prokurator był pewny, że jeśli sędzia zada te dwa pytania, które on podpowiedział, to adwokat Kwieka nie ma żadnej szansy na sukces. Wtedy Ostrouchy znowu wyjdzie z sali jako zwycięzca.

- Świadek Kwiek Jolanta? - upewnił się sędzia, po czym poprosił kobietę o podejście do stołu i pokazanie dowodu osobistego. - Miejsce zamieszkania?

- Zielonagóra, ulica Urszuli.

- Wiek?

- Czterdzieści dwa lata.

-Wykształcenie?

- Skończyłam szkołę dla nauczycielek przedszkoli.

- Stosunek do oskarżonego?

- Jestem żoną Aleksandra Kwieka.

- Sąd informuje, że zgodnie z Kodeksem postępowania karnego jako osobie najbliższej dla oskarżonego przysługuje pani prawo do odmowy zeznań.

- Skoro prawo daje mi taką możliwość, to z tej szansy skorzystam.

Adwokat przygotował sobie mowę na wypadek, gdyby Kwiek został uznany za winnego. Miał zamiar powiedzieć, że jego klient nie był świadomy tego, co być może zrobił. Jako zawodnik, mimo że zawsze jeździł w kombinezonie i kasku, wiele razy się przewrócił, uderzając

głową o bandę czy nawierzchnię toru żuźlowego. Ile razy z tego powodu był opatrywany na stadionie lub przewożony do szpitala, trudno policzyć. Każdy upadek oznacza rany, a zawodnik, gdy się z nich wyleczy, ma ciało w bliznach. Jest oszpecony fizycznie. Uderzenie w głowę zazwyczaj prowadzi do wstrząśnienia mózgu. Suma urazów oznacza zachwianie równowagi psychicznej, co w konsekwencji prowadzi do utraty samokontroli. Młody człowiek staje się kaleką. Owszem, żuźłowcy dużo zarabiają, ale za jaką cenę? Oni zarabiają dużo, a jeszcze więcej właściciel klubu. Ten zawodnik, który się oszczędza na torze, wypada z gry. Właściciel klubu trzyma tylko takich, którzy przynoszą mu zyski. Powszechnie się przyjmuje, wysoki sędzie, że sport oznacza tężyznę fizyczną. Kto uprawia lekką atletykę, koszykówkę, pływa, jeździ na koniu, ten jest zdrowy. Im więcej lekcji wychowania fizycznego w szkołach, tym mniej wydatków na opiekę medyczną. Jako prawnik nie badałem tego i nie mam zamiaru polemizować z tą, w zasadzie niepodważalną opinią. Na podstawie rozmów i obserwacji mojego klienta doszedłem do wniosku, że nie każda dyscyplina sportowa uodparnia na choroby, a tym samym prowadzi do wyrobienia tężyzny fizycznej. Po zakończeniu kariery osoba, która uprawiała żużel, jest nie tylko wyczerpana fizycznie, ale i psychicznie. To kaleka. Wrak człowieka. To osoba mogąca podejmować trudne do usprawiedliwienia i niemożliwe do zaakceptowania decyzje. Zamiast szukać pracy, niemal każdy były żuźlowiec powinien otrzymywać rentę inwalidzką czy to od właściciela klubu, czy z innego źródła. Zwracam się do wysokiego sądu, by potraktował mojego klienta tak, jak się traktuje osobę podejrzewaną o zaburzenia psychiczne. Proszę o skierowanie Aleksandra Kwieka na badania w wyspecjalizowanym zakładzie. Uzasadniając wniosek, użyję słowa z żargonu młodzieżowego. Usprawiedliwia mnie to, że ono najtrafniej określa zdrowie psychiczne mojego klienta. On jest porąbany.

- Gdyby Ilona poprowadziła śledztwo do końca, Kwiek już by siedział. Tadeusz popełnił wiele idiotycznych błędów. Mówiłeś, że siedząc w bmw, otworzyłeś neseser, dotykałeś radykału i noża.

- Wiem, nie powinienem...

- Na radykale i nożu nie było twoich odcisków.

- Wziąłem je do ręki!

- Nie było też odcisków Kwieka.

- Jak to, nie było?

- Nie było.

- W takim razie czeladnik...

Syski pokręcił głową.

- Na radykale i nożu były tylko odciski palców i dłoni pani Kwiekowej.

- Widziała mnie, jak oglądałem radykał i nóż. Czekając na Araszkiwicza, wyszedłem na ulicę, a wtedy ona wyjęła je z nesesera. Kiedy Araszkiwicz przyjechał, sprawdził zawartość nesesera, ale ten był pusty. Na pewno ona go opróżniła. Potem wytarła ślady Kwieka i zostawiła swoje.

- Prawdopodobnie tak było.

-I?

- Tadeusz ma skierowanie do ośrodka w Szczytnie. Podszkoli się i wróci do komendy. Na każde ramię dostanie po dwie gwiazdki podkomisarza i się zrehabilituje. A jak nie on, to ja Kwieka jeszcze dopadnę i posadzę na ćwierć wieku bez prawa skrócenia kary. Najważniejsze, Daniel, żebyś ty wydobrzył - powiedział Syski, pokazując na zabandażowaną rękę i nogę usztywnioną w szynie gipsowej. - Narzekam na ciebie, ale nie znam nikogo poza komendą, z kim tak dobrze mi się współpracuje - dodał na pożegnanie. Nie minęło pięć minut, gdy znowu odezwał się dzwonek w przedpokoju. Listonosz albo kurier z czymś zamówionym w internecie przez Miśkę, bo kto by inny przyszedł w porze południowej? Daniel zawołał:

- Otwarte! Proszę wejść!

Dopiero gdy zobaczył w drzwiach Pogonowskiego, przypomniał sobie,

że wczoraj wieczorem doktor telefonował z pytaniem, czy może go odwiedzić.

- Latem tyle ślicznotek paraduje po ulicach, że człowiek zamiast patrzeć pod nogi, na nie się gapi - powiedział Pogonowski bardziej ironicznie niż na serio.

- Akurat... - Daniel chciał się usprawiedliwić, ale zamiast tego wyjaśnił: - W lutym na pasach przy Bohaterów Westerplatte potrafiła mnie toyota. Było to dokładnie w tym samym miejscu, co teraz. Poza tym, że miałem poobijany cały lewy bok i pękniętą kość promieniową, nic poważniejszego mi się nie stało. Wtedy szykowałem się do napisania reportażu o Kunickim. Teraz zapowiedziałem tekst o mordercy Michała Kostrzyńskiego, Bojana Bojanewa i ochroniarza z berlińskiego hotelu Pullmann.

- Ktoś na pana poluje, redaktorze.

- Zona mi przypomina, że jak byłem policjantem, bała się każdego dnia. Jestem dziennikarzem, a ona dalej się boi. Mówi, że zanim przejdzie na emeryturę, zostanie wdową.

- Poważnie pana unieszkodliwił - powiedział Pogonowski, pokazując oczami na prawy bok.

- Na tyle poważnie, że jestem po dwóch operacjach prawej nogi i pewnie czeka mnie częściowa wymiana stawu łokciowego. Czytam, gapię się na ekran telewizora, a chciałbym wreszcie napisać to, co powinienem.

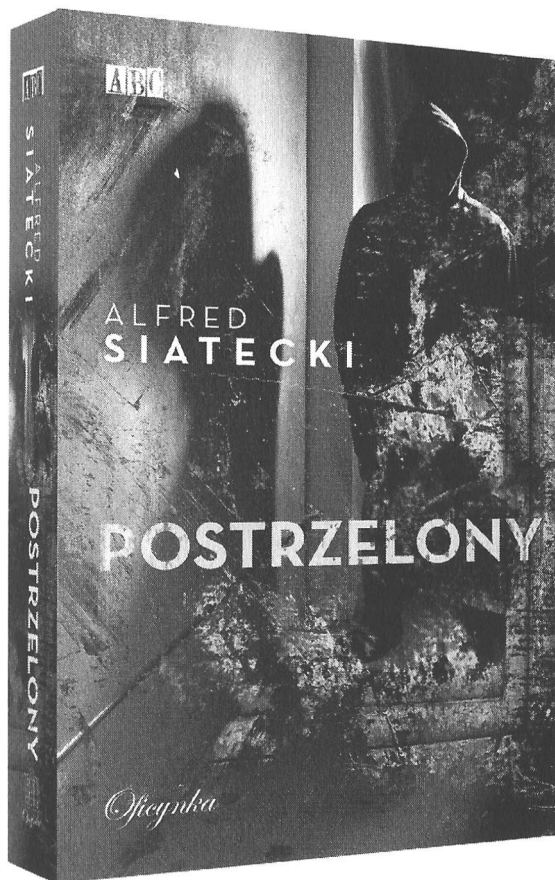
Od autora

Jako chłopak najczęściej grałem w dwa ognie, palanta i piłkę nożną. Jako dorosły coraz rzadziej ganiałem za piłką, gapiąc się, jak inni biegają, rzucają, skaczą, jeżdżą i pływają. Zaraz po studiach, namówiony przez kolegów, w niedzielne popołudnie pojechałem na stadion żużlowy. Do domu wróciłem zakurzony oraz lekko oszołomiony wonią spalin i wraskiem podchmielonych gapiów. Następnej niedzieli nie dałem się namówić na powtórkę.

O zasadach obowiązujących na torze żużlowym wiem tyle samo, co o regułach gry w baseball czy futbol amerykański. Dlatego o wszystko pytałem mądrzejszych. Roman Wyrzykowski, właściciel warsztatu naprawy aut i były zawodnik zielonogórskich Zgrzeblarek, odkrywał przede mną tajemnice budowy samochodu i motocykla żużlowego. Marcin Łada z działu sportowego „Gazety Lubuskiej” wprowadzał mnie w zasady rywalizacji na torze żużlowym. Mirosław Głaz, zdobywca szóstego dana Międzynarodowej Federacji Sztuk Walki i Polskiej Akademii Jujutsu oraz siódmego dana Polskiej Federacji Jujutsu, przekonywał mnie, że większość dyscyplin zaliczanych do sztuki walki może być traktowana jako sport. Jarosław Owsiany z Aeroklubu Ziemi Lubuskiej opowiadał o wznoszeniu się nad ziemię na motolotni. Znajomi medycy i prawnicy cierpliwie odpowiadali na moje pytania, ale czy je właściwie zrozumiałem, tego nie jestem pewien. Zanim maszynopis powieści trafił do wydawnictwa, kilkoro przyjaciół przeczytało tekst i podpowiedziało uzupełnienia treści lub drobne zmiany. Redaktorzy wydawnictwa również troszkę podpowiedzieli. Wyszło to, co wyszło.

Wszystkim pomocnikom serdecznie dziękuję.

Pierwsza część serii
o dziennikarzu śledczym Danielu Jungu



KIEDY Z PASJI RODZI SIĘ ZBRODNIA

W redakcji „Gazety Zielonogórskiej” w krótkim czasie giną dwaj dziennikarze. Policja przypuszcza, że obie sprawy się łączą, a wszystkie tropy wiodą do środowiska żużłowców. Daniel Jung, zmuszony do zajmowania się działem sportowym, powoli poznaje relacje rządzące tą dyscypliną i zaczyna prowadzić własne śledztwo.

PORĄBANY to druga część serii powieści o dziennikarzu śledczym Danielu Jungu (Satecku).

ALFRED SIATECKI – pisarz i dziennikarz. Ma w swoim dorobku literackim powieści obyczajowe, między innymi „Jubel” (1987), „Żmowa pułkowników” (2000) czy „A jednak będzie noc poślubna” (2007), zbiory opowiadań oraz bio-bibliografie lubuskiego środowiska literackiego. Jest autorem słuchowisk, zajmuje się też krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński.

